



KAMELEON

ZABIĆ DROZDA

Harper Lee

Ponadczasowa klasyka
o dorastaniu
i ludzkiej godności

Harper Lee

Zabić drozda

(Tłumaczyła Zofia Kierszysz)

*Panu Lee i Alice
z czułością i przywiązaniem*

Adwokaci chyba też kiedyś dziećmi byli

Charles Lamb

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Mając niespełna trzynaście lat, mój brat Jem doznał skomplikowanego złamania ręki w łokciu. Odkąd kości się zrosły i jego obawy, że nigdy nie będzie mógł grać w piłkę nożną, minęły, rzadko kiedy martwią go skutki tego złamania. Lewą rękę Jem ma teraz nieco krótszą od prawej i gdy stoi albo chodzi, dłoń odstaje mu od boku pod kątem prostym, a kciuk jest równoległy do biodra. Nigdy jednak nie przywiązywał do tego wagi, dopóki mu to nie przeszkadzało podawać i kopać piłki.

Z biegiem lat mogąc popatrzeć z perspektywy na wydarzenia, które doprowadziły do tego wypadku, nieraz je omawialiśmy. Moim zdaniem, zapoczątkowali to wszystko Ewellowie, ale Jem, starszy ode mnie o cztery lata, twierdził, że to się zaczęło grubo wcześniej. Że to się zaczęło w czasie tamtych wakacji, gdy po raz pierwszy przyjechał do nas Dill, bo to przecież Dill nam podsunął myśl, że dobrze byłoby doprowadzić do tego, by „Dziki” Radley się ujawnił.

Ja na to Jemowi powiedziałam, że jeśli on chce jeszcze szerzej ująć tę sprawę, to początek zrobił generał Andrew Jackson. Bo gdyby generał Jackson nie przegonił Krików przez ziemię Krików, to Simon Finch nigdy by nie przyplłynął statkiem z kołem łopatkowym do stanu Alabama i w takim razie, gdzie byśmy teraz byli my oboje? Zbyt już poważni, żeby rozstrzygąc spory walką na pięści, odwołaliśmy się do Atticusa. Atticus orzekł, że i Jem ma rację, i ja mam rację.

Nasza rodzina wywodzi się z Południa, więc oczywiście niejednego z jej członków głęboko zawstydza fakt, że nie mamy żadnych przodków, którzy by czymkolwiek i po czyjejkolwiek stronie wstawili się w bitwie pod Hastings. Mamy tylko Simona Fincha, aptekarza z Kornwalii, który zastawiał sidła na króliki i żył z miłością do Boga w sercu, ustępującą jedynie miłości, którą czuł do pieniądza. W Anglii denerwowało Simona prześladowanie tych, co zwali się metodystami, przez ich bardziej wolnomyślnych braci, a że sam też się zwał metodystą, więc w końcu popłynął za Atlantyk do Filadelfii, stamtąd ruszył na Jamajkę, potem do Mobile i dalej aż do St. Stephens. Pomny zastrzeżeń Johna Wesleya co do niepotrzebnego gadulstwa przy kupnie i sprzedaży, zbijał na lekach majątek, ale to zajęcie nie dawało mu szczęścia, gdyż obawiał się, że ulegnie pokusie i zacznie nosić zgoła - jak wiedział - nie na Chwałę Bożą złote pierścienie i kosztowne stroje. Żeby go więc nie kusiło, niepomny na to, co głosił jego nauczyciel o posiadaniu ruchomości pod postacią ludzi, kupił trzech niewolników i przy ich pomocy założył gospodarstwo nad rzeką Alabama, oddalone o jakieś czterdzieści mil od St. Stephens. Wrócił do St. Stephens tylko raz, żeby znaleźć sobie żonę, po czym z tąże żoną założył ród, który obfitował w córki. Simon dożył imponującego wieku i umarł bogato.

Utarło się, że synowie rodu pozostawali w gospodarstwie Simona, tak zwanej Przystani Fincha, utrzymując rodzinę z uprawy bawełny. Plantacja była samowystarczalna; chociaż skromna w porównaniu z dobrami, jakie rozciągały się wokół, dawała wszystko, co potrzebne do życia, z wyjątkiem lodu, mąki pszennej i artykułów odzieżowych dowożonych statkami rzecznyymi z Mobile.

Z bezsilną wściekłością Simon patrzyłby na zatarg Południa z Północą, który odarł jego potomstwo ze wszystkiego oprócz ziemi; a przecież tradycja utrzymywania się z tej ziemi trwała nadal nienaruszona, sięgając daleko w wiek dwudziesty aż do czasu, gdy mój ojciec wyjechał do Montgomery na studia prawnicze, a potem jego młodszy brat zaczął w Bostonie studiować medycynę. Finchem - dziedzicem Przystani - została ich siostra Alexandra. Wyszła ona co prawda za męża, ale mąż jej rzadko zabierał głos i prawie całe dni spędzał w hamaku nad rzeką zajęty jedynie problemem, czy dużo ryb się nałapało na jego rybackie sznury.

Mój ojciec wrócił z Montgomery już jako adwokat i otworzył kancelarię w Maycomb. Miasteczko Maycomb, w odległości dwudziestu mil od Przystani Fincha, to stolica hrabstwa Maycomb. W kancelarii Atticusa mieszczącej się w budynku sądu niewiele było rzeczy poza wieszakiem na kapelusze, spluwaczką, warcabnicą i czyściutkim kodeksem stanu Alabama. Jego pierwszymi klientami byli ostatni dwaj przestępcy, których powieszono w więzieniu naszego hrabstwa. Atticus dokładał wszelkich starań, żeby oni, korzystając z wielkoduszności prokuratora, zostali oskarżeni o morderstwo popełnione w afekcie i tym samym uniknęli kary śmierci; cóż kiedy to byli Haverfordowie, a nazwisko Haverford jest w hrabstwie Maycomb równoznaczne z osłem. Haverfordowie w wyniku nieporozumienia na temat jakoby nieuczciwego zatrzymania kobyły załatwili się raz-dwa z przodującym kowalem z Maycomb i nie dość, że nieroztropnie zrobili to w obecności trzech świadków, ale jeszcze uparcie się łudzili, że argument - „dostał skurwysyn za swoje” - powinien każdemu sądowi wystarczyć. Tak gorąco obstawali przy obronie swego stanowiska w sprawie o morderstwo z premedytacją, że w rezultacie Atticus mógł tylko asystować przy ich odejściu z tego świata, w którym to wydarzeniu należy zapewne szukać źródła głębokiej odrazy mego ojca do zajmowania się sprawami kryminalnymi.

W ciągu pierwszych pięciu lat w Maycomb Atticus zajmował się głównie wiązaniem końca z końcem; przez kilka lat następnych łożył ze swych zarobków na wykształcenie brata.

John Hale Finch, o dziesięć lat młodszy od mego ojca, uznał, że wtedy gdy się nie opłaca uprawiać bawełny, praktyczniej jest studiować medycynę. Jednakże po umożliwieniu wujowi Jackowi życiowego startu Atticus zaczął czerpać jakieś takie dochody z prawa. Lubił Maycomb, w hrabstwie Maycomb urodził się i wychował; znał tu wszystkich i wszyscy znali jego, przy czym dzięki pracowitości Simona Fincha był spokrewniony bądź spowinowacony z niemal każdą rodziną w mieście.

Maycomb to stara miejscina, ale w czasach gdy stawiałam w niej pierwsze kroki, była swoją starością zmęczona; deszcz zamieniał jezdnie w brudne czerwone bajory; chodniki porastała trawa; budynek sądu chylił się pośrodku rynku. Jakoś było wtedy goręcej: otępienie przynosiły upalne dni lata; na rynku, w cieniu zawsze zielonych dębów, opędzały się od much kościste muły, uwiązane przy dwukołowych wózkach ogrodniczych. Sztywne kołnierzyki panów już o dziewiątej rano zupełnie wiotczały. Bunie, chociaż odświeżały się kąpielą przed południem i drugą kąpielą po drzemce popołudniowej, były pod wieczór jak rozmiękle pierniczki z lukrem z potu i wonnego talku.

Chodziło się w tamtych czasach powoli. Ludzie spokojnie przemierzali rynek, powłócząc nogami, snuli się po sklepach i bez przerwy marudzili. Doba miała dwadzieścia cztery godziny,

ale wydawała się dłuższa. Nikt się nie spieszył, bo nie było ani dokąd iść, ani co kupować, ani czym płacić i w ogóle nie istniało nic godnego uwagi poza granicami hrabstwa Maycomb. A przecież niosły te czasy jakąś nieokreśloną nadzieję dla pewnego typu ludzi; nie tak dawno im powiedziano, że jeśli w hrabstwie Maycomb jest czego się lękać, to tylko samego lęku.

Mieszkaliśmy na głównej ulicy willowej - Atticus, Jem i ja, plus Calpurnia, nasza dochodząca kucharka. Z ojca oboje z Jemem byliśmy zupełnie zadowoleni, bawił się z nami, czytał nam, odnosił się do nas przyjaźnie, bez żadnych osobistych uprzedzeń.

Gorzej było z Calpurnią. Calpurnia składała się z samych kantów i kości; miała krótki wzrok; miała zwyczaj przymrużania oczu; miała ręce szerokie jak boczne deski łóżka i twarde jak żelazo. Stale wypraszała mnie z kuchni, pytała, dlaczego nie jestem taka grzeczna jak Jem, chociaż wiedziała, że Jem jest starszy, i stale wołała mnie do domu w najbardziej nieodpowiednich chwilach. Walczyłam z Calpurnią bohatersko, równie dobrze jednak mogłabym walić głową o mur. Calpurnia zawsze zwyciężała, bo Atticus zawsze przyznawał jej rację. Pracowała u nas od narodzin Jema i odkąd pamiętam, czułam na każdym kroku te tyrańskie rządy.

Nasza mama umarła, gdy miałam dwa lata, więc nie uświadamiałam sobie jej braku. Była panną Graham z Montgomery. Atticus wybrany do legislatury stanu pojechał do Montgomery i tam ją poznał. O piętnaście lat starszy od niej, już wtedy był w średnim wieku. Jem przyszedł na świat pod koniec pierwszego roku ich małżeństwa; w cztery lata później urodziłam się ja, a jeszcze w dwa lata później mama nagle umarła na serce. Podobno to dziedziczne w jej rodzinie. Nie tęskniłam do mamy, ale myślę, że Jem tęsknił. Świetnie ją pamiętał i czasem w środku zabawy zaczynał ni stąd, ni zowąd wzdychać i wzdychać, a potem odchodził i bawił się już sam za garażem. Byłam na tyle rozsądna, że wołałam mu wówczas nie przeszkadzać.

Gdyśmy mieli - ja niecałe sześć lat, a Jem niecałe dziesięć, granicami naszego letniego wybiegu (w zasięgu głosu Calpurnii) był z jednej strony dom pani Henry Lafayette Dubose, stojący o jedną posesję dalej na północ, i z drugiej strony posesja Radleyów, o dwa domy dalej na południe. Nawet w najśmielszych snach nie próbowaliśmy przekroczyć tych granic. W domu Radleyów mieszkał stwór, którego sam opis wystarczał, żebyśmy przez kilka dni pod rząd zachowywali się idealnie; pani Dubose była diabłem wcielonym.

Właśnie tamtego lata zjawił się Dill.

Pewnego dnia wczesnym rankiem, ledwieśmy zaczęli jak co dzień bawić się w ogrodzie za domem, usłyszeliśmy, że coś chrzęści w zagonie kapusty karaibskiej u naszej sąsiadki, panny Rachel Haverford. Podeszliśmy do ogrodzenia z drutu, prawie pewni, że to szczeniak - bo ratlerka panny Rachel miała zostać matką - ale zamiast szczeniaka zobaczyliśmy kogoś, kto tam siedział i patrzył na nas. Siedząc, niewiele był większy od tej kapusty. Gapiliśmy się na niego, dopóki nie przemówił:

- Hej!

- Hej tobie - jowialnie odpowiedział Jem.

- Nazywam się Charles Baker Harris - oznajmił nam nieznajomy. - Umiem czytać.

- No to co? - zapytałam.

- Myślałem, że się ucieszycie. Bo jak potrzebne wam będzie czytanie, to ja mogę.

- Ile masz lat? - zapytał Jem. - Cztery i pół?

- Niedługo siedem.

- Ojej, wielka mi rzecz. - Jem poruszył kciukiem w moim kierunku. - Smyk, ta tutaj, czyta od urodzenia, a jeszcze nawet nie zaczęła chodzić do szkoły. Malec z ciebie, jak na niedługo siedem lat.

- Jestem mały, ale nad wiek rozwinięty.

Jem odgarnął włosy z czoła, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Może przyjdiesz do nas, ty Charles Baker Harris - powiedział. - Boże święty, ale się nazywasz.

- Nie śmieszniej niż ty. Ciocia Rachel mówi, że ty się nazywasz Jeremy Atticus Finch.

Jem się skrzywił.

- Do takiego dużego, jak ja, to pasuje - zauważył. - Ale tobie po co taki długi pacierz? Założę się, że o stopę dłuższy od ciebie.

- Wołają na mnie Dill - powiedział Dill, z pewnym wysiłkiem gramoląc się pod ogrodzeniem.

- Lepiej górą, nie dołem - doradziłam. - Skąd jesteś?

Dill nas poinformował, że jest z Meridian w stanie Missisipi i przyjechał na lato do swojej cioci Rachel, żeby już co rok tu przyjeżdżać. Jego rodzina pochodzi z hrabstwa Maycomb i jego mama pracuje w Meridian u fotografa, więc posłała jego zdjęcie na konkurs na najpiękniejsze dziecko i wygrała pięć dolarów. Dała Dillowi te pieniądze i on dwadzieścia razy poszedł za to do kina.

- My tutaj nie mamy żadnych kin, tylko czasem o Jezusie w sądzie - powiedział Jem. - Byłeś na jakim dobrym filmie?

Dill był na *Drakuli* - rewelacja dostateczna, by Jem popatrzył na niego prawie z szacunkiem.

- Opowiedz.

Dill stanowił osobliwość. Miał na sobie króciutkie niebieskie spodenki przypięte na guziki do bluzki i włosy miał śnieżnobiałe, oblepiające mu głowę jak kaczki puch. Chociaż o rok był starszy ode mnie, znacznie przewyższałam go wzrostem. W czasie opowiadania tej starej historii niebieskie oczy to jaśniały mu, to ciemniały z przejęcia; wybuchał raptownym serdecznym śmiechem; pociągał się bezwiednie za piórko swych białych włosów sterczące w odwrotnym kierunku nad samym środkiem czoła.

Gdy już obrócił księcia Drakulę w proch i Jem zaopiniował, że to w kinie ładniejsze niż w książce, zapytałam, gdzie jest Dilla ojciec.

- O ojcu nic nam nie powiedziałeś.

- Bo nie mam.

- Umarł?

- Nie...

- Więc jak nie umarł, to masz.

Dill się zaczerwienił, a Jem kazał mi być cicho, co było wyraźnym sygnałem, że Dill został oceniony i uznany za godnego.

Lato później płynęło wśród zwykłych przyjemności. To znaczy jak zwykle wprowadzaliśmy ulepszenia w naszym domku na spletających się konarach dwóch bliźniaczych drzew tropikalnych w ogrodzie za domem, awanturowaliśmy się o byle co, odgrywaliśmy według listy jeden po drugim dramaty oparte na dziełach Olivera Optica, Victora Appletona i Edgara Rica Burroughsa. Pod tym względem Dill okazał się bardzo cennym nabytkiem. Grał role, które dotychczas z musu grałam ja - małpę w *Tarzanie*, pana Crabtree w *Wędrowcach*, pana Damona w sztuce *Tom Swift*. Szybko Dill dał się poznać jako kieszonkowy Merlin z głową pełną cudaczkich projektów, dziwnych tęsknot i baśniowych fantazji.

Ale przy końcu sierpnia wielokrotnie powtarzany repertuar już nam się przejadł i właśnie wtedy Dill zaczął myśleć, co zrobić, żeby „Dziki” Radley wyszedł z ukrycia.

Posesja Radleyów urzekła Dilla. Pomimo naszych przestróg i perswazji przyciągała go jak księżyc przyciąga wodę, z tym jednak, że to przyciąganie kończyło się pod latarnią stojącą na rogu w bezpiecznej odległości od furtki Radleyów. Tam Dill stawał, obejmował słup latarni, patrzył i dumał.

Wysunięty skraj posesji Radleyów tworzył ostry zakręt za naszym domem. Idąc na południe, widziało się ganek ich domu w prostej linii przed sobą; potem chodnik zakręcał i biegł wzdłuż ich ogrodu. Dom był niski, niegdyś biały, z głębokim frontowym gankiem i z okiennicami pomalowanymi niegdyś na zielono, ale już dawno ściemniałymi pod kolor łupkowoszarej roślinności wokoło. Nad okapem ganku osuwały się gonty przegniłe od deszczu, dęby nie dopuszczały tam słońca. Resztki palików chwiejnie strzegły „wymiecionego”, jak to się pisze w powieściach, podjazdu, którego nigdy nie wymiatano i na którym bujnie krzewiły się chwasty i dziki tytoń.

W domu Radleyów mieszkało złe widmo. Ludzie mówili, że to żywy człowiek, ale myśmy z Jemem nigdy go nie widzieli. Ludzie mówili, że on wychodzi nocą przed zachodem księżyca i zagląda do okien. Jeśli w czasie przymrozków zwarzyły się czyjeś azalie, to tylko dlatego, że on na te azalie oddychał. Jego też dziełem były wszelkie pomniejsze, cichaczem wyrządzone szkody. Kiedyś zgrozę w miasteczku wywołał ciąg okropnych wydarzeń: kury i domowe zwierzęta znajdowano rankiem okaleczone; chociaż wyszło na jaw, że sprawcą jest pomyłony Addie, który w końcu utopił się w Piekarskiej Topieli, ludzie nie przestali spoglądać podejrzliwie w stronę posesji Radleyów. Żaden Murzyn za nic w świecie nie przeszedłby tamtędy po zapadnięciu zmroku inaczej niż przeciwległym chodnikiem, a i to z pogwizdywaniem, żeby odstraszyć zmyły. Tyły posesji sąsiadowały bezpośrednio z boiskiem szkoły w Maycomb; orzechy z wielkich wysokich orzeszników rosnących na podwórku Radleyów spadały na boisko, ale żadne dziecko by ich nie podniosło, bo „zabiłyby cię te orzechy”. Piłki, które w czasie baseballu przypadkiem trafiły tam na podwórko, były piłkami straconymi bezpowrotnie i nikt nie pytał, dlaczego.

Niedola tego domu zaczęła się na wiele lat przed czasami Jema i moimi. Radleyowie, chociaż wszędzie w miasteczku chętnie by ich przyjmowano, trzymali się na uboczu - upodobanie w Maycomb niewybaczalne. Zamiast chodzić do kościoła, co było główną rozrywką Maycomb, modlili się w domu, pani Radley rzadko, jeśli już w ogóle, pokazywała się na ulicy w drodze na poranną kawę u którejś z sąsiadek i z pewnością nie należała do żadnego kółka

misyjnego. Pan Radley wychodził do miasta co dzień o godzinie jedenastej trzydzieści przed południem, żeby wrócić nie później niż o dwunastej, czasem z brązową papierową torbą, w której może, jak przypuszczali sąsiedzi, przynosił wiktuały dla rodziny. Nigdy nie mogłam pojąć, w jaki sposób pan Radley zarabia na jej utrzymanie - Jem twierdził, że on „kupi bawełnę”, tym uprzejmym określeniem tylko potwierdzając jego nieróbstwo - ale fakt faktem, że pan Radley mieszkał w tym domu z żoną i dwoma synami od niepamiętnych czasów.

Drzwi i okiennice były tam zamknięte w niedzielę, jeszcze jedna rzecz obca obyczajom Maycomb, gdzie zamykano się w domach tylko w wypadku choroby albo wyjątkowego zimna. A już ze wszystkich dni tygodnia właśnie niedziela była dniem składania towarzyskich popołudniowych wizyt, panie chodziły w gorsetach, panowie chodzili w surdutach, dzieci chodziły w bucikach. Nikomu jednak z sąsiadów nie przyszłoby do głowy w niedzielne popołudnie wejść z okrzykiem „Hee-ej!” na frontowe schodki Radleyów. Zwykłych drzwi z siatką zatrzymującą owady, i tym samym pozwalającą drzwi drewniane zostawiać otwarte, w ogóle tam nie było. Gdy zapytałam Atticusa, czy może kiedyś były, tylko teraz ich nie ma, Atticus odpowiedział, że owszem, były, ale dawno, zanim ja przyszedłam na świat.

Krażyła po okolicy legenda, że młodszy syn państwa Radleyów, mając lat kilkanaście, zaprzyjaźnił się z paroma chłopcami z ogromnej, niezwykle rozgałęzionej rodziny Cunninghamów, zamieszkałej w Old Sarum na północy hrabstwa, i zgrana ich paczka stała się czymś najbardziej w całej historii Maycomb zbliżonym do gangu. Nie czynili wiele, ale wystarczająco, żeby rozprawiano o nich w miasteczku i publicznie ich przestrzegano z trzech ambon: kręcili się koło zakładu fryzjerskiego, jeździli w niedzielę autobusem do Abbottsville do kina, chodzili na tańce do nadrzecznej, okrzyczanej w hrabstwie jaskini hazardu „Gospoda pod Kroplą Rosy i Obóz Rybacki”, eksperymentowali z nielegalnie pędzoną whisky. Nikt w Maycomb nie miał odwagi powiedzieć panu Radleyowi, że jego syn wpadł w nieodpowiednie towarzystwo.

Aż tu pewnego wieczora chłopcy ci w wyjątkowym przypiływie animuszu zaczęli jeździć tyłem po rynku pożyczonym starym samochodem i gdy pan Conner, sędziwy woźny sądu, chciał ich aresztować, stawili mu opór, po czym zamknęli go w sądzie. W miasteczku zawrzało, pan Conner powiedział, że wie, gdzie każdego z nich szukać, i że jak pragnie zdrowia, nie ujdzie im to płazem, więc ostatecznie chłopcy z braku sędziego dla nieletnich stanęli przed sędzią dla spraw spadkowych oskarżeni o awanturnictwo, zakłócenie porządku publicznego, napad z pobiciem i wykrzykiwanie obelg i bluźnierstw w obecności kobiet. Sędzia zapytał, na czym pan Conner opiera to ostatecznie oskarżenie; tak głośno przeklinali - odpowiedział pan Conner - że na pewno ich słyszała każda pani w Maycomb. Sędzia zadecydował, że należy chłopców wysłać do stanowej szkoły technicznej, do której i tak niejedni rodzice oddawali syna, choćby tylko po to, by mu zapewnić wikt i przyzwoity dach nad głową; to wcale nie było równoznaczne z więzieniem i nie przynosiło żadnej ujmy. Pan Radley jednak uważał, że to przynosi ujmę. Zobowiązał się, że jeśli sędzia zwolni Arthura, on sam dopilnuje, żeby Arthur nie sprawiał już żadnych kłopotów. Wiedząc, że słowo pana Radleya wystarczy za kaucję, sędzia chętnie się zgodził. Tamci chłopcy ukończyli szkołę techniczną i tym samym otrzymali najlepsze wykształcenie średnie, jakie można było wtedy otrzymać w stanie Alabama; jeden z nich później odbył nawet studia na politechnice w Auburn. Natomiast drzwi Radleyów były zamknięte zarówno w dni powszednie,

jak w niedzielę, i tego syna pana Radleya nie widział odtąd nikt przez lat piętnaście.

A przecież nadszedł dzień, i to już za pamięci Jema, gdy Dzik Radley dał się słyszeć i widzieć kilku osobom, chociaż co prawda nie Jemowi. Jem powiedział, że Atticus nigdy nie lubił dużo mówić o Radleyach i nieraz upominał Jema, żeby interesował się własnymi sprawami, a sprawy Radleyów pozostawił Radleyom, bo tylko oni mają do tego prawo; ale gdy stała się ta rzecz - opowiadał Jem - Atticus potrząsnął głową i powiedział: „mm, mm, mm”.

Toteż większość wiadomości Jem uzyskał od panny Stephanie Crawford, miasteczkowej plotkary, która powiedziała, że oczywiście zna tę całą historię. Arthur, jak mówiła, siedział w bawialni i wycinał artykuły z „Trybuny Maycomb”, żeby je wkleić do swego albumu. Pan Radley wszedł do bawialni. Gdy przechodził obok syna, Arthur wbił mu w nogę nożyczki, wyciągnął je i wytarł o spódnie, po czym znów zajął się wycinankami.

Pani Radley wybiegła na ulicę z krzykiem, że Arthur ich wszystkich pozabija, ale gdy przybył szeryf, Dzik nadal siedział w bawialni i ciął „Trybunę”. Miał wtedy trzydzieści cztery lata.

Panna Stephanie opowiadała, że stary pan Radley, gdy mu zasugerowano, że może Arthurowi dobrze by zrobił pobyt w Tuscaloosa, oświadczył, że żaden Radley do żadnego szpitala wariatów nie pójdzie. Arthur nie jest pomyłony, jest tylko czasem podenerwowany. Można go zamknąć - ustąpił pan Radley, nalegając jednak, by Arthura nie stawiano przed sądem, bo to nie zbrodniarz. Szeryf nie miał serca wsadzić syna pana Radleya do więzienia razem z Murzynami, więc zamknięto Arthura w suterenie sądu.

Dzień jego powrotu z tej sutereny do domu Jem przypominał sobie jak przez mgłę. Panna Stephanie Crawford opowiadała, że ktoś z Rady Miejskiej powiedział panu Radleyowi, że jeśli nie odbierze Arthura, to jego syn zapleśnieje w tej suterenie na śmierć z wilgoci. Poza tym Arthur nie może wiecznie żyć ze szczodrości hrabstwa.

Nie wiadomo, jaką formę zastraszania stosował pan Radley, żeby Dzik nie pokazywał się nikomu, ale Jem przypuszczał, że najprawdopodobniej całymi dniami trzyma się go przykutego łańcuchem do łóżka. Atticus powiedział, że nie, wcale tak nie jest, i że bywają różne sposoby zamieniania ludzi w duchy.

Odnajduję w pamięci obraz pani Radley od czasu do czasu otwierającej drzwi frontowe i ze skraju ganku podlewającej kanny. Ale pana Radleya widywaliśmy oboje z Jemem codziennie w drodze do miasta i z miasta. Był chudy, łykowaty, o oczach, których bezbarwność nieomal nie odbijała światła. Miał wydatne kości policzkowe i duże usta z górną wargą wążutką, a dolną pulchną. Panna Stephanie Crawford mawiała: „W swojej ucziwości jest tak prosty, że jedynym dla niego prawem jest Słowo Boże”, i myśmy jej wierzyli, bo pan Radley trzymał się prosto, jakby połknął kij.

Nigdy nie odzywał się do nas. Gdy przechodził, mówiliśmy mu, patrząc w ziemię: „Dzień dobry panu”, ale on tylko kaszlał w odpowiedzi. Starszy jego syn mieszkał w Pensacola; przyjeżdżał do domu co roku na Boże Narodzenie, więc był jednym z tych nielicznych, jakich zdarzało nam się widzieć w furtce ich ogrodu. Odkąd pan Radley odebrał Arthura z sutereny sądu, mówiono w miasteczku, że dom Radleyów to grób.

Pewnego jednak dnia Atticus zapowiedział, że nas obedrze ze skóry, jeśli będziemy hałasować w ogrodzie, i polecił Calpurnii, by to uczyniła w razie jakichkolwiek hałasów podczas

jego nieobecności. Pan Radley umierał.

Nie spieszyło mu się na tamten świat. Drewniane kozły zagradzały jezdnię wzdłuż posesji Radleyów, na chodniku leżała słoma, ruch uliczny kierowano na przecznicę. Doktor Reynolds zostawiał samochód przed naszym domem i do Radleyów szedł pieszo. Przez wiele dni skradaliśmy się z Jemem cichutko po własnym ogrodzie. Aż w końcu zniknęły z jezdni te kozły i zobaczyliśmy z werandy, jak pan Radley odbywa swą ostatnią drogę koło naszego domu.

- I już po nim, po tym największym nikczemniku, w jakiego Pan Bóg tchnął życie - szepnęła Calpurnia i w zadumie splunęła w ogród.

Patrzyliśmy na nią zaskoczeni, bo rzadko kiedy pozwalała sobie na krytykowanie białych.

W okolicy spodziewano się, że teraz gdy pan Radley odszedł, Dziki wyjdzie, wcale to jednak nie nastąpiło; starszy syn wrócił z Pensacola i zajął miejsce pana Radleya. Różnił się od ojca tylko wiekiem. Jem powiedział, że pan Nathan Radley też „kupuje bawełnę”. Ale pan Nathan odzywał się do nas, gdyśmy mówili mu „dzień dobry”, i czasem widywaliśmy, jak wracał do domu z jakimiś czasopismami.

Im więcej opowiadaliśmy Dillowi o Radleyach, tym dokładniej Dill chciał wszystko wiedzieć, tym dłużej stał przytulony do latarni na rogu, tym głębiej się zastanawiał.

- Ciekawe, co on tam robi - mamrotał. - Zdaje mi się, że wysunął głowę zza drzwi.

Jem poinformował:

- On wychodzi, owszem, ale kiedy jest ciemniusieńko. Panna Stephanie Crawford opowiadała, że raz zbudziła się w środku nocy i patrzy, a on idzie prosto na nią przez okno... Opowiadała, że zamiast głowy miał trupa czaszkę z wyszczerzonymi zębami... Tyś nigdy nie budził się w głuchą noc i go nie słyszał, Dill? On tak suuunie... - Jem przejechał się po żwirze alejki jak po lodzie. - Myślisz, że dlatego panna Rachel zamyka dom wieczorem na wszystkie spusty? Widziałem wiele razy jego ślady w naszym ogrodzie rano, a raz w nocy nawet słyszałem, jak on drapie w drzwi z siatką, tylko że kiedy Atticus tam poszedł, jego już nie było.

- Ciekawe, jaki on jest - mamrotał Dill.

Jem z pewnym umiarem podał rysopis Dzikiego Radleya: sześć i pół stopy wzrostu, jak wynika ze śladów. Dziki zjada na surowo wszystkie wiewiórki i koty, które udaje mu się złapać, dlatego ma takie zakrwawione ręce... no, bo jeżeli się je surowe zwierzęta, trudno potem domycić tę krew. Na twarzy Dziki ma długą poszarpaną bliznę, zębów ma tylko resztki, żółte i spróchniałe, oczy wylupiaste i wciąży się ślini.

- To spróbujmy coś zrobić, żeby wyszedł - powiedział Dill. - Strasznie bym chciał go zobaczyć.

Jem powiedział, że skoro Dill tak bardzo szuka śmierci, niech tam pójdzie i zastuka do drzwi frontowych.

Nasz pierwszy nalot doszedł do skutku tylko dlatego, że Dill stawiając *Szarego Upiora* za dwóch *Tomów Swiftów* założył się z Jemem, że ten nie przejdzie przez furtkę Radleyów. W życiu swoim Jem jeszcze nigdy nie odrzucił wyzwania.

Teraz myślał o tym przez trzy dni. Przypuszczam, że honor był mu droższy niż głowa, gdyż Dill złamał go z łatwością.

- Masz stracha - powiedział Dill pierwszego dnia.

- Nie stracha, tylko szacunek dla starszych - sprostował Jem.

Na drugi dzień Dill powiedział:

- Tak się boisz, że nawet dużego palca jednej nogi tam nie wsuniesz.

Jem odrzekł, że przeciwnie, wcale się nie boi: do szkoły i ze szkoły chodzi codziennie obok posesji Radleyów.

- Zawsze biegiem - uzupełniłam.

Ale na trzeci dzień Dill już go miał, ledwie powiedział, że ludzie w Meridian na pewno tak się nie trzęsą ze strachu jak ludzie w Maycomb i że w ogóle to on nigdzie nie widział takich tchórzów jak ludzie w Maycomb.

To wystarczyło, żeby Jem pomaszerował do rogu, gdzie zatrzymał się jednak i oparty o słup latarni utkwiał wzrok w furtce krzywo zwisającej na domowej roboty zawiasach.

- Mam nadzieję, że dotarło do twojej mózgowicy, że on zabije nas wszystkich -- oświadczył, gdyśmy stanęli przy nim.

- Tylko nie miej pretensji do mnie, kiedy on ci wylupi oczy. Sam zacząłeś, pamiętaj.

- Ciągle jeszcze ma stracha - wymamrotał anielsko cierpliwie Dill.

Jem zażądał, żeby Dill pojął raz na zawsze, że on, Jem, nie odczuwa strachu przed niczym.

- Tylko nie bardzo wiem, jak to zrobić, żeby on wyszedł, ale nas nie złapał - wyjaśnił i dodał, że poza tym musi przecież myśleć o swojej małej siostrzyczce.

Słyszając to, nabrałam pewności, że Jem się boi. Ostatnio musiał myśleć o swojej małej siostrzyczce, gdy zażądałam, żeby skoczył z dachu. „Jeżeli się zabiję, co z tobą będzie?” - zapytał. Potem skoczył, wylądował bez szwanku i poczucie odpowiedzialności za siostrzyczkę opuściło go, by powrócić dopiero teraz przy sprawie Radleyów.

- Więc się wycofujesz? - zapytał Dill. - Jeżeli tak, no to...

- Dill, trzeba myśleć o takich rzeczach - powiedział Jem.

- Daj mi się chwilę skupić... to coś tak jak z żółwiem, kiedy się chce, żeby on się wysunął z...

- Jak to się robi? - zapytał Dill.

- Zapala się pod nim zapalną.

Poczułam się w obowiązku uprzedzić, że jeśli Jem podpali dom Radleyów, poskarżę Atticusowi.

Dill uznał, że zapalanie zapalną pod żółwiem to ohyda.

- Nie ohyda, tylko sposób. Przecież to nie to samo, co wrzucić go w ogień - warknął Jem.

- Skąd wiesz, że zapalną go nie zaboli?

- Żółwie nie czują, ty baranie - powiedział Jem.

- Byłeś kiedyś żółwiem, co?

- Na Jowisza, Dill. Daj mi się skupić... Można by go też zahuścić...

Jem stał pogrążony w myślach, dopóki Dill nie zmiękł trochę.

- Już nie powiem, że się wycofujesz i wymienię z tobą *Szarego Upióra*, tylko idź tam i zaklepuj dom.

Jem się rozpromienił.

- Zaklepuj i nic więcej?

Dill przytaknął.

- Na pewno nic? Żebyś mi zaraz nie wymyślił czegoś nowego, kiedy wrócę.

- Nic więcej - zapewnił Dill. - Bo prawdopodobnie on wypadnie za tobą, jak cię zobaczy w swoim ogrodzie, a wtedy ja ze Smykiem go dopadniemy i będziemy trzymać tak długo, aż zrozumie, że nie chcemy mu zrobić żadnej krzywdy.

Z rogu przeszliśmy na drugą stronę bocznej uliczki biegnącej przed domem Radleyów i stanęliśmy przy ich furtce.

- No, idź - powiedział Dill. - Smyk i ja jesteśmy blisko.

- Nie widzisz, że idę - obruszył się Jem. - Nie popędzaj mnie.

Przeszedł do końca płotu i z powrotem do furki, marszcząc czoło, drapiąc się po głowie, badając ten najzwyklejszy w świecie teren, jak gdyby się zastanawiał, którądy najlepiej tam wejść.

Wtedy zaczęłam z niego szydzić.

Gwałtownie otworzył furtkę, pomknął do bocznej ściany domu, klepnął ją dłonią i zawrócił; śmignął koło nas i nawet się nie obejrzał, czy jego wyczyn odniósł jakiś skutek. Dill i ja deptaliśmy mu po piętach. Zdyszani, bez tchu wbiegliśmy szczęśliwie na naszą werandę i dopiero wtedy się obejrzelśmy.

Stary dom stał tak samo jak przedtem, chylący się i zmurszały, ale patrząc tam, doznaliśmy wrażenia, że w jednym z okien wewnętrzna okiennica się porusza. Mignięcie. Przelotny, prawie niewidoczny ruch i dom znowu był martwy.

2

Dill opuścił nas na początku września, bo musiał wracać do Meridian. Odprowadziliśmy go do autobusu o piątej i czułam się bez niego bardzo nieszczęśliwa, dopóki sobie nie przypomniałam, że już za tydzień zacznę chodzić do szkoły. Nigdy na nic nie czekałam z większą niecierpliwością. W zimie godzinami przesiadywałam w naszym „podniebnym” domku, wyglądając zza gałęzi na boisko szkoły; przez dość lichego teleskop, który dał mi Jem, śledziłam gromady dzieci, uczyłam się ich zabaw, doganiałam wzrokiem czerwoną kurtkę Jema wśród wijących się kręgów ciuciubabki; chociaż te dzieci o tym nie wiedziały, martwiłam się ich małymi nieszczęściami, cieszyłam się z ich niewielkich zwycięstw. Pragnęłam jak najszybciej być z nimi.

W pierwszy dzień szkoły Jem zgodził się łaskawie mnie tam zaprowadzić, co zwykle bywa zadaniem matki albo ojca, Atticus jednak powiedział, że Jemowi ogromną przyjemność sprawi pokazanie mi, gdzie jest moja klasa. Myślę, że była to transakcja, przy której przeszło z rąk do rąk trochę pieniędzy, bo zdążając z Jemem za róg koło posesji Radleyów, usłyszałam niecodzienny brzęk w jego kieszeni. Gdyśmy zwolnili kroku już na skraju szkolnego boiska, Jem starannie zaczął mi tłumaczyć, że w szkole mam nie zawracać mu głowy. Nie podchodzić do niego z błaganiami, żeby ze mną odegrał ten czy tamten rozdział *Tarzana i Ludzi-Mrówek*, nie kompromitować go żadnymi wzmiankami o jego życiu prywatnym, nie włączyć się za nim ani w czasie małych przerw, ani w czasie dużej w południe. Mam się trzymać z pierwszą klasą tak, jak on będzie się trzymał z piątą. Krótko mówiąc, mam dać mu spokój.

- To znaczy, że już nie możemy się bawić? - zapytałam.

- W domu owszem, będziemy jak zawsze... ale sama zobaczysz, szkoła to co innego.

Istotnie, co innego. Zanim ten pierwszy poranek się skończył, panna Caroline Fisher, nauczycielka, wyciągnęła mnie na katedrę, poklepała linijką po dłoni i kazała mi stać w kącie aż do południa.

Panna Caroline liczyła sobie lat nie więcej niż dwadzieścia jeden. Miała lśniące kasztanowate włosy, różowe policzki i karmazynowy lakier na paznokciach. Miała też pantofle bez pięt na wysokich obcasach i sukienkę w biało-czerwone paski. Wyglądała i pachniała jak cukierek miętowy. Przyjechała do Maycomb niedawno i zamieszkała na naszej ulicy prawie naprzeciw nas u pani Maudie Atkinson na górze od frontu; Jem, gdy pani Maudie nam ją przedstawiła, chodził przez parę dni jak zamroczony.

Panna Caroline drukowanymi literami wypisała swoje imię i nazwisko na tablicy i objaśniła:

- Tu jest napisane, że ja jestem panna Caroline Fisher. Pochodzę z hrabstwa Winston na północy stanu Alabama.

W klasie rozległ się szmer zaniepokojenia, czy przypadkiem się nie okaże, że ona też przejęła jakąś część dziwactw, z których ten rejon jest powszechnie znany. (Gdy stan Alabama w dniu 11 stycznia tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku wystąpił z Unii, hrabstwo Winston wystąpiło ze stanu Alabama, o czym wiedziało każde dziecko w Maycomb.) Wiadomo, że na północy Alabama roi się od gorzelń, wielkich traktorów, koncernów stalowych, republikanów, profesorów i osobników bez żadnej tradycji.

Panna Caroline rozpoczęła dzień przeczytaniem nam powiastki o kotach. Koty wiodły ze sobą długie rozmowy, chodziły w ładnych ubrankach i mieszkały w ciepłym domku pod piecem kuchennym. W czasie gdy pani Kotka telefonowała do sklepu, żeby przysłano myszki z czekolady, w klasie kotłowało się jak w wiadrze pełnym robaków. Panna Caroline chyba nie zdawała sobie sprawy, że te dzieci z pierwszej klasy - przeważnie przyrodziane w wystrzępione koszuliny z drelichu bądź workowego płótna, przeważnie znające się na obłukiwaniu bawełny i karmieniu wieprzów, odkąd przestały raczkować - są uodpornione na literaturę fantastyczną. Doczytała powiastkę do końca i wyraziła swój zachwyt.

- Jej, jej. Prawda, że to śliczne?

Potem podeszła do tablicy, wypisała bardzo wyraźnie wielkie drukowane litery alfabetu i zapytała:

- Wie kto z was, co to jest?

Wszyscy wiedzieli, w której części ta pierwsza klasa składała się z dzieci, które nie przeszły do drugiej.

Panna Caroline wybrała mnie - pewnie dlatego, że znała moje nazwisko: odczytując alfabet zobaczyłam, jak między jej brwiami ukazuje się niska zmarszczka, ale kazała mi jeszcze przeczytać prawie cały elementarz, a potem notowania giełdowe z „Kroniki Codziennej Mobile”, zanim odkryła, że nie jestem analfabatką; wtedy spojrzała na mnie z czymś więcej niż lekki niesmak. Powiedziała, że mam powtórzyć ojcu, żeby mnie już nie uczył, bo to przeszkadza w nauce czytania.

- Żeby mnie już nie uczył? - zdziwiłam się. - On mnie niczego nie uczył, panno Caroline.

Atticus nie ma czasu mnie uczyć - dodałam, gdy panna Caroline z uśmiechem potrząsnęła głową. - No, wieczorem jest taki zmęczony, że tylko siedzi w gabinecie i czyta.

- Jeżeli nie ojciec cię uczył, to kto? - zapytała panna Caroline dobrodusznie. - Ktoś przecież musiał. Nie urodziłaś się, czytając „Kronikę Codzienną Mobile”.

- Jem mówi, że się urodziłam. Czytał o mnie w jednej książce, gdzie się nazywałam Bullfinch, a nie Finch. Jem mówi, że tak naprawdę to się nazywam Jean Louise Bullfinch i że mnie zamienili zaraz po urodzeniu, a ja naprawdę jestem...

Panna Caroline widocznie uznała, że zmyślam.

- Nie puszczajmy wodzy fantazji, moja droga - upomniała. - Powiesz teraz ojcu, żeby cię już nie uczył. Naukę czytania najlepiej zaczynać z umysłem zupełnie świeżym. Więc mu powiesz, że odąd ja się tym zajmę i będę próbowała naprawić tę szkodę...

- Co, proszę pani?

- Twój ojciec nie wie, jak trzeba uczyć. Możesz usiąść.

Bąknęłam „przepraszam” i wycofałam się, dumając o swym przestępstwie. Chociaż nigdy z rozmysłem nie uczyłam się czytać, jakimś cudem mogłam upajać się tym, co drukowała prasa codzienna. W ciągu długich godzin w kościele - czy to wtedy się nauczyłam? Zawsze jednak, jak daleko sięgałam pamięcią wstecz, potrafiłam czytać hymny ze śpiewnika. Czytanie, gdy teraz stanęłam przed tym problemem, objawiło się jako umiejętność nabyta sama przez się, podobnie jak to, że umiałam zapinać klapę kombinezonu bez oglądania się do tyłu bądź zawiązywać sznurowadła na podwójną kokardkę. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy linijki druku nad przesuwającym się palcem Atticusa rozdzieliły się w słowa, ale w druk się wpatrywałam co wieczór od niepamiętnych dla mnie czasów, słuchając wiadomości dnia, projektów ustaw, pamiętników Lorenza Dowa - wszystkiego, cokolwiek Atticus czytał, gdy po kolacji włożyłam mu na kolana. I właściwie aż do teraz, do chwili, w której ogarnął mnie lęk, że utracę możliwość czytania, nigdy zbytnio czytać nie lubiłam. Bo czyż się lubi oddychać?

Wiedziałam, że sprawiłam pannie Caroline przykrość, więc żeby już jej nie przeszkadzać, wyglądałam przez okno, dopóki nie zabrzmiał dzwonek; podczas przerwy na boisku odciągnął mnie od stadka pierwszoklasistów Jem. Zapytał, jak mi idzie. Zdałam mu relację.

- Gdyby nie to, że musiałam zostać, to bym sobie poszła. Jem, ta piekielna pani mówi, że Atticus uczył mnie czytać i żeby przestał...

- Nie przejmuj się, Smyk - pocieszył mnie Jem. - Nasza pani nauczycielka mówi, że panna Caroline wprowadza nowy sposób nauczania. Uczyli ją tego w seminarium. To ma być lada moment we wszystkich klasach. Nie trzeba dużo wkuwać z podręczników przy tym sposobie... Coś tak, jak się szło wydoić krowę, zamiast się uczyć w ogóle o krowach, rozumiesz?

- Tak, Jem, ale ja nie chcę się uczyć o krowach. Ja...

- Jak to nie chcesz? Musisz się znać na krowach, bo krowy stanowią większą część życia w hrabstwie Maycomb.

Poprzestałam na zapytaniu Jema, czy on ma wszystkie klepki w porządku.

- Ja ci tylko próbuję wytłumaczyć, na czym polega ten nowy sposób nauczania, ty zakuta pała. To się nazywa System Dziesiąty Deweya.

Ponieważ nigdy nie roztrząsałam wypowiedzi Jema, nie wiedziałam, dlaczego miałabym

robić to teraz. System Dziesiątą Deweya polegał między innymi na tym, że panna Caroline wymachiwała do nas tekturkami, na których były wydrukowane napisy KOT, LIS, OSA, LAS i TY. Wyraźnie nie oczekiwała od nas żadnych uwag, więc klasa przyjmowała te impresjonistyczne objawienia w ciszy. Z nudów zabrałam się do pisania listu do Dilla. Panna Caroline przytępała mnie na tym i kazała powiedzieć ojcu, żeby mnie już nie uczył pisać.

- Poza tym - dodała - my w pierwszej klasie uczymy się tylko drukowanych literek. Pisać będziesz dopiero w trzeciej klasie.

To już była wina Calpurnii. Przypuszczam, że wynalazła mi to zajęcie, żeby jej nie doprowadzała do szału w dni deszczowe. Zadawała mi lekcję, gryzmołąc zawzięcie alfabet na okładce bloku, a potem przepisując któryś ustęp z Biblii. Jeśli odtwarzałam jej kaligrafię zadowolająco, wynagradzała mnie kromką chleba z masłem i cukrem. Calpurnia w roli nauczycielki nie bawiła się w sentymenty; nieczęsto zdarzało mi się jej dogodzić, toteż nieczęsto mnie wynagradzała.

- Kto idzie na drugie śniadanie do domu, proszę podnieść rękę - przerwała panna Caroline moją zadumę pełną żalu, tym razem do Calpurnii.

Dzieci z miasteczka podniosły ręce.

- A teraz wszyscy, którzy przynieśli drugie śniadanie, niech je położą na swoich pulpitych.

Znikąd pojawiły się wiaderka z melasą i sufit zagrał ich metalicznym odbłaskiem. Panna Caroline ruszyła wzdłuż rzędów ławek zaglądając, a nawet wtykając nos w puszki, wiaderka i koszyczki, kiwając głową, gdy jej się spodobała ich zawartość, marszcząc lekko brwi na widok innych. Tak podeszła do Waltera Cunninghama.

- Agdzie twoje? - zapytała.

Twarz Waltera Cunninghama mówiła wszystkim w pierwszej klasie, że on ma robaki. Brak bucików na jego nogach zdradzał nam, skąd te robaki się w nim wzięły. Bo ludzie dostają robaków od chodzenia po chlewach i stodołach boso. Gdyby Walter posiadał jakieś buciki, włożyłby je na pewno w pierwszy dzień szkoły, chociaż potem by je odstawił aż do połowy zimy. Był jednak w czystej koszuli i w porządnie wycerowanym kombinezonie.

- Zapomniałeś dzisiaj wziąć śniadanie? - zapytała panna Caroline.

Walter patrzył prosto przed siebie. Zobaczyłam, jak mięsień mu drga w chudej szczęce.

- Zapomniałeś dzisiaj? - powtórzyła panna Caroline.

Walterowi znów zadrgała szczęka.

- Tak, psz...ni - bąknął w końcu.

Panna Caroline podeszła do swego biurka, sięgnęła po torebkę i otworzyła ją.

- Masz tu ćwierć dolara - powiedziała do Waltera. - Kup sobie coś do jedzenia w mieście.

Zwrócić mi możesz jutro.

Walter potrząsnął głową.

- Nie, psz...ni, dziękuję, psz...ni - wymamrotał.

W głosie panny Caroline zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

- Przyjdź tu, Walter, i weź te pieniądze.

Walter znów potrząsnął głową.

Gdy zrobił to po raz trzeci, ktoś szepnął:

- No, ty jej powiedz, Smyk.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że patrzy na mnie większość miasteczkowych dzieci i pełny skład dojeżdżającej autobusem reprezentacji wsi. Ja byłam tą, która konferowała z panną Caroline już dwukrotnie, więc patrzyły na mnie z ufnością maluczkich, przekonane, że tak bliska znajomość rodzi zrozumienie. Miłosiernie wystąpiłam jako rzecznik Waltera.

- Ach!... Panno Caroline?

- O co chodzi, Jean Louise?

- Bo, panno Caroline, on jest Cunningham.

Usiadłam z powrotem.

- Co takiego, Jean Louise?

Zdawało mi się, że postawiłam sprawę dostatecznie jasno. Bo to było jasne dla nas wszystkich: Walter siedzi tutaj, nie wiedząc, jak się wykręcić. Wcale nie zapomniał śniadania, tylko po prostu go nie miał. Nie miał dziś tak samo, jak nie będzie miał jutro i pojutrze. Prawdopodobnie w życiu swoim dotychczas nie widział trzech ćwierćdolarówek naraz.

Spróbowałam jeszcze:

- Walter jest jak każdy inny Cunningham.

- Nie rozumiem cię, Jean Louise.

- Nie szkodzi, proszę pani. Niedługo pani pozna wszystkich w naszym hrabstwie. Cunninghamowie nigdy nie wzięli niczego, za co nie mogą zapłacić... żadnych koszy z prezentami od kościoła ani papierków na zapomogę. Nigdy nie wzięli nic od nikogo i obywają się tym, co mają. Dużo nie mają, ale się obywają.

Swą szczególną wiedzę o szczepie Cunninghamów - to znaczy o jednej jego gałęzi - zaczerpnęłam z wydarzeń poprzedniej zimy. Ojciec Waltera był klientem Atticusa. Po bardzo ponurej rozmowie o kłopotach w związku z majoratem, która pewnego wieczora odbyła się u nas w gabinecie, pan Cunningham odchodząc, powiedział:

- Panie mecenasie, ale ja nie wiem, czy będę mógł kiedykolwiek panu zapłacić.

- Już o to, Walter, niech cię głowa nie boli - rzekł Atticus.

Gdy zapytałam Jema, co to jest majorat, i Jem powiedział, że to są jakieś majowe raty, których niepłacenie przechodzi z ojca na najstarszego syna, zaczęłam się martwić, że pan Cunningham nigdy nam nie zapłaci.

- Pieniężmi nie - powiedział Atticus. - Ale dostanę honorarium jeszcze w tym roku. Uważajcie.

Uważaliśmy. Kiedyś rano znaleźliśmy stertę drzewa na opał w ogrodzie za domem. Później na schodkach werandy pojawił się worek orzechów hikorowych. Przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy skrzynkę sarsaparilli i ostrokrzewu. Aż wiosną, gdyśmy znaleźli zgrzebny wór pełen rzepy, Atticus powiedział, że pan Cunningham już zapłacił za dużo.

- Tylko dlaczego on płaci w taki sposób? - zapytałam.

- Inaczej nie może. On nie ma pieniędzy.

- Czy my jesteśmy biedni, Atticus?

Atticus przytaknął.

- W gruncie rzeczy jesteśmy.

Jemowi nos się zmarszczył.

- Czy tacy biedni jak Cunninghamowie?

- Niezupełnie. Cunninghamowie to wieśniacy, farmerzy, którym ten kryzys najbardziej daje się we znaki.

Atticus wyjaśnił nam, że wolne zawody nie są teraz popłatne, bo farmerzy nie mają pieniędzy. W hrabstwie Maycomb, okręgu zdecydowanie rolniczym, ciężko ludziom przychodzi pięcio- i dziesięciocentówki na lekarza, dentystę czy adwokata. Majorat to tylko część udręki pana Cunninghama. Akry nie zmajoryzowane są oddane co do jednego pod zastaw hipoteczny i ta odrobina gotówki, którą pan Cunningham z nich wyciąga, ledwie wystarcza na spłacenie procentów. Gdyby on tak nie psioczył, mógłby dostać pracę przez Urząd Zatrudnienia, wtedy jednak musiałby zaniedbać ziemię, która by się zmarnowała, więc on woli chodzić głodny, byleby ziemię utrzymać i głosować, jak mu się podoba. - Pan Cunningham - powiedział Atticus - jest z tych, którzy wiedzą, czego chcą. Nie mając pieniędzy na honorarium dla adwokata, Cunninghamowie płacą nam po prostu tym, co mają.

- Czy wiecie - zapytał Atticus - że doktor Reynolds pracuje na tej właśnie zasadzie. Liczy niektórym ludziom korzec kartofli za odebranie dziecka... hm... Panno Smyk, jeżeli zechce mnie pani posłuchać uważnie, wytłumaczę, co to jest majorat. Określenia Jema są czasem niezupełnie ściśle.

Gdybym potrafiła pannie Caroline wyjaśnić te sprawy, zaoszczędziłabym sobie pewnej niewygody, a jej wynikłego stąd upokorzenia, niestety nie potrafiłam wyjaśnić tego tak dobrze, jak Atticus, więc powiedziałam tylko:

- Pani mu robi wstyd przy ludziach, panno Caroline. Walter nie ma w domu ćwierć dolara, żeby pani zwrócić, a drzewo na opał pani niepotrzebne.

Panna Caroline najpierw skamieniała, potem chwyciła mnie za kołnierzyk i pociągnęła na katedrę.

- Jean Louise, chyba już mam ciebie dzisiaj dosyć - oświadczyła. - Ie zaczynasz pod każdym względem, moja droga. Wyciągnij rękę.

Myślałam, że ona mi napluje w dłoń, bo tylko po to wyciąga się rękę w Maycomb; jest to uświęcony starą tradycją sposób przypieczętowywania umów ustnych. Nie wiedząc, jakiego dobiłyśmy targu, odwróciłam się pytająco do klasy, ale klasa patrzyła na mnie równie zaintrygowana. Panna Caroline podniosła linijkę, wyliczyła mi na rękę sześć szybciotkich klapsików, po czym postawiła mnie do kąta. Wreszcie wszyscy pojęli, że panna Caroline mnie zbiła, i w klasie zerwał się huragan śmiechu.

Panna Caroline zagroziła, że podobny los może spotkać każdego, na co pierwszoklasiści znów ryknęli z uciechy, milknąc dopiero wtedy, gdy padł na nich cień panny Blount. Panna Blount, rdzenna obywatelka Maycomb, dotychczas nie wtajemniczona w zawilóści Systemu Dziesiątego, stanęła w drzwiach, wzięła się pod boki i oznajmiła:

- Jeszcze jeden pisk usłyszę z tej klasy, a wszystkich w niej podpale. Panno Caroline, szósta klasa nie może się skupić nad piramidami, bo taki tutaj rejwach.

Mój pobyt w kącie nie trwał długo. Zbawienny dzwonek pozwolił pannie Caroline wyprawić nas na drugie śniadanie. Wyszłam ostatnia, więc widziałam, jak ona osuwa się na krzesło z

twarzą ukrytą w dłoniach. Gdyby okazała mi większą życzliwość, zrobiłoby mi się jej żal. Była taka ładniutka.

3

Dopadłam Waltera Cunninghama na boisku i nawet sprawiło mi to pewną przyjemność, ale gdy mu wycierałam nos o ziemię, przyszedł Jem i kazał mi przestać.

- Jesteś większa od niego - powiedział.

- On ma prawie tyle lat, co ty - zaprotestowałam. - Przez niego źle zaczęłam.

- Puść go, Smyk.

- Nie miał śniadania. - Opowiedziałam Jemowi o skutkach swojej interwencji w sprawach aprowizacyjnych Waltera.

Walter już poderwał się z ziemi i stał teraz w milczeniu, przysłuchując się naszej rozmowie. Pięści nastawił, jak gdyby oczekiwał ataku ze strony nas obojga. Tupnęłam nogą, żeby go odpędzić, ale Jem powstrzymał mnie gestem. Przyjrzał się Walterowi z bardzo mądrą miną.

- Twój tatuś to pan Walter Cunningham z Old Sarum? - zapytał.

Walter przytaknął. Wyglądał tak, jakby go od urodzenia karmiono wyłącznie rybami odpadami. Oczy, niebieskie jak oczy Dilla, miał zaczerwienione i zażawione. Był blady, sam tylko czubek nosa różowił mu się, zawsze wilgotny. Patrząc na nas, przebierał palcami rzemyki kombinezonu i skubał nerwowo metalowe sprzączki.

Jem nagle uśmiechnął się do niego.

- Chodź do nas na obiad, Walter - powiedział. - Będzie nam szalenie miło.

Walter się rozpromienił, a potem zaraz nachmurzył.

Jem uzupełnił zaproszenie:

- Nasz tatuś zna twojego tatusia. Smyk, ta tutaj... ona ma kręćka, ale już nie będzie biła się z tobą.

- Nie, na pewno - uprzedziłam.

Swoboda, z jaką Jem mnie podsumował, dosyć mnie zirytowała, cóż kiedy cenne minuty dużej przerwy uciekały jedna za drugą. - Dobrze, Walter, już ci nic nie zrobię. Lubisz fasolkę? Nasza Cal naprawdę pysznie gotuje.

Walter stał, nie ruszając się z miejsca, przygryzając usta. Zostawiliśmy go ostatecznie, ale jeszcze nie doszliśmy do posesji Radleyów, gdy zawołał:

- Hej, ja idę!

Dogonił nas i Jem zagaił miłą, towarzyską rozmowę.

- Upiór tu mieszka - rzekł wylewnie, wskazując dom Radleyów. - Słyszałeś o nim, Walter?

- No chyba - odpowiedział Walter. - Prawie trupem padłem pierwszego roku, jak przyszedłem do szkoły i do tych tam drzew... Mówią, że on je pozatruwał i umyślnie je przechylił na szkolną stronę.

Przy Walterze i przy mnie Jem jakoś nie bardzo bał się Dzikiego Radleya. Mało tego, pycha zaczęła go rozpierać.

- Raz to podszedłem aż do tego domu - pochwalił się Walterowi.

- Kto raz podszedł do tego domu, nie powinien za każdym razem pędzić koło tego domu pełnym galopem - zwróciłam uwagę obłokom w górze.

- Kto pędzi, panno Fe!-Wszystko- le!?

- Ty, kiedy nikt z tobą nie idzie.

Zanim doszliśmy do naszej werandy, Walter już zapomniał, że jest Cunninghamem. Jem pobiegł do kuchni i poprosił Calpurnię, żeby dołożyła jeszcze jedno nakrycie, bo mamy gości. Atticus przywitał się z Walterem i wszczął z nim niezrozumiałą dla Jema i dla mnie dyskusję o zbiorach.

- Bo ja to nie mogę przejść z pierwszej do drugiej, proszę pana, bo zawsze na wiosnę muszę zostawać w domu i pomagać tacie przy obłukiwaniu, ale teraz już jest drugi w domu, dosyć silny do roboty w polu.

- Zapłaciłeś mi za to kartoflami? - zapytałam, ale Atticus potrząsnął głową, żebym dała spokój.

Ku zdumieniu Jema i mojemu Walter zajęty nakładaniem sobie kopiastych porcji na talerz rozmawiał z Atticusem jak dorośli. W pewnej chwili jednak przerwał Atticusowi wywody o trudnościach w rolnictwie pytaniem, czy u nas w ogóle nie ma melasy. Atticus wezwał Calpurnię, która po chwili wróciła z dzbanem syropu. Stała i czekała, dopóki Walter się nie uraczy. Walter szczerą ręką zalał syropem mięso i jarzyny. Chlusnęły nim też i do szklanki z mlekiem, gdybym nie zapytała, co on, do kroćset piorunów, wyprawia.

Odstawił dzbanek tak gwałtownie, że aż srebrna podstawka zadzwoniła, i opuścił ręce na kolana. Przygarbił się.

Atticus patrząc na mnie, znów potrząsnął głową.

- Wziął i utopił cały swój obiad w syropie - zaprotestowałam. - Polał wszystko...

Właśnie wtedy Calpurnia poprosiła mnie do kuchni.

Była wściekła, a gdy była wściekła, z gramatyką jej działy się dziwne rzeczy. W normalnym spokoju ducha mówiła nie gorzej niż wszyscy inni w Maycomb. Atticus twierdził, że Calpurnia ma gruntowniejsze wykształcenie niż większość kolorowych.

Stała nade mną, zezując oczami przymrużonymi w siatce drobniutkich zmarszczek, bardzo w tej chwili wyraźnych.

- Są tacy, co jedzą nie jak my - zasyczała. - Ale ty nie masz wydziwiać przy stole, kiedy oni chcą po swojemu. Ten chłopczyzna to twój gość i nawet jak chce jeść obrus, masz mu pozwolić, słyszysz?

- To nie gość, Cal, to tylko Cunninham...

- Cicho masz być! Wszystko jedno kto, ale jak przestąpi próg tego domu, to jest gość i niech ja cię więcej nie przyłapię na fanaberyjach, jakbyś ty była Bóg wie co! Wy może jesteście coś lepszego niż Cunninghamy, ale to się już nie liczy, jak ty nimi tak pomiatasz... Tacy, co nie umią się zachować, żeby jeść przy stole ze wszystkimi, niech siedzą i jedzą w kuchni.

Ze zjadliwym cmoknięciem Calpurnia wypchnęła mnie za drzwi wahadłowe do jadalni. Zabrałam ze stołu swój talerz i dokończyłam obiad w kuchni. Bogu jednak dziękowałam, że ominęło mnie poniżenie, jakim byłby powrót do stołu. Calpurnii powiedziałam, że jeszcze ją

urządę: kiedyś, kiedy nie będzie patrzyła, pójdę się utopić w Piekarskiej Topieli i wtedy zobaczy, jak jej będzie przykro. Zresztą, dorzuciłam, już raz dzisiaj miałam przez nią wielki kłopot, bo to ona nauczyła mnie pisać, więc to tylko jej wina.

- Przestań się indyczyć - powiedziała Calpurnia.

Jem i Walter wrócili do szkoły przede mną; nawet narażając się na samotny galop koło posesji Radleyów, warto było zostać trochę dłużej w domu, żeby poinformować Atticusa o niegodziwości Calpurnii.

- Ona woli Jema niż mnie - powiedziałam na zakończenie i doradziłam Atticusowi, żeby nie tracił czasu, tylko zaraz ją odprawił.

- Czy kiedykolwiek wzięłaś pod uwagę to, że Jem nie dokucza jej tak bardzo jak ty? - Głos Atticusa był twardy. - Nie mam zamiaru pozbywać się jej ani teraz, ani nigdy. Jednego dnia nie przeżylibyśmy bez Cal, czy nie przyszło ci to nigdy do głowy? Pomyśl, ile Cal robi dla ciebie, i licz się z nią, słyszysz?

Wróciłam do szkoły i bezustannie myślałam, ile powodów mam do tego, by nie cierpieć Calpurnii, gdy nagle w moją urazę wdarł się czyjś wrzask. Podniosłam wzrok i zobaczyłam stojącą na środku klasy pannę Caroline z twarzą zastygłą ze zgrozy. Lekcja była w toku, bo duża przerwa najwidoczniej pozwoliła pannie Caroline odrodzić się dostatecznie i pomimo wszystko nie porzucać zawodu nauczycielki.

- Rusza się! - wrzeszczała panna Caroline.

Męska część klasy jak jeden mąż rzuciła się jej na pomoc. „Boże - pomyślałam - ona się boi myszy!” Mały Chuck Little, który odznaczał się niezwykle cierpliwym podejściem do wszystkich żyjących na świecie stworzeń, zapytał łagodnie:

- Gdzie, panno Caroline, gdzie? Prędko, niech nam pani powie. D.C. - zwrócił się do chłopca stojącego za nim - D.C., zamknij drzwi, to ją złapiemy. Prędko, proszę pani, gdzie ona jest?

Panna Caroline rozdygotanym palcem wskazała nie podłogę, nie którąś z ławek, tylko jakiegoś ogromnego, nie znanego mi osobnika. Małemu Chuckowi twarz dziwnie się skurczyła:

- Pani chodzi o niego? - zapytał jeszcze łagodniej. - Tak, proszę pani, rusza się. Czy może panią nastraszył?

- Przechodziłam, kiedy wyszła mu z włosów... po prostu wyszła mu z włosów...

Mały Chuck uśmiechnął się szeroko.

- Wieszka nie taka straszna, proszę pani. Nigdy pani wieszki nie widziała? No, niech się pani już nie boi, niech pani wróci do biurka i jeszcze nas czegoś nauczysz.

Mały Chuck należał w klasie do tych, którzy nie wiedzieli, skąd się weźmie ich następny posiłek, ale był urodzonym gentlemanem. Ujął pannę Caroline pod łokieć i poprowadził ją na katedrę.

- No, niech się pani już nie frasuje - powiedział. - Wieszka nie taka straszna. Przyniosę pani zimnej wody.

Gospodarz wieszki wcale się nie interesował aferą, jaką wywołał. Przeszukał czuprynę nad czołem, umiejscowił swą lokatorkę, po czym zgniótł ją między kciukiem a palcem wskazującym.

Panna Caroline jak urzeczona patrzyła na tę okropną procedurę. Mały Chuck przyniósł wodę w kartonowym kubku; napiła się z wdzięcznością. W końcu odzyskała mowę.

- Jak się nazywasz, synku? - zapytała cicho.

Tamten chłopiec zamrugął.

- Kto? Ja?

Panna Caroline skinęła głową.

- Burris Ewell.

Panna Caroline zaczęła go szukać w dzienniku klasowym.

- Mam tu jednego Ewella, ale bez imienia... Podyktujesz mi swoje imię litera po literze?

- Nie umiem. W domu mi mówią Burris.

- No, Burris - rzekła panna Caroline. - Chyba cię zwolnię na resztę popołudnia. Wrócisz do domu i umyjesz głowę. - Wyciągnęła z szuflady jakieś grube tomisko, przerzuciła kartki i na chwilę umilkła zajęta czytaniem. - Dobry domowy środek... Burris... pójdziesz do domu i umyjesz głowę mydłem ługowym. Potem natrzesz sobie głowę naftą.

- Apo co, psz...ani?

- Żeby się pozbyć tych... hm... weszek. Burris, inne dzieci też mogłyby ich dostać, a tego byś przecież nie chciał, prawda?

Chłopiec wstał. W życiu swoim nie widziałam takiego brudasa. Szyję miał ciemnoszarą, ręce rdzawe i ciężką żalobę za paznokciami. Tylko na twarzy przy oczach miał nie większy od pięści czysty kawałek skóry, jak okienko, z którego zerkał na pannę Caroline. Nikt mu się przedtem nie przyglądał - pewnie dlatego, że my we dwie z panną Caroline zabawiałyśmy klasę przez prawie cały poranek.

- I, Burris - powiedziała panna Caroline - bardzo proszę, wykap się, zanim tu przyjdiesz jutro.

Chłopiec roześmiał się niegrzecznie.

- Pani mi każe iść do domu. Sam już chciałem iść. Na ten rok swoje odrobiłem.

Teraz panna Caroline wyglądała tak, jakby rozwiązywała zagadkę.

- Co to znaczy?

Chłopiec nie odpowiedział. Prychnął tylko krótko z pogardą.

Jeden z klasowych seniorów wyjaśnił:

- On jest Ewell, proszę pani. - Mogło to się okazać równie niefortunne jak moja przedpołudniowa próba. Ale tym razem panna Caroline słuchała z zainteresowaniem. - W szkole dziś pełno Ewellów. Przychodzą co rok pierwszego dnia, a potem już nie. Pani od wagarów sprowadza ich tutaj, bo im grozi szeryfem, ale potem już macha na nich ręką. Uważa, że przepisów dopilnowała, jak oni są na liście i pierwszego dnia przychodzą. Pani ma tylko pisać o nich „nieobecny” już do końca roku...

- Ale co na to ich rodzice? - W głosie panny Caroline zabrzmiała szczerą troską.

- Matki oni nie mają - padła odpowiedź. - A ich tata sam się sprzeciwia szkole.

Burrisowi Ewellowi wyraźnie pochlebilo przedstawienie tych faktów.

- Już trzy lata przychodzę pierwszego dnia - ożywił się. Miarkuję, że jak przez ten rok zmadrzeję, to mnie na przyszły przeniosą do drugiej...

Panna Caroline powiedziała:

- Proszę usiąść z powrotem, Burris.

I ledwie to powiedziała, nabrałam pewności, że popełniła poważny błąd. Łaskawy nastrój chłopca w mgnieniu oka zamienił się w gniew.

- Akurat mnie pani zmusi.

Mały Chuck Little poderwał się z ławki.

- Niech go pani puści - powiedział. - To podlec i chamidło. Jeszcze coś zacznie, a tu jest trochę małych.

Był doprawdy miniaturowy, ale widząc, że Burris Ewell odwraca się do niego, położył prawą rękę na kieszeni.

- Uważaj, Burris - ostrzegł. - Wolałbym cię zabić niż patrzeć na ciebie. Jazda do domu!

Burris, chociaż dwa razy wyższy od tego dzieciaka, miał teraz taką minę, jakby się zląkł, więc panna Caroline wykorzystwała jego wahanie.

- Burris, idź do domu. Jeżeli nie pójdziesz, poproszę tu dyrektora - oświadczyła. - Tak czy owak, będę musiała o tym zameldować.

Chłopiec prychnął i z całym spokojem opieszale ruszył do drzwi. W bezpiecznej odległości odwrócił się i zawołał:

- Melduj sobie i niech cię diabli porwą! Jeszcze się nie urodziła żadna zasmarkana nauczycielka, co by mnie do czegoś zmusiła! Mnie się nie każe nigdzie chodzić! Tylko sobie paniusia zapamiętaj, mnie się nie każe nigdzie chodzić!

Chwilę odczekał i gdy już się upewnił, że panna Caroline płacze, powłócząc nogami wyszedł ze szkoły.

Zaraz potem stłoczyliśmy się wokół jej biurka i każde z nas na swój sposób próbowało ją pocieszyć.

- Naprawdę podły...

- Bardzo brzydko...

- Pani nie jest do uczenia takich...

- W Maycomb wcale tak się nikt nie zachowuje, panno Caroline, naprawdę nie...

- No, niech już pani nie będzie smutno...

- Panno Caroline, a może nam pani poczyta jakąś powiastkę? To o tych kotach dziś rano było naprawdę przepiękne...

Panna Caroline uśmiechnęła się, wytarła nos i powiedziała:

- Dziękuję wam, moi złoci.

Po czym kazała nam wrócić na miejsca, otworzyła książkę i uraczyła oszołomioną klasę dziejami ropuchy, która była królem i mieszkała w pałacu.

Gdy po raz czwarty tego dnia - a po raz drugi pełnym galopem - mijałam posesję Radleyów, mój ponury nastrój pogłębił się na tyle, że harmonizował z ich domem. Gdyby dalszy ciąg roku szkolnego miał tak obfitować w dramaty, jak sam jego początek, szkoła mogłaby nawet być niezłą rozrywką, ale perspektywa pełnych dziewięciu miesięcy bez czytania i pisanania nakazywała mi myśleć o ucieczce.

Pod wieczór plan mej podróży był już prawie opracowany. Biegnąc z Jemem na spotkanie wracającego z pracy Atticusa, nie spieszyłam się zbyt. Zwykle pędziliśmy do niego na wyścigi, gdy tylko się pokazywał z daleka na rogu ulicy przy urzędzie pocztowym. Atticus jakoś

jednak zapomniał, że w południe popadłam w niełaszkę; zaczął mnie pytać o szkołę. Chociaż odpowiadałam monosylabami, nie wnikał w szczegóły.

Calpurnia może wyczuła, że dzień miałam ciężki; pozwoliła mi patrzeć na przygotowania do kolacji.

- Zamknij oczka, otwórz buzię, będziesz miała niespodziankę - oznajmiła.

Nieczęsto piekła chleb kukurydziany ze skwarkami - mówiła, że nie ma na to czasu - ale dziś, po wyprawieniu do szkoły nas obojga, było jej łatwiej. Wiedziała, jak bardzo lubię taki chleb.

- Brakowało mi was dzisiaj - powiedziała. - W domu zrobiło się tak pusto koło drugiej, że aż nastawiłam radio.

- Dlaczego? Jema i mnie nigdy nie ma, chyba że deszcz pada.

- Wiem - odrzekła. - Ale jak nie on, to ty zawsze się gdzieś kręciłaś, żeby można cię było zawołać. Myślałam sobie, ile dnia mi schodzi na samym wołaniu za tobą. No - zakończyła, wstając z kuchennego krzesła - dziś starczyło czasu, więc upiekłam jeden chlebek ze skwarkami. Uciekaj teraz, bo już podaję kolację.

Pochyliła się nade mną i pocałowała mnie. Wybiegłam z kuchni zdumiona, co w nią raptem wstąpiło. Calpurnia chce się ze mną pogodzić, nic innego. Zawsze mnie maltretowała, ale w końcu przecież zobaczyła, jak niesłusznie zdręcza mnie na każdym kroku, i poczuła wyrzuty sumienia, tylko jest taka uparta, że się do tego nie przyzna. Byłam znużona swą całodzienną przestępczością.

Po kolacji Atticus siadając z gazetą w fotelu, zawołał:

- Smyk, gotów do czytania?

Przelał się mój kielich goryczy, więc wybiegłam na werandę. Atticus przyszedł tam za mną.

- Co ci jest, Smyku?

Oświadczyłam Atticusowi, że czuję się jakoś nie bardzo i chyba, jeśli on nie ma nic przeciwko temu, nie będę już chodziła do szkoły.

Atticus usiadł na huśtawce i założył nogę na nogę. Uderzał się palcami po kieszonce z zegarkiem; tylko w ten sposób, jak mówił, mógł zebrać myśli. Czekał uprzejmie, w milczeniu, podczas gdy ja się biedziłam, czym wzmocnić swoją pozycję.

- Ty nigdy nie chodziłeś do szkoły, a przecież dajesz sobie radę, to ja też zostanę po prostu w domu. Możesz mnie uczyć tak, jak dziadzius uczył ciebie i wuja Jacka.

- Nie, nie mogę - powiedział Atticus. - Muszę zarabiać na życie. Poza tym wsadziliby mnie do więzienia, gdybym cię trzymał w domu... Weźmiesz dziś na preczyszczenie i jutro pójdziesz do szkoły.

- Wcale się źle nie czuję, naprawdę.

- Tak myślałem. Więc o co ci chodzi?

Po trochu odsłaniałam przed nim źródła nieszczęść tego dnia.

- ...i ona powiedziała, że uczysz mnie nie jak trzeba, więc już nigdy nie możemy czytać, już nigdy. Błagam, pozwól mi tam nie chodzić. Błagam, ojcze.

Atticus wstał i poszedł na koniec werandy. Gdy już dokładnie przyjrzał się glicyniom, wrócił do mnie.

- Przede wszystkim - powiedział - naucz się jednej rzeczy, Smyku, a będzie ci znacznie

łatwiej współżyć z wszelkiego rodzaju ludźmi. Nigdy naprawdę nie zrozumie się człowieka, dopóki nie spojrzy się na sprawy z jego punktu widzenia...

- Ojczy?

- ...dopóki nie wejdzie się w jego skórę, nie pochodzi się w jego skórze po świecie.

Atticus powiedział jeszcze, że dziś nauczyłam się wielu rzeczy i że sama panna Caroline nauczyła się paru rzeczy także. Nauczyła się, po pierwsze, nie dawać nic Cunninghamom, ale gdybyśmy my, Walter i ja, byli na jej miejscu, to zrozumielibyśmy, że ona chciała jak najlepiej, tylko zwyczajnie się pomyliła. Trudno od niej wymagać, żeby w ciągu jednego dnia poznała wszystkie zwyczaje Maycomb, i mieć do niej pretensje o to, że nie jest aż tak mądra.

- Niech mnie gęś kopnie - obruszyłam się. - Ja nie byłam aż tak mądra, żeby jej nie czytać, a ona miała do mnie pretensję... Słuchaj, Atticus, przecież ja wcale nie muszę chodzić do szkoły - wybuchnęłam w nagłym olśnieniu. - Burris Ewell, wiesz, kto to? On chodzi do szkoły tylko w pierwszy dzień. Pani od wagarów uważa, że dopilnowała przepisów, jak on jest na liście...

- Ale ty tak robić nie możesz, Smyku - powiedział Atticus. - Tylko czasem w niektórych sytuacjach przepisy można trochę naginać. W twoim wypadku przepisy są sztywne. Do szkoły musisz chodzić.

- Nie rozumiem, dlaczego ja muszę, kiedy on nie musi.

- Więc posłuchaj...

Atticus wyjaśnił, że Ewellowie od trzech pokoleń przynoszą całemu Maycomb wstyd. Żaden z nich za pamięci Atticusa nie przepracował ani jednego dnia uczciwie. Kiedyś po Bożym Narodzeniu - obiecał mi Atticus - pojedę z nim, gdy będzie wywoził na miejskie śmietnisko choinkę, i zobaczę, gdzie i w jakich warunkach mieszkają Ewellowie. To są ludzie, ale mieszkają jak zwierzęta.

- Do szkoły mogą chodzić, kiedy im się podoba, kiedy tylko okazują choć odrobinę chęci do nauki - powiedział Atticus. - Są sposoby trzymania ich w szkole siłą, ale niemądrze byłoby siłą wciągać takich, jak Ewellowie w nowe otoczenie...

- Mnie byś wciągał, gdybym jutro nie poszła do szkoły.

- Skończmy już tę rozmowę - rzekł Atticus. - Pani, panno Smyku Finch, należy do zwykłych ludzi. Musi pani żyć zgodnie z przepisami.

Wyjaśnił, że Ewellowie to odrębna społeczność utworzona z Ewellów. W pewnych okolicznościach zwykli ludzie przez rozsądek udzielają im pewnych przywilejów, stosując prostą metodę niedostrzegania niektórych Ewellowskich posunięć. Więc po pierwsze: Ewellowie nie muszą chodzić do szkoły. Po drugie: pan Bob Ewell, ojciec Burrisa, może polować i zastawiać sidła w czasie ochronnym.

- Atticus, to bardzo źle - jęknęłam.

W hrabstwie Maycomb polowanie w czasie ochronnym zawsze było wykroczeniem, ciężkim przestępstwem w oczach wszystkich bez wyjątku.

- To jest sprzeczne z prawem, zgoda - przyznał Atticus.

- Oczywiście, że to bardzo źle. Ale kiedy ktoś wydaje co do grosza swoje zasiłki z Opieki Społecznej na samogon, płacz jego zgłodniałych dzieci przecież nie pozostaje bez echa. Nie znam żadnego właściciela lasów w okolicy, który by pożalował tym dzieciom zwierzyny, jaką może ubić ich ojciec.

- Pan Ewell nie powinien tego robić.

- Z pewnością nie powinien, ale on już się nie zmieni. Czy za to potępiasz również i jego dzieci?

- O nie - szepnęłam i po raz ostatni spróbowałam stawić opór. - Tylko że jeżeli dalej będę chodziła do szkoły, już nigdy nie będziemy mogli czytać...

- To cię naprawdę martwi?

- Właśnie.

Atticus spojrzał na mnie i zobaczyłam wyraz jego twarzy, który zawsze wróżył coś dobrego.

- Wiesz, co to jest kompromis? - zapytał.

- Naginanie przepisów?

- Nie, układ osiągnięty na drodze wzajemnych ustępstw. To będzie polegało na tym: jeżeli pogodzisz się z koniecznością chodzenia do szkoły, będziemy czytać co wieczór, jak zwykle. Umowa stoi?

- Tak.

- Więc uważamy ją za przypieczętowaną... bez przyjętych formalności - dodał szybko widząc, że przygotowuję się do naplucia mu w dłoń.

Gdy otwierałam drzwi z siatką, żeby wejść do holu, powiedział:

- Ale... ale, Smyku, lepiej w szkole nie mów o tej naszej umowie.

- Dlaczego?

- Obawiam się, że nasza działalność nie przypadłaby szczególnie do gustu czynnikom bardziej oświeconym.

Oboje z Jemem byliśmy przyzwyczajeni do prawniczych sformułowań naszego ojca: w każdej chwili mogliśmy mu przerywać i pytać o to, czegośmy nie rozumieli.

-Hę?

- Nigdy nie chodziłem do szkoły - wypowiedział się przystępniej Atticus - ale mam wrażenie, że jeśli powiesz panie Caroline, że zawsze po kolacji czytamy, ona się na mnie uweźmie, a ja nie chciałbym, żeby tak się stało.

Tego wieczora Atticus trzymał nas w napięciu, czytając kolumny druku o kimś, kto z powodów zgoła niepojętych siedział na maszcie flagi, co z kolei w sposób już zupełnie jasny spowodowało, że Jem w następną sobotę usiadł na czas dłuższy równie wysoko - w naszym domku podniebnym. Siedział tam od śniadania aż do zachodu słońca i z pewnością by tam nocował, gdyby Atticus nie odciął mu dostaw. Ja prawie cały ten dzień spędziłam, włączając na drzewo i złączając z drzewa, biegając na posyłki, dostarczając Jemowi lekturę, prowiant i wodę, i właśnie niosłam mu koce na noc, gdy Atticus zasugerował, że jeśli nie będę zwracała na Jema uwagi, to Jem zejdzie. Atticus miał rację.

Dalsze dni szkolne nie przyniosły mi wróżb bardziej pomyślnych niż ten pierwszy. W istocie były jakimś nie kończącym się eksperymentem, na który mnóstwo kredek i całe mile brystolu dawał hojny stan Alabama, nie ustając w pełnym dobrych intencji, ale bezowocnym wysiłku włączenia mnie w wartki nurt zbiorowości. Tak zwany przez Jema System Dziesiątny Deweya objął wszystkich już przy końcu mego pierwszego roku szkolnego, nie miałam więc możliwości porównać go z żadnym innym sposobem nauczania. Mogłam tylko rozglądać się wokół siebie. Atticus i wuj Jack, którzy do szkoły nie chodzili, tylko uczyli się w domu, wiedzieli wszystko - w każdym razie, jeśli jeden z nich czegoś nie wiedział, można było liczyć na drugiego. Co więcej, faktem niepodważalnym było to, że mój ojciec od lat zasiada w legislaturze stanu wybierany raz po raz bez niczyjego sprzeciwu, chociaż nigdy na nim nie wypróbowywano innowacji uznanych przez moje nauczycielki za nieodzowne w rozwijaniu należytego obywatelskiego ducha. Wydawało się, że Jem kształcony jakimś systemem na pół dziesiątnym, na pół opartym na zasadzie oślej ławki, funkcjonuje dobrze zarówno sam, jak w grupie, cóż kiedy Jem był tu kiepskim przykładem; żaden system wpajania wiedzy, kiedykolwiek wynaleziony przez ludzkość, nie powstrzymałby go od połykania książek i podręczników. Jeśli chodzi o mnie, nadal czerpałam wszystkie swe wiadomości wyłącznie z tygodnika „Czasy” i z każdego drukowanego słowa, na jakie natrafiałam w domu, a przecież posuwając się jednocześnie calowymi kroczkami w kieracie systemu szkolnego hrabstwa Maycomb, doznawałam niejasnego wrażenia, że z czegoś jestem podstępnie odzieraana. Z czego, nie wiedziałam, ale trudno mi było uwierzyć, że dwanaście lat ciągłej nudy jest właśnie tym, co stan Alabama sobie dla mnie umyślił.

W pierwszej klasie kończyłam lekcje o pół godziny wcześniej niż Jem, który musiał siedzieć w szkole do godziny trzeciej, więc wracałam do domu sama, przebiegając obok posesji Radleyów, ile sił w nogach, i zatrzymując się dopiero w bezpiecznej przystani naszej werandy. Kiedyś jednak, już w wiosenne południe, gdy pędziłam tamtędy, coś nagle rzuciło mi się w oczy tak bardzo, że po nabraniu tchu i rozejrzeniu się wokoło, zawróciłam.

Na skraju parceli Radleyów stały dwa dęby, ich rozrośnięte korzenie sięgały aż po wyboisty w tym miejscu chodnik. Właśnie coś w jednym z tych dębów przykuło moją uwagę.

Mały srebrny paperek sterczał w dziurze po sęku, tuż nade mną, i błyskał, jak gdyby mrugał do mnie, w popołudniowym słońcu. Wspięłam się na palce, pospiesznie rozejrzałam się jeszcze raz i wyciągnęłam z tej maleńkiej dziupli dwa kawałki gumy do żucia w sreberkach bez wierzchniego opakowania.

Odruchowo zaczęłam je rozwijać, żeby jak najszybciej poznać, co to za smak, w porę jednak sobie przypomniałam, gdzie jestem. Biegiem ruszyłam do domu i dopiero na werandzie obejrzałam dokładnie swą zdobycz. Guma wyglądała na świeżą i gdy ją powąchałam, pachniała zupełnie ładnie. Polizałam ją i odczekałam chwilę. Nie umarłam, więc wepchnęłam ją do ust: podwójna miętowa Wrigleya.

Jem po powrocie do domu od razu mnie zapytał, skąd mam gumę. Odpowiedziałam, że znalazłam.

- Smyk, nie je się znalezionych rzeczy.

- To nie z ziemi, tylko z drzewa - wyjaśniłam.

Jem warknął.

- No, naprawdę. - Udzieliłam mu bardziej szczegółowej informacji: - Była wetknięta w to drzewo, tam, jak się wraca ze szkoły.

- Wypłuj ją w tej chwili.

Wypłułam. Traciła już aromat, tak czy owak.

- Żułam ją przez cały ten czas i jeszcze nie umarłam, ani nawet nie jest mi niedobrze.

Jem tupnął nogą.

- Nie wiesz, że nie można dotykać tamtych drzew? One by zabiły.

- Tyś raz dotknął domu.

- To było co innego. Idź wypłukać gardło... w tej chwili! Słyszysz?

- Ani mi się śni. Mam przyjemny smak w buzi.

- Jeżeli zaraz nie wypłuczysz gardła, powiem wszystko Calpurnii.

Uśluchałam Jema, bo na kłopoty z Calpurnią wolałam się nie narażać. Z jakiegoś powodu ten pierwszy rok szkolny przyniósł w moich stosunkach z Calpurnią wielkie zmiany: jej tyrania, stronniczość i wtrącanie się w moje sprawy straciły na sile, z wolna przechodząc w delikatne utyskiwania na tematy bardziej ogólne. Ja ze swej strony zadawałam sobie nieraz wiele fatygi, żeby jej nie rozdrażniać.

Zbliżało się lato; oboje z Jemem wprost nie mogliśmy się go doczekać. Lato uważaliśmy za najwspanialszą z pór roku: to było sypianie w łóżkach polowych na zamkniętej tylnej werandzie, a nawet namiastka noclegu w naszym domku podniebnym, to było zjedzenie wszystkiego, co nam wpadło w ręce, bo wszystko nadawało się do jedzenia; to był krajobraz rozmigotany w jaskrawym słońcu milionami kolorów; ale przede wszystkim lato to był Dill. W ostatnim dniu szkoły „czynniki” zwolniły nas dosyć wcześnie i wracałam do domu razem z Jemem.

- Dill chyba przyjedzie jutro - powiedziałam.

- Najpewniej pojutrze - powiedział Jem. - Missisipi puszcza ich o jeden dzień później.

Podchodząc do linii dębów przy posesji Radleyów, znów podniosłam palec, żeby wskazać po raz bodaj setny tę dziurę po sęku, w której wtedy znalazłam gumę do żucia, i podjąć jeszcze jedną próbę przekonania Jema, że tak było naprawdę, gdy raptem... okazało się, że mój palec jest wycelowany w podobne sreberko.

- Widzę je, Smyk! Widzę...

Jem rozejrzał się, wyciągnął rękę, po czym ostrożnie włożył do kieszeni małą lśniącą paczuszkę. Pobiegliśmy do domu i na werandzie obejrzelśmy to małe pudełeczko obłożone srebrnymi papierkami z opakowań gumy do żucia. Było z rodzaju tych, w jakich się kupuje obrączki ślubne - aksamitne, purpurowe, z miniaturowym zatrzaskiem. Jem nacisnął zatrzask i pudełeczko z pstryknięciem się otworzyło. W środku leżały jeden na drugim dwa wyczyszczone, wypolerowane groszaki. Jem przyjrzał im się badawczo.

- Głowy indiańskie - powiedział. - Rok tysiąc dziewięćset szósty i, Smyk, drugi z roku tysiąc dziewięćsetnego. Rzeczywiście antyki.

- Z tysiąc dziewięćsetnego - powtórzyłam jak echo. - To...

- Cicho bądź na chwilę. Muszę się skupić.

- Jem, myślisz, że to czyjś schowek?

- No, nikt oprócz nas tamtędy specjalnie nie chodzi, chyba że jacyś dorośli.

- Dorośli nie robią sobie schowków. Myślisz, że możemy je zatrzymać?

- Nie wiem, co możemy zrobić innego, Smyk. Bo komu zwrócisz? Właściwie to nie znam nikogo takiego, kto by tamtędy przechodził. Cecil wraca do domu naokoło przez miasto.

Cecil Jacobs, który mieszkał na drugim końcu naszej ulicy przy urzędzie pocztowym, nadkładał w każdy dzień szkolny pełną milę drogi, byle tylko nie mijać posesji Radleyów i siedziby starej pani Henry Lafayette Dubose. Pani Dubose mieszkała dwa domy za nami, od strony poczty; sąsiedzi twierdzili jednogłośnie, że to najokropniejsza starucha, jaka kiedykolwiek żyła na tym świecie. Jem za nic nie chciał przechodzić obok jej ganku, jeśli nie miał przy sobie Atticusa.

- Więc jak myślisz, co powinniśmy zrobić, Jem? Rzeczy znalezione należą do znalazcy, gdy nie zjawia się nikt, kto by udowodnił, że jest ich właścicielem. Zrywanie od czasu do czasu cudzych kamelii, wypicie w letni dzień cichaczem strzykniętego mleka od krowy panny Maudie Atkinson, raczenie się nie swoimi winogronami muszkatelowymi mieściło się doskonale w ramach naszej kultury etycznej, ale pieniądze to już była inna sprawa.

- Coś ci powiem - zawyrokował Jem. - Przez wakacje będziemy to mieli, a kiedy zacznie się szkoła, zaraz obejdziemy wszystkich i zapytamy, czyje to jest. Może to pieniądze któregoś z tych, co jeżdżą autobusem... może on w dodatku chciał je zabrać po wyjściu dziś ze szkoły, tylko zapomniał. Czyjeś są na pewno. Zobacz, jakie wyślizgane. Ktoś je sobie oszczędzał.

- Tak, ale dlaczego oszczędzał także i gumę do żucia? Przecież wiadomo, że guma robi się niedobra.

- Nie wiem, Smyk. Ale na tych pieniądzach na pewno komuś zależy...

- Dlaczego, Jem?

- No, takie indiańskie... hm... pochodzą prosto od Indian. Mają rzeczywiście wielką czarodziejską moc, przynoszą szczęście... nie takie szczęście, jak kurczęta na obiad, których człowiek się nie spodziewa, tylko poważne... długie życie, i dobre zdrowie, i szczęśliwe przejście sześciu tygodni próby na wojownika... te pieniądze naprawdę mają dla kogoś wartość. Będę je trzymał w kufierku.

Przed udaniem się do swego pokoju Jem patrzył długo na posesję Radleyów. Chyba znów się skupiał.

W dwa dni później w blasku chwały przybył Dill, sam przyjechał pociągiem z Meridian do Maycomb-Węzeł Kolejowy (nazwa kurtuazyjna, gdyż była to stacja na terenie hrabstwa Abbott), gdzie w jedynej taksówce miasta Maycomb oczekiwała go panna Rachel, obiad jadł w wagonie restauracyjnym, widział, jak na peron w Bay St. Louis wysiadają dwa zrosnięte ze sobą bliźniaki i na domiar wszystkiego, nie bacząc na nasze groźby, upierał się, że to prawda. Odrzucił już te obrzydliwe spodnie przypinane do bluzki i był teraz w prawdziwych krótkich spodniach ze skórzanym paskiem, utył trochę, chociaż nie urósł, i poinformował nas, że widział się ze swoim ojcem. Jego ojciec o głowę przewyższa naszego, ma czarną brodę (w szpic) i jest prezesem Linii Kolejowej Londyn-Północny Wschód.

- Pomagałem przez jakiś czas maszyniście tego pociągu - rzekł Dill ziewając.

- Afiga! Już nie opowiadaj - powściągnął go Jem. - Co będziemy dziś przedstawiali?

Dill chciał *Wędrowców*, bo tam były trzy przyzwoite role. Stanowczo miał dosyć występowania jako nasz aktor charakterystyczny.

- Ja mam dosyć *Wędrowców* - oświadczyłam. Dosyć miałam roli Toma, który nagle w środku filmu traci pamięć i znika ze scenariusza, żeby odnaleźć się na Alasce dopiero przy samym końcu. - Wymyśl coś nowego, Jem.

- Mam dosyć wymyślania.

To był pierwszy dzień naszej wolności, a już mieliśmy wszystkiego dosyć. Zaczęłam się zastanawiać, co przyniesie takie lato.

Wyszliśmy do ogrodu i Dill popatrzył wzdłuż ulicy na ponurą fasadę domu Radleyów.

- Pachnie mi... śmiercią - powiedział. - Śmiercią, poważnie mówię - powtórzył, gdy kazałam mu się zamknąć.

- Czy to znaczy, że ci pachnie, jak ktoś umiera?

- Nie, to znaczy, że mogę byle kogo powąchać i od razu poznać, czy ta osoba umrze. Jedna starsza pani mnie tego nauczyła. - Dill posunął się i powąchał mnie. - Jean Louise Finch, umrzesz za trzy dni.

- Dill, jeżeli nie przestaniesz, tak cię palnę, że ci się nogi poskręcą w korkociąg. Poważnie mówię.

- Musisz zaraz wrzeszczeć? - warknął Jem. - Zachowujesz się, jakbyś wierzyła w Gorące Opary.

- Aty, jakbyś nie wierzył - powiedziałam.

- Gorące Opary? Co to? - zainteresował się Dill.

- Więc nigdy nie szedłeś w głąb noc jakąś bezludną drogą i nie natrafiłeś na gorące miejsce? - zapytał Jem Dilla. - Gorący Opar to jest ktoś, kto nie może dostać się do nieba i tylko tarza się na bezludnych drogach... Wystarczy przejść przez takiego, żeby po śmierci tak samo jak on tarzać się wszędzie po nocy i wysysać z ludzi oddech...

- Nie można go jakoś wyminąć, żeby przez niego nie przechodzić?

- Nie można - odrzekł Jem. - Czasami on się wyciąga w poprzek całej drogi, ale zanim się przez niego przejdzie, można powiedzieć: „O aniele żywy w śmierci, odsuń się, tchu nie ssaj z piersi”. To ich powstrzymuje od owijania się naokoło człowieka.

- Nie wierz mu, Dill - przerwałam Jemowi. - Calpurnia mówi, że to tylko murzyńskie gadki.

Jem wykrzywił się do mnie ponuro, ale powiedział:

- No, bawimy się w coś, czy nie?

- Poturlajmy się w oponie - zaproponowałam.

Jem westchnął:

- Bo ty wiesz, że ja się już nie mieszczę.

- To możesz pchać.

Pobiegłam za dom i wyciągnęłam spod werandy starą oponę samochodową. Przytoczyłam ją do furtki.

- Ja pierwsza - oznajmiłam.

Dill zwrócił uwagę, że właściwie to on ma pierwszeństwo, bo dzisiaj przyjechał.

Jem rozstrzygnął sprawę: ja się przejadę pierwsza, za to Dill będzie miał prawo przejechać się potem dłużej ode mnie. Jak scyzoryk złożyłam się w oponie.

Poniewczasie pojęłam, że Jem, obrażony moim negatywnym stosunkiem do Gorących Oparów, po prostu się przyczaił, czekając na okazję do rewanżu. Zrewanżował się istotnie, gdy pchnął oponę po chodniku ze wszystkich sił. Ziemia, niebo i domy zamieniły się w rozszalałą wirującą paletę, w uszach mi zahuczało, zaczęłam się dusić. Ręk nie mogłam wyciągnąć, żeby się zatrzymać, bo wciśnięte były pomiędzy pierś i kolana. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Jem będzie szybszy i zastąpi oponie drogę, albo że zatrzyma mnie jakiś wybój na chodniku. Słyszałam, jak Jem biegnie za mną i krzyczy.

Opona podskoczyła na żwirze, śmignęła przez jezdnię, trzasnęła o jakąś zaporę i jak korek z butelki wystrzeliłam z niej na bruk. Oszołomiona leżałam na betonie, walcząc z mdłościami, potrząsając głową, żeby mi się w niej uciszyło, tłukąc się po uszach, żeby przestało mi w nich huczeć.

- Smyk - usłyszałam głos Jema - uciekaj stamtąd! Prędko!

Podniosłam głowę i zobaczyłam przed sobą schodki domu Radleyów. Zmartwiałam.

- No, Smyk, nie leż tam! - wrzeszczał Jem. - Wstawaj, nie możesz?!

Drżąc, poderwałam się na nogi miękkie jak wata.

- Oponę zabierz! - ryczał Jem. - Oponę! Zupełnie zgłupiałaś, oponę chcesz zostawić?!

Wreszcie zdolna do nawigacji wróciłam do nich biegiem tak szybkim, jak tylko mi na to pozwoliły rozdygotane kolana.

- Dlaczego jej nie zabrałaś? - huknął na mnie Jem.

- Dlaczego ty po nią nie pójdziesz? - pisałam.

Jem nie odpowiedział.

- Rusz się, to niedaleko od furtki. No, raz nawet zaklepałeś dom, już nie pamiętasz?

Jem spojrzał na mnie z wściekłością, ale zaprzeczyć mi nie mógł, więc chcąc nie chcąc, popędził chodnikiem, odbił się przed furtką, dał w nią nura i odzyskał oponę.

- No i widzisz - wykrzywił się triumfalnie. - To nic takiego. Słowo daję. Smyk, czasem się zachowujesz tak bardzo jak dziewczyna, że aż ręce opadają.

Coś tu miałam do powiedzenia, o czym on nie wiedział, postanowiłam jednak mu tego nie mówić.

W drzwiach frontowych ukazała się Calpurnia.

- Czas na lemoniadę! - zawołała. - Macie zejść z tego gorącego słońca, bo żywcem się usmażycie!

Lemoniada na werandzie w upalne przedpołudnie była letnim obrzędkiem. Calpurnia postawiła dzbanek i trzy szklanki na stole i poszła z powrotem do swoich zajęć. Utrata łask Jema nie martwiła mnie zbyt. Wiedziałam, że lemoniada przywróci mu dobry humor.

Jem wypił duszkiem dwie szklanki i klepnął się w pierś.

- Już wiem, co będziemy przedstawiać - obwieścił. - Nową rzecz, zupełnie inną.

- Co? - zapytał Dill.

- Dzikiego Radleya.

W głowie Jema można było czasem czytać jak w otwartej książce; wymyślił to teraz, żeby

dać mi do zrozumienia, że on się Radleyów w żadnej formie, w żadnych okolicznościach nie boi, i zarazem żeby przeciwstawić swą bohaterską odwagę mojemu nędznemu tchórzostwu.

- Dzikiego Radleya? Jak? - zapytał Dill.

Jem powiedział:

- Smyk, ty możesz być panią Radley...

- Akurat! Uważam, że nie...

- O co chodzi? - zapytał Dill. - Masz jeszcze pietra?

- Przecież on mógłby wyjść w nocy, kiedy będziemy spali - wytoczyłam argument.

Jem syknął.

- Oj, Smyk, niby skąd on ma wiedzieć, co my przedstawiamy. Zresztą myślę, że go tam już nie ma. Umarł wiele lat temu i wepchnęli go do komina.

Dill powiedział:

- Jem, to my we dwóch możemy przedstawiać, a Smyk niech się tylko przygląda, jeżeli ma takiego pietra.

Byłam raczej pewna, że Dzikie Radley jest nadal tam w domu, ale nie mogąc tego udowodnić, czułam, że lepiej nabrać wody w usta, bo inaczej oni mnie jeszcze posądzą o to, że wierzę w Gorące Opary - zjawiska, na które w świetle dziennym byłam całkowicie uodporniona.

Jem wyznaczył role: jako pani Radley musiałam tylko wychodzić i zamiatać werandę. Dill został starym panem Radleyem; spacerował tam i z powrotem po chodniku i kaszłał, gdy Jem do niego mówił. Jem naturalnie był Dzikim Radleyem; wchodził pod schodki, skomlał, od czasu do czasu piszcząc i wył.

W miarę jak wypełniało się lato, nasza zabawa nabierała rumieńców. Czelując ją i udoskonalając, dodawaliśmy dialogi i akcję, aż w końcu powstał cały krótki dramat, do którego co dzień dochodziły jakieś nowe warianty.

Dill, łotr nad łotrami, potrafił wcielić się w każdą wyznaczoną mu rolę, nawet wydawać się wysoki, jeśli któraś z jego diabelskich kreacji tego wymagała. Z każdą z ról w tej sztuce radził sobie tak świetnie, jak ze swym najstraszliwszym wcieleniem; a najstraszliwszym jego wcieleniem był Got-Barbarzyńca. Bardzo niechętnie wówczas grywałam rozmaite, mające do czynienia z Barbarzyńcą, panie. Teraz też uważałam, że znacznie zabawniejszy byłby *Tarzan*, już nie mówiąc o tym, że grałam z czymś więcej niż niejasny niepokój, pomimo zapewnień Jema, że Dzikie Radley nie żyje, więc nic mi się stać nie może ani w biały dzień, gdy on, Jem i Calpurnia są przy mnie, ani w nocy, gdy czuwa Atticus.

Jem był urodzonym bohaterem.

Odgrywaliśmy więc ten smętny dramacik utkany ze strzępów starej plotki i miasteczkowej legendy; pani Radley była piękna, dopóki nie wyszła za pana Radleya i nie straciła posagu. Straciła też większość zębów i palec wskazujący prawej ręki (wkład Dilla: Dzikie odgryzł matce palec pewnej nocy, gdy nie udało mu się znaleźć żadnych kotów ani wiewiórek na kolację); przeważnie siedziała w bawialni i płakała, podczas gdy Dzikie strugał na wióry mebel po meblu w domu.

Potem wszyscy troje byliśmy tymi chłopcami, którzy tak dokazywali, że się wpakowali w kłopoty; potem ja byłam dla odmiany tym sędzią od spraw spadkowych; Dill zabierał Jema

i wpychał go pod schodki werandy, pomagając sobie przy tym miotłą. Jem w miarę potrzeby ukazywał się ponownie jako szeryf, poszczególni obywatele Maycomb oraz panna Stephanie Crawford, mająca zawsze najwięcej do powiedzenia o Radleyach.

Gdy nadchodził czas odegrania wielkiej sceny Dzikiego, Jem wchodził chyłkiem do domu, za plecami Calpurnii, wykradał z szufladki maszyny do szycia nożyczki, a potem siadał na huśtawce i zaczynał ciąć gazety. Dill z kaszlem przechodził obok Jema i wtedy Jem na niby zatapiał nożyczki w udzie Dilla. Z miejsca, gdzie stałam, wyglądało to okropnie prawdziwie.

Jeśli podczas takiego przedstawienia pokazywał się na ulicy pan Nathan Radley w swej codziennej drodze do miasta, zmartwiali czekaliśmy bez ruchu, bez słowa, dopóki nie zniknął nam z oczu, a później snuliśmy nieskończone domysły, co on by z nami zrobił, gdyby cokolwiek podejrzewał. Nasze produkcje artystyczne ustawały również i w chwilach, gdy na widnokręgu pojawiali się inni sąsiedzi, chociaż kiedyś dopiero po dłuższym czasie spostrzegłam, że z drugiej strony ulicy przypatruje się nam pani Maudie Atkinson z sekatorem w zastygłej nad żywoplotem ręce.

Pewnego dnia zapamiętałam odgrywając rozdział dwudziesty piąty książki drugiej *Rodziny Jednego Człowieka*, nie zauważyliśmy Atticusa, który stał na chodniku i wpatrzony w nas uderzał się po kolanie zwinętym w trąbkę czasopismem. Słońce wskazywało samo południe.

- W co wy się bawicie? - zapytał Atticus.

- W nic - odpowiedział Jem.

Unik Jema oświecił mnie, że nasza zabawa ma pozostać tajemnicą, więc się nie odzywałam.

- Co tu robisz z nożyczkami w takim razie? Dlaczego tniesz gazetę? Jeżeli to dzisiejsza, skórę ci wygarbuję.

- Nic.

- Jakie nic?

- Żadne, ojczu.

- Daj no mi te nożyczki - polecił Atticus. - One nie są do zabawy. Czy to przypadkiem nie ma jakiegoś związku z Radleyami?

- O, nie. - Jem się zaczerwienił.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Atticus krótko i wszedł do domu.

- Je-em...

- Zamknij się. On teraz jest w gabinecie, tam nas słyszą. Poszliśmy w głąb ogrodu i w bezpiecznym oddaleniu od Atticusa Dill zapytał Jema, czy już nie możemy się w to bawić.

- Nie wiem. Atticus nie powiedział, że nie możemy...

Ja nie byłam tak bardzo tego pewna, ale Jem zwrócił mi uwagę, że jestem dziewczyną, a dziewczyny zawsze cierpią na jakieś urojenia, i to właśnie dlatego ludzie tak dziewczyn nie znoszą, i jeśli mam się zachowywać w taki sposób, to lepiej, żebym po prostu odeszła i poszukała sobie innego towarzystwa.

- Dobrze, więc grajcie dalej - powiedziałam. - Jeszcze zobaczycie.

Wkroczenie Atticusa było drugim powodem, dla którego wołałam zrezygnować z tych przedstawień. Powód pierwszy miałam już od owego dnia, gdy zajechałam w oponie przed dom

Radleyów. Z głową roztrzęsioną, czując mdłości, usłyszałam wtedy poprzez wrzaski Jema jeszcze jeden głos tak cichy, że na chodniku Dill i Jem z pewnością go nie dosłyszeli. Ktoś w domu Radleyów śmiał się.

5

Dokuczając Jemowi, w końcu go przecież zmołam tak, jak przewidziałam, i ku mojej uldze zaniechaliśmy na razie tej zabawy. Jem jednak wciąż utrzymywał, że Atticus nie powiedział, że nie możemy, więc jak najbardziej możemy; a w ogóle nawet gdyby Atticus to powiedział, jest przecież sposób, w jaki można ten zakaz obejść: wystarczy po prostu zmienić imiona postaci i wtedy nikt nam nie zarzuci, że odgrywamy coś prawdziwego.

Dill z całego serca popierał ten plan akcji. Dill zresztą i bez tego zaczął być dla mnie pewnym utrapieniem. Mniej więcej w połowie lata oświadczył się o moją rękę, a potem szybko o tym zapomniał. Ścigał mnie wzrokiem, na każdym kroku podkreślał, że należę do niego, powiedział nawet, że jestem jedyną dziewczyną, jaką w życiu swoim będzie kochał, a potem zaniedbał mnie haniebnie. Zbiłam go dwa razy, ale to wcale nie pomogło, bo on tylko jeszcze bardziej zbliżył się do Jema. Całymi dniami siedzieli teraz obaj w domku podniebnym, knując coś i planując, wołając mnie jedynie wtedy, gdy potrzebny był im ktoś trzeci. Przez jakiś czas ja sama nie chciałam mieć nic wspólnego z ich bardziej zwariowanymi planami i pod groźbą wysłuchiwania, że jestem „dziee-wczyną”, spędzałam większość pozostałych do końca wakacji wieczorów z panią Maudie Atkinson na jej frontowym ganku.

Jem i ja zawsze mogliśmy biegać swobodnie po ogrodzie pani Maudie, oczywiście z daleka od jej azalii - ale nasz kontakt z nią był dosyć luźny. Dopóki Jem i Dill nie wyłączyli mnie ze swych projektów, pani Maudie była tylko jeszcze jedną sąsiadką, chociaż stosunkowo nam sprzyjała.

W myśl nie wyrażonego słowami układu wolno nam było bawić się na jej trawniku, jeść jej winogrona muszkatelowe, bylebyśmy nie wskakiwali na kratę, i zwiedzać do woli jej wielką parcelę - warunki dzięki wspaniałomyślności pani Maudie mieliśmy idealne, więc chcąc utrzymać ten raczej niepewny stan rzeczy, woleliśmy przez ostrożność zbyt często z nią nie rozmawiać. Teraz jednak wskutek konspiracji Jema i Dilla musiałam zbliżyć się do niej.

Pani Maudie nie cierpiała swego domu; uważała, że szkoda jej czasu na siedzenie w czterech ścianach. Była wdową, panią kameleonem, która pielęła klomby przyodziana byle jak w męski kombinezon i stary kapelusz plażowy, ale po kąpieli o godzinie piątej ukazywała się na ganku i królowała nad ulicą w chwale majestatu.

Kochała wszystko, co wyrasta z ziemi bożej, nawet chwasty. Z jednym wyjątkiem. Gdy znajdowała w swym ogrodzie źdźbło cibory, natychmiast wszczyniała coś w rodzaju bitwy nad Marną; rzucała się na ciborę z cynowym cebrzykiem i starannie wypalała ją z korzeniami substancją tak trującą, że jeśli można jej było wierzyć, od razu padlibyśmy martwi, gdybyśmy się w porę nie odsunęli.

- Nie lepiej wyrwać to po prostu? - zapytałam kiedyś, będąc świadkiem długiej kampanii, jaką pani Maudie stoczyła ze źdźbłem nie wyższym niż na trzy cale.

- Wyrwać to, dziecko, wyrwać? - Pani Maudie podniosła zwiotczący pęd i ścisnęła w palcach maleńką łodyżkę. Wysączyły się mikroskopijne ziarenka. - No, jedna trawka cibory może zniszczyć cały ogród. Widzisz? Kiedy jesień przychodzi, to schnie i leci z wiatrem na całe hrabstwo Maycomb.

Zgroza malująca się na twarzy pani Maudie podniosła tę możliwość do rangi plag ze Starego Testamentu.

Pani Maudie mówiła zbyt żywo i dobitnie jak na mieszkankę hrabstwa Maycomb. Zwracała się do nas po imieniu i po nazwisku, a uśmiechając się odsłaniała dwa malutkie złote rożki nasadzone na kły. Gdy pełna podziwu wyraziłam nadzieję, że może kiedyś ja też będę miała takie, powiedziała:

- Popatrz!

I plaśnięciem języka wypchnęła z ust swój mostek, który po tym jej serdecznym geście stał się, rzecz by można, mostem raz na zawsze przerzuconym między nami.

Życzliwość pani Maudie rozciągnęła się także na Jema i na Dilla, od czasu do czasu przecież robiących sobie przerwę w tajemniczych zajęciach; na nas troje spływało dobrodziejstwo talentu pani Maudie dotychczas przed nami ukrywanego. Wypiekała ona najlepsze ciasta w okolicy. Za każdym razem, gdy piekła duży placek, wyczarowywała przy okazji trzy małe i wołała przez ulicę:

- Jem Finch! Smyk Finch! Charles Baker Harris! Chodźcie tu do mnie.

Nasza gotowość zawsze się opłacała.

Latem zmierzchy są długie i spokojne. Przeważnie w milczeniu siedziałam przy pani Maudie na jej ganku, patrząc, jak niebo o zachodzie słońca przechodzi z barwy żółtej w różową, patrząc, jak stadka jaskółek przelatują nisko nad domami i znikają za dachem szkoły.

- Pani Maudie - zapytałam w pewien taki zmierzch. - Myśli pani, że Dzik Radley jeszcze żyje?

- On ma na imię Arthur i żyje - odrzekła pani Maudie. Powoli kołysała się w dużym dębowym fotelu na biegunach. - Czyż nie śliczny ma dziś zapach moja mimoza? Jak tchnienie aniołów.

- Tak, proszę pani. Ale skąd pani wie?

- O czym, dziecko?

- Że Dzi... pan Arthur jeszcze żyje?

- Niezdrowa ciekawość. No, ale i jej przedmiot nie jest chyba szczególnie zdrowy. Wiem, że on żyje, Jean Louise, bo jeszcze nie widziałam, jak go wynoszą.

- Może umarł i wepchnęli go do komina?

- Co ci znów przyszło do głowy?

- Jem tak myśli.

- S... ss... sss... Jeremy z dnia na dzień staje się coraz bardziej podobny do Jacka Fincha.

Pani Maudie знаła wuja Jacka, brata Atticusa, od dzieciństwa. Prawie jego rówieśnica, razem z nim dorastała w Przystani Fincha. Jej ojciec, doktor Frank Buford, miał posiadłość ziemską w najbliższym sąsiedztwie. Chociaż zawodem doktora Buforda była medycyna, jego manią było wszystko, co wyrasta z ziemi, więc do śmierci pozostał biedny. Wuj Jack Finch natomiast to lekarz wyładowujący całą swoją pasję ogrodniczą w skrzynkach okiennych

mieszkania w Nashville, więc wciąż jest bogaty. Widywaliśmy się z wujem Jackiem co roku na Boże Narodzenie i co roku na Boże Narodzenie wuj Jack wołał do pani Maudie na drugą stronę ulicy, żeby wyszła za niego za męża. Panna Maudie odkrzykiwała:

- Trochę głośniej, Jack Finch, a słyhać cię będzie na poczcie. Ja cię jeszcze nie słyse.

Oboje z Jemem uważaliśmy, że to dziwny sposób oświadczania się paniom, cóż, kiedy sam wuj Jack był dosyć dziwny. Mówił, że próbuje zirytować panią Maudie, i to już od czternastu lat bez powodzenia, i że jest wprawdzie ostatnim na świecie mężczyzną, za którego pani Maudie zechciałaby wyjść, ale też i pierwszym, któremu ona chce dokuczyć, a najlepszą, jak wiadomo, obroną przed nią jest zdecydowane natarcie, co już trafiło nam do przekonania.

- Arthur Radley po prostu siedzi w domu, to wszystko - powiedziała pani Maudie. - Czy ty byś nie siedziała w domu, gdybyś nie chciała wychodzić?

- Owszem, tylko że ja bym chciała wychodzić. Dlaczego on nie chce?

Pani Maudie przymrużyła oczy.

- Znasz tę historię nie gorzej niż ja.

- Ale nigdy nie słyzałam, dlaczego. Nikt mi nie opowiadał, dlaczego.

Pani Maudie wsadziła swój mostek na miejsce.

- Wiesz o tym, że stary pan Radley należał do baptystów obmywających nogi...

- Pani też, prawda?

- Ja nie mam tak twardego kręgosłupa, dziecko. Jestem tylko baptystką.

- To nie wszyscy baptysci wierzą w obmywanie nóg?

- Wierzymy. W domu, w wannie.

- Ale my z żadnymi baptystami nie możemy mieć łączności duchowej...

Najwidoczniej dochodząc do wniosku, że łatwiej jest omówić pierwotne baptysterium niż istotę chrześcijańskiej łączności duchowej, pani Maudie powiedziała:

- Obmywacze nóg uważają, że wszystko, co sprawia przyjemność, jest grzechem. Czy wiesz, że kiedyś w sobotę, kiedy paru z nich wracało tędy z nabożeństwa w lesie, dowiedziałam się od nich, że razem z moimi kwiatami pójdę do piekła?

- I kwiaty do piekła?

- Otóż to. Kwiaty też będą się tam smażyły. Uznali, że zbyt dużo czasu marnuję na świeżym powietrzu, zamiast siedzieć w domu i czytać Biblię.

Moja ufność w głoszoną z kazalnicy Ewangelię osłabła na myśl o pani Maudie skwierczącej wieczyście to w tym, to w owym kotle protestanckich piekieł. Istotnie pani Maudie miała ostry język i nie zajmowała się czynieniem dobra w okolicy tak, jak panna Stephanie Crawford. Ale podczas gdy nikt z odrobiną bodaj oleju w głowie nie dowierzał pannie Stephanie, Jem i ja uważaliśmy, że do pani Maudie można mieć zaufanie. Nigdy na nas nie skarżyła, nie drażniła się z nami i zupełnie się nie interesowała naszym życiem prywatnym. Była naszą przyjaciółką. Fakt, że istocie tak rozsądnej zagraża niebezpieczeństwo mąk wiekuiowych, wydał mi się niepojęty.

- To nie w porządku, pani Maudie. Pani jest najlepsza z wszystkich znajomych mi pań.

Pani Maudie się uśmiechnęła.

- Dziękuję łaskawej panience. Rzecz w tym, że oni uważają kobiety jako takie za grzech. Biblię biorą dosłownie.

- I to dlatego pan Arthur siedzi w domu? Żeby się trzymać z daleka od kobiet?

- Pojęcia nie mam.

- To jakoś bez sensu. Mnie się wydaje, że gdyby pan Arthur chciał się dostać do nieba, to w końcu by przecież wyszedł na swój ganek. Atticus mówi, że ludzie, którzy kochają Boga jak siebie samego...

Pani Maudie przestała się kołysać i głos jej stwardniał.

- Za mała jesteś, żeby to zrozumieć - powiedziała. - Ale czasem Biblia w ręce jednego człowieka jest gorsza niż butelka whisky w ręce in... no, powiedzmy... twojego ojca.

Oburzyła się.

- Atticus nie pije whisky - zaprotestowałam. - W życiu nie wypił ani kropelki... oj, nie... owszem, wypił. Opowiadał, że kiedyś wypił i wcale nie była dobra.

Pani Maudie parsknęła śmiechem.

- Nie mówiłam specjalnie o twoim ojcu - wyjaśniła. - Chodziło mi o to, że Atticus Finch nawet pijany nie byłby taki okropny, jak ten czy ów w swojej najlepszej formie. Niektórzy ludzie są... są tak pochłonięci troszczeniem się o tamten świat, że nie mają kiedy się nauczyć, jak trzeba żyć na tym. I wystarczy spojrzeć na róg tej ulicy, żeby zobaczyć skutki.

- Myśli pani, że to prawda... te wszystkie rzeczy o Dzikim... panu Arthurze?

- Jakie rzeczy?

Powiedziałam jej.

- W trzech czwartych gadanie Murzynów i w jednej czwartej Stephanie Crawford - rzekła pani Maudie surowo. - Stephanie Crawford nawet opowiadała mi kiedyś, że obudziła się w środku nocy i zobaczyła, jak on do niej zagląda przez okno. Zapytałam: „I coś ty wtedy zrobiła, Stephanie? Czy przynajmniej posunęłaś się w łóżku, żeby mu zrobić miejsce?” To ją na jakiś czas przymknęło.

Nie wątpiłam. Sam głos pani Maudie mógł przymknąć każdego.

- Nie, dziecko - odezwała się pani Maudie po chwili. - To jest smutny dom. Pamiętam Arthura Radleya jeszcze jako chłopca. Zawsze odnosił się do mnie mile, chociaż ludzie różności o nim opowiadali. Odnosił się, jak tylko umiał najmilej.

- Myśli pani, że on jest pomyłony?

Pani Maudie potrząsnęła głową.

- Nawet jeżeli nie jest, powinien być po tym wszystkim. Nigdy naprawdę nie wiemy, co się dzieje z ludźmi. Co się dzieje w domach za zamkniętymi drzwiami, jakie tajemnice...

- Atticus w domu nigdy nie robi z Jemem ani ze mną nic takiego, czego nie robi w ogrodzie - poczytałam sobie za obowiązek bronić rodziciela.

- Dziecino miła, ot, tak sobie plotę... nawet nie myślałam o twoim ojcu, ale skoro już o nim mowa, powiem ci jedno. Atticus Finch jest zawsze taki sam, czy to u siebie, czy publicznie na ulicy. Chcesz zabrać dla was trochę świeżego ciasta?

Bardzo chciałam.

Nazajutrz, gdy wstałam rano. Jem i Dill z wielkim przejęciem rozmawiali o czymś w ogrodzie za domem. Podeszłam do nich, ale jak zwykle kazali mi odejść.

- Ani mi się śni. To jest mój ogród także... nie tylko twój, Jemie Finch. Więc i ja mam prawo tu się bawić.

Dill i Jem udali się na krótką poufną naradę.

- Jeżeli zostaniesz, musisz robić to, co ci powiemy - uprzedził mnie Dill.

- No-oo - powiedziałam - kto raptem się zrobił taki wielki, żeby rozkazywać?

- Jeżeli nie dasz słowa, że będziesz robić to, co ci powiemy, to niczego się nie dowiesz - ciągnął niewzruszenie Dill.

- Myślałby kto, że przez noc urosłeś o dziesięć cali! Dobrze, więc co to ma być?

Jem oznajmił spokojnie:

- Chcemy, żeby Dziki Radley dostał od nas kartkę.

- Niby jak? - Spróbowałam nie okazać przerażenia, które z punktu, gdy to usłyszałam, ugięło mi kolana. Pani Maudie mogła sobie mówić; stara jest i jak u Pana Boga za piecem na tym swoim ganku. Ale przecież my to co innego.

Jem chciał po prostu wsadzić tę kartkę na bambus od wędki i wsunąć ją między okiennice. Dill na straży z dzwonkiem miał dzwonić, w razie gdyby ktoś nadchodził.

Dill podniósł rękę. To był srebrny dzwonek obiadowy naszej mamy.

- Podejdę od tamtej strony - powiedział Jem. - Patrzyliśmy wczoraj z przeciwka i tam jest jedna okiennica obluzowana. Chyba uda mi się dosięgnąć przynajmniej na parapet.

- Jem...

- Teraz, kiedy już cię dopuściliśmy, nie możesz się wycofać. Musisz być z nami, panno Fe!-
Wszystko-Złe!

- Dobrze, już dobrze. Tylko ja nie chcę patrzeć. Jem, ktoś mógłby...

- Musisz patrzeć. Ty będziesz patrzeć na tamten koniec ich ogrodu, a Dill od frontu na ulicę, i Dill w razie czego zadzwoni. Jasne?

- No, trudno. Coście mu napisali?

Dill mnie poinformował:

- Prosimy go naprawdę grzecznie, żeby kiedyś wyszedł i powiedział nam, co robi, kiedy tak siedzi w domu... I nie zrobimy mu żadnej krzywdy, tak mu napisaliśmy, i jeżeli chce, postawimy mu lody.

- Macie kręcka do potęgi. On was zabije!

Dill przyznał się:

- To mój pomysł. Myślę, że jak on wyjdzie i trochę z nami pobędzie, to może mu się zrobi lepiej.

- Skąd wiesz, że mu nie jest dobrze?

- No, a jak tobie by było, gdybyś tak siedziała zamknięta przez sto lat i miała tylko koty do jedzenia? Głowę daję, że broda mu urosła aż dotąd...

- Jak twojemu tatusiowi?

- Mój tatuś nie ma brody, mój tatuś... - Dill urwał, najwyraźniej usiłując sobie przypomnieć.

- Aha, złapałam cię - powiedziałam. - Mówiłeś, jeszcze zanim na dobre wysiadłeś z pociągu,

że twój tatuś ma czarną brodę...

- Jeżeli to ci nie sprawi różnicy, to zgolił ją tego lata! Właśnie, mam list na dowód... i dwa dolary mi przysłał w dodatku.

- Gadaj zdrów... Pewnie ci jeszcze przysłał mundur konnego policjanta! Tylko że ten mundur nie doszedł, prawda? Gadaj sobie, syneczku...

Dill Harris potrafił opowiadać najbardziej niestworzone rzeczy, jakie w życiu słyszałam. Między innymi latał już siedemnaście razy samolotem pocztowym, jeździł do Nowej Szkocji, widział słonia i jego dziadziusia, ni mniej, ni więcej, tylko generał brygady, Joe Wheeler we własnej osobie, zostawił mu w spadku swój miecz.

- Cicho bądźcie! - powiedział Jem. Wlazł pod werandę i wynurzył się z żółtym bambusem. - Jak myślicie, dosyć długi? Dosięgnę nim z chodnika?

- Ktoś, kto był taki dzielny, że tam poszedł i zaklepał dom, nie powinien brać do tego wędki - rzuciłam uwagę. - Nie możesz zwyczajnie wyważyć frontowych drzwi?

- To... chodzi o coś innego - powiedział Jem. - Ile razy mam ci powtarzać?

Dill wyjął z kieszeni kartkę i dał ją Jemowi. We troje ruszyliśmy ostrożnie w stronę domu Radleyów. Dill zatrzymał się pod latarnią przy frontowym rogu posesji, Jem i ja powolutku poszliśmy chodnikiem równoległym do boku domu. Puszczając Jema naprzód, przystanąłam w miejscu, skąd widać było ulicę za zakrętem.

- Droga wolna! - oznajmiłam. - Nigdzie nikogo.

Jem obejrzał się na Dilla, który skinął głową.

Wtedy Jem nabił kartkę na koniec bambusa i sięgnął nim przez płot w okolicę upatrzonego okna. Wychylił się, jak mógł najdalej, bo bambus okazał się o kilka cali za krótki. Patrzyłam, jak on w podrygach podpycha tę tykę i podpycha tak długo, że w końcu zesłam z posterunku i przybiegłam do niego.

- Nie da rady jej zsunąć z wędki - mamrotał. - A nawet jeżeli się zsunie, to jak ją tam zatrzymać? Wracaj na stanowisko, Smyk.

Wróciłam i wlepiłam wzrok w pustą jezdnię za zakrętem. Od czasu do czasu spoglądałam na Jema i dalsze cierpliwe próby umieszczenia tej kartki na parapecie okna. Kartka raz po raz sfruwała na ziemię i Jem raz po raz nabijał ją na bambus, aż sobie pomyślałam, że Dzikie Radley, jeśli ją w ogóle kiedykolwiek dostanie, i tak w żadnym razie nie będzie mógł jej odczytać. Patrzyłam na ulicę, gdy nagle zadźwięczał dzwonek.

Kuląc ramiona, odwróciłam się pewna, że zobaczę Dzikiego Radleya i jego zakrwawione szpony; zobaczyłam Dilla ze wszystkich sił dzwoniącego na alarm tuż przed nosem Atticusa.

Jem wyglądał tak tragicznie, że nie miałam sumienia powiedzieć mu: „A nie mówiłam?” Ciężkim krokiem odszedł od płotu, wlokąc bambus po chodniku.

Atticus powiedział:

- Przestańże dzwonić.

Dill złapał serce dzwonka; w ciszy, która nastąpiła, zapragnęłam, żeby zaczął dzwonić znowu. Atticus zsunął kapelusz z czoła i ujął się pod boki.

- Jem - zapytał - co ty właściwie robiłeś?

- Nic, ojcze.

- Masz mi tak nie odpowiadać. Mów.
- Chciałem... chcieliśmy tylko dać coś panu Radleyowi.
- Co dać?
- List po prostu.
- Pokaż mi ten list.

Jem wyciągnął zszargany kawałek papieru. Atticus wziął go od Jema i z niejakim trudem odcyfrował.

- Dlaczego tak wam zależy, żeby pan Radley wyszedł?
- Myśleliśmy, że może byłoby mu z nami przyjemnie... - zaczął Dill i ucichł, gdy Atticus spojrzał na niego.

- Synu - rzekł Atticus do Jema - coś ci powiem i już więcej powtarzać tego nie będę: przestań dokuczać temu człowiekowi. To się odnosi także i do was obojga.

Do spraw pana Radleya wtrącać się nie wolno. Jeśli on zechce wyjść, to wyjdzie. Jeśli woli siedzieć w domu, ma prawo tam siedzieć nie niepokojony dowodami zainteresowania ze strony wścibskich dzieci, co jest łagodnym określeniem takich jak my. Czy nam by się podobało, gdyby Atticus bez pukania ładował się do nas wieczorem, gdy się kładziemy do łóżek? W praktyce my właśnie w taki sposób narzucamy się panu Radleyowi. Tryb życia pana Radleya nam może wydawać się szczególny, ale jemu na pewno szczególny się nie wydaje. Co więcej, czy nam nigdy nie przyszło na myśl, że droga do ludzi, z którymi chcemy nawiązać kontakt, wiedzie przez drzwi frontowe, a nie przez boczne okno? I wreszcie: mamy się trzymać z daleka od tego domu, dopóki nie zostaniemy tam zaproszeni, skończyć raz na zawsze z takimi głupimi zabawami, jak ta dzisiejsza, i nie stroić sobie żartów z nikogo ani na tej ulicy, ani w tym mieście...

- Myśmy sobie z niego nie stroili żartów, myśmy się z niego nie wyśmiewali - zaprzeczał Jem.
- My tylko...

- A więc właśnie to robiliście.
- Czy myśmy chcieli się z niego wyśmiewać?
- Nie - rzekł Atticus. - Wyłącznie ku zbudowaniu sąsiadów odgrywaliśmy historię jego życia. Jem wyglądał trochę, jakby był spuchnięty.
- Nie powiedziałem o tym, że my odgrywamy, wcale nie powiedziałem.

Atticus uśmiechnął się oschle.

- Właśnie teraz mi powiedziałeś - dobił Jema. - Skończcie natychmiast z tymi bzdurami... wszyscy troje.

Jem zagapił się na Atticusa.

- Chcesz zostać adwokatem, prawda? - Usta naszego ojca zacisnęły się podejrzenie, jak gdyby starał się powstrzymać uśmiech.

Widząc, że kręcić nie ma celu, Jem milczał. Atticus wszedł do domu po jakieś akta, których zapomniał wziąć rano, i dopiero wtedy Jem wreszcie pojął, że dał się nabrać na najstarszą adwokacką sztuczkę w dziejach sądownictwa świata. Z uszanowaniem czekał w przyzwoitej odległości od schodków werandy, a potem patrzył bez słowa, jak Atticus wychodzi z domu i idzie do miasta. Gdy Atticus już nie mógł usłyszeć, wrzasnął za nim:

- Myślałem, że chcę zostać adwokatem, ale teraz to wcale nie jestem już taki pewien!

- Dobrze - zgodził się Atticus, gdy Jem go zapytał, czy możemy pójść nad sadzawkę panny Rachel i posiedzieć tam dłużej z Dilem, ponieważ to jego ostatni wieczór w Maycomb. - Pożegnajcie go ode mnie do przyszłego lata.

Przeskoczyliśmy przez niski murek, który oddzielał ogród panny Rachel od naszego podjazdu, Jem zagwizdał jak przepiórka i Dill podobnym gwizdem odpowiedział w ciemnościach.

- Wietrzyka ani trochę - powiedział Jem. - Popatrzcie. - Wskazał na wschód. Zza drzew w ogrodzie pani Maudie wytaczał się olbrzymi księżyc. - Przez to jeszcze goręcej.

- Krzyż na nim dzisiaj? - zapytał Dill, nie podnosząc oczu. Zajęty był skręcaniem papierosa ze sznurka i kawałka gazety.

- Nie, tylko ta pani. Nie pal tego, Dill. Zaczadzisz całą naszą stronę miasta.

Była pani na księżycu w Maycomb. Siedziała przy toalecie i czesała swoje bujne sploty.

- Brak nam ciebie będzie, chłopie - powiedziałam. - Co tam to wszystko... Lepiej uważajmy na pana Avery.

Pan Avery mieszkał jako sublokator naprzeciwko domu pani Henry Lafayette Dubose. Poza braniem sobie reszty z tacy kościelnej co niedziela, pan Avery odznaczał się tym, że co wieczór siedział na ganku do godziny dziewiątej i kichał. Pewnego wieczora przypadł nam w udziale przywilej oglądania jego popisu, chyba ostatniego, bo już nigdy, chociaż bardzo uważaliśmy, przed nami go nie powtórzył. Schodziliśmy wtedy, Jem i ja, z frontowych schodków panny Rachel, gdy nagle Dill nas zatrzymał: „Rety! Popatrzcie tam!” Palcem skierował nasz wzrok na drugą stronę ulicy. W pierwszej chwili był tam tylko obrośnięty chińskim bluszczem ganek, ale przyglądając się baczniej, zobaczyliśmy, jak z tego bluszczu tryska na bruk w żółtym kręgu ulicznego światła łuk wody długi chyba na dziewięć stóp. Jem powiedział, że pan Avery źle sobie wyliczył; Dill powiedział, że pan Avery najwidoczniej wypija galon płynów dziennie, i spór, który potem nastąpił na temat stosunkowej nośności i związanych z tym wyczynów, tylko sprawił, że raz jeszcze poczułam się poza nawiasem, gdyż nie mogłam błysnąć talentem w tej dziedzinie.

Dill przeciągnął się, ziewnął, i powiedział jakoś w sumie zbyt niedbale:

- Już wiem co, chodźmy na spacer.

Wzbudziło to we mnie podejrzliwość. Nikt w Maycomb nie chodził na spacer dla samego spaceru.

- Dokąd, Dill?

Dill machnął głową w kierunku południa. Jem przyjął tę propozycję.

- Świetnie. - I gdy zaprotestowałam, rzekł ze słodyczą: - Nie musisz iść z nami, aniołku majowy.

- Wy nie musicie iść. Nie pamiętasz...

Jem jednak nie był z tych, którzy rozpamiętują doznane porażki; wydawało się, że jedyną korzyścią moralną, jaką wyciągnął z napomnień Atticusa, było bliższe zapoznanie się ze sztuką krzyżowego ognia pytań.

- Smyk, my nic nie będziemy robili, tylko przejdziemy się do latarni na rogu i z powrotem.

W milczeniu odbywaliśmy ten spacer po chodniku słuchając, jak na werandach skrzypią huśtawki pod ciężarem naszych sąsiadów, słuchając, jak cicho, wieczornie gwarzą dorośli z naszej ulicy. Chwilami dolatywał do nas śmiech panny Stephanie Crawford.

- No? - zapytał wreszcie Dill.

- Świetnie - odparł Jem. - Może byś tak wróciła do domu, mała?

- Co chcecie zrobić?

Dill i Jem chcieli tylko zajrzeć w to okno z nieszczelną okiennicą, żeby się zorientować, czy tam są możliwości zobaczenia Dzikiego Radleya; jeżeli nie mam ochoty pójść z nimi, mogę zaraz wrócić do domu, bylebym tylko zamknęła tę swoją tłustą, kłapiącą buzię na kłódkę i koniec, kropka.

- Ale dlaczego, na rany koguta, czekaliście z tym aż do teraz?

Bo teraz nikt ich nie zobaczy po ciemku, bo teraz Atticus jest tak zaczytany, że nie usłyszałby nawet trąb na Sąd Ostateczny, bo teraz, jeśli Dzikie Radley ich zabije, stracą już tylko szkołę, a nie wakacje, i wreszcie, bo do ciemnego domu łatwiej zaglądać, gdy jest ciemno wokół, niż w biały dzień, czy ja nie rozumiem?

- Jem, proszę...

- Smyk, mówię ci po raz ostatni, zamknij jadaczkę albo idź do domu... Klnę się przed Bogiem, że z dnia na dzień zachowujesz się coraz bardziej jak dziewczyna!

Wobec tego pozostawało mi tylko im towarzyszyć. Uznaliśmy, że lepiej przeleźć pod drutami wysokiego ogrodzenia na tyłach posesji Radleyów, gdyż tam mniejsze jest prawdopodobieństwo natknięcia się na kogokolwiek. Za drutami z tamtej strony był duży ogród warzywny i wąska drewniana przybudówka.

Jem podnosząc najniższy drut, skinął na Dilla, żeby pierwszy się pod nim przeczołgał. Potem przeczołgałam się ja i przytrzymałam drut dla Jema. Z trudem udało się Jemowi precyzyjnie.

- Ciiiicho - upomniał nas szeptem. - I w żadnym razie nie wejdźcie gdzieś w kapustę. Ona umarłego obudzi, jak zacznie chrząścić.

Z myślą o tym robiłam może jeden krok na minutę. Szybciej ruszyłam dopiero wtedy, gdy Jem już daleko w księżycowej poświacie przynaglił mnie machaniem ręki. Doszliśmy do furtki, która prowadziła z warzywnika na podwórko za domem. Jem spróbował furtkę uchylić. Skrzywnęła.

- Napluj na nią - szepnął Dill.

- Wpakowałeś nas w historię, Jem - zaburczałam. - Nie wydostaniemy się stąd tak łatwo.

- Pssst... pssst. Pluj na nią, Smyk.

Pluliśmy, dopóki nam śliny w ustach nie zabrakło, po czym Jem wolniutko otworzył furtkę, odciągając ją na bok aż do samego płotu. Weszliśmy na podwórko.

Dom Radleyów od tyłu wyglądał jeszcze mniej zachęcająco niż z frontu; na całą jego szerokość ciągnął się ganek w bardzo opłakanym stanie; było tam dwoje ciemnych drzwi i ciemne między nimi okna. Dach ganku podtrzymywała zamiast kolumny kanciasta nie oheblowana belka. Pękaty piec werandowy w kącie był stary i poobijany; nad piecem wisiał wieszak z lustrem, które odbijało poświatę i jaśniało niesamowicie.

- Brr - cicho mruknał Jem, podrywając nogę.

- Co się stało?

- Kury - rzucił szeptem.

To, że powinniśmy ostrożnie wymijać czającą się zewsząd niewidzialność, znalazło potwierdzenie, gdy Dill o parę jardów przed nami, jak mógł najciszej, przesyłabizował:

- Bo-żee!

Przeczołgaliśmy się za róg domu do bocznej ściany i tego okna z nieszczelną okiennicą. Jem był trochę za niski, żeby dosięgnąć parapetu.

- Podesadź mnie - szepnął do Dilla. - Ale zaczekaj.

Prawą ręką chwycił się za przegub lewej ręki, a lewą ręką złapał mnie za przegub prawej. Ja go wzięłam za przegub prawej ręki, trzymając się za przegub swojej lewej. Oboje przykucnęliśmy i Dill usiadł na tym naszym „stołeczku”. Podnieśliśmy go tak, by złapał się parapetu.

- Prędszej - wysapał Jem. - Długo cię nie utrzymamy.

Dill szturchnął mnie w ramię, więc opuściliśmy go na ziemię.

- Co zobaczyłeś?

- Nic. Firanki. Ale tam gdzieś się świeci odrobineczka światła.

- Uciekajmy - zaszemrał Jem. - Za dom z powrotem. Ciii... - ostrzegł mnie, gdy otworzyłam usta, żeby zaprotestować.

- Zajrzyjmy do okna tam z tyłu.

- Dill, nie - powiedziałam.

Dill zatrzymał się i puścił Jema naprzód. Wzdrygnęliśmy się, słysząc skrzypnięcie najniższego schodka ganku pod nogą Jema. Jem zamarł i dopiero po chwili stopniowo stanął na tym schodku obiema nogami. Potem stąpił od razu o dwa schodki wyżej na ganek, dźwignął się tam cały i zaczął balansować, co trwało dość długo. Gdy w końcu odzyskał równowagę, przyklęknął. Doczołgał się do okna, podniósł głowę i zajrzał.

Wtedy zobaczyłam ten cień. To był cień mężczyzny w kapeluszu. Pomyślałam najpierw, że to cień drzewa, cóż kiedy to się ruszało, chociaż żaden wietrzyk nie powiał, a drzewa przecież nie chodzą. Po podłodze ganku zalanej księżycową poświatą sunął ten cień o ostro zarysowanych konturach prosto na Jema.

Zaraz i Dill go zobaczył. Ukrył twarz w dłoniach.

Jem zobaczył ostatni, już gdy cień padł na niego. Oplótł głowę rękami i zeszywniał.

Cień zatrzymał się tuż za Jemem. Przysłonił jeszcze kawałek podłogi ciemnym kształtem wyciągającej się ręki, cofnął rękę i znieruchomiał. Po chwili zawrócił, znów przesunął się przez Jema, przez ganek i zniknął za węglem domu tam, skąd się pojawił.

Jem zeskoczył z ganku i przygalopował do nas. Jednym pchnięciem otworzył furtkę na oścież, w szaleńczym pląsie poganiał przez nią Dilla i mnie między dwa rzędy chrząszczącej, bezgłowej kapusty. W połowie drogi wśród tego chrzęstu potknęłam się; w tym samym momencie okolicą wstrząsnął huk wystrzału.

Dill i Jem przypadli obok mnie do ziemi. Oddech Jema był jak urywany szloch.

- Do płotu szkolnego! Prędszej, Smyk!

Jem podniósł dolny drut ogrodzenia; Dill i ja przeturlaliśmy się pod drutem i przebiegliśmy prawie pół drogi do schronienia pod samotnym dębem na szkolnym boisku, gdyśmy nagle się zorientowali, że Jem został. Zawróciliśmy pędem: Jem szamocząc się jeszcze pod drutem, wygramolił się ze spodni, które zahaczyły o drut i nie dawały się odzepić. Do dębu dobiegł w samych majtkach.

Bezpieczni za grubym pniem pozwoliliśmy sobie na kompletne odrętwienie, ale umysł Jema nie ustawał w galopie. - Musimy gnać do domu, bo zobaczą, że nas nie ma. Pomknęliśmy więc przez boisko, przeczołgaliśmy się pod drutami na Łąkę Jeleni za naszym domem, przeleźliśmy przez nasz płot i dopadliśmy już do schodków tylnej werandy, zanim Jem pozwolił nam się zatrzymać.

Po odzyskaniu tchu w piersiach wszyscy troje krokiem spacerowym, najbardziej niedbałym, na jaki mogliśmy się zdobyć, poszliśmy przez ogród na frontową werandę. Wyglądając na ulicę, zobaczyliśmy przy furtce Radleyów zbiegowisko.

- Chodźmy tam lepiej - powiedział Jem. - Pomyślą, że to dziwne, że nas tam nie ma.

Przed furtką stał pan Nathan Radley z otwartą dubeltówką na ramieniu. Był Atticus, była pani Maudie i panna Stephanie Crawford. W pobliżu stali panna Rachel i pan Avery. Nikt nie zauważył naszego nadejścia.

Pani Maudie obejrzała się, gdyśmy obok niej przystanęli.

- Gdzieście byli, że nie słyszeliście tego hałasu?

- Co się stało? - zapytał Jem.

- Pan Radley strzelił do jakiegoś Murzyna buszującego w jego kapuście.

- Och, trafił?

- Nie - poinformowała nas panna Stephanie. - W powietrze strzelił. Ten czarnuch jednakże aż zbieleł, tak się przestraszył. Pan Radley mówi, że jeżeli ktoś widział kiedy białego czarnucha, to właśnie on teraz. Mówi, że ma jeszcze jedną lufę, i niech mu tylko jeszcze raz coś zachrupi w tym zagonie, to on już nie w górę strzeli, czy to byłby pies, czy czarnuch, czy... Jemie Finch!

- Co, proszę pani? - zapytał Jem.

Atticus zabrał głos.

- Gdzie twoje spodnie synu?

- Spodnie, ojcze?

- Spodnie.

Wszystko na nic. W majtkach wobec Boga i bliźnich. Westchnęłam.

- Ojej... Proszę pana...?

W świetle latarni ulicznej zobaczyłam, że Dill już wpada na jakiś pomysł; oczy miał wielkie, pulchna twarz cherubinka jeszcze bardziej mu się zaokrągliła.

- O co chodzi, Dill? - zapytał Atticus.

- Oj, boja wygrałem je od niego - wyjaśnił Dill trochę jeszcze mgliście.

- Wygrałeś je? Jak to?

Dill złapał się za potylicę. Potem przesunął rękę na przód głowy i potarł czoło.

- Graliśmy w rozbieranego pokera tam nad sadzawką - sprecyzował.

Jem i ja odetchnęliśmy z ulgą. Wyjaśnienie było chyba wystarczające, bo wszyscy

zesztywnieli. Tylko co to jest rozbierany poker?

Nie mieliśmy możliwości się dowiedzieć; jak syrena miasteczkowej straży pożarnej zahuczała nagle panna Rachel:

- Oooooo Jeeezuuu, Dillu Harris! Gry hazardowe nad moją sadzawką? Już ja cię bez pokera rozbiore, mój panie!

Atticus jednak ocalił Dilla przed natychmiastowym rozebraniem.

- Chwileczkę, panno Rachel - powiedział. - Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby oni to robili. Grałiscie w karty?

Z zamkniętymi oczami Jem kopnął piłkę tak genialnie podaną przez Dilla.

- Nie, w zapałki.

Podziwiałam rozmach mego brata. Zapałki kryły w sobie tylko pewne niebezpieczeństwo, podczas gdy karty, karty nieuchronnie pociągnęłyby za sobą najstraszliwsze skutki.

- Jem, Smyku - powiedział Atticus. - Nie chcę już słyszeć o pokerze w żadnej formie. Pójdiesz teraz do Dilla i włożysz spodnie. Jem, załatwcie to jakoś między sobą.

- Nie martw się, Dill - sapał pocieszająco Jem, gdyśmy kłusowali do domu panny Rachel. - Ona ci nic nie zrobi. On ją zagada. Ale miałeś szybki refleks, bracie. No... posłuchaj... nie słyszysz?

Zatrzymaliśmy się.

- To nic poważnego... - usłyszeliśmy głos Atticusa. - Oni wszyscy przez to przechodzą, panno Rachel...

Dill się uspokoił, Jemem jednak i mną nadal szarpał niepokój. Staliśmy przed problemem, jakie spodnie Jem pokaże jutro rano.

- ...dałbym ci któreś swoje - w trybie warunkowym zaofiarował się Dill już przy schodkach panny Rachel.

Jem powiedział, że na pewno by się nie zmieścił, ale tak czy owak dziękuje. Pożegnaliśmy się do przyszłego lata i Dill zniknął w sieni. Najwidoczniej przypomniał sobie przecież, że jest ze mną zaręczony, bo zaraz wybiegł z powrotem i przed nosem Jema szybko mnie pocałował.

- Pisz do mnie, słyszysz? - wrzasnął za nami.

Nawet gdyby spodnie Jema były szczęśliwie na Jemie, też byśmy za dobrze nie spali tej nocy. Każdy nocny szmer, jaki dolatywał do mego łóżka polowego na tylnej werandzie, rozlegał mi się w uszach spotęgowany trzykrotnie; każdy zgrzyt kroków na żwirze to był Dzik Radley gnany żądzą zemsty; każdy Murzyn, który przechodził, śmiejąc się gdzieś w mrokach, to był Dzik Radley na swobodzie w pościgu za nami; owady uderzające w siatkę to był Dzik Radley już w chwili, gdy pod jego rozszalałymi palcami wąły drut rwie się na strzępy; drzewa tropikalne stały złe, drapieżne i groźne, pełne tajemniczego życia. Trwałam w jakimś zawieszeniu pomiędzy snem a jawą, gdy nagle szeptem jak w baśni Grimma odezwał się Jem:

- Śpisz, Trzy-Oczko?

- Czyś ty głupi?

- Pssst. Światło u Atticusa zgasło.

W zanikającym blasku księżycy nogi Jema zahuśtały się nad podłogą.

- Idę po nie - oznajmił.

Usiadłam na łóżku.

- Nie możesz. Ja cię nie puszczę.

Jem wbijał się w koszulę.

- Muszę.

- Pójdiesz, to obudzę Atticusa.

- Obudzisz go, to cię zabiję.

Pociągnęłam go na swoje łóżko. Spróbowałam przemówić mu do rozsądku.

- Pan Nathan je znajdzie rano, Jem. On wie, że byłeś bez spodni. Więc pokaże Atticusowi i będzie niedobrze, ale na tym koniec. Wracaj do łóżka.

- No właśnie - powiedział Jem. - Dlatego je zabiorę.

Zbierało mi się na mdłości. Samotny powrót w tamto miejsce... Przypomniałam sobie, co mówiła panna Stephanie: pan Nathan ma jeszcze jedną lufę i niech mu tylko jeszcze raz coś zachrupi, czy to będzie czarnuch, czy pies, czy... Jem wie przecież o tym nie gorzej ode mnie.

Byłam w rozpacz.

- Słuchaj, Jem, nie warto. Baty boją, ale nie wiecznie. Ajak sobie dasz głowę odstrzelić, Jem.

Proszę cię...

Jem posapując, wysłuchał tego cierpliwie.

- Ja... bo chodzi o to, Smyk - mruknął - Atticus nie zbił mnie jeszcze nigdy. Chcę to tak utrzymać.

To była myśl. Mogłoby się wydawać, że Atticus co drugi dzień grozi nam biciem.

- Chodzi ci chyba o to, że on cię jeszcze nigdy nie przyłapał.

- Może o to, ale chcę, żeby tak dalej było. W ogóle szkoda, żeśmy tam poszli dziś wieczorem.

To właśnie wtedy, przypuszczam, nić pełnego zrozumienia pomiędzy nami zaczęła się rwać. Dotychczas zdarzało się, że nie rozumiałam Jema, ale okresy mojej dezorientacji szybko mijały. Tym razem jednak poczułam, że nie wzniosę się na jego wyżyny.

- Proszę - spróbowałam znowu. - Zastanów się choć trochę... sam jeden przy tym domu.

- Zamknij się!

- Przecież Atticus aż tak się nie rozgniewa, że już nigdy słowem się do ciebie nie odezwie i w ogóle... Ja go obudzę, Jem, przysięgam, że go obudzę...

Jem chwycił mnie za kołnierzyk piżamy i zacisnął mi go na szyi.

- No, to ja z tobą pójdę - wykrztusiłam.

- Nie, nie pójdziesz. Tylko byś narobiła hałasu.

Musiałam ustąpić. Otworzyłam kluczem drzwi werandy i stałam w nich, dopóki Jem nie zszedł ze schodków.

Chyba już była godzina druga. Księżyc zachodził i cienie krat rozmazywały się w nicość. Jasne poły koszuli Jema migąły to niżej, to wyżej, jak biały upiórek uciekający w płasie przed nadejściem poranka. Zerwał się lekki wietrzyk, chłodząc moją spoconą skórę.

„Jem pobiegł tam od tyłu - myślałam - przez Łakę Jeleni i przez boisko za róg do tych drutów... przynajmniej tamtędy miał zamiar. To dłuższa droga, więc jeszcze nie pora się martwić". Odczekałam pewien czas i gdy uznałam, że już jest pora, nastawiłam uszu, czy nie

słysząc dubeltówki pana Radleya. Potem wydało mi się, że nasz płot skrzypi. Ale to tylko dlatego, że ja pragnęłam, by zaskrzypiał.

Potem usłyszałam kaszel Atticusa. Wstrzymałam oddech. Nieraz, gdyśmy odprawiali nasze północne pielgrzymki do łazienki, okazywało się, że Atticus czyta. Mówił, że często budzi się w nocy, zagląda do nas, czy wszystko w porządku, i czyta, żeby znów zasnąć. Czekałam na światło w oknie Atticusa i wytyżając wzrok, wypatrywałam jasnej smugi z jego drzwi w holu. Wciąż jednak było ciemno, więc na nowo zaczęłam oddychać.

Szmery w trawach ucichły, bo wielkie dżdżownice już ukryły się z powrotem w ziemi, ale dojrzałe jagody drzew tropikalnych, gdy zrywał się wietrzyk, spadały na dach z bębnieniem i gdzieś daleko w ciemnościach szczekały psy rzewnie, jakby były same na całym świecie.

Otóż i on. Wracił do mnie. Koszula w podrygach zabielała nad płotem i powoli stawała się coraz większa. Jem wszedł po schodkach, zamknął za sobą drzwi i usiadł na swym łóżku. Bez słowa podniósł w ręce spodnie.

Położył się i przez chwilę słyszałam, jak łóżko pod nim jeździ. Wkrótce potem to ucichło. Już nie słyszałam z tamtej strony nic.

7

Jem był przygaszony i milczący przez tydzień. W myśl rady, którą dał mi kiedyś Atticus, próbowałam wejść w skórę Jema i pochodzić w niej trochę. Gdybym to ja wybrała się samotnie na posesję Radleyów o godzinie drugiej nad ranem, mój pogrzeb prawdopodobnie odbyłby się nazajutrz po południu. Więc pozostawiałam Jema samemu sobie i starałam się nie zawracać mu głowy.

Zaczął się rok szkolny. W drugiej klasie było równie źle, jak w pierwszej, o ile nie gorzej. Nadal nam pokazywano kartoniki z literami i nie pozwalano ani czytać, ani pisać. Postępy panny Caroline w nowej pierwszej klasie za ścianą można było ocenić na podstawie częstotliwości wybuchów śmiechu; niemniej stara gwardia, która i ten rok także miała tam spędzić, dziarsko jej pomagała utrzymać porządek. Jedyłą dla mnie dobrą rzeczą w klasie drugiej było to, że nie kończyłam lekcji wcześniej niż Jem, więc zwykle wracaliśmy do domu razem o godzinie trzeciej.

W pewne popołudnie, gdyśmy tak szli przez boisko, Jem ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Jednej rzeczy ci nie mówiłem.

Ponieważ to było pierwsze pełne zdanie, jakie wypowiedział od kilku dni, podchwyciłam je, żeby go zachęcić.

- O czym?

- O tamtej nocy.

- W ogóle nic o tamtej nocy mi nie mówiłeś - zauważyłam.

Jem machnął na to ręką, jakby odganiał komary. Odezwał się dopiero po chwili.

- Jak wtedy wróciłem po spodnie... One przecież były nie do odczepienia, kiedy z nich wyszedłem. Jak wtedy wróciłem, leżały złożone na drucie... zupełnie jakby się spodziewały, że ja przyjdę.

- Złożone...

- I jeszcze coś. - Głos Jema był bezbarwny. - Pokażę ci w domu. One były zszyte. Nie tak, jak panie szyją... tak, jak może sam bym je zszył. Strasznie krzywo. Więc to było prawie... jakby...

- Jakby ktoś odgadł, że ty tam wrócisz.

Jem wzdrygnął się.

- Jakby ktoś czytał w moich myślach... jakby ktoś wiedział, co zrobię. Nikt przecież nie może wiedzieć, co zrobię, jeżeli mnie nie zna, no nie, Smyk?

Pytanie Jema było prośbą. Zapewniłam go:

- Nikt nie może wiedzieć, co zrobisz, jeżeli nie mieszka z tobą w jednym domu, i nawet ja czasem nie wiem, chociaż mieszkam.

Przechodziliśmy teraz pod naszym drzewem. W dziurze po sęku leżał kłębek szarego sznurka.

- Nie bierz tego, Jem - powiedziałam. - Ktoś zrobił tu sobie schowek.

- Ja myślę, Smyk, że nie.

- Owszem, tak. Ktoś taki jak Walter Cunningham przychodzi tu na każdą przerwę i chowa sobie rzeczy... a my przechodzimy i mu zabieramy. Słuchaj, zostaw to i parę dni zaczekajmy. Jeżeli jeszcze będzie, wtedy weźmiemy dla siebie, dobrze?

- Dobrze, może masz rację - zgodził się Jem. - To musi być schowek jakiegoś dzieciucha. On chowa rzeczy przed większymi. No, bo znajdujemy te rzeczy tylko jak jest szkoła.

- Aha - przytaknęłam. - Ale w lecie nigdy tędy nie chodzimy.

Poszliśmy do domu. Nazajutrz kłębek sznurka był w tym samym miejscu. Trzeciego dnia też tam był, więc Jem go sobie przywłaszczył. Od tej chwili uważaliśmy, że wszystko, co znajdujemy w tej dziurze po sęku, jest nasze.

W drugiej klasie było ponuro, ale Jem mnie zapewniał, że im będę starsza, tym szkoła będzie lepsza, i że on też tak zaczynał, i że w ogóle człowiek dopiero gdy dochodzi do klasy szóstej, może się nauczyć czegoś wartościowego. Szósta klasa wyraźnie od samego początku przypadła Jemowi do gustu; z upodobaniem, chociaż dość krótko, przechodził nawet „okres egipski”, czym zupełnie mnie oszalał: zamiast biegać, sunął z jedną ręką wysuniętą do przodu, drugą cofniętą do tyłu, stawiając nogi jedna tuż za drugą. Twierdził, że to jest właśnie chód Egipcjan; zwierzyłam się, że jeśli oni naprawdę tak chodzili, nie rozumiem, jak mogli zrobić cokolwiek, ale Jem mnie pouczył, że oni jednak dokonali znacznie więcej niż Amerykanie w całych swoich dziejach, bo wynaleźli papier toaletowy i balsamowanie wiekuiste, i zapytał, gdzie my bylibyśmy dzisiaj, na Boga, gdyby nie oni. Atticus mi powiedział, że mam odrzucić oba przymiotniki, a będę znała fakty.

Nie ma wyraźnie określonych pór roku na południu stanu Alabama: lato prawie niedostrzegalnie zamienia się w jesień, a po jesieni wcale nie nastaje zima, tylko od razu jest wiosna, która w ciągu kilku dni przechodzi znowu w lato. Tamta jesień długo była złota, prawie nie dość chłodna na chodzenie w lekkiej kurtce. W pogodne popołudnie października kłusując po zwykłej orbicie, znów musieliśmy się zatrzymać przy naszym drzewie. Tym razem w tej małej dziupli tkwiło coś białego.

Jem pozwolił mi czynić honory; wyciągnęłam dwie figurynki z mydła. Jedna była chłopcem, druga dziewczynką w niezgrabnej spódniczce.

Zanim sobie przypomniałam, że w żadnych przedmiotach na prawdziwym świecie nie kryją się złe czary, z wrzaskiem rzuciłam figurki na ziemię. Jem błyskawicznie je podniósł.

- Co ci jest? - ryknął. Wytarł z figurek czerwony pył. - Ładne - zaopiniował. - W życiu swoim nie widziałem takich ładnych.

Podsunał mi je pod oczy. Przyjrzałam się tym niemal doskonałym miniaturkom dwojga dzieci. Chłopiec był w majtkach i mydlane kudełki opadały mu do brwi. Przeniosłam wzrok na Jema. Kosmyk prostych ciemnoblonde włosów odstawał mu buntowniczo od przedziałka. Nigdy dotąd nie zwróciłam na to uwagi.

Jem patrzył to na mnie, to na dziewczynkę z mydła. Dziewczynka miała grzywkę, ja też.

- My - powiedział.

- Kto nas zrobił, jak myślisz?

- Kogo tu znamy, kto potrafi strugać? - zapytał.

- Pana Avery.

- Pan Avery struga zwyczajnie. Nie rzeźbi. Przeciętą pana Avery na tydzień wynosiła jedno polano drzewa. Strugał je na wykałaczkę i żuł.

- Akawaler starej panny Stephanie Crawford? - podsunęłam.

- On wycina serca na drzewach, i owszem, ale mieszka na wsi. I czy on w ogóle nas zauważa?

- Może kiedy siedzi u niej na werandzie, cały czas patrzy na nas, a nie na nią. Ja bym na jego miejscu wołała na nas.

Jem zagapił się na mnie przeciągle, więc zapytałam, o co chodzi, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko:

- O nic, Smyk.

Po powrocie do domu Jem włożył te figurynki do swego kuferka.

W niespełna dwa tygodnie później znaleźliśmy całą paczkę gumy do żucia, która bardzo nam smakowała, bo fakt, że wszystko na posesji Radleyów jest zatrute, już uleciał z pamięci Jema.

W następnym tygodniu plonem, jaki wydała dziura po sęku, był zmatowiały medal. Jem pokazał go Atticusowi, który powiedział, że to medal za ortografię i że dawniej w szkołach hrabstwa Maycomb urządzano zawody pisania bez błędów, wynagradzając zwycięzców takimi właśnie medalami. Ktoś widocznie ten medal zgubił, powiedział Atticus, i czy już się dowiadujemy w okolicy? Jem kopnął mnie w kostkę, gdy chciałam powiedzieć, gdzie myśmy to znaleźli. Zapytał, czy Atticus nie przypomina sobie przypadkiem kogoś z tych nagrodzonych, ale Atticus odpowiedział, że nie.

Największy skarb, jakim obdarzyło nas drzewo przy posesji Radleyów, dostał się nam w cztery dni później. Był to zegarek kieszonkowy, który nie chodził - na dewizce z aluminiowym szczyrykiem.

- Myślisz, że to białe złoto. Jem?

- Nie wiem. Pokażę Atticusowi.

Atticus powiedział, że to prawdopodobnie byłoby warte z dziesięć dolarów - scyzoryk, dewizka i wszystko - gdyby było nowe.

- Wymieniłeś się na to z kimś w szkole? - zapytał.

- Och, nie! - Jem wyciągnął z kieszeni stary zegarek dziadka; Atticus pozwalał mu nosić go raz na tydzień pod warunkiem, że Jem będzie na niego uważał. W dni noszenia zegarka Jem poruszał się, jakby był ze szkła. - Atticus, jeżeli pozwolisz, to ja wolę tamten zamiast tego. Może potrafię go naprawić.

Bo gdy zegarek dziadka przestał być nowością i noszenie go stało się całodziennym uciążliwym obowiązkiem, Jem już nie odczuwał potrzeby sprawdzania co pięć minut, która jest godzina.

Jako zegarmistrz spisał się nieźle - tylko jedna sprężynka i jakieś dwie malusieńkie części zostały, gdy złożył całość z powrotem, ale zegarek nie chciał chodzić.

- Oooh - westchnął - on nigdy nie ruszy. Smyk...

- No?

- Nie uważasz, że powinniśmy napisać list do tego kogoś, kto zostawia dla nas te rzeczy?

- To byłoby bardzo grzecznie, Jem, możemy podziękować... Co ci się stało?

Jem trzymał się za uszy i kręcił głową w lewo i w prawo.

- Nie rozumiem... po prostu nie rozumiem... nie wiem, dlaczego, Smyk... - Spojrzał w stronę gabinetu. - Mam ochotę powiedzieć Atticusowi... nie, chyba nie!

- Ja mu powiem za ciebie.

- Nie, nie rób tego, Smyk. Smyk?

- Co-o?!

Przez cały ten wieczór Jem najwyraźniej miał mi coś do powiedzenia; z twarzą rozjaśnioną przysuwał się do mnie, cóż kiedy natychmiast się rozmyślał. Rozmyślił się i tym razem.

- Och, nic.

- No, piszmy list.

Podsunęłam mu pod nos blok i ołówek.

- Dobrze. Szanowny panie...

- Skąd wiesz, że to pan? Idę o zakład, że to pani Maudie... już od dawna idę o zakład.

- Eee tam, pani Maudie nie żuje gumy. - Jem uśmiechnął się szeroko. - Wiesz, ona czasem potrafi naprawdę ładnie mówić. Kiedyś, jak ją poczęstowałem, powiedziała: nie, dziękuję, bo... guma jej przywiera do podniebienia i mowę odbiera - wyrecytował starannie. - Prawda, że to ładne?

- Aha, ona czasem mówi ładne rzeczy. Ale i tak by nie miała zegarka z dewizką.

- Szanowny panie - powiedział Jem. - Wielce sobie cenimy ten... wielce sobie cenimy wszystko, co pan zostawiał dla nas w tym drzewie. Z poważaniem Jeremy Finch.

- Nie będzie wiedział, że to ty, jeżeli w taki sposób się podpisiesz, Jem.

Jem wytarł gumką swój podpis i napisał „Jem Finch”. Ja się podpisałam pod spodem: „Jean Louise Finch (Smyk)”. Jem włożył ten list do koperty.

Nazajutrz w drodze do szkoły, wyprzedzając mnie, podbiegł do drzewa pierwszy. Spojrzał zwrócony twarzą do mnie i zobaczyłam, że zbladł jak ściana.

- Smyk! Podbiegłam.

Naszą dziuplę ktoś zalał cementem.

- Nie płacz, no, Smyk... już nie płacz, nie martw się - upominał mnie Jem mrukliwie przez całą drogę do szkoły.

Gdy wróciliśmy do domu, Jem po błyskawicznie zjedzonym obiedzie wybiegł na werandę i stanął na schodkach. Przyłączyłam się do niego.

- Jeszcze nie przechodził - mruknął.

Następnego dnia ponowił ten dyżur i swój cel osiągnął.

- ...ś pan ma? - zagadnął.

- Dzień dobry, Jem. Dzień dobry, Smyku - powiedział w przejściu pan Nathan Radley.

- Proszę pana - zatrzymał go Jem.

Pan Radley odwrócił się.

- Proszę pana, oj... pan wsadził cement tam w dziuplę w tamtym drzewie?

- Tak - odrzekł pan Radley - zalałem ją.

- Dlaczego, proszę pana?

- Drzewo umiera. Plombuje się drzewa cementem, kiedy są chore. Powinieneś to wiedzieć, Jem.

Ani słowa Jem już o tym nie mówił przez całe prawie popołudnie. Gdyśmy mijali nasze drzewo, bez słowa poklepał ten cement i dalej dumał nad czymś głęboko. Humor mu się coraz bardziej pogarszał, więc trzymałam się od niego z daleka.

Pod wieczór jak zwykle wybiegliśmy na spotkanie wracającego z kancelarii Atticusa. Już dochodząc z nim do schodków werandy, Jem powiedział:

- Atticus, popatrz tam na to drzewo, bardzo proszę.

- Na które, synku?

- Tam w rogu posesji Radleyów od strony szkoły.

- No?

- Czy ono umiera?

- Nie, synku, nie sędzę. Widzisz liście: zielone, nie zeschnięte, bez żadnych brązowych plam...

- Więc nawet nie jest chore?

- Zdrowe jak ty, Jem. Dlaczego pytasz?

- Pan Nathan Radley powiedział, że ono umiera.

- No, być może. Z pewnością pan Radley zna się na drzewach lepiej niż my.

Atticus zostawił nas na werandzie. Jem oparł się o filar, ocierając się o niego ramionami.

- Swędzi cię, Jem? - zapytałam, jak mogłam najgrzeczniej. Nie odpowiedział. - Chodź do domu, Jem - powiedziałam.

- Za chwilę.

Stał tam aż do zmroku, więc ja też stałam i czekałam. Wreszcie weszliśmy do holu. Zobaczyłam, że on płakał; twarz miał brudną właśnie w takich miejscach, ale dziwiło mnie, że tego płaczu nie słyszałam.

Z powodów, których zgłębić nie mogli nawet najwytrawniejsi prorocy hrabstwa Maycomb, jesień tamtego roku zamieniła się w zimę. Mieliśmy dwa tygodnie mrozów nie notowanych tu, jak powiedział Atticus, od roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego. Pan Avery dowodził, że już na kamieniu w egipskim mieście Rosetta starożytni wykuli znaną prawdę, że gdy dzieci nie słuchają rodziców, palą papierosy i wojują ze sobą, pory roku ulegają niezwykłym zmianom; na Jema i na mnie spadło brzemie winy, ponieważ przyczyniliśmy się do wybryków natury, wywołując tym samym niezadowolenie sąsiadów i sobie utrudniając życie.

Stara pani Radley zmarła tamtej zimy, ale śmierć jej przeszła prawie bez echa - rzadko ją widywano, jeśli nie podlewała kwiatów. Jem i ja uznaliśmy, że to Dzik Radley wreszcie ją wykończył, cóż, kiedy Atticus po powrocie z domu Radleyów rozczarował nas wiadomością, że ona umarła śmiercią naturalną.

- Zapytaj go - szepnął Jem.

- Ty zapytaj, jesteś starszy.

- Właśnie, dlatego ty powinnaś.

- Atticus - zapytałam - widziałeś pana Arthura?

Atticus surowo spojrzał na mnie znad gazety.

- Nie widziałem.

Jem powstrzymał mnie od dalszych pytań. Powiedział, że Atticus jest wciąż jeszcze przeczulony na punkcie nas i Radleyów, więc nie warto się dopytywać. Atticus - takie Jem miał wrażenie - chyba uważa, że nasze wyczyny w tamten wieczór latem nie ograniczyły się wyłącznie do rozbieranego pokera. Absolutnie nic nie świadczy o tym, że Atticus mógłby się domyślić, powiedział Jem, tyle że jego, Jema, coś tknęło.

Nazajutrz rano, gdy się obudziłam i wyjrzałam przez okno, omal nie umarłam z przerażenia. Moje wrzaski sprowadziły Atticusa z łazienki, na pół ogolonego.

- Świat się kończy, Atticus! Błagam, zrób coś...! - Pociągnęłam go do okna.

- Nie, nie kończy się - rzekł Atticus. - Śnieg pada.

Jem zapytał, czy to się utrzyma. Jem też nigdy dotąd nie widział śniegu, ale on przynajmniej wiedział, co to jest. Atticus odrzekł, że zna się na śniegu nie lepiej niż Jem.

- Myślę jednak, że taki mokry zamieni się w deszcz.

Zadzwoił telefon, więc Atticus odszedł od śniadania, żeby go odebrać. Po chwili wrócił.

- To Eula May - oznajmił. - Cytuję: „Ponieważ śnieg nie padał w Maycomb od roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego, szkoły dziś nie będzie”.

Eula May była przodującą telefonistką miasta Maycomb. Urzędowo przekazywała zarządzenia i zaproszenia na ślub, alarmowała straż pożarną i udzielała wskazówek z zakresu „Lekarz Domowy” w czasie nieobecności doktora Reynoldsa.

Gdy Atticus w końcu przywołał nas do porządku i kazał patrzeć w talerze, a nie w okna, Jem zapytał:

- Jak się lepi bałwana?

- Pojęcia nie mam - odpowiedział Atticus. - Nie chcę was rozczarować, ale wątpię, czy tego śniegu wystarczy bodaj na śnieżkę.

Calpurnia, która na to weszła, oświadczyła, że według niej ten śnieg jest lepki. Gdyśmy wybiegli do ogrodu, ziemię powlekała cienka warstewka rozmokłej bieli.

- Nie powinniśmy po nim chodzić - zauważył Jem.

- Patrz, każdym krokiem się go marnuje.

Obejrzałam się na rozmiękłe ślady swoich stóp. Jem powiedział, że jeśli zaczekamy, żeby napadało więcej, może da się zbierać dostateczną ilość na bałwana. Nastawiłam język pod płatek w locie. Płatek był gorący. Parzył.

- Jem, to piecze!

- Nie, wcale nie, tylko jest aż takie zimne. No, Smyk, nie zjadaj śniegu, to marnowanie. Niech on pada.

- Ale ja chcę po nim chodzić.

- Wiesz... możemy chodzić u pani Maudie.

Jem paroma ostrożnymi susami dostał się do furtki. Skakałam po jego śladach. Na ulicy przed domem pani Maudie zatrzymał nas pan Avery. Oblicze miał różowe, a brzuch wielki, obwisły poniżej pasa.

- Widzicie, coście narobili? - powiedział. - Śnieg nie padał w Maycomb od czasu bitwy pod Appomattox. To przez takie niegrzeczne dzieci jak wy, przewrót następuje w naturze.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem pan Avery nie wie, z jaką nadzieją czekaliśmy w lecie, żeby on powtórzył swój wyczyn, i nagle przyszło mi na myśl, że jeśli śnieg ma być karą dla nas, to coś jednak przemawia za tym, by grzeszyć; skąd pan Avery czerpie takie dane meteorologiczne, oczywiście wiedziałam - pochodziły one prosto z Rosetty, z owego kamienia.

- Jemie Finch! Jemie Finch!

- Pani Maudie cię woła, Jem.

- Nie podchodźcie do domu. Śnieg przysypał moje zioła przy ganku. Nie chcę, żebyście je podeptali.

- Dobrze, psz...ani! - zawołał Jem.

- Prawda, że jest przepięknie, pani Maudie?

- Przepięknie, psia noga! Jeżeli mróz złapie w nocy, pójdą wszystkie moje azalie.

Stary kapelusz plażowy pani Maudie lśnił kryształkami śniegu. Pani Maudie pochylona otulała małe krzaczki płóciennymi workami. Jem zapytał, po co ona to robi.

- Żeby im było ciepło - odrzekła.

- Jak może być ciepło kwiatom? Przecież nie mają w sobie krążenia.

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Jemie Finch. Wiem tylko, że w razie mrozu dziś w nocy te rośliny zmarzną, więc trzeba je zabezpieczyć. Czy to jasne?

- Jasne. Pani Maudie?

- Słucham szanownego pana.

- Czy mogłaby pani nam pożyczyć, Smykowi i mnie, łydeczkę śniegu?

- W imię Ojca i Syna, bierzcie wszystek! Pod domem jest stary koszyk na brzoskwinię. Możecie go w tym koszyku stąd wywlekać. - Pani Maudie przymrużyła oczy. - Jemie Finch, co zamierzasz zrobić z moim śniegiem?

- Zobacz pani - powiedział Jem.

I przetransportowaliśmy z ogrodu pani Maudie przed nasz dom tyle śniegu, ile tylko się dało - co było raczej mokrą robotą.

- No, a teraz, Jem? - zapytałam.

- Zobaczysz - zbył mnie. - Złap koszyk i sprowadź tutaj wszystek śnieg, jaki możesz nagrabić w ogrodzie. Ale wracaj po swoich śladach - przestrzegł.

- Będziemy mieli bałwaniątko, Jem?

- Nie, prawdziwego bałwana. No, już. Trzeba popracować nie na żarty.

Jem pobiegł za dom, wyciągnął ogrodową motykę i zaczął szybko kopać za stertą drzewa na opał, odkładając na bok wszelkie znalezione przy tym glisty. Potem wszedł do domu i wrócił z koszem na bieliznę, napełnił go wykopaną ziemią i przytaszczył przed dom.

Gdyśmy już mieli pięć koszy ziemi i dwa koszyki śniegu, Jem powiedział, że można brać się do roboty.

- Nie myślisz, że tu jest raczej nieporządek? - zapytałam.

- Tak tylko wygląda na razie - odpowiedział.

Oburącz zgarnął ziemię, uklepał z niej kopczyk, na wierzch dodał jeszcze jeden ładunek ziemi i jeszcze jeden, dopóki nie zrobił się z tego kadłub.

- Jem, nigdy nie słyszałam o bałwanach czarnuchach - pozwoliłam sobie na uwagę.

- Długo on nie będzie czarny - zakwiczał Jem. Znalazł w ogrodzie kilka prętów z drzewa brzoskwiowego, splótł je i wbił w kadłub, nadając im kształt zgiętych rąk, a potem oblepił je ziemią.

- Zupełnie jak panna Stephanie Crawford, kiedy się weźmie pod boki - powiedziałam. - Gruba w środku, z chudziusieńkimi rączkami.

- Pogrubie je. - Jem chlapnął wody i dodał jeszcze trochę ziemi. W zadumie przyjrzał się naszemu bałwanowi z błota i po chwili uwypuklił wielki brzuch poniżej jego pasa. - Pan Avery jest z figury trochę jak bałwan, prawda?

Zgarnął teraz śnieg i przystąpił do pokrywania nim bałwana. Mnie pozwolił oblepiać tylko tył, rezerwując wszystkie części wystawione na widok publiczny dla siebie samego. Stopniowo pan Avery zbieleł.

Z połamanych patyków Jem zrobił oczy, usta, nos i guziki i oto stał pan Avery jak żywy ze skwaszoną miną. Laska z polana drzewa na opał uzupełniła tę podobiznę. Jem cofnął się, żeby okiem twórcy spojrzeć na swoje dzieło.

- Śliczny - stwierdziłam. - Prawie się wydaje, że on mówi, Jem.

- No nie? - bąknął zażenowany.

Wprost nie mogliśmy się doczekać powrotu Atticusa na obiad, więc zadzwoniliśmy do kancelarii z wiadomością, że mamy dla niego niespodziankę. Atticus był dosyć zaskoczony, gdy zobaczył większość ogrodu za domem przeniesioną przed dom, ale powiedział, żeśmy stworzyli cudo.

- Nie wiedziałem, jak ulepisz tego bałwana - pochwalił Jema - ale od dziś już nigdy nie będę się martwił, czy potrafisz sobie w życiu dawać radę, synu; pomysłów ci nie zabraknie.

Uszy Jemowi poczerwieniały, taki był zadowolony z tego komplementu Atticusa, spojrzał jednak bystro, gdy Atticus cofnął się o parę kroków. Przymrużonymi oczami Atticus przyglądał

się bałwanowi przez dłuższą chwilę. Uśmiechnął się, a potem parsknął śmiechem.

- Trudno, synku, powiedzieć, czym zostaniesz... inżynierem, adwokatem czy karykaturzystą. Poniekąd dopuściłeś się publicznego ośmieszenia tutaj w ogrodzie od ulicy. Musimy zmienić temu facetowi wygląd.

Poradził, żeby Jem ociosał trochę przód swego arcydzieła, polano zastąpił miotłą i ubrał bałwana w fartuch.

Jem wyjaśnił, że wtedy bałwan ze śniegu stałby się bałwanem z błota, więc już nie byłby bałwanem ze śniegu.

- Zmień, co chcesz, ale coś zmienić musisz - rzekł Atticus. - Nie wolno ci robić karykatur sąsiadów.

- To nie jest karykatura, tylko portretura - bronił się Jem. - Kubek w kubek jak on.

- Pan Avery mógłby być odmiennego zdania.

- Już wiem, co zrobię! - wykrzyknął Jem.

Pobiegł na drugą stronę ulicy i zniknął za domem pani Maudie, skąd po chwili wrócił z wielkim triumfem. Na głowę bałwana nasadził kapelusz plażowy pani Maudie, w zgięcie ręki wcisnął mu jej sekator. Atticus potwierdził, że tak będzie doskonale.

Wkrótce potem pani Maudie wyszła na ganek. Popatrzyła przez ulicę na nas. Nagle uśmiechnęła się.

- Jemie Finch - zawołała - ty diable! Niech no mi pan szanowny odda mój kapelusz!

Jem spojrzał na Atticusa; Atticus potrząsnął głową.

- Musi trochę pokrzyczeć - powiedział. - W rzeczywistości bardzo jej imponują twoje... osiągnięcia.

Przeszedł na chodnik pani Maudie i nastąpiła między nimi uzupełniana wymachiwaniem rękami wymiana zdań, z których dosłyszałam tylko jedno:

- ...istną hermafrodytę postawił w waszym ogrodzie! Atticus, ty ich nigdy nie wychowasz!

Po południu śnieg przestał padać i temperatura zaczęła się obniżać, a o zmroku spełniły się najbardziej złowieszcze przewidywania pana Avery. Calpurnia podsycala ogień we wszystkich kominkach w domu, nam jednak wciąż było zimno. Atticus po powrocie z kancelarii wieczorem powiedział, że mamy za swoje, i zapytał Calpurnię, czy nie wolałaby zostać na tę noc u nas. Calpurnia rzuciła okiem na nasze wysokie ściany i wielkie okna i powiedziała, że chyba ciepłej będzie jej na własnych śmieciach. Atticus odwiózł ją samochodem.

Zanim poszłam spać, Atticus dołożył węgla do ognia w moim pokoju. Powiedział, że termometr wskazuje szesnaście stopni i że to jest najzimniejsza noc za jego pamięci, i że nasz bałwan przed domem zamarzał na kość. Wydawało mi się, że nie spałam dłużej niż kilka minut, gdy nagle ktoś gwałtownie wyrwał mnie ze snu. Zobaczyłam na kołdrze rozłożony płaszcz Atticusa.

- To już rano?

- Dziecinko, wstawaj.

Atticus trzymał mój płaszczyk kąpielowy i paltko.

- Włóż najpierw szlafrok - polecił.

Jem stał obok Atticusa chwiejny i rozczochrany. Głowa wyrastała mu bezpośrednio z palta,

którego poły ścisnął w garści przy szyi, drugą rękę miał wepchniętą do kieszeni. Wyglądał dziwnie grubo.

- Spiesz się, malutka - powiedział Atticus. - Masz tu pantofle i skarpetki.

Otępiła włożyłam je na nogi.

- Czy to rano?

- Nie, parę minut po pierwszej. No, prędeż.

W końcu dotarło do mej świadomości, że coś nie jest w porządku.

- Co się stało?

Ale odpowiedź już mi nie była potrzebna. Zupełnie tak jak ptaki wiedzą, dokąd lecieć, gdy spadają pierwsze krople deszczu, wiedziałam, że na naszej ulicy dzieje się coś niedobrego. Ciche szmery podobne do szelestu tafty i przytłumione odgłosy bieganiny napełniły mnie poczuciem bezsilności i grozą.

- U kogo?

- U pani Maudie, malutka - rzekł Atticus łagodnie.

Stając w drzwiach frontowych, zobaczyliśmy ogień buchający z okien jadalni pani Maudie. Jak gdyby dla potwierdzenia, że widzimy to naprawdę, odezwała się syrena miejskiej straży pożarnej lamentem, który z basowego wycia przeszedł w sopranowe skomlenie i takim już pozostał.

- Spali się? - jęknął Jem.

- Chyba - rzekł Atticus. - A teraz słuchajcie oboje. Pójdziecie sobie stąd i staniecie przed domem Radleyów. Macie się tu nie kręcić, słyszycie? Widzisz, w którą stronę wiatr wieje?

- Widzę - odpowiedział Jem. Atticus, myślę, że powinniśmy zacząć wynosić meble.

- Jeszcze nie, synku. Zróbcie, jak mówię. No, już was tu nie ma. Uważaj na Smyka, słyszysz? Nie spuszcza jej z oczu.

Atticus popchnął nas w kierunku furki Radleyów. Stanęliśmy tam patrząc, jak ulica zapełnia się ludźmi i samochodami w blasku ognia pożerającego spokojnie dom pani Maudie.

- Dlaczego się nie spieszą? Dlaczego się nie spieszą...? - mamrotał Jem.

Zobaczyliśmy, dlaczego. Silnik zamarł w starym samochodzie straży pożarnej, więc strażacy musieli go pchać przez całą drogę ze śródmieścia. Gdy wreszcie podłączyli węża do hydrantu, wąż pękł i woda z pluskiem trysnęła na chodnik.

- O Boże, Jem...

Jem objął mnie ramieniem.

- Ciii... Smyku. Jeszcze nie pora się martwić. Ja ci powiem, kiedy przyjdzie pora.

Mężczyźni Maycomb ubrani i rozebrani, jak popadło, wynosili meble z domu pani Maudie do ogrodu naprzeciwko. Zobaczyłam, jak Atticus taszczy ciężki dębowy fotel na biegunach i pomyślałam, że to rozsądnie z jego strony ratować rzecz, którą pani Maudie ceni najbardziej.

Od czasu do czasu słyszeliśmy krzyki. Potem w jednym z okien na piętrze ukazało się oblicze pana Avery. Z okna wyleciał na ulicę wypchnięty przez niego materac; za materacem pan Avery zaczął wyrzucać meble, dopóki ludzie go nie powstrzymali wołaniem:

- Zejdź stamtąd, Dick! Schody się wałają!

- Wyłaż pan stamtąd, panie Avery!

Pan Avery spróbował wyjść przez okno.

- Smyk, on utkwił - z zapartym tchem szepnął Jem. - O Boże...

Pan Avery szczelnie wypełniał sobą okno. Ukryłam głowę pod pachą Jema i wyjrzałam dopiero wtedy, gdy Jem krzyknął:

- Wycisnął się, Smyk! Już w porządku!

Moim oczom ukazał się pan Avery w drodze przez balkon. Przerzucił nogi przez poręcz, żeby zjechać na dół po filarze, ale obsunął się raptownie. Z wrzaskiem spadł prosto w krzewy pani Maudie.

Nagle zauważyłam, że wszyscy cofają się od domu pani Maudie w naszą stronę. Nikt już nie wynosił mebli. Pożar ogarnął pierwsze piętro, wyżerając ściany coraz bliżej dachu; framugi okien czerniały wokół jaskrawo pomarańczowych płomieni.

- Jem, to zupełnie jak dynie...

- Smyk, popatrz!

Dym niczym mgła zasnuwająca brzeg rzeki przesłaniał nasz dom i dom panny Rachel, i strażacy ciągnęli węże w tamtym kierunku. Za nami wyła syrena straży pożarnej z Abbottsville. Jej samochód wyjechał zza rogu i zatrzymał się przed naszym domem.

- Ta książka... - przypomniałam sobie.

- Która? - zapytał Jem.

- Ten *Tom Swift*... nie moja, tylko Dilla...

- Nie martw się, Smyk, jeszcze nie pora się martwić - pocieszał mnie Jem. Wskazał palcem. - Widzisz tam? - W gromadce sąsiadów stał Atticus z rękami w kieszeniach płaszcza. Równie dobrze mógłby w ten sposób obserwować mecz piłki nożnej. Pani Maudie stała obok niego. - Widzisz, Atticus się jeszcze nie martwi.

- Dlaczego nie stoi gdzieś na dachu?

- Za stary jest, kark by skręcił.

- Ale może powinniśmy go namówić, żeby wynosił nasze rzeczy?

- Lepiej mu się nie naprzykrzać. Sam będzie wiedział, kiedy trzeba.

Strażacy z Abbottsville skierowali węże na nasz dom; ktoś z dachu wskazywał najbardziej zagrożone odcinki. Patrzyłam teraz, jak czernieje i rozpada się „istna hermafrodyta”; kapelusz pani Maudie leżał na tym usypisku, sekatora nie widziałam. W spiekocie panującej pomiędzy naszym domem a domem pani Maudie mężczyźni już dawno zrzucili z siebie palta i płaszcze kąpielowe. Uwijali się w samych wepchniętych w spodnie górach od piżam bądź w nocnych koszulach, ja jednak stojąc w miejscu czułam, że powoli zamieniam się w sopel lodu. Jem przytulał mnie do swego boku dla rozgrzewki, ale to nie pomagało. Wyswobodziłam się i skrzyżowanymi rękami mocno chwyciłam się za barki. Spróbowałam trochę podskakiwać, żeby znów poczuć, że mam stopy. Tymczasem nadjechał jeszcze jeden samochód jakiejś straży pożarnej, który zatrzymał się przed domem panny Stephanie Crawford. Ponieważ do jeszcze jednego węża zabrakło hydrantu, ci strażacy mogli tylko polewać dom panny Stephanie z gaśnic ręcznych.

Pożar u pani Maudie dosięgnął blaszanego dachu i płomienie się zatrzymały. Z hukiem dom pani Maudie się zawalił; ogień buchnął, wokoło rozsiewając iskry i płonące kawałki drewna pod

zawieruchą koców zrzuconych z dachów sąsiednich domów.

Świt nastał, zanim ludzie zaczęli się rozchodzić zrazu pojedynczo, później grupami.

Samochód strażacki miasta Maycomb popchnięto z powrotem do remizy, samochód z Abbottsville odjechał o własnych siłach, ten trzeci jeszcze został. Dowiedzieliśmy się później, że to była straż pożarna z Clark's Ferry oddalonego od Maycomb o sześćdziesiąt mil.

Przeszłam z Jemem na drugą stronę ulicy. Pani Maudie wpatrywała się w czarne dymiące zgliszczka swego ogrodu, a Atticus ruchem głowy dał nam do zrozumienia, że ona nie ma teraz ochoty na żadne rozmowy. Poprowadził nas do domu, przytrzymując Jema i mnie za ramiona na śliskiej jezdni. Powiedział, że pani Maudie zamieszka na razie u panny Stephanie Crawford.

- Kto się napije gorącej czekolady? - zapytał.

Dreszcze mną wstrząsnęły, gdy rozpałał w piecu kuchennym ogień.

Piliśmy to nasze kakao, aż tu nagle zauważyłam, że Atticus przygląda mi się z zainteresowaniem a potem marszczy brwi.

- Chyba wam zabroniłem ruszać się stamtąd - powiedział.

- No, a czy myśmy się ruszali? Staliśmy...

- Więc czyj to koc?

- Koc?

- Tak, łaskawa pani. Nasz nie jest na pewno. Spojrzałam po sobie i zobaczyłam we własnej garści skraj koca z brązowej wełny otulającego mnie jak Indiankę.

- Atticus, ja nie wiem... Ja...

Odwróciłam się do Jema, żeby u niego znaleźć wyjaśnienie, ale Jem był jeszcze bardziej oszołomiony ode mnie. Wykrztusił, że nie wie, skąd to się wzięło, i że zrobiliśmy dokładnie tak, jak nam Atticus kazał - staliśmy przy furtce Radleyów z daleka od wszystkich, nie ruszaliśmy się nawet na krok... Tu Jem urwał.

- Pan Nathan był przy pożarze - rozgadał się niespodziewanie. - Widziałem go, widziałem go, ciągnął ten materac... Atticus, przysięgam...

- W porządku, synu. - Na twarzy Atticusa z wolna pojawił się uśmiech. - Wydaje się, że kto żyw w Maycomb tak czy inaczej wyszedł tej nocy z domu. Jem, w spiżarni znajdziesz chyba papier do pakowania. Przynieś go, to zapakujemy...

- Atticus, o nie!

Myślałam, że Jem stracił rozum. Zaczął sypać naszymi sekretami na lewo i prawo, nie dbając o moje, jeśli już nie o swoje bezpieczeństwo, nie pomijając nic: ani tej dziury po sęku, ani spodni - nic w ogóle.

- Pan Nathan zatkał to drzewo cementem, Atticus, żebyśmy już nie mogli znajdywać tam rzeczy... On jest chyba wariat, tak jak ludzie mówią, ale, Atticus, przysięgam przed Bogiem, że nam nigdy nie zrobił krzywdy, nawet przykrości nie, bo przecież mógł wtedy w nocy poderżnąć mi gardło od ucha do ucha, a on wcale nie, tylko mi zszył spodnie... nigdy nam nie zrobił żadnej przykrości, Atticus...

Atticus powściągnął go jak konia:

- Prrr... synku - tak łagodnie, że w me serce wstąpiła otucha. Najwidoczniej ani słowa nie zrozumiał z wywodów Jema, bo powiedział tylko: - Masz rację. Lepiej tę sprawę i ten koc

zatrzymać przy sobie. Może kiedyś nadarzy się sposobność i Smyk mu podziękuje za to, że ją dziś okrył.

- Komu podziękuje? - zapytałam.

- Arthurowi Radleyowi. Tak byłaś zajęta oglądaniem pożaru, że nie widziałaś, kiedy on narzucił ten koc na ciebie.

Coś mi się raptownie wywróciło w żołądku i omal nie zwymiotowałam, gdy Jem podsunął się do mnie z kocem w wyciągniętych rękach.

- Wykradł się z domu... odwróć się... i chyłkiem podszedł... o tak!

Atticus rzekł sucho:

- Niech to cię nie podnieca do dalszych wyczynów, Jeremy.

Jem spojrział spode łba.

- Ja mu nic nie zrobię.

Ale zobaczyłam, jak iskrząca się w jego oczach chęćka na nową przygodę gaśnie.

- No, masz pojęcie, Smyk - perorował. - Gdybyś wtedy się odwróciła, już byś wiedziała, jak on wygląda.

Calpurnia obudziła nas w południe. Atticus ją uprzedził, że tego dnia możemy sobie darować szkołę - niczego byśmy się nie nauczyli po nie przespanej nocy. Więc kazała nam tylko posprzątać przed domem.

Kapelusz pani Maudie tkwił w cienkiej okowicie lodu niczym mucha w bursztynie, a sekatora musieliśmy poszukać, rozgrzebując ziemię. Panią Maudie zastaliśmy w jej ogrodzie nad zmarzniętymi, osmalonymi azaliami.

- Odnosimy pani rzeczy, pani Maudie - powiedział Jem. - Strasznie nam przykro.

Pani Maudie obejrzała się i cień zwykłego uśmiechu przemknął po jej twarzy.

- Zawsze chciałam mieć mniejszy dom, Jemie Finch. I tym samym większy ogród. Pomyślcie, będzie teraz więcej miejsca na azalie.

- Pani się nie smuci, pani Maudie? - zapytałam zdumiona.

Atticus mówił, że ten dom to prawie wszystko, co ona posiada.

- Smucić miałabym się, dziecko? No, przecież ja nie cierpiałam tej starej obory. Sama bym ją podpaliła ze sto razy, gdyby za coś takiego nie wsadzali do więzienia.

- Ale...

- Już ty się o mnie nie kłopotcz, Jean Louise Finch. Są sposoby urządzania się w życiu, o jakich wy nie wiecie. No, wybuduję sobie mały domek, wezmę paru lokatorów i... Boże łaskawy, będę miała najpiękniejszy ogród w stanie Alabama. Ci Bellingrathowie ze swoim odpadną w przedbiegach, kiedy się do tego zabiorę.

Popatrzyłam na Jema, Jem popatrzył na mnie.

- Jak wybuchł ten pożar, pani Maudie? - zapytał Jem.

- Nie wiem, dziecko. Prawdopodobnie sadze w kominie. Zostawiłam na noc ogień w kuchni dla moich roślin doniczkowych. Panno Jean Louise, ktoś podobno nieoczekiwanie dotrzymał pani towarzystwa tej nocy?

- Skąd pani wie?

- Atticus mi powiedział rano, kiedy szedł do miasta.

Szczerze mówiąc, chciałabym wtedy być z wami. I ja bym wykazała dość przytomności umysłu, żeby się w porę odwrócić.

Pani Maudie zdumiewała mnie. Nawet teraz, na zgliszczach swego ukochanego ogrodu, w obliczu wielkich poniesionych strat, potrafiła okazać żywe i serdeczne zainteresowanie naszymi sprawami.

Widocznie dostrzegła, jak mnie to stropiło. Rzekła:

- Martwiłam się tylko, że takie niebezpieczeństwo i tyle rwetusu powstało tej nocy przeze mnie. Cała okolica mogła pójść z dymem. Pan Avery poleży w łóżku chyba z tydzień... bardzo się potłukł. Nie na jego lata takie ewolucje i ja mu to wygarnęłam. Kiedy już wszystko zrobię tutaj i będę mogła umyć ręce, upiekę mu sękacz, byleby panna Stephanie na to nie patrzyła. Ta Stephanie od trzydziestu lat stara się o mój przepis i jeżeli sobie wyobraża, że ja teraz jej go podam tylko dlatego, że u niej mieszkam, to się grubo myli.

Pomyślałam, że gdyby pani Maudie jednak się załamała i podała pannie Stephanie ów przepis, panna Stephanie i tak by go nie wykorzystała. Pani Maudie pozwoliła mi kiedyś patrzeć: jej sękacz między innymi wymagał wielkiej szklanki cukru.

Wiatru nie było. Powietrze jaśniało tak zimne i czyste, że słyszeliśmy, jak zegar na budynku sądu brzdąka i grzechocze i zachłystuje się przed wybiciem godziny. Nos pani Maudie nabrał barwy zupełnie mi nie znanej, więc zainteresowałam się nim bliżej.

- Jestem tutaj już od szóstej rano - wyjaśniła pani Maudie. - Wystarczy, żeby się zamrozić.

Wyciągnęła dłonie. Siatka drobnusieńkich zmarszczek znaczyła się na ich skórze brązowej od ziemi i od zaschniętej krwi.

- Ręce pani sobie niszczy - powiedział Jem. - Dlaczego nie weźmie pani jakiegoś Murzyna do pomocy? - Nie było nuty poświęcenia w jego głosie, gdy dodał: - Albo Smyk i ja pomożemy.

Pani Maudie odrzekła:

- Dziękuję szanownemu panu, ale wy macie przecież swoją robotę. - Wskazała nasz ogród przed domem.

- Myśli pani o hermafrodycie? - zapytałam. - Psiakość, raz-dwa możemy go pozbierać.

Pani Maudie popatrzyła na mnie, poruszając bezgłośnie ustami. Nagle złapała się za głowę i zakaszła. Gdyśmy odchodzili, jeszcze nie przestała chichotać.

Jem powiedział, że nie wie, co jej się stało - ot, taka już jest ta pani Maudie.

9

- Masz to odwołać, ty chłopaku!

To ultimatum, które musiałam postawić Cecilowi Jacobsowi, zapoczątkowało dosyć paskudne dla Jema i dla mnie czasy. Chodziłam z pięściami zaciśniętymi, w każdej chwili gotowa do puszczania ich w ruch. Atticus zapowiedział, że marne moje widoki, jeśli on jeszcze kiedykolwiek usłyszy, że z kimś się pobijałam: jestem stanowczo za duża na takie dziecinady i im prędzej się nauczę panować nad sobą, tym lepiej dla wszystkich. Cóż, kiedy ja wkrótce o tym zapomniałam.

Zapomniałam przez Cecila Jacobsa. Poprzedniego dnia Cecil oznajmił na boisku, że tatuś Smyka Finch broni czarnuchów. Kazałam mu odwołać, ale zawiadomiłam Jema.

- Co to miało znaczyć?

- Nic - powiedział Jem. - Zapytaj Atticusa, on ci powie.

- Bronisz czarnuchów, Atticus? - zapytałam tego wieczora.

- Oczywiście. Nie mów „czarnuch”, Smyku. To takie pospolite.

- Wszyscy tak mówią w szkole.

- Od tej chwili wszyscy oprócz jednej koleżanki.

- No, jeżeli nie chcesz, żebym wyrosła na taką, co mówi w ten sposób, to dlaczego posyłasz mnie do szkoły?

Ojciec spojrział na mnie łagodnie, z rozbawieniem w oczach. Pomimo naszego układu kampania antyszkolna, wszczęta przeze mnie w pierwszym dniu mojej naukowej kariery, trwała nadal to w tej, to w innej formie: początek września tego roku przyniósł chwilowe zamroczenia, mdłości i lekką niedyspozycję żołądka. Posunęłam się nawet do tego, że zapłaciłam pięć centów za przywilej potarcia głowy o głowę synka kucharki panny Rachel, który miał okropny liszaj. Liszaj się nie przyjął.

Teraz jednak mogłam zacząć z innej beczki.

- Czy wszyscy adwokaci bronią czarn... Murzynów, Atticus?

- Oczywiście, Smyku.

- To dlaczego Cecil powiedział, że ty bronisz czarnuchów? Tak, jakby to było Bóg wie co.

Atticus westchnął.

- Po prostu bronię teraz pewnego Murzyna... On się nazywa Tom Robinson. Mieszka w tej małej osadzie za śmietnikami miejskimi. Jest członkiem kościoła Calpurnii i Cal dobrze zna jego rodzinę. Mówi, że to przyzwoici ludzie. Smyku, ty jesteś jeszcze za mała, żeby pewne rzeczy zrozumieć, ale odzywają się głosy w mieście, że stanowczo nie powinienem zanadto występować w obronie tego człowieka. To szczególna sprawa... proces odbędzie się dopiero podczas sesji letniej. John Taylor był tak dobry, że odroczył...

- Jeżeli nie powinieneś go bronić, to dlaczego to robisz?

- Powodów jest wiele - odrzekł Atticus. - Ale przede wszystkim dlatego, że nie mógłbym chodzić z podniesioną głową, nie mógłbym reprezentować naszego hrabstwa w legislaturze, nie mógłbym nawet mówić tobie i Jemowi, żebyście czegoś nie robili.

- Czy to znaczy, że gdybyś nie bronił tego człowieka, my z Jemem już byśmy nie musieli ciebie słuchać?

- Trafiłaś prawie w sedno.

- Dlaczego byśmy nie musieli?

- Nie mógłbym od was wymagać posłuchu. Tak już jest, Smyku, że każdemu adwokatowi siłą rzeczy zdarza się prowadzić co najmniej jedną sprawę w życiu, która porusza go osobiście. Otóż ta sprawa chyba stała się dla mnie taka. Może słyszysz o tym jakieś paskudztwa w szkole, ale jeżeli chcesz, zrób coś dla mnie: głowę podnoś wysoko, a te piąstki opuszczaj nisko. Ktokolwiek będzie ci dokuczał, nie daj mu osiągnąć celu. Próbuje walczyć głową dla odmiany... to tęga główka, chociaż się opiera nauce.

- Atticus, czy my wygramy?

- Nie, dziecino.

- Więc po co...?

- To, że sto lat temu zostaliśmy pobici, jeszcze nie znaczy, żebyśmy teraz nie próbowali zwyciężyć - powiedział Atticus.

- Mówisz jak kuzyn Ike Finch - zauważyłam.

Kuzyn Ike Finch był jedynym żyjącym weteranem Konfederacji. Miał długą brodę a la generał Hood, która go napawała niesłychaną dumą. Przynajmniej raz na rok Atticus, Jem i ja składaliśmy mu wizytę i musiałam go pocałować. Okropnie tego nie lubiałam. Pełni szacunku oboje z Jemem słuchaliśmy, jak Atticus i kuzyn Ike obrabiają tamtą wojnę.

„Powiadam ci, Atticus - dowodził kuzyn Ike - to Kompromis Missouri dał nam po łbie, ale gdybym jeszcze raz miał przeżyć wszystko od początku, przeszedłbym caluszką tę drogę, każdy jej krok, tam i z powrotem, tak samo jak wtedy, i zaiste tym razem bym ich pobił... no, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym czwartym, kiedy Stonewall Jackson ruszył na... nie... przepraszam was, moi młodzi. Toż stary «Niebieski Sygnał» był wtedy już w niebiosach, wieczny odpoczynek racz dać, Panie, jego świętobliwej duszy...”

- Chodź no tu, Smyku - powiedział Atticus. Wsunęłam mu się na kolana i wsadziłam głowę pod jego podbródek. Lekko zaczął mnie kołysać w objęciach. - Teraz jest co innego. Teraz nie walczyliśmy z jankesami, walczyliśmy z naszymi przyjaciółmi. Ale pamiętaj, bez względu na to, jak dalece sprawa stanie na ostrzu noża, to są nadal nasi przyjaciele i nadal jesteśmy u siebie, wśród swoich.

Miałam to w pamięci, gdy nazajutrz na boisku stanęłam przed Cecilem Jacobsem.

- Odwołasz to, ty chłopaku!

- Spróbuj mnie zmusić! - wrzasnął Cecil. - Moi starzy powiedzieli, że twój tatuś to zakała i że tego czarnucha trzeba powiesić w lesie na zbiorniku z wodą!

Zamierzyłam się, przypomniałam sobie, co Atticus powiedział, opuściłam pięści i odeszłam.

- Smyk tchóóó-rz! - rozbrzmiewało mi w uszach. Po raz pierwszy w życiu zeszałam z pola przed walką.

Gdybym jednak pobiła się z Cecilem, jakoś zawiodłabym Atticusa. Atticus tak rzadko prosił Jema i mnie o coś dla siebie. Mogłam dla niego znieść nawet to, że nazwano mnie tchórzem. Poczułam się niezwykle szlachetna stwierdzając, że pamiętam o jego zaleceniu, i pozostałam tak szlachetna przez całe trzy tygodnie. Ale potem przyszło Boże Narodzenie i z Bożym Narodzeniem nieszczęście.

Boże Narodzenie wywoływało w Jemie i we mnie uczucia raczej mieszane. Dobrą stroną była choinka i wuj Jack Finch. Co roku w wigilię Bożego Narodzenia wyjeżdżaliśmy po wuja Jacka na stację Maycomb-Węzeł Kolejowy i wuj Jack spędzał u nas cały tydzień.

Drugą stroną medalu była ciocia Alexandra i Francis.

Pewnie powinnam uwzględnić tu wuja Jimmy'ego, męża cioci Alexandry, ale skoro on nigdy w moim życiu nie odezwał się do mnie ani słowem poza jednym jedynym wypadkiem, gdy

powiedział: „Zejdź z tego płotu!”, nie widziałam żadnej przyczyny, dla której miałabym go w ogóle zauważać. Nie zauważała go również ciocia Alexandra. Dawno temu w zrywie wzajemnej uprzejmości ciocia i wuj Jimmy poczęli syna imieniem Henry; Henry opuścił dom rodzicielski, jak tylko mógł najwcześniej, ożenił się i dał światu Francisa. Co roku przed Bożym Narodzeniem Henry i jego żona zostawiali Francisa u dziadków i zaraz wyjeżdżali, żeby spokojnie oddawać się własnym przyjemnościom.

Najcięższymi westchnieniami nie udawało się nakłonić Atticusa do tego, by nam pozwolił spędzić święta Bożego Narodzenia w domu. Co roku, odkąd pamiętam, jeździliśmy na uroczysty świąteczny obiad do Przystani Fincha. Wyśmienita kuchnia cioci wynagradzała tylko po części twardą konieczność obchodzenia święta kościelnego w towarzystwie Francisa Hancocka. Francis, o rok starszy ode mnie, był taki, że unikałam go ze względów zasadniczych. Lubił wszystko, co ja potępiałam, i kręcił nosem na moje niewinne rozrywki.

Ciocia Alexandra to siostra Atticusa, ale gdy Jem mi powiedział o przybranych dzieciach i podrzutkach, doszłam do wniosku, że ciocię Alexandrę ktoś wymienił zaraz po jej narodzinach i dziadkom dostała się prawdopodobnie jakaś Crawfordówna zamiast Finchówny. Gdybym dopuszczała do siebie owe tajemnicze skojarzenia z górami, które nie przestają, jak się zdaje, prześladować adwokatów i sędziów, ciocia Alexandra kojarzyłaby mi się z Mount Everestem; przez wszystkie lata mego wczesnego dzieciństwa była tak właśnie zimna i daleka.

Gdy w tę wigilię Bożego Narodzenia wuj Jack wysiadł z pociągu, musieliśmy zaczekać, dopóki konduktor nie poda mu dwóch długich paczek. Wuj Jack cmoknął Atticusa w policzek; poza nimi dwoma nigdy nie widziałam mężczyzn całujących się ze sobą. Następnie wuj Jack uścisnął rękę Jemowi, a mnie podniósł w górę, ale nie tak znów bardzo wysoko. Bo wuj Jack jest o głowę niższy od Atticusa; urodził się dziadkom ostatni, już po cioci Alexandrze. Podobny z twarzy do cioci, zawsze jednak wyglądał znacznie sympatyczniej niż ona; jakoś nie dostrzegało się ostrych linii jego nosa i podbródka.

Był jednym z nielicznych doktorów, którzy mnie nie przerażali, zapewne dlatego, że nigdy nie zachowywał się jak lekarz. Dokonując na Jemie czy na mnie takich zabiegów, jak na przykład wyjęcie drzazgi z nogi, mówił dokładnie, co robi, określał stopień bólu i wyjaśniał zastosowanie swych instrumentów chirurgicznych. Kiedyś w Boże Narodzenie weszła mi w stopę zakrzywiona drzazga, więc chowałam się po kątach, skacząc na jednej nodze, nie pozwalając nikomu się zbliżyć. Wuj Jack dopadł mnie w końcu, ale nie przestawał ze śmiechem opowiadać o jakimś kaznodziei, który tak bardzo nie lubił chodzić do kościoła, że Słowo Boże głosił przy swojej furtce, gdzie stał w szlafroku, palił nargile i po prostu zatrzymywał na pięćdziesięciominutowe kazanie każdego spośród przechodniów, kto łaknął duchowej pociechy. Przerwałam pytaniem, kiedy wuj mi wreszcie tę drzazgę wyciągnie, i zdumiona zobaczyłam, że on ją już trzyma zakrwawioną w pincetce; powiedział, że wyrwał ją, gdy ja się śmiałam i że to jest właśnie tak zwana względność rzeczy.

- Co masz tutaj, wujaszku? - zapytałam, wskazując te długie, cienkie paczki, wyniesione z pociągu przez konduktora.

- Nie twoja sprawa - odpowiedział wuj Jack.

Jem zapytał:

- Jak się miewa Rose Aylmer?

Rose Aylmer to była kotka wuja Jacka. Piękna, płowa kocica, o której wuj mówił, że to jedna z nielicznych istot płci żeńskiej, z jakimi on może wytrzymać na dłuższą metę. Sięgnął teraz do kieszeni płaszcza i wyciągnął parę zdjęć. Obejrzeliśmy je z podziwem.

- Ona tyje - zauważyłam.

- No, chyba. Zjada wszystkie palce i uszy, jakie zostają po operacjach w szpitalu.

- Oj, cholerna historia - powiedziałam.

- Że co, przepraszam?

Wtrącił się Atticus.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Jack. Ona cię wypróbowuje. Cał mówi, że to sypanie przekleństwami trwa już od tygodnia.

Wuj Jack podniósł brwi i nie powiedział nic. Niezależnie od naturalnego powabu, jaki miały dla mnie takie mocne słowa, klęłam w mglistej nadziei, że Atticus wreszcie zrozumie, czego mnie uczą w szkole, i zdecyduje się trzymać mnie w domu.

Ale przy kolacji, gdy poprosiłam o przysunięcie półmiska z tą, psiakrew, szynką, zobaczyłam wycelowany we mnie palec wuja Jacka.

- Chciałbym z panienką później porozmawiać - powiedział wuj Jack.

Po kolacji wszedł ze mną do gabinetu i usiadł w fotelu. Zsunął uda, zapraszając mnie na kolana. Lubiłam go wachać; pachniał jakoś ładnie i słodko, trochę jak butelka z alkoholem. Odgarnął mi grzywkę z czoła i spojrzał mi w oczy.

- Bardziej jesteś podobna do Atticusa niż do waszej matki - zauważył. - Ty też trochę wyrastasz ze swoich spodni.

- Myślę, że są akurat.

- Lubisz ostatnio mówić „psiakrew” i „cholera”, prawda?

Powiedziałam, że chyba lubię.

- No, a ja tego nie lubię - oświadczył wuj Jack - nie lubię żadnych przekleństw tam, gdzie ich nie usprawiedliwia skrajne rozdrażnienie. Będę tu przez tydzień i żebyś więcej nie słyszał takich słów od ciebie. Wpakujesz się w kłopoty, Smyku, jeżeli będziesz dalej tak klęła. Chyba chcesz wyrosnąć na damę, prawda?

Powiedziałam, że niespecjalnie.

- Z pewnością chcesz. A teraz chodźmy do choinki.

Ubieraliśmy choinkę, dopóki nie nadeszła pora pójścia do łóżek, i śniły mi się tej nocy dwie długie paczki dla Jema i dla mnie. Nazajutrz rano rzuciłam się z Jemem, by wyciągnąć je spod choinki; to był prezent od Atticusa, który napisał do wuja Jacka z prośbą, żeby nam to kupił, bo właśnie o to prosiliśmy.

- Nie strzelajcie w domu - upomniał Atticus, gdy Jem wycelował do obrazka na ścianie.

- Naucz ich strzelać - powiedział wuj Jack.

- To już należy do ciebie - powiedział Atticus. - Ja godziłem się tylko z nieuchronnym losem.

Dopiero gdy użył swego tonu z sali sądowej, daliśmy się odciągnąć od choinki. Naszych wiatrówek nie pozwolił nam zabrać do Przystani Fincha (a już zaczęłam myśleć o zastrzeleniu Francisa) i zagroził, że w wypadku jakiegokolwiek fałszywego posunięcia z naszej strony

odbierze nam je na dobre. Przystań Fincha składała się z trzystu sześćdziesięciu schodków prowadzących z wysokiej skarpy na rzeczne molo. Dalej na rzece w pewnej odległości od tej skarpy pozostały jeszcze ślady starej przystani, gdzie kiedyś Murzyni Finchów ładowali plony i bele bawełny, wyładowywali bloki lodu, mąkę i cukier, sprzęt rolniczy i damskie stroje. Znad rzeki dwiema koleinami biegła droga ginąca wśród ciemnych drzew. Na jej końcu stał jednopiętrowy biały dom z werandami od wschodu, zachodu, południa i północy zarówno na dole, jak na górze. Wybudował go w podeszłym wieku nasz przodek, Simon Finch, żeby się przypodobać swej gderliwej żonie. Ale na tych werandach kończyło się całe podobieństwo tej siedziby do zwykłych domów tamtej epoki. Rozplanowanie wnętrza dowodziło, jak dalece pozbawiony chytrłości był Simon i jakim bezgranicznym zaufaniem darzył on swoje latorośle.

Sześć sypialń mieściło się na piętrze: cztery dla ośmiu córek, jedna dla Welcome'a Fincha, jedynego syna, i jedna gościnna dla przyjeżdżających w odwiedziny krewnych. Dostatek to proste; tylko że do pokoi córek prowadziły osobne schody i nie można się tam było dostać drugą klatką schodową prowadzącą do pokoju Welcome'a i do tego gościnnego. Schody córek wiodły prosto do sypialni rodziców na parterze, więc Simon od wieczora do rana zawsze dokładnie wiedział, o której godzinie córki wychodzą i wracają.

Kuchnia w osobnym budynku była z domem połączona drewnianym mostkiem; na podwórzu stał słup z zardzewiałym dzwonem, który służył do wzywania ludzi z pola, a także jako dzwon na trwozę; na szczycie dachu wznosił się tak zwany w architekturze z czasów Simona „wdowi tarasik”, z tym że nigdy żony marynarzy wypatrujące powrotu swoich mężów po nim nie chodziły - tylko Simon kontrolował stamtąd nadzorcę swych niewolników, oglądał statki rzeczne i wglądał w życie plantatorów sąsiadów.

Opromieniała ten dom nieodzowna legenda o jankesach: któraś z panien Finch, świeżo zaręczona, włożyła na siebie całą swą wyprawę ślubną, żeby ją ocalić przed najazdem jankesów; utknęła w drzwiach przed Schodami Córek i byłaby tam już pozostała, gdyby nie namoczono jej wodą i ostatecznie nie przepchnięto.

Przyjechaliśmy w to Boże Narodzenie do Przystani Fincha i ciocia Alexandra pocałowała wuja Jacka. Francis pocałował wuja Jacka, wuj Jimmy w milczeniu uściśnął wujowi Jackowi rękę, po czym Jem i ja wręczyliśmy prezenty Francisowi, który z kolei wręczył prezent nam. Jem przypomniał sobie, że już nie jest taki młody, i ciężąc ku dorosłym pozostawił mi wyłączność na zabawianie naszego ciotecznego bratanka. Francis miał teraz lat osiem i gładko przyлизane włosy.

- Co dostałeś na gwiazdkę? - zagałam w myśl zasad dobrego tonu.

- Właśnie to, o co prosiłem - odpowiedział.

Francis prosił o bryczesy, czerwony skórzany tornister, pięć koszul i nie zawiązaną na stałe muszkę.

- To przyjemnie - skłamałam. - Jem i ja dostaliśmy wiatrówki do strzelania i Jem dostał „Małego chemika”...

- Pewnie takiego na niby...

- Nie, prawdziwego. On mi zrobi sympatyczny atrament i napiszę tym atramentem list do Dilla.

Francis zapytał, po co.

- No, masz pojęcie, jaką on będzie miał minę, kiedy dostanie list ode mnie zupełnie bez niczego? Szału dostanie nad tym listem.

Rozmowa z Francisem miała w sobie coś z osiadania na dnie oceanu. Był najnudniejszym dzieckiem, jakie znałam. Ponieważ mieszkał w Mobile, nie mógł donosić o mnie czynnikiem szkolnym, wynagradzał to sobie jednak powtarzaniem wszystkiego, co wiedział, cioci Alexandrze, która ze swej strony zrzucała brzemień jego zwierzeń przed Atticusem i wtedy tylko, w zależności od fantazji, Atticus albo wołał o tym zapomnieć, albo robił mi piekło. Chociaż po raz pierwszy i jedyny usłyszałam, jak Atticus odzywa się do kogoś ostro, właśnie w chwili, gdy powiedział cioci Alexandrze:

- Moja droga, lepiej ich wychować nie potrafię!

Miało to coś wspólnego z tym, że chodzę w kombinezonie.

Ciocia Alexandra była fanatyczną przeciwniczką mego stroju. Uważała, że nie ma dla mnie nadziei: nigdy nie zostanę damą, jeśli będę nadal chodziła w spodniach; gdy powiedziałam, że nie umiem nic robić w sukience, odrzekła, że nawet myśleć nie powinnam o robieniu czegokolwiek, co wymaga spodni. Wyobrażenie cioci Alexandry o mnie takiej, jaką być powinnam, obejmowało paradowanie w perłkach na szyi, ofiarowanych mi przez nią, gdy się urodziłam, i przykładną zabawę wśród kuchenek i serwisów podwieczorkowych dla lalek; co więcej, powinnam być promykiem słońca, który rozjaśnia samotne życie mego ojca. Podsunęłam, że w spodniach też można być promykiem słońca, ale ciocia mówiła dalej, że trzeba się zachowywać jak promyk i że dobrze się zapowiadałam, cóż, kiedy z roku na rok jest ze mną coraz gorzej. Zabolało mnie to i długo jeszcze myślałam o tym rozdrażniona, Atticus jednak, gdy go zapytałam, co on o tym myśli, odpowiedział, że w rodzinie jest już dosyć promyków, więc ja mogę nadal zajmować się własnymi sprawami. Zanadto mu nie przeszkadzam taka, jaka jestem.

Obiad gwiazdkowy jadłam w jadalni przy osobnym małym stoliku; Jem i Francis jedli razem z dorosłymi przy dużym stole. Chociaż oni dwaj już dawno uzyskali promocję do dużego stołu, mnie w dalszym ciągu ciocia izolowała. Nieraz się zastanawiałam, czego ona się z mojej strony obawia... że zerwałabym się raptem i że zaczęłabym rzucać talerzami? Czasem nawet chciałam ją prosić, żeby mi pozwoliła usiąść tylko raz jeden przy dużym stole z nimi wszystkimi i dowieść, jaka potrafię być kulturalna; ostatecznie w domu jadłam codziennie bez większych katastrof. Spróbowałam błagać Atticusa, żeby użył swego wpływu, ale Atticus powiedział, że nie ma takiej możliwości - jesteśmy gośćmi, więc siadamy tam, gdzie ciocia nas posadzi. Powiedział też, że ciocia Alexandra nie rozumie zbyt dobrze dziewczynek, bo nigdy nie miała córki.

Ale jej kuchnia była zadośćuczynieniem: trzy rodzaje mięs, jarzyny z zapasów nagromadzonych latem w spiżarni, brzoskwinie marynowane, dwa różne torty i sałatka z owoców z mleczkiem kokosowym składały się na ten skromny obiad świąteczny. Po obiedzie dorośli przeszli do salonu i rozsiedli się tam w błogostanie. Jem położył się na podłodze, a ja wyruszyłam do ogrodu.

- Włóż płaszczyk - polecił Atticus głosem rozmarzonym, więc łatwo mi było tego nie dosłyszeć.

Francis usiadł przy mnie na schodkach werandy.

- Takich pyszności to chyba jeszcze nie było - wszczęłam towarzyską pogawędkę.

- Babcia cudownie gotuje - przytaknął Francis. - Mnie też naucz.

- Chłopcy nie gotują. - Wyobraziłam sobie Jema w fartuszkach i zachichotałam.

- Babcia mówi, że mężczyźni powinni się nauczyć gotować, i muszą opiekować się żonami i usługiwać im, kiedy one niedobrze się czują - ciągnął mój cioteczny bratanek.

- Nie chcę, żeby Dill mi usługiwał - powiedziałam. - Wolę sama usługiwać jemu.

- Dillowi?

- Aha. Jeszcze nie mów o tym nikomu, ale myśmy się zaręczyli i pobierzemy się, jak tylko urośniemy. W czasie wakacji poprosił mnie o rękę.

Francis zareagował głośnym „phii!”

- Co ci się w nim nie podoba? - zapytałam. - On wcale nie jest „phiii”.

- Ten mały szkrab, który, babcia mi mówiła, mieszka u panny Rachel zawsze latem?

- Właśnie.

- Wiem o nim wszystko - oświadczył Francis.

- Co?

- Babcia mi mówiła, że on nie ma domu...

- Ma tak samo... w Meridian.

- ...i tylko jeździ od krewnych do krewnych, więc panna Rachel go bierze na każde lato.

- Francis, to nieprawda!

Francis wyszczerzył się do mnie w uśmiechu.

- Czasami to jesteś szalenie głupia, Jean Louise. No, ale chyba nie możesz być mądrzejsza.

- Co to ma znaczyć?

- Jeżeli wuj Atticus pozwala ci tak się włączyć z przybłędami, to już jego sprawa, mówi babcia, więc to nie twoja wina. I chyba nie twoja wina, że wuj Atticus kocha czarnuchów, ale ja ci mówię, że to jednak z pewnością jest upokorzenie dla rodziny...

- Francis, o co ci chodzi, do diabła?!

- Tylko o to, co mówię. Babcia mówi, że i tak fatalnie, że on was puszcza samopas, a już teraz, kiedy się okazało, że on kocha czarnuchów, wcale nie będziemy mogli chodzić po Maycomb. On pcha rodzinę do upadku, ot co!

Francis zerwał się, skoczył na mostek i paroma susami dobiegł do starej kuchni. Z bezpiecznej odległości zawołał:

- On jest murzyński pacholek!

- Nie jest! - ryknęłam. - Nie wiem, co mówisz, ale w tej chwili, do stu piorunów, masz przestać!

Zeskoczyłam ze schodków i pobiegłam za Francisem. Bez trudu złapałam go za kołnierz. Kazałam mu natychmiast wszystko odwołać.

Francis wyswobodził się szarpnięciem i wbiegł do starej kuchni.

- I ty murzyński pacholek! - wrzasnął.

Podkradając się do zwierzyny, lepiej jest zbytnio się nie spieszyć. Wystarczy zachować ciszę, a jak amen w pacierzu zwierzyna wychyli się zaciekawiona. Francis ukazał się w drzwiach kuchni.

- Jeszcze się wściekasz, Jean Louise? - spróbował zbadać sytuację.

- Nie ma o czym mówić - powiedziałam.

Francis wyszedł na mostek.

- Odwołasz, Francis?

Ale byłem za pochopna. Francis z powrotem dał nura do kuchni, więc wycofałem się na schodki. Potrafiłem czekać cierpliwie. Siedziałam tak może z pięć minut, gdy zabrzmiał głos cioci Alexandry.

- Gdzie jest Francis?

- Tam w kuchni.

- On przecież wie, że tam nie wolno mu się bawić.

Francis podszedł do drzwi kuchennych i wrzasnął:

- Babciu, to ona mnie tu zapędziła! Nie daje mi wyjść!

- Jak to, Jean Louise?

Podniosłem wzrok na ciocię Alexandrę.

- Wcale go nie zapędziła, ciociu. Ja go nie trzymam.

- A właśnie, że trzyma! - zawołał Francis. - Nie daje mi wyjść!

- Czubiliście się?

- Jean Louise wściekła się na mnie, babciu - zawołał Francis.

- Francis, masz wyjść stamtąd! Jean Louise, jeszcze jedno słowo, a powiem twojemu ojcu.

Czyżbym się przesłyszała... powiedziałaś niedawno „do diabła”?

- Nie, proszę cioci.

- Zdawało mi się, że tak. Wolałabym już tego nie słyszeć.

Bo ciocia Alexandra należała do słuchaczek rozmów dolatujących z werand na tyłach domów. Ledwie zniknęła w drzwiach, Francis wyszedł z kuchni uśmiechnięty, z nosem dumnie zadartym.

- Ze mną nie igraj - powiedział.

Zeskoczył do ogrodu i zachowując dystans między nami, zaczął rozdzielać kopniaki kępom trawy, przy czym od czasu do czasu odwracał głowę, żeby uśmiechnąć się do mnie. Jem wyszedł na werandę, popatrzył na nas i odszedł. Francis wlaź na drzewo mimozy, zlaź z niego, włożył ręce do kieszeni i ruszył niedbale na spacer po ogrodzie.

- Ha! - powiedział.

Zapytałem, za kogo właściwie on się uważa: czy za wuja Jacka? Francis odrzekł, że jeśli się nie myli, babcia już mówiła, że mam siedzieć spokojnie i mu nie dokuczać.

- Ja ci nie dokuczam - powiedziałam.

Francis przyjrzał mi się uważnie, doszedł do wniosku, że zostałem dostatecznie poskromiona i zanucił półgłosem:

- Murzyński pacholek...

Tym razem poraniłem sobie napiętki do kości na jego przednich zębach. Po uszkodzeniu lewej ręki ostro zabrałem się do rzeczy prawą, ale dużo czasu już na to nie miałam. Wuj Jack chwycił mnie za łokcie, przycisnął mi je do boków i powiedział:

- Stój!

Ciocia Alexandra udzieliła pierwszej pomocy Francisowi, ocierając mu łzy swoją chusteczką, głaszcząc go po włosach i poklepując po policzku. Atticus, Jem i wuj Jimmy byli już na werandzie, gdy Francis przestał wrzeszczeć.

- Kto zaczął? - zapytał wuj Jack.

Francis wskazał mnie, ja wskazałam Francisa.

- Babciu - ryknął Francis. - Ona mnie nazwała panią kurwą i skoczyła na mnie!

- Czy to prawda, Smyk? - zapytał wuj Jack.

- Chyba.

Wuj Jack przyjrzał mi się, nagle bardzo podobny do cioci Alexandry.

- Nie mówiłem ci, że wpakujesz się w kłopoty, używając takich słów? Nie mówiłem?

- Mówiłeś, wuju, ale...

- No, i masz teraz. Nie uciekaj.

Debatując, czy mam zostać, czy umknąć, trwałam w niezdecydowaniu o chwilę za długo; ostatecznie rzuciłam się do ucieczki, wuj Jack jednak był szybszy ode mnie. Stwierdziłam raptownie, że widzę maleńką mrówkę borykającą się z okruszem chleba w trawie.

- Póki żyję, nie odezwę się do ciebie, wuju. Nienawidzę cię, wuju. Gardzę tobą, wuju, i możesz sobie jutro umrzeć!

To oświadczenie bardziej niż cokolwiek innego dodało wujowi Jackowi wigoru.

Pobiegłam do Atticusa, żeby mnie pocieszył, ale Atticus powiedział, że dostałam za swoje i że czas już wracać do domu. Wgramoliłam się na tylne siedzenie samochodu, nikomu nie mówiąc „do widzenia”, a w domu natychmiast popędziłam do swego pokoju i z całej siły zatrasnęłam za sobą drzwi. Jem próbował powiedzieć mi coś miłego, ale go nie wpuściłam.

Bliższe oględziny moich obrażeń wykazały, że mam na skórze zaledwie kilka czerwonych śladów, więc pograżyłam się w zadumie nad względnością rzeczy, gdy rozległo się pukanie. Zapytałam, kto tam; odpowiedział wuj Jack.

- Precz!

Wuj Jack oświadczył, że jeśli będę tak mówiła, zbije mnie znowu, wobec czego ucichłam. Wszedł do pokoju, a ja wycofałam się w kąt i stanęłam tyłem do niego.

- Smyku - zapytał - czy wciąż jeszcze mnie nienawidzisz?

- Idź sobie, wuju, proszę...

- No, nie myślałem, że będziesz mi to miała za złe - powiedział. - Zawiodłem się na tobie...

Przecież zasłużyłaś i sama wiesz o tym.

- Ja też nie myślałam, że...

- Kochanie, nie można na każdym kroku nazywać ludzi...

- niesprawiedliwy jesteś - powiedziałam. - niesprawiedliwy.

Wuj Jack uniósł brwi.

- niesprawiedliwy? Jak to?

- Właściwie to jesteś miły, wujaszku, i chyba ja cię kocham nawet teraz, chociaż tak ze mną zrobiłeś, ale ty nie za bardzo rozumiesz dzieci.

Wuj Jack wziął się pod boki i spojrzał na mnie z góry.

- Pod jakim to ja względem nie rozumiem dzieci, panno Jean Louise? Takie popisy, jak ten

twój dzisiejszy, raczej nie wymagają szczególnego zrozumienia. Zachowałeś się hałaśliwie, niesforne i arogancko...

- Czy nie przestaniesz, wujaszku? Nie chcę ci nawymyślać, chcę ci tylko coś powiedzieć.

Wuj Jack usiadł na łóżku. Z brwiami ściągniętymi patrzył na mnie uważnie.

- Mów - zachęcił.

Nabrałam tchu.

- No, przede wszystkim to wcale nie poczekałeś, żebym ci powiedziała, jak to było od mojej strony, tylko od razu napadłeś na mnie. Kiedy my z Jemem się spieramy, Atticus wysłuchuje Jema od Jema strony i mnie od mojej strony, i po drugie sam powiedziałaś, że lubisz przekleństwa w wypadku skrajnego rozdrażnienia, a Francis właśnie mnie rozdrażnił tak okropnie, że powinnam mu pałą rozwalić...

Wuj Jack podrapał się w głowę.

- Więc jak to było od twojej strony, Smyku?

- Francis coś powiedział na Atticusa i tego nie mogłam mu przepuścić.

- Co Francis powiedział na niego?

- Murzyński pacholek. Nie wiem na pewno, co to znaczy, ale Francis to powiedział w taki sposób... Jedno ci powiem, wujaszku, niech mnie dia... przysięgam przed Bogiem... jeżeli będę siedziała z założonymi rękami i pozwolę coś mówić na Atticusa.

- Francis tak powiedział?

- Właśnie. Tak i jeszcze mnóstwo rzeczy. Powiedział, że Atticus pcha rodzinę do upadku i że puszcza Jema i mnie samopas...

Widząc wyraz twarzy wuja Jacka pomyślałam, że znów będę miała za swoje. Ale wuj Jack powiedział:

- Zajmiemy się tym. - Więc wiedziałam, że za swoje będzie miał Francis. - Mam wielką ochotę pojechać tam jeszcze dzisiaj.

- Proszę, wujaszku. Zostaw to. Proszę.

- Nie mam zamiaru tego tak zostawić - odparł wuj Jack. - Alexandra powinna o tym wiedzieć. Sam pomysłał, żeby... No, niech ja tylko dostanę tego chłopca w swoje ręce.

- Wujaszku, obiecaj mi coś, błagam. Obiecaj, że nie powiesz Atticusowi. Bo Atticus... Atticus kiedyś mnie prosił, żebym się nie dała rozszłościć, choćbym nie wiem co o nim usłyszała, więc wolę, żeby myślał, że myśmy się bili o coś innego, nie o to. Błagam, wujaszku...

- Ale ja nie chciałbym, żeby Francisowi taka rzecz uszła bezkarnie.

- Wcale mu nie uszła. Czy możesz mi, wujaszku, owinąć tę rękę? Jeszcze mi krew trochę leci.

- Oczywiście, opatrzę ci ją, dziecinko. Nikomu nie zrobiłbym tego chętniej niż tobie. Proszę łaskawie tędy.

Wuj Jack z szarmanckim ukłonem skierował mnie do łazienki. Przemywając i bandażując mi napiętek, zabawiał mnie opowieścią o pociesznym starszym panu, który miał bardzo krótki wzrok i kota imieniem Parobczak i który w czasie spaceru liczył na ulicy wszystkie szczeliny w chodniku.

- No - powiedział na zakończenie. - Zostanie ci na serdecznym palcu blizna, dosyć dziwna u damy.

- Dziękuję, wujaszku.

- Madame...

- Co to znaczy pani kurwa?

Wuj Jack natychmiast uraczył mnie jeszcze jedną długą opowieścią, tym razem o jakimś starym premierze, który siedząc w Izbie Gmin, rzucił w powietrze garść piórek i dmuchaniem usiłował je w powietrzu utrzymać, kiedy wszyscy wokół niego kompletnie tracili głowy. Myślę, że wuj Jack w ten sposób próbował odpowiedzieć na moje pytanie, ale jakoś mu to nie wychodziło.

Później, gdy oficjalnie już leżałam w łóżku, a nieoficjalnie wyszłam ze swego pokoju, żeby napić się wody, usłyszałam w drodze przez hol dolatującą z gabinetu rozmowę Atticusa i wuja Jacka.

- Nigdy się nie ożenię, Atticus.

- Dlaczego?

- Bo może miałbym dzieci.

Atticus powiedział:

- Wiele jeszcze musisz się nauczyć, Jack.

- Ja wiem. Twoja córka dała mi pierwszą lekcję dzisiaj po południu. Orzekła, że nie bardzo rozumiem dzieci, i wyjaśniła, pod jakim względem. Miała zupełną rację, Atticus, nauczyła mnie, jak powinienem ją traktować... Mój Boże, tak mi przykro, że jej spuściłem lanie.

Atticus zachichotał:

- To jej się należało, więc nie odczuwaj zbyt wielkiej skruchy.

Stałam w holu jak na rozżarzonych węglach, przekonana, że teraz wuj Jack powie Atticusowi, o co się pobiłam z Francisem. Ale on nie powiedział. Mruknął tylko:

- Szasta dziewczyna repertuarem ze ścian w toaletach w sposób nie pozostawiający nic dla wyobraźni, ale ona pojęcia nie ma o znaczeniu połowy tego, co mówi... Zapytała mnie, co to jest pani kurwa.

- Wytłumaczyłeś?

- Nie, opowiedziałem jej o lordzie Melbourne.

- Jack! Kiedy dziecko cię o coś pyta, odpowiedz mu, na miłość boską. Ale nie rozciągaj tej odpowiedzi w nieskończoność. Dzieci to dzieci, potrafią jednak szybciej niż dorośli wykryć oszustwo i takie zamydlenie oczu wprowadza tylko w ich głowach zamęt. Tak - dumał mój ojciec - rozwiązanie znalazłeś dziś dobre, wychodząc jednak z założenia niewłaściwego. Brzydkie słowa to faza, przez którą przechodzą wszystkie dzieci, i która sama mija, kiedy dziecko widzi, że na nikim nie robi to wrażenia. Natomiast zapalczywość to już inna sprawa. Smyk musi się nauczyć zachowywać zimną krew, i to nauczyć się jak najprędzej wobec przykrości, jakie ją czekają w ciągu najbliższych miesięcy. Ona dojdzie do tego. Jem poważnieje i ona coraz częściej bierze z niego przykład. Ale czasem trzeba jej pomóc.

- Atticus, tyś jej nigdy nie uderzył.

- Przyznaję, że nigdy. Jak dotąd, radziłem sobie groźbami. Jack, ona jest posłuszna tak dalece, jak potrafi. Nie zawsze potrafi wtedy, kiedy trzeba, ale dokładnie starań.

- To nie jest rozwiązanie - powiedział wuj Jack.

- Nie, rozwiązanie polega tu na czymś innym: ona wie, że ja wiem, jak bardzo ona się stara

być posłuszna. To zmienia postać rzeczy. Martwię się jednak, że moje dzieci będą wkrótce narażone na pewne paskudztwa. Z Jemem nie będzie kłopotu, bo on potrafi panować nad sobą, ale Smyk skacze do oczu każdemu, kiedy w grę wchodzi jej duma...

Czekałam przekonana, że wuj Jack nie dotrzyma obietnicy. Nadal tego nie zrobił.

- Atticus, bardzo źle to się zapowiada? Nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym.

- Jak najgorzej, Jack. Jedyne nasze atuty to słowo czarnego przeciwko słowu Ewellów. Cały materiał dowodowy ogranicza się do: „Tyś to zrobił! - Nie zrobiłem”. Sąd przysięgłych w żadnym razie nie uzna słowa Toma Robinsona wobec oświadczenia Ewellów... Znasz Ewellów?

Wuj Jack odparł, że owszem, przypomina ich sobie. Opisał ich Atticusowi, ale Atticus powiedział:

- Mówisz o poprzednim pokoleniu. Ci obecni, co prawda, są tacy sami.

- Więc co zrobisz?

- Zanim przegram, postaram się trochę potrząsnąć ławą przysięgłych. Mam jednak nadzieję, że będzie jakaś taka możliwość apelacji. W tym stadium rzeczywiście trudno cokolwiek przewidzieć, Jack. Wiesz, zawsze się łudziłem, że zdołam przejść przez życie, nie prowadząc żadnej sprawy tego rodzaju, cóż, kiedy John Taylor dosłownie wskazał mnie palcem i powiedział: „ty to wypij!”

- Nie mógłbyś tego kielicha przekazać komuś innemu?

- Mógłbym. Ale czy myślisz, że spojrzalbym wtedy w oczy moim dzieciom? Wiesz, co będzie, Jack, równie dobrze jak ja, więc mogę tylko mieć w Bogu nadzieję, że uda mi się przeprowadzić przez to Jema i Smyka bez goryczy i zarażenia się powszechną chorobą Maycomb. Dlaczego rozsądni ludzie wpadają w obłąd, kiedy tylko wypływa jakakolwiek sprawa, w którą zamieszany jest Murzyn?... Nawet nie próbuję udawać, że rozumiem. Liczę tylko na to, że Jem i Smyk zwrócą się ze swoimi pytaniami do mnie, zamiast słuchać gadania w mieście... Jean Louise?

Włosy mi się zjeżyły. Wysunęłam głowę zza występu ściany.

- Słucham?

- Wracaj do łóżka.

Prędko podreptałam do swego pokoju i położyłam się. Uznałam, że wuj Jack to najwspanialszy kolega, bo przecież mnie nie zawiódł. W żaden jednak sposób nie mogłam pojąć, skąd Atticus wiedział, że ja podsłuchuję, i dopiero po wielu latach zdałam sobie sprawę, że on chciał wtedy, bym słyszała każde jego słowo.

10

Atticus nie odznaczał się tężyzną; miał prawie pięćdziesiąt lat. Gdy Jem i ja pytaliśmy go, dlaczego jest taki stary, odpowiadał, że późno zaczął, więc przyjęliśmy, że to ten późny początek odbił się tak fatalnie na jego męskich możliwościach. Znacznie starszy niż rodzice naszych rówieśników w szkole, nie dawał nam żadnych powodów do chwalenia się nim, gdy nasi koledzy mówili: „Mój ojciec...”

Jem miał bzika na punkcie piłki nożnej. Atticus nigdy nie był zbyt zmęczony na to, by bronić bramki, ale przy ostrzejszych natarciach Jema mawiał:

- Za stary jestem, synku.

Nasz ojciec nic nie robił. Miejscem jego pracy była kancelaria, a nie drogeria. Nie prowadził ciężarówki ze śmieciami hrabstwa, nie był szeryfem, nie uprawiał ziemi, nie pracował w warsztacie samochodowym ani nie zajmował się w ogóle niczym, co by mogło w końcu wzbudzić czyjkolwiek podziw.

W dodatku nosił okulary. Niedowidział na lewe oko i mówił, że ta wada wzroku to klątwa wisząca nad rodem Finchów. Chcąc coś dobrze zobaczyć, odwracał głowę i patrzył prawym okiem.

Nie zachowywał się tak po męsku jak ojcowie naszych kolegów: nigdy nie polował, nie grał w pokera ani nie łowił ryb, nie pił, nie palił. Siedział w gabinecie i czytał.

A jednak nie pozostawał w cieniu, jak byśmy sobie życzyli, zważywszy te jego niedociągnięcia; w szkole tamtego roku szumiało jak w ulu, tyle mówiono, i to zgoła niepochlebnie o tym, że broni Toma Robinsona. Gdy po utarczce z Cecilem Jacobsem zaczęłam prowadzić politykę tchórza, rozeszła się wieść, że Smyk Finch już nie będzie się biła, bo tatuś jej nie pozwala. To niezupełnie zgadzało się z prawdą. Miałam nie bić się za Atticusa publicznie, ale teren rodzinny był przecież terenem prywatnym. Z każdym nawet najdalszym kuzynem walczyłabym zębami i pazurami. Francis Hancock, na przykład, nie mógł mieć co do tego wątpliwości.

Atticus, chociaż dał nam wiatróvky, nie nauczył nas strzelać. Podstawowych wskazówek udzielił nam wuj Jack wyjaśniając, że Atticus nie lubi broni. Atticus powiedział kiedyś Jemowi:

- Wolałbym, żebyś strzelał do puszek od konserw w ogrodzie, ale wiem, że ty pójdziesz polować na ptaki. Strzelaj więc sobie, ile chcesz, do sójek, jeżeli ci nie za trudno je trafić, tylko pamiętaj, że grzechem jest zabić drozda.

Po raz pierwszy wtedy i jedyny usłyszałam, jak Atticus mówi, że coś jest grzechem, więc zapytałam o to panią Maudie.

- Wasz ojciec ma rację - rzekła pani Maudie. - Drozdy nic nam nie czynią poza tym, że radują nas swoim śpiewem. Nie niszczą ogrodów, nie gnieźdzą się w szopach na kukurydzę, nie robią żadnej szkody, tylko śpiewają dla nas z głębi swoich ptasich serduszek. Dlatego właśnie grzechem jest zabić drozda.

- Pani Maudie, to stara okolica, prawda?

- Starsza niż nasze miasteczko.

- Nie, proszę pani. Mnie chodzi o to, że wszyscy na tej ulicy są starzy. Tylko Jem i ja jesteśmy dziećmi. Pani Dubose ma prawie sto lat i panna Rachel jest stara, i pani także, i Atticus.

- Nie sądzę, żeby pięćdziesiąt lat było taką znów starością - powiedziała pani Maudie cierpko. - Jeszcze mnie nie wożą w fotelu na kółkach. Ani twojego ojca też nie. Ale muszę przyznać, że Opatrzność okazała się dość łaskawa, zsyłając pożar na to moje odwieczne mauzoleum. Bo już ja, żeby utrzymać coś takiego, jestem rzeczywiście za stara... Może masz rację, Jean Louise, to stateczna okolica. Nie przebywacie wiele z młodymi, co?

- Owszem, proszę pani, przebywamy w szkole.

- Mówię o młodych dorosłych. Odnosicie korzyści z tego, że wasz ojciec jest w takim wieku. Gdyby miał teraz trzydzieści lat, inaczej by się wam wiodło.

- Mnie na pewno. Atticus nic nie potrafi.

- Nawet nie wiesz - rzekła pani Maudie - ile życia on ma jeszcze w sobie.

- Ale co on potrafi?

- No, potrafi tak hermetycznie zamykać testamenty, że nikt nie może wetknąć w nie nosa.

- Psiakość...

- Hm... nie wiedziałaś, że on gra w warcaby najlepiej ze wszystkich w naszym mieście? W Przystani, gdyśmy przyjeżdżali, Atticus potrafił wygrać z każdym czy to z tego, czy z tamtego brzegu rzeki.

- Boże święty, pani Maudie, Jem i ja zawsze z nim wygrywamy.

- Więc już chyba czas, byście się dowiedzieli, że on wam po prostu daje wygrywać. A o tym, że on potrafi grać na bębenu, nie wiedziałaś?

To skromne osiągnięcie sprawiło, że zaczęłam jeszcze bardziej się za Atticusa wstydzić.

- No... - powiedziała pani Maudie.

- No, co, pani Maudie?

- No, nic. Nic... to powinno wystarczyć, żebyś była z niego dumna. Nie każdy potrafi grać na bębenu. A teraz musimy zejść z drogi tym cieślom. Najlepiej idź do domu. Tu przy azaliach trudno by mi było na ciebie uważać. Mogłabyś dostać jakąś deskę.

Wróciłam do naszego ogrodu, gdzie Jem w pocie czoła strzelał do puszek od konserw, co wydało mi się głupie wobec tylu sójek wszędzie wokół. Zawróciłam przed dom i zajęłam się wznoszeniem misternych szafców przy werandzie, na które po dwóch godzinach wyteżonej pracy składały się paki po pomarańczach, opona samochodowa, kosz na bieliznę, fotele trzcinowe i wreszcie mała flaga Stanów Zjednoczonych z pudełka prażonej kukurydzy - prezentu od Jema.

Gdy Atticus wrócił na obiad, przykucnięta za tym murem celowałam z wiatrówki na drugą stronę ulicy.

- Do czego strzelasz?

- Do tyłu pani Maudie.

Atticus obejrzał się, zobaczył mój okazały cel nachylony nad krzewem. Zsunął kapelusz z czoła i przeszedł przez ulicę.

- Maudie - zawołał - uważam, że lepiej cię ostrzec. Jesteś poważnie zagrożona.

Pani Maudie wyprostowała się i spojrzała w kierunku mojej pozycji. Powiedziała:

- Atticus, ty diable z piekła rodem.

Atticus przyszedł z powrotem i kazał mi zwinąć obóz.

- Niech ja cię już nigdy nie przyłapię na celowaniu z tej wiatrówki do kogokolwiek.

Tak bardzo pragnęłam, żeby mój ojciec naprawdę był diabłem z piekła rodem. Spróbowałam w tym zakresie wysondować Calpurnię.

- Pan Finch? No, on mnóstwo potrafi.

- Co na przykład? - zapytałam.

Calpurnia podrapała się w głowę.

- Hm... właściwie to nie wiem - odrzekła.

Jem postawił kropkę nad „i” pytając, czy Atticus będzie grał dla metodystów, na co Atticus powiedział, że kark by tylko skręcił, bo jest już za stary na takie rzeczy. Metodyści, żeby zebrać pieniądze na spłacenie hipoteki swego kościoła, zorganizowali mecz piłki nożnej z baptystami. Mieli grać chyba wszyscy ojcowie w całym mieście z wyjątkiem Atticusa. Jem oświadczył, że nawet nie chce tam iść, ale ostatecznie, ponieważ nigdy nie mógł się oprzeć czarowi piłki nożnej w żadnej formie, jednak poszedł i ponuro, stojąc na boku z Atticusem i ze mną, patrzył, jak ojciec Cecila Jacobsa zdobywa punkty dla baptystów.

W pewną sobotę Jem i ja postanowiliśmy wybrać się z wiatrówkami na poszukiwanie królików bądź wiewiórek. Przeszliśmy jakieś pięćset jardów za posesją Radleyów, gdy nagle zauważyłam, że Jem oczami przymrużonymi patrzy na koniec ulicy. Z głową odwróconą przyglądał się czemuś z ukosa.

- Na co patrzysz?

- Na to psisko tam.

- To stary Tim Johnson, no nie?

- Aha.

Tim Johnson był psem pana Harry'ego Johnsona, który prowadził autobus na trasie Maycomb-Mobile i mieszkał na południowym skraju miasteczka. Tim, wyżeł wątrobianego koloru, cieszył się w Maycomb ogromną popularnością.

- Co on robi?

- Nie wiem, Smyk. Wracajmy do domu.

- Oj, Jem, jest luty.

- To nic, że luty. Powiem Calpurnii.

Na wyścigi pognaliśmy do domu i wpadliśmy do kuchni.

- Cal - zapytał Jem - możesz przejść się teraz kawalek ulicą?

- Po co, Jem? Nie mogę się przechodzić ulicą na każde twoje zawołanie.

- Coś jest nie w porządku z jednym psiskiem tam dalej.

Calpurnia westchnęła.

- Ja teraz nie mam czasu owijać łapy żadnemu psu. W łazience jest trochę gazy, weź ją i sami to zróbcie.

Jem potrząsnął głową.

- Z nim niedobrze, Cal. Coś nie w porządku.

- Co on robi? Kręci się w kółko i chce się złapać za ogon?

- Nie. On robi tak... - Jem jak złota rybka zaczerpnął powietrza, po czym zgarbił się i zaczął gwałtownie poruszać piersią. - On tak idzie, i to na pewno nie tak, jak by chciał.

- Bajki mi opowiadasz, Jemie Finch. - Głos Calpurnii stwardniał.

- Nie, Cal, przysięgam, że nie.

- Biegł?

- Nie, tylko się wlecze powolutku, ledwie widać, że w ogóle się posuwa. Idzie tędy.

Calpurnia oplukała ręce i wyszła za Jemem do ogrodu.

- Żadnego psa nie widzę - stwierdziła.

Dała się jednak poprowadzić za posesję Radleyów i spojrzała we wskazanym przez Jema kierunku. Tim Johnson wyglądał z daleka jak plama, ale już się zbliżał. Szedł nierówno, jak gdyby łapy prawe miał krótsze od lewych. Trochę to przypominało samochód, który ugrzązł w piachu.

- Jakiś wykoślawiony - powiedział Jem.

Calpurnia patrzyła przez chwilę, a potem przygarnęła nas do siebie i pędem zawróciła z nami do domu. Zamknęła nie tylko drzwi z siatką, ale i drewniane, i dopadła telefonu.

- Proszę panią dać kancelarię pana Fincha - krzyknęła w słuchawkę. - Panie Finch! - krzyknęła jeszcze głośniej. - Tu Cal. Bóg mi świadkiem, niedaleko na ulicy jest wściekły pies. Tutaj idzie, proszę pana, wście... Panie Finch, ja mówię, że jest. Stary Tim Johnson, tak, proszę pana, wściekły... Tak, proszę pana... tak...

Położyła słuchawkę na widełki i gdyśmy zaczęli się dopytywać, co Atticus powiedział, tylko potrząsnęła głową. Znów podniosła słuchawkę. Zastukała widełkami.

- Panno Eulo May... już, proszę pani, skończyłam z panem Finchem i już mnie pani nie potrzebuje łączyć... Tylko niech pani posłucha, panno Eulo May... może by pani zadzwoniła do panny Rachel i do panny Stephanie Crawford, i do wszystkich z telefonami na tej ulicy, żeby im powiedzieć, że tu idzie wściekły pies. Proszę pani! - Wysłuchała odpowiedzi. - Wiem, że to luty, panno Eulo May, ale także wiem, jak się poznać na psie, że jest wściekły. Proszę, niech pani prędko dzwoni!

Po tej rozmowie zapytała Jema:

- Radleyowie mają telefon?

Jem zajrzał do książki telefonicznej i powiedział, że nie mają.

- Ale oni i tak nie wychodzą, Cal.

- To nic. Trzeba im powiedzieć.

Wybiegła na werandę, Jem za nią, ja za Jemem.

- Wy zostańcie! - wrzasnęła.

Wiadomość Calpurnii dotarła do sąsiadek. Wszystkie drzwi drewniane w zasięgu naszego wzroku szczelnie pozamykano. Tima Johnsona nie było widać. Patrzyliśmy, jak Calpurnia pędzi do domu Radleyów, unosząc spódnicę i fartuch nad kolanami. Wbiegła po schodkach i walnęła pięścią w drzwi. Nikt się nie odezwał, więc zawołała:

- Panie Nathan, panie Arthur, wściekły pies idzie! Wściekły pies idzie!

- Powinna podejść od tyłu - zauważyłam.

Jem potrząsnął głową.

- Na to samo by wyszło - powiedział.

Na próżno Calpurnia waliła w drzwi Radleyów. Nikt tam nie zareagował na jej ostrzeżenie; nikt go chyba nie usłyszał. Gdy Calpurnia z powrotem dobiegała do naszej werandy, na podjeździe za domem już zatrzymał się czarny ford. Z forda wysiadł Atticus z panem Heckiem Tate.

Pan Heck Tate był szeryfem hrabstwa Maycomb. Trochę od Atticusa szczuplejszy, dorównywał mu wzrostem. Miał długi nos i chodził w wysokich butach z dziurkami okutymi błyszczącym metalem, w bryczesach i w skórzanej kurtce. Na pasku rzędem lśniły mu naboje. Niósł teraz ciężką strzelbę. Obaj z Atticusem weszli po schodkach i Jem otworzył im drzwi werandy.

- Nie wychodź, synku - powiedział Atticus. - Gdzie on jest, Cal?

- Teraz to już powinien być tutaj - odrzekła Calpurnia, wskazując palcem ulicę.

- Nie biegnie? - zapytał pan Tate.

- Nie, proszę pana szeryfa. On ma teraz drgawki, panie Heck.

- Lepiej zaczekajmy, panie mecenasie. One zwykle idą prosto przed siebie, ale nigdy nic nie wiadomo. Ten może zakręcić na rogu, co daj Boże amen... albo pójdzie prosto na dom Radleyów. Zaczekajmy trochę.

- Nie przypuszczam, żeby się dostał do ogrodu Radleyów - rzekł Atticus. - Płot go zatrzyma. Prawdopodobnie pójdzie jezdnią...

Zawsze myślałam, że wściekłe psy mają pianę na pyskach, galopują, skaczą, rzucają się człowiekowi do gardła, i to tylko w sierpniu. Gdyby tak właśnie było z Timem Johnsonem, bałabym się mniej.

Straszna jest martwość wyludnionej, trwającej w wyczekiwaniu ulicy. Drzewa stały nieruchome, drozdy nie śpiewały, robotnicy, którzy pracowali przy budowie domu pani Maudie, zniknęli. Usłyszałam, jak pan Tate prycha i wyciera nos. Zobaczyłam strzelbę uniesioną w jego zgiętej ręce. Zobaczyłam twarz panny Stephanie Crawford w okienku jej drzwi frontowych. Obok ukazała się twarz pani Maudie. Atticus postawił nogę na poprzeczce krzesła i powoli przesunął dłoń po udzie.

- Jest - powiedział cicho.

Tim Johnson wszedł w pole widzenia, wytaczając się na oślep zza zakrętu w kierunku równoległym do domu Radleyów.

- Widzisz - szepnął Jem. - Pan Heck mówił, że one idą prosto przed siebie. A on nawet nie trzyma się jezdni.

- Chory jak nie wiem co - powiedziałam.

- Wpadałby na wszystko, gdyby coś przed nim było. - Pan Tate przysłonił sobie oczy dłonią i wychylił się.

- Ale go wzięło, panie mecenasie.

Tim Johnson zbliżał się w ślimaczym tempie, a przecież nie marudził, nie węszył w liściach: wydawało się, że to jakaś niewidzialna moc utrzymuje go w ruchu, pcha go do określonego celu, stopniowo przysuwa go do nas. Sierść mu drgała jak koniowi spędzającemu z siebie muchy, pysk mu się otwierał i zamykał; nieomal padał na lewy bok, ale coś go cał po calu do nas popychało.

- On szuka miejsca, żeby umrzeć - powiedział Jem.

Pan Tate odwrócił się do Jema.

- To nie tak zaraz, Jem. On jeszcze nie zaczął.

Tim Johnson dotarł do rogu bocznej uliczki biegnącej wzdłuż posesji Radleyów i zatrzymał się, jak gdyby resztką swej biednej świadomości rozważał, którą wybrać drogę. Zrobił parę niepewnych kroków i stanął przed furtką Radleyów, potem spróbował się odwrócić, ale to mu sprawiło trudność.

Atticus powiedział:

- Jest w zasięgu, Heck. Lepiej trafić go teraz, zanim pójdzie w bok... Bóg wie, kto tam jest za

rogiem. Wejdz do domu, Cal.

Calpurnia otworzyła drzwi z siatką, zamknęła je za sobą na zasuwkę, potem znów je otworzyła i pozostawiła uchylone. Stała tak, żeby zasłonić Jemowi i mnie widok, ale wyglądaliśmy jej spod pach.

- Pan go trafi, panie mecenasie.

Pan Tate podsunął strzelbę Atticusowi. Jem i ja omal nie zemdleliśmy.

- Nie trać czasu, Heck - powiedział Atticus. - No, prędeej.

- Panie mecenasie, jego trzeba położyć jednym strzałem.

Atticus gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie stój tu, Heck! On nie będzie przez cały dzień czekał na ciebie...

- Na litość boską, panie mecenasie, niech pan spojrzy, gdzie on jest. Jeżeli chybię, trzasnę prosto w dom Radleyów. Nie mam takiego dobrego oka, pan przecież wie!

- Od trzydziestu lat nie strzelałem.

Pan Tate prawie rzucił strzelbę na Atticusa.

- Już ja będę zupełnie spokojny, jeżeli pan strzeli nawet po tych trzydziestu latach - powiedział.

Jak przez mgłę widzieliśmy oboje z Jemem naszego ojca, gdy wziął strzelbę i wyszedł na środek ulicy. Szedł prędko, ale pomyślałam, że wolniej by nie płynął człowiek pod wodą; czas się włókł, przyprowadzając o mdłości swym pełzaniem.

Atticus poprawił okulary, a Calpurnia szepnęła:

- Jezusie słodki, dopomóż. - I złapała się za policzki.

Atticus podciągnął okulary na czoło; zsunęły się, więc je zdjął i upuścił na jezdnię. W ciszy usłyszałam, jak się tłuką. Atticus przetarł oczy i podbródek; zobaczyliśmy, że z wysiłkiem zamrugął.

Przed furką Radleyów Tim Johnson resztką świadomości już uczynił wybór. W końcu się odwrócił, żeby iść w pierwotnym kierunku dalej naszą ulicą. Zrobił dwa niemrawe kroki, a potem przystanął i podniósł łeb. Widać było, jak cały sztywnieje.

Atticus tak szybko, że jego ruchy wydawały się jednoczesne, odbezpieczył strzelbę i podniósł ją do ramienia.

Strzelba huknęła. Tim Johnson skoczył, przekoziółkował i runął na płyty chodnika - znieruchomiał, białożółkowy kłęb. Nie wiedział, co go ugodziło.

Pan Tate wielkimi susami ruszył z werandy w stronę posesji Radleyów. Nie podchodząc do psa, zatrzymał się przed nim i przykucnął; potem odwrócił głowę i klepnął się palcem w czoło nad lewym okiem.

- Strzelił pan odrobinę w prawo, panie mecenasie.

- Zawsze tak strzelałem - rzekł Atticus. - Gdybym mógł wybierać, wziąłbym śrutówkę.

Pochylił się i podniósł okulary, zdeptał na miazgę stłuczone szkła obcasem, podszedł do pana Tate i popatrzył na Tima Johnsona.

Drzwi domów otwierały się teraz jedno po drugim i na ulicę z wolna wracało życie. Pani Maudie zeszła ze schodków z panną Stephanie Crawford.

Jem stał jak sparaliżowany. Uszczypnęłam go, żeby się ruszył, ale Atticus widząc, że

chcemy wybiec za furtkę, zawołał:

- Zostańcie tam!

Gdy Atticus i pan Tate wrócili do ogrodu, pan Tate się uśmiechnął:

- Zeebo go wywiezie - powiedział. - No i jakoś pan nie wyszedł z wprawy, panie mecenasie.

Mówią, że to już zawsze siedzi w człowieku.

Atticus milczał.

- Atticus? - odezwał się Jem.

- Tak?

- Nic.

- Widziałam tego Fincha „Niezawodne Oko”.

Atticus odwrócił się do pani Maudie. Popatrzyli na siebie bez słowa, a potem Atticus wsiadł do samochodu szeryfa.

- Chodź no tu - przywołał Jema. - Nie zbliżajcie się do psa, rozumiesz? Nie zbliżajcie się do niego, bo on martwy jest tak samo niebezpieczny, jak przed chwilą, kiedy był żywy.

- Rozkaz - powiedział Jem. - Atticus...

- Co, synku?

- Nic.

- Co z tobą, chłopcze, język ci skołowaciał? - zapytał pan Tate, uśmiechając się do Jema. - Nie wiedziałeś, że twój tata...

- Cicho, Heck - przerwał mu Atticus. - Wracamy do miasta.

Po ich odjeździe przeszłam z Jemem na frontowe schodki panny Stephanie. Usiedliśmy czekając, kiedy przyjedzie Zeebo ciężarówką do wywożenia śmieci.

Jem siedział odrętwiały, oszołomiony, a panna Stephanie mówiła:

- Uch, uch, uch, kto by to pomyślał, że pies wścieknie się w lutym. Może on nie był wściekły, może tylko coś go stuknęło. Nie chciałabym widzieć miny Harry'ego Johnsona, kiedy wróci z kursu do Mobile i dowie się, że Atticus Finch mu psa zastrzelił. Głowę dam, że jego po prostu gdzieś pchły oblaży...

Pani Maudie powiedziała, że panna Stephanie śpiewałaby inaczej, gdyby Tim Johnson jeszcze szedł naszą ulicą, i że wkrótce będzie wiadomo, bo prześlą jego łeb do Montgomery.

Jem jako tako odzyskał mowę.

- ...ałaś go, Smyk? ...ałaś, jak on tam stał? ...i nagle taki spokojny... i jakby ta strzelba była do niego przyrośnięta... i zrobił to piorunem jak... Ja muszę dziesięć minut celować, żeby trafić...

Pani Maudie uśmiechnęła się niegodziwie.

- No i co, Jean Louise? - zapytała. - Jeszcze uważasz, że wasz ojciec nic nie potrafi? Jeszcze się go wstydzisz?

- Nie, psz...aaani - bąknęłam potulnie.

- Zapomniałam ci wtedy powiedzieć, że Atticus poza tym, że gra na bębenku, był swego czasu najlepszym strzelcem w hrabstwie Maycomb.

- Najlepszym strzelcem... - jak echo powtórzył Jem.

- Nie przesłyszałaś się, Jemie Finch. Teraz chyba inaczej wy będziecie śpiewali. Coś takiego... nie wiedzieliście, że nazywano Atticusa starym „Niezawodnym Okiem”, kiedy był

chłopcem? No, tam w Przystani, jak przychodziło co do czego, jeżeli na piętnaście strzałów trafiał czternaście gołębi, uskarżał się, że zmarnował amunicję.

- Nigdy nam o tym nie mówił - mruknął Jem.

- Nigdy wam o tym nie mówił? Naprawdę?

- Naprawdę, proszę pani.

- I dlaczego on teraz nie chodzi na polowania? - wyraziłam zdziwienie.

- Może ja ci na to odpowiem - rzekła pani Maudie. - Już kto jak kto, ale wasz ojciec jest do szpiku kości ucywilizowany. Celność strzału to dar od Boga, talent... och, trzeba ćwiczyć, żeby doprowadzić to do doskonałości, ale przecież to nie to samo, co gra na pianinie czy coś w tym rodzaju. Myślę, że on odłożył broń, kiedy sobie uprzytomnił, że Bóg dał mu niesprawiedliwą przewagę nad większością żywych stworzeń. Postanowił więc nie strzelać, jeżeli nie zmusza go do tego konieczność. Dziś konieczność go zmusiła.

- Powinien chyba być dumny, że tak strzela - powiedziałam.

- Ludzie przy zdrowych zmysłach nigdy nie są dumni ze swoich talentów - rzekła pani Maudie.

Zobaczyliśmy, jak podjeżdża Zeebo. Wsiadł, wziął z ciężarówki widły i ostrożnie podniósł na nich Tima Johnsona. Rzucił psa do ciężarówki, a potem czymś z wielkiej konwi zalał nie tylko to miejsce na chodniku, gdzie Tim Johnson upadł, ale i pobliskie płyty.

- Nie dochodzić tu na razie! - zawołał.

Gdyśmy wrócili do domu, napomknęłam Jemowi, że naprawdę mamy co opowiadać w szkole w poniedziałek. Jem oburzył się na mnie.

- Słowa masz o tym nie pisać, Smyk!

- Jak to? Na pewno opowiem. Nie każdego tatuś jest najlepszym strzelcem w hrabstwie Maycomb.

Jem wyjaśnił:

- Mnie się zdaje, że gdyby on chciał, żebyśmy wiedzieli, toby nam już dawno powiedział. Gdyby był z tego dumny, nie robiłby tajemnicy.

- Może mu po prostu wyleciało z głowy - wysunęłam hipotezę.

- No, Smyk, to jest coś, czego ty byś nie zrozumiała. Atticus jest naprawdę stary, ale ja bym się nie przejmował, gdyby on nic nie potrafił... Wcale bym się nie przejmował, gdyby on w ogóle nic a nic nie potrafił.

Jem podniósł z ziemi kamyk i cisnął go triumfalnie w ścianę garażu. Biegając za tym kamykiem, zawołał do tyłu:

- Atticus to gentleman! Tak jak ja!

Gdy Jem był mały i ja byłam mała, teren naszego działania ograniczał się do najbliższego sąsiedztwa od strony południa, teraz jednak, gdy już byłam zblazowaną drugoklasistką i dręczenie Dzikiego Radleya należało do przeszłości, zaczęło nas przyciągać centrum handlowe

Maycomb, dokąd droga wiodła w kierunku północnym obok domu pani Henry Lafayette Dubose. Idąc do miasta, nie sposób było nie przejść tamtędy, jeśli nie chciało się nakładać całej mili. Krótkie, przelotne rozmówki z panią Dubose w dawniejszych czasach nie pozostawiły we mnie chęci do ich wznowienia, ale Jem powiedział, że kiedyś muszę być dorosła.

Pani Dubose mieszkała sama z młodą służącą Murzynką w domu nie opodal nas, na północ, do którego wchodziło się po stromych schodkach przez otwartą, dzielącą go na dwie części sień. Była bardzo sędziwa; większość dnia spędzała w łóżku, pozostałe chwile w fotelu na kółkach. Krążyły pogłoski, że ona zawsze ma przy sobie ukryty pod licznymi szalami i kołdrami pistolet konfederacki z Wojny Domowej.

Nie cierpieliśmy jej, Jem i ja. Jeśli tylko siedziała na werandzie, gdyśmy przechodzili, musieliśmy pod ostrzałem jej gniewnego wzroku zatrzymać się i poddawać bezlitosnemu śledztwu w sprawie naszego zachowania, a później niezmiennie wysłuchiwać smętnej przepowiedni, co z nas wyrośnie, z tym, że oczywiście nie miało z nas wyrosnąć nic. Już dawno odrzuciliśmy koncepcję mijania jej domu po drugiej stronie ulicy - skutek był jedynie taki, że podnosiła wtedy głos i słyszeli ją wszyscy w okolicy.

Niczym nie dawało się jej zjednać. Gdy witałam ją jak mogłam najśłoneczniej:

- Hej, proszę pani!

Słyszałam w odpowiedzi:

- Hej, do mnie mówisz, ty brzydka dziewczyno? Mówi się: „Dzień dobry pani”.

Dławiła się własną złością. To, że nasz ojciec jest dla nas „Atticusem”, omal jej kiedyś nie przyprawiło o atak apopleksji. Dowiedzieliśmy się nie tylko, że pani Dubose w życiu nie widziała takich aroganckich, pozbawionych czci i wiary dzieciaków, ale również jaka to straszna szkoda, że nasz ojciec po śmierci naszej matki nie ożenił się po raz drugi. Nie było na świecie bardziej uroczej damy niż nasza matka, powiedziała pani Dubose, więc serce się kraje na widok jej dzieci rozpuszczonych przez Atticusa jak dziadowskie bicze. Ja nie pamiętałam naszej mamy, ale Jem, który ją dobrze pamiętał - nieraz mi przecież o niej opowiadał - aż zsiniał, gdy pani Dubose uraczyła nas tym orędziem.

Po wyjściu jednak cało z takich prób, jak Dziki Radley, wściekły pies i inne strachy, Jem doszedł do wniosku, że tchórzostwem jest wybiegać na spotkanie Atticusa nie dalej niż do schodków panny Rachel, i zarządził, że co wieczór, gdy Atticus wraca z kancelarii, mamy biec mu naprzeciw aż do rogu poczty. A przecież w niezliczone wieczory Jem witał Atticusa rozwścieczony taką czy inną uwagą usłyszaną po drodze od pani Dubose.

- Nie trzeba się denerwować, synku - uspokajał go Atticus. - To jest stara i chora kobieta. Trzymaj tylko głowę wysoko i bądź gentlemanem. Cokolwiek ona ci powie, nie możesz dopuszczać, by cię tym rozzłościła.

Jem odpowiadał, że chyba nie jest bardzo chora, skoro tak wrzeszczy. Gdy już we troje dochodziliśmy do jej domu, Atticus zrywał z głowy kapelusz, kłaniał się szarmancko i mówił:

- Dzień dobry pani. Wygląda dziś pani jak z obrazka.

Nigdy jednak nie mówił, z jakiego obrazka. Opowiadał jej, co słyhać w sądzie i serdecznie życzył dobrego samopoczucia jutro. Potem znów wkładał kapelusz, podnosił mnie wysoko w objęciach, nie troszcząc się, że ona to widzi, i w zapadającym zmierzchu szliśmy do domu.

Właśnie w takich chwilach rozmyślałam, że mój ojciec, chociaż nienawidzi broni i nigdy nie był na żadnej wojnie, to najdzielniejszy z dzielnych na tym świecie.

Jem ukończył lat dwanaście i nazajutrz po jego urodzinach pieniądze wprost parzyły go w kieszeniach, więc wcześniej po południu wybraliśmy się do miasta. Jem uważał, że ma dostateczne środki na to, by kupić mały parowozik dla siebie i paradną batutę dyrygencką dla mnie.

Od dawna już chciałam mieć taką batutę; była do nabycia w sklepie V.J. Elmore'a, przyozdobiona blaszkami i cekinami, i kosztowała siedemnaście centów. Spalała mnie wówczas ambicja dyrygowania, gdy dorosnę, orkiestrą gimnazjalną hrabstwa Maycomb na paradach. Rozwijając swój talent w tym zakresie, ćwiczyłam tak niezmordowanie, że prawie udawało mi się łąpać w powietrzu podrzucane kije i Calpurnia nie pozwalała mi wejść do domu, jeśli tylko zobaczyła mnie z kijem w ręce. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że prawdziwa batuta pozwoli mi natychmiast osiągnąć perfekcję, więc bardzo byłam wzruszona wspaniałomyślnością Jema, który obiecał mi ją kupić.

Pani Dubose, gdyśmy szli tamtędy, trwała na posterunku.

- Dokąd to o tej porze? - zawołała z werandy. - Pewnie na wagary. Już ja zatelefonuję do dyrektora szkoły.

Położyła dłonie na kołach swego fotela i fotel wykonał idealny w prawo zwrot.

- Ojej, dzisiaj sobota, proszę pani - przypomniał Jem.

- To niczego nie zmienia - rzekła pani Dubose niejasno. - Ciekawe, czy wasz ojciec wie, dokąd idziecie?

- Proszę pani, chodzimy sami do miasta, od czasów kiedy byliśmy tacy... - Jem opuścił rękę na wysokość niecałych dwóch stóp nad chodnikiem.

- Nie kłam, Jeremiaszu Finch - wrzasnęła pani Dubose.

- Maudie Atkinson mi powiedziała, żeś złamał u niej kratę z winogronami dziś rano. Już ona to powie waszemu ojcu i bardzo będziesz żałował, żeś w ogóle światło dzienne zobaczył! Nie nazywam się Dubose, jeżeli cię nie wyślą do domu poprawczego jeszcze w tym tygodniu.

Jem, który już od lata ani razu nie podszedł do krat z winogronami muszkatelowymi pani Maudie i który wiedział, że nawet gdyby je połamał, pani Maudie w żadnym razie nie poskarżyłaby Atticusowi, zaprzeczył wszystkiemu jednym ogólnym pomrukiem.

- Nie sprzeciwiaj mi się! - ryknęła pani Dubose. - A ty! - Wycelowała swój powykręcany artretyzmem palec w moją stronę - Co ty sobie myślisz, chodząc w tym kombinezonie? Powinnaś być w sukience i w gorseciku, moja panno! Kiedy dorośniesz, zostaniesz posługaczką w gospodzie, jeżeli ktoś nie zmieni twoich zwyczajów... Panna Finch będzie obsługiwać gości w kawiarni „O.K.”... he!

Bardzo się przeraziłam. Kawiarnia „O.K.” była mglistą instytucją z północnej strony rynku. Chwyciłam Jema za rękę, ale Jem się szarpnął.

- Chodźmy, Smyk - szepnął. - Nie zwracaj na nią uwagi, tylko trzymaj głowę wysoko i bądź gentlemanem.

Cóż, kiedy pani Dubose nas zatrzymała.

- Nie dziw, że Finchówna posługaczką, skoro Finch w sądzie adwokatuje czarnuchom!

Jem zeszywniał. Strzał pani Dubose nie chybił i ona o tym wiedziała.

- Tak, zaiste! Marne widoki tego świata, jeżeli Finchowie zaczynają pluć na swoje tradycje rodzinne! Ja wam to mówię! - Podniosła rękę do ust. Gdy ją odjęła, za palcami powlokła się długa, srebrzysta nitka śliny. - Wasz ojciec nie lepszy niż te Negry i ta cała hołota, dla której pracuje.

Jem zrobił się szkarłatny. Pociągnęłam go za rękaw i ruszyliśmy dalej ścigani tyradą o zgniliznie moralnej naszej rodziny, opartą na motywie, że połowa Finchów tak czy inaczej przebywa w szpitalu wariatów, co oczywiście nas także czeka, skoro, niestety, nasza matka nie żyje.

Nie bardzo wiedziałam, czym pani Dubose szczególnie uraziła Jema, ale dla mnie osobiście kamieniem obrazy była jej opinia o zdrowiu psychicznym naszej rodziny. Do obelg rzucanych na Atticusa zdążyłam niemal się przyzwyczaić. Ta wprawdzie była pierwszą usłyszaną przeze mnie z ust osoby dorosłej. Poza tym jednak napaść pani Dubose nie miała w sobie nic dla nas niezwykłego.

W powietrzu wyczuwało się już zapowiedź lata - w cieniu panował chłód, ale słońce grzało, zwiastując nadejście dobrych czasów: bez szkoły i z Dilem.

Jem kupił sobie parowozik i poszliśmy do Elmore'a po batutę dla mnie. Jem wcale się nie cieszył swoim nabytkiem; wepchnął go do kieszeni i nie odzywał się ani słowem, wracając ze mną do domu. Po drodze omal nie ugodziłam pani Link Deas, która, gdy trochę mi się nie udało podrzucenie batuty, upomniała mnie:

- Miejże oczy, Smyku!

W wyniku moich wyczynów batuta, gdyśmy podchodzili do domu pani Dubose, była cała brudna po wielokrotnym spadaniu na ziemię.

Pani Dubose nie czekała na nas na werandzie.

Jeszcze teraz, po wielu latach, zastanawiam się czasami, dlaczego właściwie Jem to zrobił, dlaczego wyrwał się z więzów „ty tylko bądź gentlemanem, synku” i z tej fazy na pół świadomej poprawności, w jaką właśnie wkroczył. Bzdur o Atticusie broniącym czarnuchów musiał przecież prawdopodobnie słuchać równie często jak ja i było dla mnie rzeczą zupełnie zrozumiałą, że on panuje nad sobą - z natury spokojny, niełatwo dawał się wyprowadzić z równowagi. W owej chwili jednak uważałam, że on na kilka minut po prostu zwariował i że tylko to tłumaczy jego postępek.

Jem postąpił nie inaczej, niż ja bym postąpiła przy normalnym biegu rzeczy, gdyby nie wisiał nade mną zakaz Atticusa obejmujący, jak sądziłam, również i bicie się z okropnymi starymi paniami. Ledwie doszliśmy do furtki pani Dubose, Jem porwał moją batutę i niczym dzikus z maczugą wbiegł po schodkach do ogródka - zapominając o tym, co mówił Atticus, zapominając o tym, że pani Dubose ma pod szalem nabity pistolet, zapominając o tym, że nawet jeśli pani Dubose z tego pistoletu chybi, to z pewnością nie chybi jej służąca Jessie.

Zaczął się uspokajać dopiero, gdy ściał wszystkie czubki wszystkich rosnących w ogródku kamelii pani Dubose i ziemia wszędzie wokół usiana była zielonymi pąkami i liśćmi. Przyłożył moją batutę do kolana, złamał ją na dwie części i rzucił.

Wtedy już wrzeszczałam. Jem szarpnął mnie za włosy i powiedział, że trudno i darmo, ale

zrobiłby jeszcze raz to samo, gdyby miał możliwość, i że mam natychmiast się zamknąć, bo on mi wszystkie włosy powyrywa. Nie zamknęłam się, więc mnie kopnął. Straciłam grunt pod nogami i upadłam na twarz. Jem podniósł mnie dosyć brutalnie, jednak już z taką miną, jakby mu się zrobiło przykro. Nie było tu nic do powiedzenia.

Woleliśmy tego wieczora nie wychodzić po Atticusa. Warowaliśmy w kuchni, dopóki Calpurnia nas stamtąd nie wypędziła. Wydawało się, że dzięki jakimś gustom Calpurnia jest doskonale poinformowana. Jako balsam działała raczej niezadowolająco, a przecież dała Jemowi gorącą grzankę z masłem, którą on przełamał na pół i podzielił się ze mną. Grzanka miała smak słonej waty.

Poszliśmy do gabinetu. Wzięłam ze stolika tygodnik poświęcony piłce nożnej, odszukałam zdjęcie Dixie Howella i pokazując je Jemowi, powiedziałam:

- Szalenie do ciebie podobny.

To było dla niego największe wyróżnienie, jakie mi przyszło na myśl, ale nie pomogło. Siedział przy oknie zgarbiony w fotelu na biegunach, patrzył spode łba i czekał. Zmierzchało.

W dwa wieki geologiczne później usłyszeliśmy kroki Atticusa na schodkach werandy. Trzasnęły drzwi z siatką, nastąpiła chwila ciszy - Atticus wieszał kapelusz na wieszaku w holu - a potem doleciało do nas jego wołanie:

- Jem!

Głos Atticusa był jak zimowy wicher.

Zapaliło się górne światło w gabinecie i w pełnym blasku Atticus zobaczył nas zmartwiałych. W jednej ręce trzymał moją batutę; uszargany żółty chwast z kordonka włókł się po dywanie. Atticus wyciągnął drugą rękę: miał w niej tłuste pąki kamellii.

- Jem - zapytał. - Ty to zrobiłeś?

- Tak.

- Dlaczego?

Jem wymamrotał:

- Krzyczała, że ty adwokatujesz czarnuchom i hołocie.

- Zrobiłeś to dlatego, że pani Dubose tak powiedziała?

Usta Jema się poruszyły, ale jego „tak” nie dało się słyszeć.

- Synu, nie wątpię, że się denerwujesz, kiedy koledzy dokuczają ci moim, jak mówisz, adwokatowaniem czarnuchom... ale żeby zrobić coś takiego chorej staruszce... to już jest niewybaczalne. Stanowczo ci radzę pójść do pani Dubose i ją przeprosić. I zaraz wracaj do domu.

Jem nawet nie drgnął.

- Idź, powiedziałem.

Wyszłam z gabinetu za Jemem.

- Ty wróć tutaj - rzekł Atticus.

Wróciłam.

Atticus wziął „Kurier Mobile” i usiadł w fotelu zwolnionym przez Jema. Wprost w głowie mi się nie mieściło, że on może tak siedzieć i najspokojniej w świetle czytać gazetę, gdy jego jedyny syn ma wszelkie dane po temu, by zostać zamordowanym zabytkową bronią Konfederacji.

Oczywiście Jem narażał mi się nieraz do tego stopnia, że sama mogłabym go zabić, ale ostatecznie był wszystkim, co miałam. Atticus najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy albo też wcale go to nie obchodziło.

Nie cierpiałam Atticusa w owej chwili, zmartwienie jednak osłabia w człowieku wolę; wkrótce potem już siedziałam mu na kolanach, wtulając twarz w jego marynarkę, a on mnie obejmował.

- Nie za duża z ciebie pannica, żeby cię tak kołysać? - zapytał.

- Tobie wszystko jedno, co się z nim dzieje - jęknęłam. - Wysyłasz go na zastrzelenie, chociaż on to zrobił, bo wziął twoją stronę.

Atticus podbródkiem pogłaskał mnie po włosach.

- Jeszcze nie pora się martwić - powiedział. - Nigdy nie myślałem, że Jem straci głowę z powodu tej... Myślałem, że więcej będę miał kłopotu z tobą.

Oświadczyłam, że nie rozumiem, dlaczego mam nie tracić głowy tak czy owak, i że nie znam w szkole nikogo, komu nie wolno tracić głowy przy jakiegokolwiek okazji.

- Smyku - rzekł Atticus - lato przyjdzie i będziesz musiała przyjmować ze spokojem znacznie gorsze rzeczy... Zbyt wiele wymagam od ciebie i Jema, wiem o tym, ale czasem trzeba robić dobrą minę do złej gry i właśnie sposób, w jaki się zachowujemy, kiedy kości są rzucone... no, mogę tylko powiedzieć, że kiedyś, gdy oboje dorośniecie, może spojrzycie na to wstecz ze zrozumieniem i uczuciem, że jednak nie zawiedliście się na mnie. Ta sprawa, sprawa Toma Robinsona, jest czymś, co godzi w samą istotę ludzkiego sumienia... Smyku, nie mógłbym chodzić do kościoła i modlić się do Boga, gdybym nie spróbował pomóc temu człowiekowi...

- Atticus, to chyba nie tak...

- Jak to?

- Prawie wszyscy uważają, że oni myślą dobrze, a ty nie...

- Z pewnością mają prawo tak uważać i mają prawo mieć pełny szacunek dla własnego zdania - rzekł Atticus - ale ja, zanim będę mógł żyć w zgodzie z innymi ludźmi, przede wszystkim muszę żyć w zgodzie z sobą samym. Jedyna rzecz, jaka nie podlega przegłosowaniu przez większość, to sumienie człowieka.

Gdy Jem wrócił, jeszcze siedziałam na kolanach Atticusa.

- No, synu? - zapytał Atticus.

Postawił mnie na podłodze i wtedy ukradkiem poddałam Jema oględzinom. Wyglądało na to, że jest cały, ale minę miał dziwną. Może pani Dubose mu kazała połknąć kalomel na przeczyszczenie.

- Sprzątnąłem u niej w ogródku i powiedziałem, że mi przykro, ale mi wcale nie przykro, i że będę przy nich pracował co sobota, żeby odrosły.

- Niepotrzebnie mówiłeś, że ci przykro, jeżeli tak nie było - rzekł Atticus. - Jem, ona jest stara i schorowana. Nie można jej winić za to, co mówi i robi. Oczywiście, wolałbym, żeby to mówiła mnie, a nie tobie czy Smykowi, ale nie zawsze bywa tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

Jem nie odrywał urzeczzonego wzroku od róży w dywanie.

- Atticus - powiedział - ona chce, żebym jej czytał.

- Czytał?

- Właśnie. Żebym przychodził co dzień po południu po szkole i w soboty też i czytał jej na

głos przez dwie godziny. Atticus, czy ja muszę?

- Z pewnością.

- Ale ona chce, żebym ja tak przez miesiąc.

- Więc będziesz to robił przez miesiąc.

Jem delikatnie ustawił nogę w samym środku róży, a potem przydeptał ją. Wreszcie rzekł:

- Atticus, żeby na ulicy, no to zgoda, ale tam w domu jest... jest ciemno i aż ciarki chodzą po plecach. Są cienie i w ogóle na suficie...

Atticus uśmiechnął się bezlitośnie.

- To powinno przemawiać do twojej wyobraźni. Niech ci się zdaje, że jesteś u Radleyów.

W najbliższy poniedziałek po południu wkroczyliśmy, Jem i ja, po stromych schodkach do domu pani Dubose i podreptaliśmy przez otwartą sień. Jem uzbrojony w *Ivanhoe*, dumny ze swej znajomości terenu, zastukał do drugich drzwi z lewej strony.

- Proszę pani? - zawołał.

Jessie otworzyła drzwi drewniane i odsunęła zasuwkę na drzwiach z siatką.

- To ty, Jemie Finch? - zapytała. - Siostrę masz ze sobą? Nie wiem, czy...

- Wpuść ich oboje, Jessie - dał się słyszeć głos pani Dubose.

Jessie wpuściła nas i odeszła do kuchni.

Jakiś ciężki zapach poczuliśmy, przestępując ten próg, - zapach, jaki już nieraz przedtem spotykałam w zbutwiałych od wilgoci, nie pomalowanych domach, takich, w których są jeszcze lampy naftowe, chochle do wody i nie bielone, zgrzebne prześcieradła - zapach budzący we mnie zawsze lęk i pełną wyczekiwania czujność.

W kącie stało mosiężne łóżko, a w łóżku leżała pani Dubose. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie posunięcia Jema tak ją zmogły i na chwilę zrobiło mi się jej żal. Pod stertą kołder wyglądała prawie swojsko.

Przy łóżku stała umywalnia z marmurowym blatem; na umywalni zobaczyłam szklanek z łyżeczką do zaparzania herbaty, strzykawkę z czerwonym uchwytem, pudełko waty i stalowy budzik na trzech króciutkich nóżkach.

- Więc przyprowadziłeś tego małego brudas... tę swoją siostrę? - Oto było powitanie pani Dubose.

Jem odrzekł spokojnie:

- Moja siostra nie jest brudas i ja się pani wcale nie boję.

Co prawda zauważyłam, że kolana mu się trzęsą.

Zamiast wygłosić spodziewaną tyradę, pani Dubose powiedziała tylko:

- Możesz rozpocząć czytanie, Jeremiaszu.

Jem usiadł na krześle wyplatany trzcina i otworzył *Ivanhoe*. Usiadłam obok Jema.

- Bliżej tu - poleciała pani Dubose. - Bliżej do łóżka.

Podsunęliśmy krzesła. Nigdy dotąd nie znajdowałam się tak blisko pani Dubose i z całej duszy pragnęłam cofnąć swoje krzesło z powrotem. Bo pani Dubose była okropna. Twarz miała koloru brudnej powłoczki na poduszkę i kąci jej ust lśniły wilgocią, która jak dwa lodowce

staczała się powoli głębokimi rowkami po obu stronach podbródka. Starcze plamy wątrobiane cętkowały jej policzki; źrenice wyblakłych oczu były nie większe niż łepki szpilek. Dłonie miała sękatę, paznokcie zarośnięte skórą. Nie włożyła dolnej szczęki, więc górna warga jej sterczała; od czasu do czasu podsuwała dolną wargę pod górną szczękę swego garnituru i wtedy ściągała się jej podbródek. Wprawiało to w szybszy ruch lodowce śliny.

Nie patrzyłam na nią więcej, niż musiałam. Jem znów otworzył *Ivanhoe* i tym razem zaczął czytać. Staralam się uważać, ale czytał za prędko. Gdy tylko nie znał jakiegoś słowa, próbował je opuścić, daremnie jednak, bo pani Dubose zawsze go na tym przyłapywała i polecała odczytywać te słowa po literze. Czytał tak może ze dwadzieścia minut, w ciągu których patrzyłam na zasmolony parapet kominka i w okno - wszędzie, byle nie na panią Dubose. Zauważyłam, że jej poprawki, im dłużej Jem czyta, stają się coraz rzadsze, aż udało się Jemowi opuścić nawet zdanie z wyraźnym uszczerbkiem dla treści. Pani Dubose nie słuchała.

Zerknęłam na łóżko.

Coś jej się stało. Leżała na wznak z kołdrami pod brodą. Widać było tylko jej głowę i ramiona. Głowa chwiała się powolutku z boku na bok. Chwilami pani Dubose szeroko otwierała usta i widziałam lekkie falowanie jej języka. Teraz już sznurki śliny zbierały się jej na wargach; wciągała je z powrotem i znów otwierała usta. Wydawało się, że usta żyją samoistnym życiem. Poruszały się jakoś oddzielnie i niezależnie, to rozwarte, to ściągnięte jak małża w czasie odpływu. Czasem dobywał się z nich odgłos „pttt”, jakby gotowała się jakaś kleista substancja na chwilę przed wykipieniem.

Pociągnęłam Jema za rękaw.

Spojrzał na mnie, potem na łóżko. Głowa pani Dubose w ruchu wahadłowym skierowała się ku nam.

- Proszę pani - zapytał Jem - pani źle się czuje?

Nie słyszała go.

Ni stąd, ni zowąd zadźwięczał budzik i zesztynieliśmy ze strachu. W minutę później z nerwami jeszcze rozstrojonymi bieглиśmy ulicą do domu. To nie była ucieczka, Jessie nas odprawiła: zanim budzik ucichł, wbiegła do pokoju i wypchnęła Jema i mnie za drzwi.

- Asio! - powiedziała. - Idźcie do domu.

Jem zawahał się na progu.

- Czas, żeby pani dać lekarstwo - wyjaśniła Jessie.

Gdy drzwi się za nami zamykały, podeszła szybko do łóżka pani Dubose.

W domu okazało się, że jest dopiero za kwadrans czwarta, więc wyszliśmy do ogrodu trochę pokopać piłkę, na czym zszedł nam czas do wyruszenia na spotkanie Atticusa. Atticus miał dwa żółte ołówki dla mnie i tygodnik sportowy dla Jema; przypuszczam, że to była nieoficjalna premia za nasze pierwsze posiedzenie u pani Dubose. Jem opowiedział Atticusowi, co się stało.

- Przeraziła was? - zapytał Atticus.

- Nie - odparł Jem. - Tylko ona jest taka obrzydliwa. Ma napady czy coś. Mnóstwo pluje.

- Nic na to nie poradzi. Ludzie, kiedy są chorzy, czasem nie wyglądają przyjemnie.

- Ja to się jej bałam - oświadczyłam.

Atticus spojrzał na mnie znad okularów.

- Ty przecież nie musisz tam chodzić z Jemem.

Nazajutrz po południu u pani Dubose powtórzyło się to samo, trzeciego dnia również, aż stopniowo wyłonił się szablon. Wszystko zaczynało się normalnie, to znaczy pani Dubose przez chwilę nękała Jema poruszaniem swych ulubionych tematów: sprawy jej kamelii i skłonności sercowych naszego ojca do czarnuchów; potem stawała się coraz bardziej małowólna i w końcu przenosiła się duchem gdzie indziej. Dzwonił budzik, Jessie nas wypraszała okrzykiem: „A sio!” i reszta dnia należała do nas.

- Atticus - zapytałam pewnego wieczora - co to właściwie jest murzyński pacholek?

Atticus spojrział na mnie bez uśmiechu.

- Czy ktoś tak ci powiedział?

- Mnie nie. Pani Dubose nazywa tak ciebie. Co dzień, jak tam jesteśmy, zaperza się i tak mówi. Francis w Boże Narodzenie też tak krzyczał i wtedy pierwszy raz to usłyszałam.

- Czy dlatego rzuciłaś się na niego z pięściami? - zapytał Atticus.

- Właśnie...

- Więc czemu mnie pytasz, co to jest?

Spróbowałam wyjaśnić Atticusowi, że rozwścieczyła mnie nie tyle ta nazwa, ile forma, w jakiej Francis ją powiedział.

- ...zupełnie jakby mówił, że smarkacz czy coś takiego.

- Smyku - rzekł Atticus - murzyński pacholek to jeszcze jedno z określeń bez żadnego znaczenia, właśnie tak samo jak smarkacz. To trudno wytłumaczyć... pada takie wyzwisko z ust nieuków, prostaków, którym się wydaje, że ktoś faworyzuje Murzynów na ich niekorzyść. Zakradło się to też do mowy pewnych ludzi spośród nas... Brzydkie, pospolite określenie, stosowane, kiedy chce się przylepić komuś etykietę.

- Więc ty na pewno nie jesteś murzyński pacholek, prawda?

- Jestem. Robię, co mogę, żeby służyć wszystkim. Czasem mi ciężko... Dziecino, wcale nie obrażają mnie takie wyzwiska, chociaż temu, kto je rzuca, wydają się najgorszą obelgą. Dowodzą tylko ubóstwa umysłowego osób, które nimi szafują, i bynajmniej nie ranią. Więc słowami pani Dubose się nie przejmujcie. Już ona jest dość nieszczęśliwa.

Minał miesiąc i w pewne popołudnie, gdy Jem przedzierał się przez gąszcz prozy Sir Waltera, jak go zawsze nazywał, Skauta, a pani Dubose bezustannie go poprawiała, ktoś zastukał do drzwi.

- Proszę! - wrzasnęła pani Dubose.

To był Atticus. Podeszedł do łóżka i ujął panią Dubose za rękę.

- Wracam z kancelarii i nie spotkałem dzieci - powiedział. - Byłem więc pewny, że je zastanę jeszcze tutaj.

Pani Dubose uśmiechnęła się do niego. Za skarby świata bym nie pojęła, jak ona się zdobywa na to, by z nim rozmawiać, skoro tak wyraźnie go nienawidzi.

- Wiesz, która to godzina, Atticus? - zapytała. - Czternaście minut po piątej ni mniej, ni więcej. Budzik jest nastawiony na piątą trzydzieści. Chcę, żebyś to wiedział.

Uprzytomniłam sobie nagle, że z każdym dniem zostawaliśmy u pani Dubose trochę dłużej, budzik dzwonił co dzień o kilka minut później, i to w czasie, gdy ona już na dobre miała ten swój

atak. Dzisiaj, narażając się Jemowi prawie od dwóch godzin, jakoś wcale nie miała zamiaru dostać ataku, aż zaczęło mi się wydawać, że jesteśmy w beznadziejnym potrzasku. Budzik był dla nas sygnałem uwolnienia; jeśli któregoś dnia nie zadzwoni, co my zrobimy?

- Mam wrażenie, że dni czytania Jema są policzone - powiedział Atticus.

- Przedłużę to chyba o tydzień - oznajmiła pani Dubose. - Dla pewności...

Jem wstał z krzesła.

- Ale...

Atticus uciszył go ruchem ręki. W drodze do domu Jem zwrócił Atticusowi uwagę, że przecież miał to robić tylko przez miesiąc, a miesiąc już się skończył, więc to naprawdę nieładnie.

- Jeszcze tylko tydzień, synu - powiedział Atticus.

- Nie - powiedział Jem.

- Tak - powiedział Atticus.

Przez cały tydzień nadal chodziliśmy do pani Dubose. Budzik już nie dzwonił, sama pani Dubose zwalniała nas słowami:

- To wystarczy.

Tak późno jednak, że Atticus dawno był w domu i czytał gazetę, gdyśmy stamtąd wracali. Pani Dubose, chociaż jej ataki minęły, nie zmieniła się pod żadnym innym względem. Sir Walter Scott lubił często dawać sążniste opisy fos i zamczysk i wtedy znudzona zaczynała nam dokuczać.

- Jeremiaszu Finch, nie mówiłam, że bardzo będziesz żałował tego, żeś pościął moje kamelie? Teraz żałujesz, prawda?

Jem odpowiedział, że oczywiście żałuje.

- Myślałaś, że uda ci się wyniszczyć moje „śniegi w górach”, prawda? No, Jessie mówi, że one odrastają. Następnym razem będziesz umiał zrobić to skuteczniej, prawda? Wyrwiesz je z korzeniami, prawda?

Jem odpowiedział, że oczywiście wyrwie.

- Nie mamroc do mnie, chłopcze! Podnieś głowę i wyraźnie powiedz: „Tak, proszę pani”. Chociaż nie wątpię, że wolisz mieć głowę opuszczoną, skoro twój ojciec jest tym, czym jest.

Jem unosił podbródek i wpatrzony w panią Dubose nie okazywał najmniejszej urazy. W ciągu tych tygodni zdążył sobie wypracować minę grzecznego obojętnego zainteresowania, którą zawsze teraz prezentował w odpowiedzi na jej najbardziej mrożące krew w żyłach wymysły.

W końcu ten dzień nadszedł. Pani Dubose po swym zwykłym „to wystarczy” dodała:

- I na tym już koniec. Do widzenia wam.

Skończyło się. Z uczuciem wielkiej ulgi rozdokazywani biegliliśmy ulicą do domu, podskakując i porykując z uciechy.

Ta wiosna należała do dobrych wiosen; dni stawały się coraz dłuższe i coraz więcej czasu mieliśmy na zabawę. Jem wykorzystywał to głównie na zestawianie najistotniejszych szczegółów o futbolistach ze wszystkich drużyn uniwersyteckich w kraju. Co wieczór Atticus czytał nam rubryki sportowe gazet. Przypuszczano, że Alabama może i w tym roku będzie się

ubiegać o Puchar Różany, sądząc z jej filarów o nazwiskach, z których żadnego nie potrafiliśmy wymówić. Pewnego wieczora, gdy Atticus dojeżdżał już do połowy komentarza Windy Seatona, zadzwonił telefon.

Atticus go odebrał i natychmiast wziął kapelusz z wieszaka w holu.

- Wychodzę na chwilę do pani Dubose - powiedział. - Nie będę tam długo.

Ale był tam długo - tak długo, że od dawna już powinnam była leżeć w łóżku, gdy wrócił. Wszedł do gabinetu z bombonierką. Usiadł i postawił bombonierkę na podłodze przy fotelu.

- Czego ona chciała? - zapytał Jem.

Nie widzieliśmy pani Dubose od miesiąca. Przez cały ten czas ani razu nie siedziała na werandzie, gdyśmy tamtędy przechodzili.

- Ona nie żyje, synu - rzekł Atticus. - Umarła kilka minut temu...

- Och - powiedział Jem. - No, dobrze...

- „Dobrze” jest tu właściwym słowem - przytaknął Atticus. - Przestała cierpieć. Od lat bardzo ciężko chorowała. Synku, tyś nie wiedział, co to były za ataki?

Jem potrząsnął głową.

- Pani Dubose była morfinistką. Stosowała od wielu lat morfinę jako środek przeciwbólowy. Lekarz jej to podsunął. Do końca życia mogła ją stosować i umrzeć bez bólu i cierpienia w ostatnich chwilach, ale zbyt wiele miała w sobie przekory...

- Jak to? - zapytał Jem.

Atticus powiedział:

- Na krótko przed tym twoim wybrykiem wezwała mnie do siebie, żeby spisać testament. Dowiedziała się od doktora Reynoldsa, że pozostało jej tylko parę miesięcy życia. Jej sprawy majątkowe były w idealnym porządku, ale powiedziała: „Coś jeszcze w porządku nie jest”.

- Co to miało znaczyć? - zapytał Jem zmieszany.

- Powiedziała, że odejdzie z tego świata, nie zawdzięczając nic... nikomu ani niczemu. Jem, kiedy jest się chorym, tak jak ona była, można uciekać się do wszystkiego, żeby tylko przynieść sobie ulgę w tej chorobie, ona jednak uważała, że jej to nie przystoi. Powiedziała, że chce się z tego wyzwolić przed śmiercią i tak właśnie zrobiła.

Jem zapytał:

- I to od tego były te jej ataki?

- Właśnie. Przypuszczam, że przeważnie nie słyszała ani słowa z twojego czytania. Całą swoją istotą koncentrowała się na tym budziku. Nawet gdybyś sam nie wpadł jej w ręce, kazałbym ci chodzić tam i jej czytać. Bo to mogło w pewnym stopniu odwracać uwagę. Był też i inny powód...

- Czy umarła już bez tego? - zapytał Jem.

- Wolna jak wiatr - odrzekł Atticus. - Przytomna prawie do ostatniej chwili. Przytomna - uśmiechnęła się - i kłótniwa. Nadal z całego serca potępiała moje poczynania i mówiła, że prawdopodobnie reszta życia mi przejdzie na wyciąganiu cię za kaucją z więzienia. Kazała Jessie wyszukać dla ciebie to pudełko...

Atticus pochylił się i sięgnął po bombonierkę. Dał ją Jemowi.

Jem otworzył bombonierkę. Wewnątrz w wilgotnej wacie zobaczyliśmy białą jak wosk,

przepiękną kamelię. Była to odmiana „śnieg w górach”.

Jemowi oczy omal nie wyszły na wierzch.

- Stara diablica, stara diablica! - wrzasnął, rzucając bombonierkę. - Nie może mnie zostawić w spokoju?

Błyskawicznie Atticus wstał i stanął nad Jemem. Jem ukrył twarz w jego koszuli na piersi.

- Pssst - powiedział Atticus. - Ja myślę, że ona chciała ci w ten sposób powiedzieć, że już dobrze, Jem, już wszystko dobrze. Wiesz, ona była wielką damą.

- Damą? - Jem podniósł głowę. Twarz miał szkarłatną. - Po tych wszystkich rzeczach, jakie wygadywała o tobie? Damą?!

- Tak jest. Patrzyła na pewne sprawy zupełnie inaczej niż ja, być może... Synku, powiedziałem ci, że gdybyś nie stracił głowy wtedy, i tak bym kazał ci tam chodzić. Chciałem, żebyś coś w niej zobaczył... Chciałem, żebyś zobaczył, czym jest prawdziwa odwaga, zamiast wyobrażać sobie, że odwaga to człowiek z bronią w ręce. Naprawdę odważnym jest się tylko wtedy, gdy się wie jeszcze przed walką, że się dostanie cięgi, ale mimo to przystępuje się do tej walki tak czy inaczej i doprowadza się ją do końca bez względu na przeszkody. Zwycięża się wtedy rzadko, ale przecież czasami się zwycięża. Pani Dubose właśnie zwyciężyła, wychudzona, ważąca zaledwie dziewięćdziesiąt osiem funtów staruszka. Zgodnie ze swoimi poglądami umarła, nie zawdzięczając nic nikomu ani niczemu. Była najmężniejszą osobą, jaką znałem.

Jem podniósł bombonierkę i wrzucił ją w ogień. Podniósł kamelię i gdy wychodziłam z gabinetu, żeby położyć się spać, przebierał palcami jej białe płatki. Atticus czytał gazetę.

CZĘŚĆ DRUGA

12

Jem miał dwanaście lat. Był trudny we współżyciu, niekonsekwentny, nierówny. Apetyt okazywał przerażający i tyle razy mi powtarzał, żebym przestała mu dokuczać, że aż zasięgnęłam porady u Atticusa.

- On chyba ma tasiemca?

Atticus powiedział, że nie; Jem rośnie. Muszę uzbroić się w cierpliwość i przeszkadzać mu możliwie jak najmniej.

Ta zmiana w Jemie nastąpiła w ciągu paru zaledwie tygodni. Grób pani Dubose jeszcze na dobre nie porósł trawą - i jeszcze tak niedawno Jem z wyraźną wdzięcznością zgadzał się, żebym chodziła z nim do niej na to czytanie. A tu raptem, z dnia na dzień, jak mi się wydawało, nabrał mój brat jakichś obcych pojęć o wartościach rzeczy i teraz próbował narzucać je mnie; kilka razy posunął się nawet do tego, że mówił mi, co mam robić. Po jednej z naszych sprzeczek, gdy się wydzierał:

- Czas, żebyś wreszcie była dziewczyną i postępowała jak należy! - Wybuchnęłam płaczem i uciekłam do Calpurnii.

- Nie turbuj się zbyt panem Jemem... - zaczęła Calpurnia.

- Panem Jemem?

- Aha, on już prawie pan Jem.

- Nie jest wcale taki dorosły - powiedziałam. - Tylko mu trzeba porządnie wyłoić skórę, a ja jestem za mała.

- Kochaneczko - powiedziała Calpurnia - nic nie poradzę, że pan Jem rośnie. On będzie dużo sam chodził i miał swoje własne sprawy, jak to chłopcy, więc kiedy tylko ci się przykrzy bez niego, leć prosto do kuchni. Tutaj zawsze się znajdzie moc zajęcia.

Początek lata zapowiadał się niezłe: Jem niech sobie robi, co mu się żywnie podoba; Calpurnia mi wystarczy, dopóki nie przyjedzie Dill. Mile widziana w kuchni, uprawniona do przyglądania się pracy Calpurnii, zaczęłam już uważać, że być dziewczyną to nawet pewna sztuka.

Lato jednak się rozpoczęło, a Dill nie przyjechał. Dostałam od niego list i zdjęcie. W liście napisał, że ma nowego ojca, którego fotografię załącza, i że musi zostać w Meridian, bo będą obaj budować kuter rybacki. Jego ojciec to adwokat, tak samo, jak nasz, tylko że o wiele młodszy. Na zdjęciu ten nowy ojciec prezentował się sympatycznie, więc ucieszyłam się, że Dill go ma, ale osobiście byłam zdruzgotana. List kończył się oświadczeniem, że Dill będzie mnie kochał wiecznie, i żeby się nie martwić - on po mnie przyjedzie, i weźmie mnie za żonę, gdy tylko uzbiera dość pieniędzy, i proszę, pisz.

Fakt, że mam już na stałe narzeczonego, niedostatecznie mi wynagradzał nieobecność Dilla. Nigdy dotąd o tym nie myślałam, ale lato to był przecież Dill z papierosem ze sznurka nad sadzawką, to były oczy Dilla rozbłyśnięte przy układaniu zawitych planów wywabienia Dzikiego

Radleya, to była chyżość, z jaką Dill wyciągał szyję, żeby mnie pocałować, gdy Jem nie patrzył, to była pewność Dilla, że chodzę z sercem pełnym tęsknych uczuć dla niego, i moja pewność, że on chodzi z sercem pełnym tęsknych uczuć dla mnie. Życie z Dillem biegłoby zwyczajnie; życie bez Dilla przygniatało ciężarem nie do zniesienia. Czułam się nieszczęśliwa przez całe dwa dni.

Jak gdyby tego było mało, zwołano sesję nadzwyczajną organów ustawodawczych stanu i Atticus musiał wyjechać na dwa tygodnie do Montgomery. Gubernatorowi zależało na odsunięciu kilku biurokratów od steru spraw stanowych; w Birmingham odbywały się strajki włoskie; ogonki przed piekarniami w dużych miastach robiły się coraz dłuższe; ludzie na wsi stawali się coraz biedniejsi. Ale to już były wydarzenia gdzieś daleko za granicami świata, w którym żyliśmy, Jem i ja.

Ze zdumieniem zobaczyliśmy kiedyś rano karykaturę w „Heroldzie Montgomery” zatytułowaną „Maycomb ma Fincha”. Przedstawiała ona Atticusa: boso i w szortach, przykuty łańcuchem do biurka, siedział nad blokiem papieru i pisał coś pilnie, podczas gdy parę swawolnie wyglądających pańienek krzyczało do niego: „Juuu-huu!”

- To komplement - wytłumaczył mi Jem. - To znaczy, że Atticus przez cały czas robi rzeczy, które by nie były zrobione, gdyby nie on.

- Hmm?

W uzupełnieniu świeżo rozwiniętych w sobie cech Jem nauczył się ku mojej wściekłości przybierać niesłychanie mądrą minę.

- Och, Smyk, to na przykład reorganizacja systemów podatkowych w hrabstwach i w ogóle. Rzeczy raczej za nudne dla ogółu.

- Skąd wiesz?

- Och, przestań mnie męczyć. Czytam gazetę.

Przestałam go męczyć. Poszłam do kuchni.

Łuskając groszek, Calpurnia odezwała się ni stąd, ni zowąd:

- I co ja z wami zrobię na czas kościoła w tę niedzielę?

- Nic chyba. Atticus zostawił nam pieniądze na tacę.

Calpurnia przymrużyła oczy i od razu poznałam, co jej przyszło na myśl.

- Cal - powiedziałam - ty wiesz, że będziemy się zachowywać jak trzeba. Od lat nic nie zbroiliśmy w kościele.

W sposób dla mnie oczywisty Calpurnia przypomniała sobie pewną deszczową niedzielę, gdy byliśmy zarówno bez ojca, jak bez nauczycielki. Zdana na własną pomysłowość szkółka niedzielna przywiązała Eunice Ann Simpson do krzesła i umieściła ją w kotłowni. Zapominając o niej, pobiegliśmy hurmem na górę do kościoła i już słuchaliśmy spokojnie kazania, gdy nagle z rur kaloryferów zaczął się dobywać jakiś okropny łoskot, który nie ustał, dopóki ktoś nie poszedł zbadać przyczyny tego zjawiska; wyprowadzona z kotłowni Eunice oświadczyła, że już nie chce bawić się w Hebrajczyków wrzucanych w ogień przez króla Nabuchodonozora - Jem Finch jej obiecał, że ona na pewno się nie spali, jeśli jej wiara jest dostatecznie silna, ale tam się zrobiło za gorąco.

- Zresztą, Cal, nie pierwszy raz Atticus nas zostawia samych - przedkładałam.

- Tak, tylko dotąd to pan Finch się pytał, czy w kościele będzie nauczycielka. Nie słyszałam,

żeby się pytał tym razem... Widać zapomniał. - Calpurnia podrapała się w głowę. Nagle uśmiech rozjaśnił jej ciemne oblicze. - A może byście, ty i pan Jem, poszli jutro ze mną do mojego kościoła?

- Naprawdę?

- Więć pójdziecie? - Calpurnia uśmiechała się szeroko.

Jeśli przedtem zdarzało się Calpurnii kapać mnie energicznie, było to niczym w porównaniu z nadzorem, jaki rozciągnęła nad zwykłą sobotnią kąpielą tego wieczora. Namydlić kazała mi się dwukrotnie, zmieniała wodę w wannie do każdego płukania; głowę wepchnęła mi w miednicę i umyła ją najpierw ośmiokątnym „Idealnie Pierze”, a potem mydłem toaletowym. Chociaż Jemowi w kąpeli ufała od lat, tym razem wtargnęła do łazienki, gdy odprawiał swoje misteria, i sprowokowała wybuch:

- Czy nikt w tym domu nie może się wykapać bez tego, żeby cała rodzina patrzyła?

Nazajutrz rano wcześniej niż zwykle zajęła się naszą garderobą. Nocując u nas, sypiała w kuchni na łóżku polowym; w ten niedzielny poranek łóżka nie było widać pod naszymi strojami. Tak wykrochmalila moją sukienkę, że gdy usiadłam, sukienka stanęła wokół mnie jak namiot. Musiałam też włożyć halkę i różową szarfą zostałam mocno ściśnięta w pasie. Lakierki czyściła mi Calpurnia i czyściła herbatnikiem, dopóki nie zobaczyła w nich swego odbicia.

- Jakbyśmy szli na zapusty - powiedział Jem. - Cal, po co to wszystko?

- Nie chcę, żeby było gadanie, że ja źle dbam o moje dzieci - mruknęła Calpurnia. - Panie Jem, to absolutnie nie jest krawat do tego ubrania. Zielony.

- To co?

- Gryzie się, jak ubranie jest granatowe. Nie widzisz?

- He, he... - zawyłam. - Jem się nie zna na kolorach.

Jem zaczerwienił się ze złości, ale Calpurnia rzekła szybko:

- No, przestańcie. Macie iść do Pierwszego Zakupu uśmiechnięci.

Środkowo-Wschodni Kościół Afrykański Pierwszego Zakupu stał na terenie kwater murzyńskich pod miasteczkiem za boczną koleją starego tartaku. Był to drewniany, obłożony z farby budynek niemal zabytkowy - jedyny kościół w Maycomb z wieżyczką i dzwonem nazwanym „Pierwszy Zakup”, bo zakupiono go z pierwszych zarobków wyzwolonych niewolników. Murzyni czcili tam Boga w niedzielę, a biali grywali w karty i w kości w dni powszednie.

Gleba w tej okolicy to twarda glina, więc dziedziniec kościelny i przyległy cmentarz były jak z cegły. Jeśli ktoś umierał w porze suszy, okładano jego zwłoki blokami lodu, czekając, by deszcze umożliwiły rozkopanie ziemi. Niewiele było na tym cmentarzu nagrobków, a i te się rozpadały; co nowsze groby znaczyły się obramowaniem z kolorowego szkła i potłuczonych butelek po coca-coli. Strzegące niektórych grobów piorunochrony wskazywały, że zmarli, którzy w nich leżą, nie spoczywają w spokoju; nie dopalone świece stały u wezglowi mogiłek niemowląt. Nie był to cmentarz smutny.

Już na dziedzińcu kościoła owionęła nas ciepła gorzko-słodka woń czystych Murzynów - zapachniało brylantyną „Zakochane Serca” i syropem żywicznym, i tabaką, i wodą kolońską Hoyta, i prymką, i talkiem o zapachu bzu.

Na widok Calpurnii z Jemem i ze mną mężczyźni się odsunęli i zdjęli kapelusze; kobiety założyły ręce na brzuchach, co było ich pełną uszanowania postawą na baczną w powszednie dni tygodnia. Rozstąpiono się, tworząc niejako szpaler aż do samych drzwi kościoła. Krocząca między Jemem i mną Calpurnia odpowiadała godnie na powitania swych jaskrawo przyodzianych sąsiadów.

- A to co znowu, pani Cal? - rozległ się czyjś głos za nami.

Calpurnia położyła nam ręce na ramionach i przystanęliśmy, żeby się obejrzeć. W przejściu za nami stała wysoka Murzynka. Całą swą wagę przerzuciła na jedną nogę; lewą ręką, opierając łokieć na wygiętym biodrze i unosząc odwróconą dłoń, wskazywała mnie i Jema. Głowę miała kulistą, dziwne migdałowe oczy, prosty nos i usta z równo zaokrągloną górną wargą. Mierzyła chyba z siedem stóp wzrostu.

Poczułam, jak palce Calpurnii wpijają mi się w ramię.

- Czego znowu, Lula? - zapytała Calpurnia tonem, jakiego jeszcze nigdy u niej nie słyszałam. Wycedziła to cicho, pogardliwie.

- Tyle, że chcę wiedzieć, dlaczego bierzesz białe dzieci do naszego czarnego kościoła.

- To moje goście - rzekła Calpurnia znów inaczej niż zawsze; mówiła teraz tak, jak oni wszyscy.

- Aha, ale po mojemu to ci wystarczą w domu Finchów na co dzień, a nie tutaj przy niedzieli.

Szmer przeleciał wśród zgromadzonych.

- Nic się nie turbuj - szepnęła do mnie Calpurnia, zobaczyłam jednak, że róże na jej kapeluszu trzęsą się z oburzenia.

Lula ruszyła ku nam.

- Stój, gdzie stoisz, czarnucho - rzekła Calpurnia.

Lula się zatrzymała, ale wykrzyknęła:

- Tutaj się nie należy brać białych dzieci... One mają swój kościół, my mamy swój. To jest nasz kościół, pani Cal, może nie?

Calpurnia powiedziała:

- Pan Bóg ten sam wszędzie, może nie?

Teraz odezwał się Jem:

- Chodźmy do domu, Cal, nie chcą nas tutaj...

Przyznałam mu rację; oni nas tu nie chcieli. Napierali na nas, chociaż raczej to wyczuwałam, niż widziałam. Wydawało mi się, że już wszyscy podsunęli się bliżej, ale gdy podniosłam wzrok na Calpurnię, zobaczyłam w jej oczach rozbawienie. Gdy znów spojrzałam w głąb szpaleru, Luli nie było. Tam gdzie przed chwilą stała, tłoczyli się kolorowi.

Ktoś spośród nich wystąpił. Był to Zeebo - ten, który wywoził śmieci.

- Panie Jem - powiedział - my bardzo się radujemy, żeście przyszli. Na Lulę nie trzeba zwracać żadnej uwagi. Ona jest swarliwa, bo wielebny Sykes zagroził, że ją poprowadzi na wywód. Ona od dawna jest awanturnica, ma fanaberyje i zadziera nosa... My bardzo się radujemy, żeście przyszli.

Po tym przemówieniu Calpurnia powiodła nas do drzwi kościoła, gdzie zostaliśmy powitani przez wielebny Sykesa, który z kolei powiódł nas przez kościół do pierwszego rzędu ławek.

Kościół Pierwszego Zakupu nie miał sufitu i był wewnątrz nie pomalowany. Na wbitych w ścianę mosiężnych kółkach wisiały nie palące się teraz lampy naftowe: ławki były zwyczajne, z sosnowych desek. Za pulpitem z nie oheblowanej dębiny wyblakły różowy sztandar - jedyna ozdoba tego kościoła, oprócz reprodukcji obrazu Hunta „Światłość Ziemi” - głosił wyhaftowanym na jedwabiu napisem, że Bóg to Miłość. Organów bądź fortepianu, śpiewników i programów nabożeństw, tych wszystkich dobrze znanych kościelnych rekwizytów, jakie widywaliśmy w każdą niedzielę, nigdzie tu nie było. Panował półmrok i wilgotny chłód, powoli jednak, w miarę jak wchodzili wierni, robiło się coraz cieplej. Na każdym siedzeniu leżał lichej papierowy wachlarz przyozdobiony czyjąś nie tyle natchnioną, ile jaskrawą wizją Ogrodu Getsemani - prezent od Tyndala i Ski - Towary Żelazne (KLIENT ŻYCZENIE MA, FIRMA JE SPEŁNIARAZ DWA).

Calpurnia dopchnęła Jema i mnie do końca rzędu i usadowiła się między nami. Pogrzebała w torebce, wyciągnęła chustkę do nosa i wysupłała z jej rogu twardy rulonik drobnych. Dała nam po dziesięć centów.

- Mamy nasze - szepnął Jem. - Zatrzymaj to.

Calpurnia powiedziała:

- Jesteście ze mną.

Na twarzy Jema uwidocznił się przelotnie brak decyzji co do strony etycznej zaoszczędzenia własnych dziesięciu centów, ale zaraz jego wrodzona grzeczność zwyciężyła i schował tę dziesiątkę od Calpurnii do kieszeni. Ja zrobiłam to samo bez żadnych skrupułów.

- Cal - zapytałam szeptem - gdzie tu są śpiewniki?

- My nie mamy śpiewników - odrzekła Calpurnia.

- No, to jak...?

- Psst - przerwała mi.

Stojąc już za pulpitem, wielebny Sykes wzrokiem nakazał wiernym ciszę. Był to niski, krępy Murzyn w czarnym ubraniu, czarnym krawacie i białej koszuli; złota dewizka jego zegarka błyszczała w świetle padającym z zewnątrz przez matowe szyby.

Rozpoczął:

- Bracia i siostry, jesteśmy szczególnie radzi, że mamy tu dzisiaj gości. Pana i pannę Finch. Ich ojca wszyscy znacie. Przed nabożeństwem przeczytam wam parę ogłoszeń. - Z szelestem przełożył na pulpicie parę kartek, wybrał jedną, po czym wyciągnął ją przed sobą na długość ręki. - Kółko misyjne zbierze się u siostry Annette Reeves w przyszły wtorek. Proszę przynieść ze sobą swoje szycie. - Przeczytał inną kartkę. - Wszyscy wiecie o zmartwieniu Toma Robinsona. Od dzieciństwa należy on niezłomnie do kongregacji „Pierwszego Zakupu”. Pieniądze zebrane dziś i w następne trzy niedziele damy Helen, jego żonie, żeby jej pomóc w biedzie.

Szturchnęłam Jema.

- To ten Tom Atticusa oskarż...

- Cii!

Odwrociłam się do Calpurnii, ale zanim otworzyłam usta, Calpurnia też kazała mi być cicho. Ujarmiona skoncentrowałam uwagę na wielebnym Sykesie, który najwyraźniej czekał, żebym się ustatkowała.

- Kierownik muzyki niechaj nam podda pierwszy hymn - powiedział.

Zeebo wstał z ławki, przeszedł przez środek kościoła i stanął przy ścianie przed nami, twarzą jednak zwrócony do wszystkich wiernych. W ręce miał mocno sfatygowany śpiewnik. Otworzył go i oznajmił:

- Zaśpiewamy numer dwieście siedemdziesiąt trzy.

Tego już wcale nie mogłam pojąć.

- Jak zaśpiewamy, kiedy nie ma śpiewników?

Calpurnia uśmiechnęła się do mnie.

- Cicho, kochaneczko - szepnęła. - Zaraz zobaczysz.

Zeebo chrząknął i odczytał głosem jak dalekie dudnienie armat:

- *Jest kraj z tamtej strony rzeki*

Sto zestrojonych jakimś cudem głosów odśpiewało chóralnie te słowa. Po ostatniej sylabie przechodzącej w chrypliwy pomruk Zeebo powiedział:

- *Kraj błogości to na wieki.*

Znów rozbrzmiała wokół nas melodia; z końcem ostatniej długiej nuty Zeebo wygłosił następną strofę:

- *Szlak nas wiedzie na brzeg tamten, wiarą naszą wytyczony.*

Wierni się zawahali. Zeebo powtórzył strofę i wtedy ją zaśpiewano. Przy tym refrenie Zeebo zamknął śpiewnik, co było dla wszystkich znakiem, że mają śpiewać dalej już bez jego pomocy.

Gdy przebrzmiały słowa: „...i obwieszczą nam puzony”, znów się odezwał Zeebo:

- *W kraju błogim tym dalekim z tamtej strony jasnej rzeki.*

Wiersz po wierszu odśpiewywano chórem harmonijnie, z prostotą, dopóki smętnym pomrukiem hymn się nie skończył.

Spojrzałam na Jema, który z ukosa patrzył na Zeebo. Ja też nie wierzyłam własnym uszom, a przecież oboje to usłyszeliśmy.

Potem wielebny Sykes wznosił modły do Boga, by pobłogosławił chorych i cierpiących, tak samo, jak to czynił pastor na nabożeństwie w naszym kościele, z tym jednak, że wielebny Sykes zwrócił Bogu uwagę na kilka wypadków indywidualnych.

Kazanie wielebnego Sykesa było zdecydowanym potępieniem grzechu, surowym potwierdzeniem hasła na ścianie za jego plecami; przestrzegał swą trzódkę przed złem, jakie kryją w sobie zdradliwe odwary, gry hazardowe i obce kobiety. Przez tych, którzy sprzedają nielegalnie pędzony alkohol, dość jest kłopotu w kwaterach, ale kobiety są jeszcze gorsze. I oto znów, jak nieraz w naszym kościele, wyłoniła się przede mną doktryna o nieczystości kobiet, najwidoczniej zaprzatająca umysły wszystkich pastorów.

Oboje z Jemem słuchaliśmy podobnych kazań co niedziela, a przecież mieliśmy teraz pewną różnicę. Wielebny Sykes swobodniej wyrażał z kazalnicy swe poglądy, podając konkretne przykłady utraty Łaski Bożej: Jim Hardy nie pokazuje się w kościele przez pięć niedziel pod rząd, chociaż wiadomo, że nie jest chory; Constance Jackson niech wreszcie się pohamuje - Pan Bóg ją ciężko ukarze za kłótnie z sąsiadkami; wzniosła wokół siebie mur urazy, jedyny w całych dziejach kwater.

Wielebny Sykes zakończył kazanie. Od pulpitu przeszedł do stolika i poprosił o poranne datki, co już było formalnością zupełnie Jemowi i mnie nie znaną. Jeden po drugim zaczęli tam

podchodzić wierni, żeby wrzucać pięcio- i dziesięciocentówki w czarny emaliowany dzbanek do kawy. Dołączyliśmy do tego pochodu i gdy nasze dziesiątki brzęknęły, usłyszeliśmy ciche:

- Dziękuję, dziękuję.

Ku naszemu zdumieniu wielebny Sykes wysypał zawartość dzbanka na stolik i zgarnął monety. Wyprostował się i powiedział:

- Za mało. Musimy mieć dziesięć dolarów. - Wywołało to lekkie poruszenie. - Przecież wiecie, na co zbieramy. Helen nie może zostawić dzieci swoich bez opieki i pójść do pracy teraz, kiedy Tom siedzi w więzieniu. Jeżeli każdy z was da jeszcze dziesięć centów, wystarczy... - Wielebny Sykes kiwnął ręką do kogoś w głębi kościoła. - Alec! - zawołał. - Pozamykaj drzwi. Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie będziemy mieli dziesięciu dolarów.

Calpurnia pogmerała w torebce i wyciągnęła zniszczoną skórzaną portmonetkę.

- No, Cal - szepnął Jem, gdy mu wręczyła błyszczącą dwudziestopięciocentówkę - możemy wrzucić nasze. Daj swoje dziesięć, Smyk.

W kościele zrobiło się duszno i nagle olśniła mnie myśl, że wielebny Sykes chce, by jego trzódka potrzebną sumę z siebie wypociła. Wachlarze poruszały się z szelestem, stopy szurały, ci, którzy żuli prymkę, siedzieli jak na mękach.

Aż podskoczyłam, gdy wielebny Sykes rzekł surowo:

- Carlow Richardson, ciebie dzisiaj nie widziałem przy tym stole.

Chudy człeczyna w wojskowych spodniach podszedł do stolika i brzęknęła w dzbanku moneta. Rozległ się szmer uznania. Po jakimś czasie wielebny Sykes wpadł na pomysł:

- Niech da jeszcze dziesiątkę każdy, kto nie ma dzieci. Wtedy się zbierze.

Powoli, z trudem uzbierało się te dziesięć dolarów. Wszystkie drzwi pootwierano i opłynęła nas ożywcza fala ciepłego powietrza. Zeebo podpowiedział:

- *Na burzliwych rzeki Jordan brzegach...*

I nabożeństwo się skończyło.

Chciałam zostać i spokojnie się rozejrzeć, ale Calpurnia popędziła mnie do drzwi. Przed kościołem jednak zatrzymali ją Zeebo i jego żona, i dzieci, więc Jem i ja mogliśmy pogawędzić z wielebnym Sykesem. Zrazu raczej się tej pogawędce przysłuchiwałam uważając, że z pytaniami, chociaż mnie wprost rozsadały, lepiej poczekać na Calpurnię.

- Byliśmy szczególnie radzi, że przyszlście tu do nas - mówił wielebny Sykes. - Ten kościół nie ma lepszego przyjaciela niż wasz tatuś.

Nie wytrzymałam:

- Dlaczego pan zbierał pieniądze dla żony Toma Robinsona?

- Nie słyszałaś, panienko, dlaczego? - zapytał wielebny Sykes. - Helen ma troje maleństw, więc trudno jej chodzić do pracy...

- Dlaczego nie chodzi z nimi, panie pastorze?

Wśród pracujących w polu Murzynów był taki zwyczaj, że kto miał małe dzieci, brał je do pracy ze sobą; siedziały zwykle te brzdące, gdzie się dało, w cieniu między rzędami bawełny przez cały czas, gdy ich rodzice pracowali. Niemowlęta, które jeszcze nie umiały siedzieć, przywiązane były na sposób indiański do grzbietów matek albo leżały w pustych workach na bawełnę.

Wielebny Sykes się zawahał.

- Prawdę mówiąc, panno Jean Louise, niełatwo teraz o pracę dla Helen... Może kiedy przyjdzie pora zbiorów, pan Link ją przyjmie.

- Dlaczego nie na pewno, panie pastorze?

Zanim wielebny Sykes zdążył mi odpowiedzieć, poczułam na ramieniu rękę Calpurnii. Pod tym naciskiem powiedziałam:

- Dziękujemy, że pan pastor pozwolił nam przyjść.

Jem powtórzył to samo i ruszyliśmy do domu.

- Cal - zaczęłam - ja wiem, że Tom Robinson siedzi w więzieniu, bo zrobił jakąś straszną rzecz, ale dlaczego ludzie nie chcą brać Helen do pracy?

Calpurnia, krocząc majestatycznie w sukni z szafirowego woalu i w kapeluszu wielkim jak balia pomiędzy Jemem i mną, odrzekła:

- Bo wszyscy stale gadają o tym, co Tom zrobił, więc ludzie wolą nie... nie mieć do czynienia z jego rodziną.

- Ale co on takiego zrobił, Cal?

Calpurnia westchnęła.

- Stary pan Bob Ewell oskarżył go, że on mu zgwałcił córkę, i kazał go aresztować i wsadzić do więzienia...

- Pan Ewell? - Coś poruszyło się w mojej pamięci. - Czy to z tych Ewellów, którzy przychodzą tylko w pierwszy dzień szkoły, a potem już nie? No, Atticus powiedział, że oni to naprawdę hołota... tak powiedział, jak nigdy o nikim. I powiedział...

- Tak, to ci Ewellowie.

- No, jeżeli wszyscy w Maycomb wiedzą, jacy oni są, z wielką chęcią przyjmą Helen... Co to jest zgwałcić, Cal?

- O to już musisz zapytać pana Fincha - uchyliła się Calpurnia. - Pan Finch lepiej ci to objaśni. Pewnie już głodni jesteście? Wielebny długo dzisiaj się rozwodził. Zwykle tak ludzi nie męczy.

- On jest zupełnie taki, jak nasz pastor - zauważył Jem. - Ale dlaczego wy śpiewacie hymny w ten sposób?

- Z podsuwaniem? - zapytała Calpurnia.

- Tak to się nazywa?

- Tak... tak się nazywa... podsuwanie. Zawsze tak było, odkąd pamiętam.

Jem doradził, żeby oni oszczędzali pieniądze z datków przez rok i kupili sobie kilka śpiewników. Calpurnia parsknęła śmiechem.

- To na nic by się nie zdało - rzekła. - Nie umieją czytać.

- Nie umieją czytać? - Byłam szczerze zdumiona. - Wszyscy?

- A jakże - przytaknęła Calpurnia. - W całym Pierwszym Zakupie może tylko ze cztery osoby czytają... Ja jestem jedną z tych osób.

- Gdzie ty chodziłaś do szkoły, Cal? - zainteresował się Jem.

- Nigdzie. Zaraz.... kto to mnie wyuczył liter? To była ciocia pani Maudie Atkinson, panna Buford...

- To ty jesteś aż taka stara?

- Starsza nawet niż pan Finch. - Calpurnia uśmiechnęła się szeroko. - Chociaż nie bardzo wiem, na który rok mi idzie. Jak sobie kiedyś zaczęliśmy przypominać, żeby wyliczyć, ile ja mam lat... no... ja pamiętam w tył tylko o parę lat wcześniej niż pan Finch, więc dużo starsza nie jestem, a jeszcze jak się wie, że mężczyźni mają dużo gorszą pamięć niż kobiety...

- Kiedy są twoje urodziny, Cal?

- Obchodzę w Boże Narodzenie, bo tak się łatwiej o nich pamięta... ale prawdziwych urodzin to nie mam.

- Ależ, Cal - zaprotestował Jem - wcale nie wyglądasz tak staro, jak Atticus.

- Po kolorowych nie widać tak szybko starości - powiedziała Calpurnia.

- Może dlatego, że nie umieją czytać. Cal, czyś ty uczyła Zeebo?

- A jakże, panie Jem. Szkoły jeszcze nie było, kiedy on był chłopcem. Ale ja go przymuszałam, żeby się uczył.

Zeebo był najstarszym synem Calpurnii. Gdybym kiedykolwiek o tym pomyślała, wiedziałabym, że Calpurnia nie jest już młoda, skoro Zeebo ma prawie dorosłe dzieci, jakoś jednak dotychczas nie przyszło mi to do głowy.

- Z elementarza go uczyłaś, tak jak nas? - zapytałam.

- Nie, kazałam mu codziennie brać jedną stronicę Biblii i była jedna książka, z której mnie uczyła panna Buford... Założę się, że nie wiecie, skąd miałam tę książkę.

Nie wiedzieliśmy.

- Wasz dziadzio Finch mi ją dał.

- Więc jesteś z Przystani? - zapytał Jem. - Nigdy nam nie mówiłaś.

- Pewnie, że z tamtych stron, panie Jem. Wyrosłam między siedzibą Bufordów i Przystanią. Całe życie pracowałam albo u Finchów, albo u Bufordów, aż się przenieśli do Maycomb, kiedy wasz tatuś i wasza mama się pobrali.

- Co to była za książka, Cal? - zapytałam.

- Blackstone'a *Komentarze do prawa angielskiego*.

Jem osłupiał.

- I chcesz nam powiedzieć, że Zeebo uczyłaś z tej książki?

- No, a jak, panie Jem? - Calpurnia stropiona podniosła rękę do ust. - Innych książek nie miałam. I wasz dziadzio powiedział, że pan Blackstone pisał pięknie po angielsku.

- To dlatego nie mówisz tak, jak reszta - domyślił się Jem.

- Jaka reszta?

- Reszta kolorowych, Cal, ale w kościele mówiłaś tak, jak oni...

Nigdy bym nie przypuszczała, że Calpurnia może prowadzić skromne, bo skromne, ale przecież podwójne życie. Już sama myśl o jej odrębnej egzystencji poza naszym domem była dla mnie wręcz sensacją, a cóż dopiero fakt, że ona włada dwoma językami.

- Cal - zapytałam - dlaczego mówisz do swoich po murzyńsku, kiedy wiesz, że tak się nie mówi.

- No, przede wszystkim to ja jestem Murzynka...

- To nie znaczy, że musisz mówić jak Murzynka, kiedy umiesz lepiej - powiedział Jem.

Calpurnia na bakier przesunęła kapelusz i podrapała się w głowę, a potem z mocą, chociaż

ostrożnie, nasunęła kapelusz z powrotem na uszy.

- Ciężko to objaśnić - powiedziała. - Gdybyście, ty ze Smykiem, mówili po kolorowemu w domu... to by było nie na miejscu, prawda? No, więc jak by to wyglądało, gdybym ja mówiła po białemu w naszym kościele i z sąsiadami tam u mnie? Myśleliby, że ja wszystkie rozumy połknęłam.

- Ależ, Cal, bo ty jesteś od nich mądrzejsza - zwróciłam jej uwagę.

- Niekoniecznie trzeba się pchać ze swoimi mądrościami. To żadnej pani nie przystoi... i po drugie, to ludzie nie lubią zazwyczaj kogoś, kto więcej wie. Od samego mówienia do nich po angielsku oni się nie zmieniają. Sami dopiero muszą się tego nauczyć, a skoro nie chcą, nie ma na to rady; można najwyżej nie mówić nic albo mówić tak jak oni.

- Cal, czy ja mogę przychodzić do ciebie czasami?

Calpurnia spojrzała na mnie.

- Przychodzić do mnie, kochaneczko? Przecież zawsze przychodzisz.

- Ale do ciebie do domu - powiedziałam. - Czasami po pracy. Atticus może mnie podwieźć samochodem.

- Kiedy tylko zechcesz - zaprosiła mnie Calpurnia. - Bardzo nam będzie przyjemnie ciebie gościć.

Szliśmy już chodnikiem przy posesji Radleyów.

- Patrz, kto siedzi tam na werandzie - sapnął Jem.

Popatrzyłam na dom Radleyów z nadzieją, że zobaczę, jak w słońcu na huśtawce opala się jego widmowy mieszkaniec. Ale huśtawka była pusta.

- Mnie chodzi o naszą werandę - powiedział Jem.

Przeniosłam więc wzrok na nasz dom. Wyprostowana, opancerzona i nieugięta w fotelu na biegunach siedziała ciocia Alexandra, zupełnie tak, jakby to było jej stałe miejsce przez całe życie.

13

- Postaw moją walizkę w sypialni od frontu, Calpurnio - było pierwszą rzeczą, jaką powiedziała ciocia Alexandra. - Jean Louise, przestań się drapać po głowie - było rzeczą drugą.

Calpurnia uniosła z podłogi ciężką walizkę cioci i otworzyła drzwi.

- Ja ją wezmę. - Jem wyręczył Calpurnię.

Usłyszałam głośne stuknięcie walizki o podłogę w sypialni. Odgłos ten miał w sobie jakąś głuchą nieodwołalność.

- Przyjechała ciocia z wizytą? - zapytałam.

Ciocia Alexandra przyjeżdżała z Przystani rzadko i podróżowała zawsze w pełnym majestacie. Miała jaskrawozielonego, staroświeckiego buicka i czarnego szofera, wypucowanych na wręcz niezdrowy, najwyższy połysk, ale dziś ani buick, ani szofer nigdzie nie dawali się zauważyć.

- Czy wasz ojciec nic wam nie powiedział? - zapytała ciocia Alexandra.

Jem potrząsnął głową i ja potrząsnęłam głową.

- Pewnie zapomniał. Jeszcze go nie ma?

- Nie. Oj, jak jest w Montgomery, zwykle przyjeżdża późno po południu - poinformował ciocię Jem.

- No... zdecydowaliśmy z waszym ojcem, że już pora, abym przez jakiś czas pomieszkała u was.

- Przez jakiś czas?

W Maycomb pojęcie to obejmowało wszystko - od trzech dni do trzydziestu lat. Ja spjrzałam na Jema, Jem spojrział na mnie.

- Jem teraz rośnie i ty także - zwróciła się ciocia do mnie. - Zdecydowaliśmy, że potrzebujesz ręki kobiecej. Już tylko parę latek, Jean Louise, a zaczną cię interesować sukienki i chłopcy...

Na końcu języka miałam rozliczne odpowiedzi: Cal to też kobieta; wiele lat upłynie, zanim zaczną mnie interesować chłopcy, a już sukienki z pewnością nie będą mnie interesowały nigdy - ale milczałam.

- Co z wujem Jimmym? - zapytał Jem. - Czy i wuj Jimmy przyjedzie?

- Och, nie. Został w Przystani. Musi pilnować, żeby tam wszystko szło, jak należy.

Zapytałam:

- Nie będzie ciocia do niego tęskniła?

I natychmiast uprzytomniłam sobie, że to nie jest pytanie taktowne. Fakt obecności czy nieobecności wuja Jimmy'ego nie sprawiał nikomu różnicy - tak czy owak wuja wcale nie było słyhać. Na szczęście ciocia Alexandra puściła mimo uszu ten nietakt.

Ani rusz nie mogłam wymyślić, co by tu jeszcze powiedzieć. W istocie nigdy dotąd w czasie naszych spotkań żaden temat nie przychodził mi do głowy, więc na próżno sięgnęłam teraz do wspomnień o trudach prowadzenia z nią rozmów w przeszłości.

„Jak się czujesz, Jean Louise?”

„Dziękuję, a jak ciocia się czuje?”

„Bardzo dobrze, dziękuję. Co robisz ostatnio?”

„Nic”.

„Jak to? Nic nie robisz?”

„Nic, proszę cioci”.

„Ale masz przecież jakieś koleżanki?”

„Mam, proszę cioci”.

„No, to co wy wszystkie robicie?”

„Nic”.

Niewątpliwie ciocia Alexandra uważała mnie za nudną w najwyższym stopniu, bo kiedyś słyszałam, jak mówiła do Atticusa, że jestem niemrawa.

W tej wizycie chyba coś się kryło, na razie jednak nie chciałam jej wypytywać; była niedziela, a ciocia Alexandra w dni pańskie przejawiała szczególną drażliwość. Domyślałam się, że to z powodu niedzielnego gorsetu. Ciocia - nie opasła, a przecież dość tęga - lubiła się oblekać w pancerze zapobiegawcze, które podciągając jej łono na zawrotne wyżyny, wyszczuplając ją

w talii i wachlarzowato uwypuklając jej tył poniżej pasa, mogły nasuwać nieodparte wrażenie, że ongiś miała figurę jak osa. Z bliska i z daleka, z przodu, z tyłu czy z boku wyglądała imponująco.

Reszta popołudnia minęła w nastroju z lekka ponurym, jaki wnoszą odwiedziny krewnych, ale świat od razu poweselał, gdy usłyszeliśmy podjeżdżający samochód. To Atticus wrócił z Montgomery. Jem zapominając o swej powadze, pomknął ze mną na jego spotkanie. Chwycił jego teczkę i walizkę, a ja rzuciłam mu się w objęcia. Poczułam jego przelotny suchy pocałunek i zapytałam:

- Przywiozłeś mi jakąś książkę? Wiesz, że tu jest ciocia Alexandra?

Na oba pytania Atticus odpowiedział, że owszem.

- Chciałabyś, żeby ciocia u nas mieszkała? - zapytał z kolei on.

Odpowiedziałam, że chciałabym bardzo, co oczywiście było kłamstwem, ale w pewnych okolicznościach, gdy nic na te okoliczności nie można poradzić, trzeba niestety kłamać.

- Uznaliśmy, że wy, dzieci, potrzebujecie teraz... No, to jest tak, Smyku - rzekł Atticus - ciocia oddaje przysługę mnie i wam. Ja przecież nie mogę przez cały czas siedzieć tutaj z wami, a to lato będzie gorące.

- Właśnie - przytaknęłam, chociaż nie zrozumiałam z tego ani słowa.

Doznałam jednak wrażenia, że ukazanie się cioci Alexandry na widowni to robota nie tyle Atticusa, ile jej własna. Ciocia miała swój sposób decydowania, „co jest dla rodziny najlepsze”, i zapewne jej przybycie do nas na dłużej spowodowane było decyzją tej kategorii.

W mieście Maycomb powitano ją z otwartymi rękami. Pani Maudie upiekła sękacz tak przesycony rumem, że się wstawiłam; panna Stephanie Crawford składała cioci Alexandrze wielogodzinne wizyty, w czasie których potrząsała głową i mówiła: „ho ho ho”. Panna Rachel, nasza najbliższa sąsiadka, zapraszała ciocię na kawę co dzień po południu, a pan Nathan Radley zdobył się nawet na to, że wszedł do naszego ogrodu i powiedział cioci, jak to miło ją tutaj zobaczyć.

Gdy ciocia Alexandra już się u nas zdomowiła i dni popłynęły znów normalnym torem, mogło się wydawać, że ona zawsze u nas mieszkała. Dzięki podwieczorkom, jakimi podejmowała kółko misyjne, jeszcze bardziej zasłynęła jako pani domu (nigdy nie pozwalała Calpurnii przyrządzać smakołyków niezbędnych dla pokrzepienia pań z kółka podczas drugich sprawozdań o poganach nawracających się dla korzyści doczesnych); zapisała się do klubu kronikarek Maycomb i została jego sekretarką. Na wszystkich przyjęciach obecna, czynnie zainteresowana życiem towarzyskim hrabstwa, była ciocia Alexandra jedną z ostatnich swego pokroju; miała sposób bycia damy na statku z kołem łopatkowym, damy wychowanej na pensji z internatem dla młodych pań; potrafiła wyciągać morał ze wszystkiego; urodziła się z morałem na ustach; była nieuleczalną plotkarką. W czasach, gdy chodziła do szkoły, takie określenie jak „brak wiary w siebie”, nie figurowało w żadnym podręczniku, więc nie wiedziała, co to znaczy. Nigdy się nie nudziła, bo na każdym kroku korzystała, jak tylko mogła, ze swego królewskiego przywileju: zarządzała, zalecała, napominała i ostrzegała.

Nie pomijała żadnej okazji do wytknięcia ułomności innych grup plemiennych ku większej chwale własnego rodu, co okazało się chyba jedynym jej nawykiem, który Jem raczej bawił niż drażnił. „Ciocia jednak powinna się hamować... tyle ludzi w Maycomb ma za nic, a to właśnie nasi krewni”.

Ciocia Alexandra podkreślając moralną płynąca z samobójstwa młodego Sama Merriweathera twierdziła, że przyczyną jest tu pierwiastek patologiczny w jego rodzinie. Niech tylko jakaś szesnastolatka zachichotała w kościelnym chórze, ciocia Alexandra mówiła: „Po prostu jeszcze jeden dowód, że wszystkie Penfieldówny to wietrznice”. Wydawało się, że każdy w Maycomb ma takie czy inne dziedziczne obciążenie: pierwiastek alkoholizmu, pierwiastek hazardu, pierwiastek skapstwa, pierwiastek dziwactwa.

Raz, gdy ciocia nas zapewniała, że dziedziczna jest skłonność panny Stephanie Crawford do troszczenia się o cudze sprawy, Atticus powiedział:

- Moja droga, kiedy się o tym pomyśli, nasze pokolenie jest właściwie pierwsze w rodzinie Finchów, które nie zawiera związków małżeńskich z kuzynami. Czy powiedziałaabyś, że Finchowie mają w sobie pierwiastek kazirodztwa?

Ciocia zaprzeczyła.

- Nie. Tym związkom zawdzięczamy nasze małe ręce i stopy.

W żaden sposób nie mogłam zrozumieć, dlaczego ją tak zaprzęta problem dziedziczności. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale już zdążyłam wyrobić sobie pogląd, że elita to tacy ludzie, którzy najmądrzej, jak potrafią, posługują się danym im rozumem, a tymczasem ciocia Alexandra pośrednio wyrażała zdanie, że rodzina tym jest lepsza, im dłużej siedzi na jednym i tym samym kawałku ziemi.

- Więc Ewellowie to elita - powiedział Jem.

Ów ród, który się złożył na Burrisa Ewella i jego braci, rozrastając się bujnie za pieniądze z opieki społecznej hrabstwa, zajmował przecież stale ten sam spłachetek gruntu za śmietnikami miejskimi Maycomb już od trzech pokoleń.

Jednakże teoria cioci Alexandry nie była aż tak zupełnie bezpodstawna. Maycomb to stare miasteczko. Odległe od Przystani Finchów i od rzeki o dwadzieścia mil, położone jest dość niewygodnie jak na epokę, w której powstało. Otóż byłoby ono bliżej wody, gdyby nie szybka orientacja niejakiego Sinkfielda prowadzącego w zamierzchłych czasach gospodę na rozstaju dwóch szlaków handlowych - jedyny zajazd na tym obszarze. Sinkfield, zgoła nie patriota, służył i dostarczał amunicji Indianom i osadnikom bez różnicy, ani nie wiedząc, ani się nie przejmując, czy należą do obywateli Terytorium Alabama, czy do narodu Krików - byleby tylko interesy szły dobrze. Interesy szły doskonale, gdy gubernator William Wyatt Bibb celem umocnienia spokoju w nowym hrabstwie postanowił jak najszybciej założyć w samym jego środku urzędową stolicę i wydelegował dwóch mierniczych, żeby ten środek ustalili. Owi przybysze - goście Sinkfielda - powiedzieli swemu gospodarzowi, że mieszka on w granicach hrabstwa Maycomb i pokazali mu wyniki pomiarów. Gdyby Sinkfield nie poważał się wówczas w obronie własnych interesów na pewne zuchwałe pociągnięcie, Maycomb stanęłoby w środku moczarów Winstona bez żadnej dla niego korzyści. Punktem jednak, wokół którego wyrosło i rozrosło się Maycomb, ostatecznie została jego karczma na rozstaju, bo obfitą wieczerzą doprowadzając swych gości do stanu pijackiego zaćmienia, zdołał ich nakłonić, by wyciągnęli mapy i wykresy, odcięli kawałek tutaj, dodali odrobinę tam i przystosowali środek hrabstwa do jego wymagań. Nazajutrz wyprawił ich w drogę uzbrojonych nie tylko w te wykresy, ale i w pięć kwart rumu w torbach przy siodłach - po dwie kwarty dla nich i jedną dla gubernatora.

Maycomb dzięki temu, że miało być przede wszystkim siedzibą władz, uniknęło niechlujstwa cechującego większość takich niedużych miasteczek w stanie Alabama. Na początku domy były solidne, budynek sądu wyniosły, ulice wdzięcznie szerokie. Stosunkowo dużo zamieszkało tu ludzi wykonujących wolne zawody. Kto więc chciał mieć zęby wyrwane, wóz naprawiony, serce zbadane, kto chciał złożyć pieniądze w banku, zbawić własną duszę, leczyć muły u weterynarza, jeździł do Maycomb. Ale dalekowzroczność Sinkfielda w chwili, gdy dokonywał on swego manewru, pozostaje pod znakiem zapytania. Zbyt daleko umieścił to młode miasto od jedyne w tamtych czasach środka komunikacji publicznej, jakim był rzeczny statek, i podróż z pomocnych rubieży hrabstwa do Maycomb po zakupy zabierała pełne dwa dni. W rezultacie miasteczko jak wysepka wznosząca się na pokratowanym morzu lasów i pól bawełny nie rozrastało się przez całe stulecie.

Wybuchła wojna między stanami i chociaż jakoś Maycomb ominęła, jej skutki: ruina gospodarcza i ustawa o odbudowie, spowodowały, że miasteczko się zaludniło. Zaludniło się bez pomocy z zewnątrz. Nowi ludzie tak rzadko się tu osiedlali, że związki małżeńskie zawierano wciąż między tymi samymi rodzinami z hrabstwa, aż wszyscy członkowie miejskiej społeczności zaczęli przejawiać pewne podobieństwo rodzinne. Od czasu do czasu ktoś wprowadził przywoził sobie żonę czy męża z Montgomery bądź z Mobile, ale wynik tego był co najwyżej takim urozmaiceniem wspólnych rodzinnych cech, jak zmarszczka na spokojnym strumieniu. Mniej więcej tak się rzeczy miały jeszcze w latach mojego dzieciństwa.

Wyraźnie też zachował się w Maycomb system kastowy, chociaż według mnie wyrażało się to następująco: starsi obywatele, pokolenie ludzi, którzy od wielu, wielu lat żyli obok siebie, zdążyli już nawzajem poznać się gruntownie; z góry przesądzano, że postawy, rysy charakteru, a nawet gesty przechodzą z rodziców na dzieci, tyle że z biegiem czasu bardziej udoskonalone. Toteż takie twierdzenia, jak: „nikt z Crawfordów nie ogranicza się do pilnowania własnego nosa” - „co trzeci Merriweather to typ patologiczny” - „prawdy nie znajdziesz u Delafieldów” - „wszyscy Bufordowie mają ten sam chód” służyły po prostu za przewodniki życia codziennego. „Nigdy nie bierz czeku od żadnego Delafielda, dopóki dyskretnie nie zatelefonujesz do jego banku”. - „Pani Maudie garbi się trochę, bo przecież jest Bufordówną”. - „Nic dziwnego, że pani Grace Merriweather popija gin z flaszek po perfumach firmy Lydia E. Pinkham - jej matka robiła to samo”.

Ciocia Alexandra jak ręką w dopasowaną rękawiczkę wsunęła się w świat Maycomb, w żadnym jednak razie nie w świat Jema i mój. Głowiąc się coraz częściej, jakim cudem ona może być siostrą Atticusa i wuja Jacka, musiałam znów sięgnąć do na pół zapomnianych dawnych opowieści Jema o odmieńcach i korzeniach mandragory.

Przez pierwszy miesiąc jej pobytu u nas były to rozmyślania natury raczej abstrakcyjnej, gdyż niewiele miała do powiedzenia Jemowi i mnie, i widywaliśmy ją tylko przy posiłkach i wieczorem, zanim szliśmy do łóżek. Było lato, więc cały czas spędzaliśmy na świeżym powietrzu. Oczywiście nieraz po południu wbiegając do domu, żeby napić się wody, zastawałam liczne panie z Maycomb, wachlujące się przy herbatce w saloniku, i wtedy mnie przywoływano:

- Jean Louise, chodź się przywitać z paniami.

Ale sam mój widok w drzwiach wywoływał na twarzy cioci Alexandry taki wyraz, jakby

żałowała, że mnie poprosiła. Zwykle byłam zabłocona albo utarzana w piachu.

- Porozmawiaj z kuzynką Lily - rzekła kiedyś po południu ciocia Alexandra, gdy wpadłam w jej ręce w holu.

- Z kim? - zapytałam.

- Z twoją kuzynką Lily Brooke - usłyszałam odpowiedź.

- To moja kuzynka? Nie wiedziałam.

Cioci Alexandrze udało się uśmiechnąć w taki sposób, że jednocześnie wyraziła kuzynce Lily delikatne ubolewanie, a mnie stanowcze potępienie. Po wyjściu kuzynki Lily Brooke wiedziałam, że będę miała się z pyszna.

To bardzo smutne, że nasz ojciec nigdy nie pomyślał o tym, by nam, swoim dzieciom, opowiedzieć o rodzinie Finchów i zaszcześcić bodaj trochę dumy z powodu przynależności do tej rodziny. Ciocia Alexandra wezwała Jema, który ostrożnie usiadł obok mnie na sofie. Wyszła z pokoju i wróciła z książką w purpurowej oprawie z pozłacanym tłoczonym napisem: „Joshua S. St. Clair. Medytacje”.

- Wasz kuzyn to napisał - oznajmiła ciocia Alexandra. - To była piękna postać.

Jem obejrzał niewielki tomik.

- Czy to ten kuzyn Joshua, co tak długo siedział w więzieniu?

Ciocia Alexandra zapytała:

- Skąd wiesz?

- No, Atticus opowiadał, że coś go napadło na uniwersytecie. Opowiadał, że on chciał zastrzelić rektora. Przyszedł na uniwersytet, bo był inspektorem urządzeń sanitarnych, i raptem chciał zastrzelić rektora z pistoletu skałkowego, tylko że mu za wcześnie pistolet wypalił. Atticus opowiadał, że rodzinę to drogo kosztowało... aż pięćset dolarów, żeby go wypuścili.

Ciocia Alexandra stała sztywno jak bocian.

- To wystarczy - powiedziała. - Zajmiemy się tym.

Wieczorem, gdy byłam u Jema i chciałam sobie od niego pożyczyć jakąś książkę do łóżka, usłyszeliśmy pukanie i wszedł Atticus. Usiadł na łóżku Jema, spojrzał na nas rzeczowo, a potem się uśmiechnął.

- Er... hm... rm... - zaczął chrząkać. Pomyślałam, że skoro on zaczyna poprzedzać swoje słowa takim gardłowym chrząkaniem, to w końcu już się chyba starzeje, ale wyglądał tak samo jak zawsze. - Nie bardzo wiem, jak wam to powiedzieć - zagał.

- Zwyczajnie powiedz - doradził Jem. - Czy myśmy coś zbroili?

Atticus rzeczywiście był jakiś nieswój.

- Nie. Chcę wam tylko wytłumaczyć... ciocia Alexandra prosiła, żebym... Synu, ty wiesz, że jesteś Finch, prawda?

- Tak mi mówiono. - Jem spojrzał z ukosa. Głos mu się podniósł nieopanowanie. - Atticus, o co chodzi?

Atticus założył nogę na nogę i skrzyżował ręce.

- Próbuję was uświadomić.

Jem spojrzał z jeszcze większym niesmakiem.

- Znam te wszystkie kawałki - powiedział.

Atticus nagle spowaźniał. Już swym adwokackim tonem, bez żadnej modulacji, rzekł:

- Wasza ciotka prosiła mnie, żebym się postarał wpoić tobie i Jean Louise, że nie jesteście z pierwszych lepszych, tylko poprzedziło was kilka pokoleń ludzi dobrze urodzonych... - Atticus urwał przyglądając się, jak usiłuję umiejscowić na swej łydce larwę pajęczaka. - Dobrze urodzonych - powtórzył, gdy już ją odnalazłam i zdrapałam. - Więc powinniście dołożyć wszelkich starań, żeby okazać się godni nazwiska, które nosicie... - Chociaż nie okazywaliśmy żadnego zainteresowania, Atticus się rozkręcił. - Prosiła, żebym was przekonał, że powinniście się zachowywać jak przystało na małą damę i małego gentlemana, bo nimi jesteście. Mam z wami rozmawiać o naszej rodzinie i jej znaczeniu w hrabstwie Maycomb, żebyście nabrali pojęcia, w jakim urodziliście się gnieździe, co z pewnością was wreszcie poruszy i wpłynie na wasze zachowanie, które będzie odtąd bez zarzutu - zakończył pełnym galopem.

Jem i ja oszołomieni popatrzyliśmy na siebie, a potem na Atticusa, którego raptem zaczął uwierać kołnierzyk. Nie odezwaliliśmy się do niego.

Z komody Jema wzięłam grzebień i przejechałam palcem po szylkretowych zębach.

- Nie hałasuj - powiedział Atticus.

Szorstkość tych słów mnie zabolęła. W pół drogi po zębach grzebienia wypuściłam go z rąk. Poczułam łzy, bez powodu napływające mi do oczu, ale nie mogłam ich powstrzymać. To nie jest mój ojciec. Mój ojciec nigdy nie myślał o takich rzeczach. Mój ojciec nigdy tak nie mówił. Ciocia Alexandra jakimiś sposobami tak nastawiła ojca. Przez łzy widziałam Jema - z głową przechyloną stał w podobnej otchłani osamotnienia.

Chociaż nie miałam dokąd pójść, odwróciłam się gotowa do odejścia i uderzyłam nosem prosto w kamizelkę Atticusa. Nie oderwałam od niej głowy, tylko zaczęłam się przysłuchiwać cichutkim szmerkom szeptaającym coś do mnie zza szaroniebieskiej tkaniny: tykał zegarek, lekko chrzęściła wykrochmalona koszula, miarowo dawał się słyszeć oddech.

- W brzuchu ci burczy - zauważyłam.

- Wiem - powiedział Atticus.

- Weź lepiej sody.

- Wezmę.

- Atticus, czy przez to całe postępowanie, i w ogóle, wszystko musi się zmienić? To znaczy, czy ty...?

Pogłaskał mnie po włosach.

- Nie martw się o nic - powiedział. - Jeszcze nie pora się martwić.

Gdy to usłyszałam, wiedziałam, że on do nas wrócił. Krew zaczęła we mnie znów krążyć i podniosłam głowę.

- Naprawdę chcesz, żebyśmy to wszystko robili? Ja nie zapamiętam tego wszystkiego, co Finchowie mają robić...

- Nie chcę, żebyście pamiętali. Zapomnijcie o tym.

Atticus ruszył do drzwi i wyszedł, zamykając je za sobą.

Niewiele brakowało, by nimi trzasnął, w ostatniej chwili jednak się pohamował i zamknął je cicho. Jeszcze staliśmy nieruchomo, Jem i ja, gdy z powrotem je odemknął. Brwi miał uniesione, okulary mu się zsunęły.

- Z dnia na dzień staję się coraz bardziej podobny do kuzyna Joshui, prawda? Myślicie, że w końcu też będę kosztował rodzinę pięćset dolarów?

Teraz już wiem, o co Atticusowi wówczas chodziło, cóż, skoro był tylko mężczyzną. Na to, by w taki sposób odwrócić sytuację, trzeba być kobietą.

14

Chociaż ciocia Alexandra nie mówiła nam już o rodzinie Finchów ani słowa, wiele o Finchach słyszeliśmy w miasteczku. W soboty (jeśli Jem pozwalał, żebym mu towarzyszyła, a był ostatnio zdecydowanie uczulony na moją obecność przy nim w miejscach publicznych), gdyśmy się przeciskali uzbrojeni w nasze pięciocentówki wśród spoconych ulicznych tłumów, nieraz do nas dolatywało:

- To jego dzieciaki.

Albo:

- Ci tam to mali Fincha.

Rozglądając się, by stawić czoło oskarżycielom, widzieliśmy tylko paru farmerów, którzy podziwiali irygatory na wystawie drogerii „Mayco”, widzieliśmy dwie pulchne wieśniaczki w wózku ogrodniczym patrzące na nas spod swych słomkowych kapeluszy.

- Mogą łązić, gdzie chcą, i gwałcić całą okolicę, pomimo tych wszystkich, co dozorują nasze hrabstwo - niejasno rzekł nam kiedyś w przejściu jakiś chudy jegomość. Ta uwaga przypomniała mi, że mam o coś zapytać Atticusa.

- Co to jest gwałcić? - zapytałam go tegoż dnia wieczorem.

Atticus wyjrzał zza gazety. Siedział jak zwykle w fotelu przy oknie. Jem i ja, coraz przecież starsi, uznaliśmy wielkodusznie, że powinien mieć pół godziny czasu dla siebie po kolacji.

Westchnął i powiedział, że gwałt to stosunek płciowy z osobą płci żeńskiej przy użyciu siły i bez jej zgody.

- I to już wszystko? Nie rozumiem, dlaczego Calpurnia tak mnie uciszyła, kiedy ją zapytałam, co to jest.

Atticus zbierał myśli.

- Zaraz... o co chodzi?

- No, zapytałam Calpurnię, jak wracaliśmy wtedy z kościoła, co to jest, a ona powiedziała, żebym zapytała ciebie, tylko że ja zapomniałam, więc pytam teraz.

Gazeta już leżała na jego kolanach.

- Powtórz mi to, proszę.

Opowiedziałam szczegółowo o naszej wyprawie do kościoła z Calpurnią. Wyraźnie go to ubawiło, ciocia Alexandra jednak, która siedziała w kącie i haftowała dotąd w milczeniu, odłożyła robotę i popatrzyła na nas zgorziona.

- Wracaliście z kościoła Calpurnii w tamtą niedzielę?

Jem potwierdził:

- Tak, ciociu. Ona nas zabrała.

Jeszcze coś sobie przypomniałam.

- Właśnie, i zaprosiła mnie do siebie do domu, kiedy zechcę, kiedyś po południu. Atticus, jeżeli się zgadzasz, to czy mogę w przyszłą niedzielę? Cal powiedziała, że przyjdzie po mnie, gdybyś ty gdzieś pojechał samochodem.

- Wykluczone.

Ciocia Alexandra mi zabroniła. Odwróciłam się do niej zaskoczona, a potem znów odwróciłam się do Atticusa w porę, by podchwycić szybkie spojrzenie, jakie na nią rzucił, ale i tak było za późno. Palnęłam:

- Cioci nie pytałam!

Jak na takiego dużego mężczyznę Atticus potrafił wstawać z fotela błyskawicznie. Stał już.

- Przepróś ciocię.

- Ja cioci nie pytałam. Pytałam ciebie.

Atticus przechylił głowę i swym lepszym okiem przygwoździł mnie do ściany. Głosem mnie dobił:

- Przede wszystkim przepróś ciocię.

- Przepraszam, ciociu - wymamrotałam.

- No cóż - powiedział Atticus - wyjaśnijmy sprawę: słuchasz Calpurnii, słuchasz mnie i dopóki ciocia będzie w tym domu, masz słuchać cioci. Rozumiesz?

Zrozumiałam, podumałam przez chwilę i wobec oczywistego wniosku, że jedyny sposób wycofania się ze strzępkim godności to pójść do łazienki, udałam się tam na czas dostatecznie długi, by oni uznali, że naprawdę była to konieczność. Wracając, przystanąłam w holu, gdy w gabinecie toczyła się gwałtowna dyskusja. Przez otwarte drzwi widziałam Jema na sofie z twarzą zasłoniętą tygodnikiem sportowym, nad którym sam czubek jego głowy przesuwiał się z boku na bok, jak gdyby na tych stronicach odbywały się rozgrywki tenisowe.

- ...coś trzeba z nią zrobić - mówiła ciocia Alexandra. - Za długo pozwalałaś na wszystko, Atticus, za długo.

- Nie widzę nic złego w puszczeniu jej tam. Cal zajmie się nią równie dobrze u siebie, jak tutaj.

Któż to jest ta ona, z którą trzeba coś zrobić? Serce we mnie zamarło: ja. Poczułam, jak zamykają się wokół mnie wykrochmalone ściany jakiegoś domu poprawczego z różowego kretoniku w kwiatki i po raz drugi w życiu pomyślałam o ucieczce. Natychmiast!

- Atticus, dobrze jest mieć miękkie serce, być łatwym w pożyciu, ale ty musisz myśleć o swojej córce... dorastającej córce.

- Czyż myślę o czymś innym?

- Nie próbuj się wykręcać. Wcześniej czy później staniesz wobec faktu, że ona dorasta, więc równie dobrze może to być teraz. Calpurnia już nam nie jest potrzebna.

Atticus odpowiedział płynnie:

- Alexandro, Calpurnia z tego domu nie odejdzie, dopóki sama nie zechce. Ty może patrzysz na to inaczej, ale ja nie mógłbym się bez niej obyć przez te wszystkie lata. Calpurnia to wierny członek naszej rodziny, więc po prostu musisz przyjąć obecny stan rzeczy. Poza tym, moja droga, nie chcę, żebyś tyle brała na swoje barki, nie ma powodu. Calpurnia nadal jest nam

potrzebna tak, jak była potrzebna zawsze.

- Ale, Atticus...

- Zresztą nie sądzę, by dzieci choć trochę ucierpiały na tym, że ona je wychowywała. Już jeżeli, to pod pewnymi względami okazywała im większą surowość, niżby to robiła matka... nigdy nie puszczała im niczego płazem, nigdy im nie pobłażała zwyczajem kolorowych nianiek. Starła się je wychowywać tak, jak jej rozum dyktował, a rozumu Cal nie brak. I jeszcze jedno, dzieci ją kochają.

Odetchnęłam. Więc to tylko o Calpurnii, a nie o mnie tak mówią. Podniesiona na duchu wkroczyłam do gabinetu. Atticus znów siedział za płachtą kuriera, a ciocia Alexandra znęcała się nad haftem. Pyk, pyk, pyk - dźgała igłą napięte na tamborku płótno. Przerwała robotę, żeby je naciągnąć jeszcze bardziej: pyk, pyk, pyk. Była wściekła.

Jem wstał i cicho stąpając po dywanie, ruszył do drzwi. Kiwnął na mnie, żebym poszła za nim. Poprowadził mnie do swego pokoju, drzwi zamknął. Twarz miał poważną.

- Oni się pieklą, Smyk.

Jem i ja często się piekliliśmy w ostatnich czasach, nigdy jednak nie słyszałam o piekącym się Atticusie. Nigdy dotąd nie widziałam też, by się kłócił z kimkolwiek, i to dzisiaj nie było widokiem przyjemnym.

- Smyk, nie próbuj sprzeciwiać się cioci, słyszysz?

Tak mnie jeszcze nurtowały uwagi Atticusa, że nie dosłyszałam nuty prośby w uwadze Jema. Znów stanęłam dęba.

- I ty także będziesz mną rządził?

- No, to... Atticus ma teraz za dużo na głowie, żeby jeszcze mieć kłopoty z nami.

- Niby co? - Nie wydawało mi się, żeby Atticus miał coś specjalnie na głowie.

- Zamartwia się tą sprawą Toma Robinsona.

Powiedziałam, że Atticus nie zamartwia się niczym. Zresztą ta sprawa trapi nas tylko raz na tydzień, a potem zaraz przechodzi.

- Tylko dlatego, że tobie od razu wszystko uchodzi z głowy - powiedział Jem - ale z dorosłymi jest inaczej, my...

Jego rozwścieczające starszeństwo było w tych czasach już nie do zniesienia. Nie chciał nic robić, tylko sam wychodził z domu albo czytał. Wprawdzie wszystko, co czytał, nadal mi przekazywał, ale już nie po to, żeby mi sprawić przyjemność - czynił to wyłącznie ku pouczeniu mnie i zbudowaniu.

- Niech cię dunder świśnie, Jem. Co ty sobie wyobrażasz?

- Smyk, ja poważnie mówię, jeżeli będziesz się sprzeciwiać cioci, to... to dam ci klapsa.

Tego było naprawdę za wiele.

- Ty hermafrodyto, do diabła! Zabiję!

Siedział na łóżku, więc z łatwością go chwyciłam za włosy nad czołem i wymierzyłam mu prosty cios w usta. Gdy dał mi klapsa, spróbowałam odpowiedzieć lewym sierpowym, i w tej samej chwili uderzona w żołądek rozciągnęłam się na podłodze. Aż brakowało mi tchu, ale to nie miało znaczenia, bo wiedziałam, że on mi oddaje, znów mi oddaje jak dawniej. Jeszcze jesteśmy sobie równi.

- Już nie jesteś taki ważny, co? - wrzasnęłam i poderwałam się gwałtownie.

Ponieważ wciąż siedział na łóżku i do ciosu zabrakło mi rozmachu, całą siłą rzuciłam się na niego, bijąc go, ciągnąc, szczypiąc i drapiąc. To, co się zaczęło jako walka na pięści, przeszło w bijatykę. Szamotaliśmy się jeszcze, gdy rozdzielił nas Atticus.

- Dość tego - powiedział. - Oboje zaraz spać.

- Akuku - zagrałam Jemowi palcami na nosie. Starszy brat miał oto pomaszerować do łóżka o mojej porze.

- Kto zaczął? - zapytał Atticus z rezygnacją.

- Jem. Chciał mną rządzić. Już chyba jego nie muszę słuchać?

Atticus uśmiechnął się.

- Zostawmy to. Słuchaj Jema wtedy, kiedy uda mu się ciebie przekonać. Czy to dosyć sprawiedliwe?

Ciocia Alexandra była przy tym, ale się nie odzywała. Dopiero gdy wyszła z Atticusem z pokoju, usłyszeliśmy jej głos w holu.

- ...jeszcze jeden przyczynek do tego, o czym ci mówiłam. To zdanie znów nas zjednoczyło.

Zamknęłam za sobą drzwi łączące mój pokój z pokojem Jema, pożegnana prawie serdecznym:

- ...branoc, Smyk.

- ...branoc - mruknęłam, idąc po omacku do kontaktu na ścianie.

Przy łóżku nadepnęłam na coś ciepłego, sprężystego i raczej gładkiego. Trochę to przypominało twardą gumę, ale niezupełnie, i doznałam wrażenia, że jest żywe. Usłyszałam też, jak się rusza.

Zapaliłam światło i spojrzałam na podłogę. Tego czegoś, na co stąpnęłam, już nie było. Zastukałam do drzwi Jema.

- No? - zapytał.

- Jaki jest wąż pod nogą?

- Tak jakby chropowaty. Zimny. Zakurzony. A bo co?

- Chyba mam węża pod łóżkiem. Czy możesz przyjść zobaczyć?

- Żarty stroisz? - Jem otworzył drzwi. Był w spodniach od piżamy. Nie bez zadowolenia zauważyłam ślad swojej pięści na jego ustach. Zobaczył, jak daleka jestem od żartów, i powiedział: - Jeżeli ci się zdaje, że ja się przysunę twarzą do węża, to grubo się mylisz. Zaczekaj chwilę.

Przyniósł z kuchni szczotkę do zmiatania.

- Ty włącz na łóżko - polecił.

- Myślisz, że to prawdziwy? - zapytałam.

To była okazja. Nasze domy nie miały piwnic; stały na blokach kamiennych na wysokości paru stóp od ziemi. O tym, że wpełzają do nich gady, chociaż nie należało to do zdarzeń pospolitych, czasem się przecież słyszało. Panna Rachel Haverford wypijała co rano szklanke nie rozcieńczonej whisky pod pretekstem, że inaczej nie odważyłaby się powiesić szlafroka w alkowie, w której na bieliźnie do prania mógłby właśnie leżeć zwinięty, o zgrozo! grzechotnik.

Jem tytułem próby przemiótł podłogę pod łóżkiem. Wychyłona z łóżka czekałam na węża,

ale żaden wąż wymieść się nie dał. Jem sięgnął szczotką jeszcze głębiej.

- Czy węże chrząkają?

- To nie wąż - powiedział Jem. - To ktoś.

Nagle wystrzelił spod łóżka jakiś uszargany brązowy tobołek. Jem podniósł szczotkę i tylko o cal nie trafił w ukazującą się za tobołkiem głowę Dilla.

- Boże Wszechmocny! - Głos Jema pobrzmiwał czią.

Patrzyliśmy, jak Dill stopniowo się wysuwa. Okropnie był skurczony. Staął i rozprostował ramiona, potem się pochylił i nastawił sobie nogi w kostkach; zaczął rozcierać kark. Gdy mu wrócił krwiobieg, powiedział:

- Hej!

Jem jeszcze raz odwołał się do Boga. Ja wciąż patrzyłam oniemiała.

- Konam - powiedział Dill. - Macie coś do jedzenia?

Jak we śnie poszłam do kuchni i przyniosłam Dillowi trochę mleka i pół patelni racucha z mąki kukurydzianej, resztkę z kolacji. Pożarł to, zgodnie z dawnym swym zwyczajem, gryząc przednimi zębami.

W końcu znów poczułam język w ustach.

- Skąd się tu wzięłeś?

Nie z nieba. Pokrzepiony racuchem Dill wyrecytował swój komentarz: przez nowego ojca, który go nie lubi, został zakuty w kajdany i wtrącony do piwnicy (w Meridian były piwnice), gdzie miał umrzeć, ale nie umarł, bo pożywką z surowego grochu utrzymał go przy życiu jakiś przechodzący farmer, który usłyszał jego wołanie: „Ratunku!” (zacny ten człowiek wepchnął po jednym strączku cały buszel grochu przez dziurkę wentylatora). Z niejakim trudem Dill się uwolnił, odrywając łańcuchy od ściany. Wciąż jeszcze w kajdankach na rękach wywędrował z Meridian i po przebyciu dwóch mil napotkał małą objazdową menażerię; natychmiast go tam przyjęto do mycia wielbłądów. Przejechał z tym cyrkiem przez cały stan Missisipi, aż tu raptem jego niezawodne przecucie powiedziało mu, że jest w hrabstwie Abbott w stanie Alabama i od Maycomb dzieli go tylko szerokość rzeki. Do Maycomb Dill przybył pieszo.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał Jem.

Dill zabrał trzysta dolarów z torebki matki, złapał pociąg dziewiąta zero zero z Meridian i wysiadł w Maycomb-Węzeł Kolejowy. Z czternastu mil do Maycomb dziewięć czy jedenaście przeszedł na piechotę zaroślami z dala od szosy, bo obawiał się, że rozesłano za nim listy gończe, a resztę drogi przejechał uczepony wozu z bawełną. Pod moim łóżkiem leżał chyba ze dwie godziny: słyszał nas z jadalni i to szczękanie widelcami o talerze doprowadzało go do szału. Już myślał, że Jem i ja nigdy nie położymy się spać; zastanawiał się, czyby nie wyjść i nie pomóc mi w biciu Jema, bo Jem to teraz taki duży dryblas, ale wiedział, że pan Finch zaraz nas rozdzieli, więc zdecydował się zostać pod łóżkiem. Był zmordowany, niewiarygodnie brudny i wreszcie w domu.

- Widocznie nie wiedzą, że jesteś tutaj - powiedział Jem.

- Do nas by doszło, gdyby ciebie szukali...

- Myślę, że jeszcze szukają w Meridian po wszystkich kinach. - Dill uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Powinieneś zawiadomić swoją mamę - powiedział Jem.

- Powinieneś ją zawiadomić, że...

Dill zatrzepotał powiekami, patrząc na Jema, a Jem spojrział na podłogę. A potem wstał i podeptał resztę kodeksu naszego dzieciństwa. Wyszedł z pokoju i ruszył przez hol.

- Atticus - jego głos był daleki - można cię tu prosić na chwilę?

Pod smugami brudu i potu Dill zbladł. Mnie się zrobiło niedobrze. W drzwiach już stał Atticus.

Przeszedł na środek pokoju i zatrzymał się z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem utkwionym w Dilla.

Ostatecznie wróciła mi mowa.

- W porządku, Dill. Atticus zawsze mówi, jak chce coś powiedzieć.

Dill popatrzył na mnie.

- To znaczy, nic nie będzie - wyjaśniłam - Wiadomo, że on ci nie będzie przeszkadzał, wiadomo, że nie ma co się bać Atticusa.

- Ja tam się nie boję - bąknął Dill.

- Tylko głodny jesteś z pewnością. - Atticus powiedział to uprzejmie, sucho jak zwykle. - Smyku, chyba możemy go poczęstować czymś lepszym niż ten zimny racuch kukurydziany? Nakarm tego faceta i kiedy wrócę, zobaczymy, co dalej.

- Proszę pana, niech pan tylko nie mówi cioci Rachel. I niech pan nie każe mi iść z powrotem, ja pana błagam. Znowu ucieknę.

- Prr, synku - powściągnął go Atticus. Jeżeli musisz gdzieś iść, to tylko wkrótce do łóżka. Pójdę do panny Rachel powiedzieć jej, że tu jesteś, i zapytać, czy możesz u nas przenocować... To ci powinno odpowiadać, prawda? I na miłość boską, strząśnij z siebie ziemię naszego hrabstwa tam, gdzie jest jej miejsce. Nic przecież ci nie każe się przyczyniać do i tak już fatalnej erozji naszej gleby.

Dill zagapił się na naszego odchodzącego ojca.

- On się stara dowcipkować - powiedziałam. - Chodzi mu o to, żebyś się wykapał. No i widzisz? Nie mówiłam, że ci nie będzie przeszkadzał?

Jem stał w kącie z miną akurat takiego zdrajcy, jakim był.

- Dill, ja musiałem mu powiedzieć - spróbował się wytłumaczyć. - Człowiek nie może uciekać trzysta mil tak, żeby mama o tym nie wiedziała.

Zostawiliśmy go bez słowa.

Dill jadł i jadł, i jadł. Od dwudziestu czterech godzin nic nie miał w ustach. Po wydaniu wszystkich swoich pieniędzy na bilet, wsiadł do pociągu najzwyczajniej w świecie, jak to już nieraz robił przedtem, i spokojnie gawędził w drodze z konduktorem, dla którego widok Dilla nie był niczym nowym, nie odważył się jednak wykorzystać przywileju, jaki przysługuje małym samotnie podróżującym dzieciom: Jeśli zgubiłeś pieniądze, pan konduktor pożyczy ci na obiad, a już tatuś odbierając cię z pociągu, panu konduktorowi zwróci.

Przez pobojuwisko resztek w spiżarni Dill sięgał po puszkę wieprzowiny z grochem, gdy z holu doleciało „O mój Jezu!” panny Rachel. Dill zadygotał jak królik.

A przecież jak mężczyzna wytrzymał jej: „Ty zobaczysz, co będzie, kiedy cię odwiozę do domu” i: „Tam zmysły tracą, tak się martwią o ciebie!”, w spokoju ducha przyjął orzeczenie: „Cały

Harris z ciebie wychodzi!", uśmiechnął się, gdy powiedziała: „Myślę, że na tę jedną noc możesz zostać”, i odwzajemnił uścisk, którym po tak długiej rozprawie wreszcie go obdarzyła.

Atticus podsunął okulary na czoło i przetarł twarz.

- Wasz ojciec jest zmęczony - wyrzekła ciocia Alexandra pierwsze słowa od wielu, jak się wydawało, godzin. Obecna przy tym wszystkim trwała najwidoczniej prawie przez cały ten czas w osłupieniu. - Wy, dzieci, kładźcie się do łóżek.

Zostawiliśmy ich w jadalni, Atticusa jeszcze ocierającego twarz chustką.

- Najpierw sprawa gwałtu, potem sprawa buntu, potem sprawa dezercji - usłyszeliśmy, jak zachichotał. - Ciekaw jestem, co przyniosą następne dwie godziny.

Ponieważ wyglądało na to, że wszystko jakoś się ułożyło, oboje z Dilem zdecydowaliśmy się być grzeczni dla Jema. Zresztą Dill musiał spać u niego, więc niezręcznie byłoby z nim nie rozmawiać.

Włożyłam piżamę, poczytałam chwilę i nagle stwierdziłam, że oczy mi się kleją. W pokoju Jema panowała cisza; gdy zgasłam lampkę przy łóżku, żadne światło spod jego drzwi nie przebłyskiwało.

Widocznie spałam długo, bo zbudzona szturchańcem otworzyłam oczy już w mglistej poświacie zachodzącego księżycyca.

- Posuń się, Smyk.

- On uważał, że tak powinien - wymamrotałam. - Przestań się na niego wściekać.

Dill położył się przy mnie.

- Przestałem - powiedział. - Tylko wolę spać z tobą. Dobudziłaś się?

Dobudziłam się, i owszem, chociaż umysł pracował mi jeszcze niemrawo.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Nie było odpowiedzi.

- Pytam, dlaczego uciekłeś? Czy on naprawdę był taki wstrętny, jak mówiłeś?

- Nie...

- Nie zbudowaliście tego kutra, o którym mi pisałeś?

- Nie, on tylko obiecał. Wcaleśmy nie budowali.

Unosząc się na łokciu, odwróciłam się teraz cała do niewyraźnych zarysów Dilla.

- To nie powód, żeby uciekać. Oni przeważnie nigdy się nie zabierają do tego, co obiecują...

- Nie o to chodziło. On... oni we dwoje... po prostu się mną nie interesowali.

To był najbardziej niesamowity powód ucieczki, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

- Jak to?

- No, przez cały czas ich nie było w domu, a nawet kiedy byli, siedzieli w pokoju sami.

- Co robili?

- Nic... tylko siedzieli i czytali... ale woleli, żebym nie był z nimi.

Podsunęłam poduszkę do oparcia łóżka i usiadłam.

- Wiesz co? Ja o mało nie uciekłam dzisiaj wieczorem, dlatego że wszyscy byli. Ich nie trzeba przez cały czas mieć przy sobie, Dill... - oddech słuchającego mnie cierpliwie Dilla był niemal jak westchnienie - ...dobranoc, Atticusa cały dzień nie ma czasem, i to nawet aż do nocy, i on jeździ do Montgomery, i już sama nie wiem gdzie... ale ich nie trzeba przez cały czas mieć

przy sobie. Dill, nic nie można by zrobić, gdyby ciągle się ich miało.

- Nie o to chodzi.

Dill zaczął mi wyjaśniać i nagle się zastanowiłam, jakie byłoby życie, gdyby Jem był inny niż jest - nawet taki jak teraz; co ja bym robiła, gdyby Atticus nie potrzebował mego towarzystwa, mej pomocy i rady. No, przecież on jednego dnia nie mógłby się obyć beze mnie. Nawet Calpurnia nie poradziłaby sobie, gdyby mnie nie było. Jestem im potrzebna.

- Dill, ty mi coś kręcisz... niemożliwe, żeby twoi rodzice mogli się bez ciebie obyć. Tylko są pewnie dla ciebie niedobrzy. Powiem ci, co zrobić, żeby się poprawili...

Dill nieprzerwanie mówił dalej w mroku.

- ...bo to jest tak, no... chodzi mi o to... im, rozumiesz, jest o wiele lepiej, jak mnie nie ma. Na nic im się nie mogę przydać. Wcale nie są niedobrzy. Kupują mi wszystko, co zechcę, tylko że zaraz jest: Masz-to-więc się-tym-baw. W twoim pokoju tyle rzeczy. Dostałeś-tę książkę-to-idź-ja-poczytać. - Dill usiłował mówić grubym głosem. - Ty chyba nie jesteś chłopcem. Chłopcy wybiegają na dwór i grają w piłkę z innymi chłopcami; nie przesiadują w domu, zadręczając rodziców. - Głos Dilla był znów taki jak zwykle. - Och, oni nie są niedobrzy. Całują człowieka i ściskają na dobranoc i na dzień dobry, i na do widzenia, i mówią, że kochają... Smyk, weźmy sobie dziecko.

- Skąd?

Dill słyszał, że jest taki ktoś, kto ma łódkę i żegluje nią na jakąś zamgloną wyspę, gdzie są te wszystkie niemowlaki; można sobie niemowlę zamówić.

- To nieprawda. Ciocia mówiła, że Pan Bóg je wrzuca przez komin. Chociaż może się przesłyszałam. - Bo tym jednym jedynym razem dykcja cioci nie była zbyt dobra.

- No, to się dzieje inaczej. Dzieci człowiek dostaje od człowieka. Ale jest i ten ktoś także... on ma te wszystkie małe, które tylko czekają, żeby się obudzić, kiedy on w nie tchnie życie...

Dill znowu bujał w obłokach. Cuda mu się marzyły. Potrafił przeczytać dwie książki w czasie, gdy ja ledwie zdążyłam przeczytać jedną, a przecież wolał urok własnych tworców fantazji. Potrafił dodawać i odejmować błyskawicznie, a przecież wolał swój cienisty świat - świat, gdzie śpią niemowlęta czekające, by sięgnięto po nie, jak po rozkwitłe rankiem lilijki. Powoli, sam siebie usypiając tym opowiadaniem, unosił mnie w swój sen ze sobą, gdy nagle z ciszy jego zamglonej wyspy wyłonił się wyblakły obraz szarego domu ze smutnymi brązowymi drzwiami.

- Dill?

- Hmm?

- Jak myślisz, dlaczego Dziki Radley nigdy nie uciekł?

Dill przeciągle westchnął i odwrócił się ode mnie.

- Może nie miał dokąd uciekać...

W wyniku wielu rozmów telefonicznych, wielu przemówień w obronie oskarżonego i wreszcie długiego listu od matki Dilla, która napisała, że już się nie gniewa, zdecydowano, że Dill może zostać. Mieliśmy we trójkę tydzień spokoju. Po tym tygodniu-chwilce, jak nam się wydawało, zawisł nad nami koszmar.

Zaczęło się to w sobotni wieczór po kolacji. Sprawa Dilla była już załatwiona, ciocia Alexandra siedziała w swoim fotelu w kącie; Atticus - w swoim fotelu, my z lekturą - na podłodze. Od tygodnia wszystko szło jak z płatka: słuchaliśmy cioci; Jem, chociaż sam zrobił się za duży na domek podniebny, pomagał Dillovi i mnie upleść nową sznurową drabinkę; Dill wpadł na pomysł wywabienia Dzikiego Radleya w sposób niezawodny i nie wymagający ponoszenia żadnych kosztów z naszej strony (krople wyciśniętej cytryny na trasie od tylnych drzwi Radleyów do ich furki, po którym to śladzie Dzikie pójdzie jak mrówka). Raptem usłyszeliśmy stukanie do drzwi frontowych. Jem poszedł otworzyć i wrócił z wiadomością, że to pan Heck Tate.

- No, to poproś go tutaj - rzekł Atticus.

- Poprosiłem. Ale są jeszcze jacyś panowie przed domem i chcą, żebyś do nich wyszedł.

W Maycomb panowie stawali przed cudzymi domami tylko z dwóch powodów: śmierć i polityka. Zastanowiłam się, kto umarł. Wraz z Jemem ruszyłam za Atticusem, ale Atticus zawołał:

- Wracajcie.

Jem zgasił światło i przycisnął nos do siatki w oknie. Ciocia Alexandra zaprotestowała.

- Tylko na sekundę, ciociu. Zobaczymy, co to za jedni.

Dill i ja zajęliśmy drugie okno. Gromada mężczyzn otaczała Atticusa. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie.

- ...jutro przewożą go do więzienia hrabstwa - przekrzykiwał ich pan Tate. - Awantur się nie spodziewam, ale za nic nie ręcę...

- Nie bądź niemądry, Heck - powiedział Atticus. - To jest Maycomb.

- ...mówię tylko, że obawiam się...

- Heck, raz już sprawa została odroczonej właśnie po to, by nie było się czego obawiać. Dziś sobota - mówił Atticus. - Proces według wszelkiego prawdopodobieństwa odbędzie się w poniedziałek. Przez jedną noc możesz go tu trzymać, prawda? Nie sądzę, by ktokolwiek w Maycomb żałował mi klienta w tych ciężkich czasach.

Rozległy się śmiechy, ale od razu ucichły, gdy odezwał się pan Link Deas:

- Nikt tutaj nie ma żadnych zamiarów... to ta zgraja z Old Sarum mnie martwi. Nie można by się postarać o... Jak to się nazywa, Heck?

- Zmiana miejsca rozprawy - powiedział pan Tate. - Teraz już na to za późno, co?

Atticus odpowiedział coś niedosłyszalnie. Odwróciłam się do Jema. Jem jednak tylko machnął ręką, żebyśmy były cicho.

- ...zresztą - mówił Atticus - chyba nie boicie się tego towarzystwa?

- ...nie wie pan, jacy oni bywają, kiedy sobie łykną samogonu?

- Zwykle nie piją w niedzielę - odrzekł Atticus. - Prawie cały dzień im zabiera jazda do kościoła i...

- To jest specjalna okazja - ktoś mu przerwał.

Znów zaczęli szeptać i mruzczyć, nie wiadomo jednak co, bo ciocia powiedziała, że Jem nie zapalając światła, hańbi rodzinę. Jem jej nie słyszał.

- ...nie rozumiem, dlaczego w ogóle się do tego brałeś - mówił pan Link Deas. - Wszystko możesz stracić na tym, Atticus. Poważnie, wszystko.

- Istotnie tak myślisz?

To pytanie Atticusa nigdy nie wróżyło nic dobrego. „Istotnie myślisz, że to dobre posunięcie, Smyku?” - Buch, buch, buch i jeden po drugim moje pionki znikwały z warcabnicy. „Istotnie tak myślisz, synu? No, w takim razie przeczytaj sobie to” i Jem już do końca wieczora borykał się z oracjami Henry'ego W. Grady.

- Link, tego chłopca może czeka krzesło, ale zanim on na nim usiądzie, cała prawda zostanie wypowiedziana. - Głos Atticusa był spokojny. - A wy przecież wiecie, jaka jest ta prawda.

Szpery rozlegające się w gromadzie sprawiły wrażenie jeszcze bardziej złowieszcze, gdy Atticus cofnął się do schodków, a oni wszyscy podsunęli się do niego.

Nagle Jem wrzasnął:

- Atticus, telefon dzwoni!

Wzdrygnęli się lekko i rozsunęli; zobaczyłam, że to ludzie, których widzimy codziennie: kupcy i badylarze, doktor Reynolds wśród nich i pan Avery także.

- No, to odbierz, synu! - zawołał Atticus.

Rozeszli się ze śmiechem. Gdy Atticus zapalił w pokoju górne światło, Jem jeszcze stał przy oknie bladej, z sinym śladem siatki okiennej na nosie.

- Dlaczego, u Boga Ojca, siedzicie po ciemku? - zapytał Atticus.

Jem patrzył, jak on idzie do fotela i siada z wieczorną gazetą. Czasem myślę, że Atticus każdą chwilę krytyczną swego życia poddawał spokojnie ocenie za „Kurierem Mobile”, „Wiadomościami z Birmingham” bądź „Heroldem Montgomery”.

- Uwzięli się na ciebie? - Jem podszedł do niego. - Chcieli cię przeciągnąć na ich stronę, prawda?

Atticus opuścił gazetę i wlepił oczy w Jema.

- Co ty czytałeś ostatnio? - zapytał. Potem powiedział łagodnie: - Nie, synku, to byli nasi przyjaciele.

- To nie był... gang? - Jem patrzył z ukosa. Atticus daremnie próbował powstrzymać uśmiech.

- Nie, my tutaj nie mamy motłochu ani temu podobnych bzdur. Nigdy nie słyszałem o tym, żeby w Maycomb utworzył się jakiś gang.

- Ku-Klux-Klan uwziął się kiedyś na katolików.

- O żadnych katolikach w Maycomb też nie słyszałem - rzekł Atticus. - Coś ci się pokręciło. Dawno, około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego, powstał tu Klan, ale to była organizacja przede wszystkim polityczna. Zresztą nie udało im się znaleźć nikogo do nastraszenia. Z całą paradą przyszli pewnej nocy pod dom pana Sama Levy'ego, ale Sam tylko stanął na ganku i powiedział, że ładny obrót to przyjęło, skoro nie kto inny, tylko on, sprzedał im te prześcieradła, które mają na grzbietach. Tak ich zawstydził, że odeszli.

Rodzina Levy należała do elity w myśl wszelkich kryteriów: posługiwała się najładziej, jak umiała, danym jej rozumem i mieszkała na tej samej posesji w Maycomb od pięciu pokoleń.

- Ku-Klux-Klanu już nie ma - dodał Atticus. - I nigdy nie będzie.

Odprowadziłam Dilla do domu i wróciłam w porę, by podsłuchać, jak Atticus mówi do cioci:

- ...o honor kobiety Południa jak najbardziej, ale przecież nie o zachowanie fikcji za cenę ludzkiego życia.

Niejasna ta wypowiedź wzbudziła we mnie podejrzenie, że oni znów się piekłą.

Zaczęłam szukać Jema i zastałam go w jego pokoju; leżał na łóżku pogrążony w głębokiej zadumie.

- Znowu się kłóca? - zapytałam.

- Tak jakby. Ona mu wierci dziurę w brzuchu Tomem Robinsonem. Prawie powiedziała, że Atticus hańbi rodzinę. Smyk... ja się boję.

- Czego?

- Boję się o Atticusa. Ktoś mógłby mu zrobić coś złego.

Jem wołał pozostać tajemniczy: na swe pytania usłyszałam tylko odpowiedź, że mam przestać i dać mu spokój.

Nazajutrz była niedziela. W przerwie między szkółką niedzielną a kościołem, gdy wierni rozprostowywali nogi, zobaczyłam Atticusa na dziedzińcu kościelnym znów w gromadce mężczyzn, ale już nie tych, co wczoraj. Z tych wczorajszych był tam tylko pan Heck Tate, co widząc pomyślałam, że chyba się nawrócił. Bo pan Tate nigdy nie chodził do kościoła. Jeszcze dziwniejsza wydawała mi się obecność pana Underwooda. Pan Underwood nie uznawał żadnej instytucji poza „Trybuną Maycomb”, której był jedynym wydawcą, redaktorem i drukarzem. Całe dni spędzał przy linotypie, gdzie miał też zawsze pod ręką wielki gąsior wiśniowego wina i nieraz do niego zaglądał, żeby się pokrzepić w czasie pracy. Po wiadomości do swego pisma wychodził rzadko: ludzie mu je przynosili. Mówiło się, że on każdy numer „Trybuny Maycomb” drukuje od razu z głowy. Zupełnie to było możliwe. Musiało dziać się nie byle co, by pan Underwood uznał, że warto wyjść z redakcji.

Atticus, gdy dopadłam go w drzwiach kościoła, powiedział, że przywieziono Toma Robinsona do więzienia w Maycomb. Powiedział także, bardziej do siebie niż do mnie, że gdyby Toma od początku tu trzymali, nie byłoby wcale zamieszania. Poszedł na zwykłe swe miejsce w trzecim rzędzie od kazalnicy i słyszałam, jak o parę taktów później niż wszyscy wyburczał:

- Bliżej, o Boże mój, do Ciebie...

Nigdy nie siedział z ciocią. Jemem i ze mną. W kościele lubił być sam.

Niedzielny, i tak już podrabiany spokój, był jeszcze bardziej irytujący wskutek obecności cioci Alexandry. Zaraz po obiedzie Atticus uciekał do kancelarii i rozparty tam w fotelu obrotowym, jak to nieraz stwierdzaliśmy, gdyśmy wpadali do niego, po prostu czytał do wieczora. Ciocia Alexandra z namaszczeniem przygotowywała się do dwugodzinnej drzemki, upominając nas, żebyśmy się nie ważyli hałasować w ogrodzie, bo wszyscy sąsiedzi wypoczywają. Jem poważny i dojrzały udawał się do swego pokoju ze stosem cotygodniowych meldunków z frontu piłki nożnej. Dillowi i mnie nie pozostawało w niedzielę nic innego, jak skradać się na palcach po Łące Jeleni.

O strzelaniu w Dzień Pański nie mogło być mowy, więc w to niedzielne popołudnie przez jakiś czas ja kopałam do Dilla, Dill kopał do mnie futbolówkę Jema, co nas bynajmniej nie bawiło. Dill zapytał, czy chciałabym zajrzeć do Dzikiego Radleya. Powiedziałam, że nieładnie byłoby Dzikiemu się naprzykrzać, i reszta popołudnia upłynęła mi na informowaniu Dilla o wydarzeniach ubiegłej zimy. Dill słuchał z niemałym przejęciem. Rozstałam się z Dilem przed kolacją, która była jak każda inna kolacja w niedzielę, i ten wieczór niczym by się dla Jema i dla mnie nie różnił od każdego innego niedzielnego wieczora, gdyby nie to, że nagle czymś niezwykle zaintrygował nas Atticus. Po kolacji wszedł do gabinetu z długim przewodem elektrycznym w ręce. Na końcu przewodu była żarówka.

- Wychodzę - oznajmił. - Będziecie w łóżkach, kiedy wrócę, więc już teraz dobranoc.

Po tych słowach włożył kapelusz i wyszedł z domu tylnymi drzwiami.

- Bierze samochód - domyślił się Jem.

Nasz ojciec miał parę dziwactw. Między innymi nie jadał deserów i lubił chodzić pieszo. Odkąd pamiętam, zawsze jakiś chevrolet w doskonałym stanie czekał w garażu gotów do wielomilowych podróży Atticusa w sprawach urzędowych, ale zamiast jeździć nim również i po Maycomb, Atticus trasę dom - kancelaria przebywał cztery razy dziennie - w sumie około dwóch mil - na piechotę. Mówił, że jego jedyna gimnastyka to takie spacery. W Maycomb każdy, kto by szedł na spacer, nie mając określonego celu, wzbudziłby ze wszech miar słuszne podejrzenie, że uwagę ma zanadto rozproszoną, by sobie jakikolwiek cel określić.

We właściwej porze powiedziałam ciotce i bratu dobranoc i przeczytałam już sporo książki w łóżku, gdy usłyszałam, że Jem kręci się po swoim pokoju. Odgłosy jego krzątania przed położeniem się spać były mi tak dobrze znane, że zastukałam do jego drzwi.

- Dlaczego się nie kładziesz?

- Idę na chwilę do miasta. - Zmieniał spodnie.

- Jak to? Już prawie dziesiąta, Jem.

Owszem, wiedział o tym, ale tak czy owak musiał wyjść.

- Więc pójdę z tobą. Jeżeli powiesz, że nie mogę, i tak pójdę, słyszysz?

Jem zobaczył, że to nie przelewki, i chyba uznał, że bójka byłaby sprzeciwieniem się cioci, bo niezbyt chętnie, ale przecież ustąpił.

Ubrałam się szybko. Gdy tylko światło u cioci zgasło, zesliśmy po cichu ze schodków werandy. Tej nocy nie było księżycy.

- Dill będzie chciał iść - szepnęłam.

- Więc pójdzie - powiedział Jem ponuro.

Przeskoczyliśmy przez murek przy podjeździe i pobiegliśmy na przełaj przez ogród panny Rachel prosto do okna Dilla. Jem gwizdnął jak przepiórka. Za siatką ukazała się i zniknęła twarz Dilla; w pięć minut później Dill wymknął się do nas. Stary weteran nie odezwał się, dopóki nie stanęliśmy na chodniku.

- Co się dzieje?

- Jema roznosi.

Było to określenie Calpurnii, która twierdziła, że ta dolegliwość nęka wszystkich chłopców w tym wieku.

- Po prostu mam przecucie - powiedział Jem. - Po prostu takie przecucie.

Minęliśmy dom pani Dubose, opustoszały i zamknięty w ogródku, gdzie kamelie rosły wśród chwastów i wysokiej trawy. Jeszcze osiem domów do rogu ulicy i urząd pocztowy.

Południowa strona rynku przed nami była pusta. W obu rogach jeżyły się rozłożyste karłowate sosny chilijskie, między nimi połyskiwała w blasku latarni żelazna bariera do uwiązywania koni. Tyły sądu wznosiły się ciemne, z jednym tylko światłem zapalonym w pomieszczeniu instytucji zwanej urzędowo „dwa zera hrabstwa”. Dopiero dalej w sklepach, które szerokim czworobokiem otaczały sądowy dziedziniec, jaśniały mgliście okna wystawowe.

Atticus tylko w pierwszych latach swej praktyki adwokackiej miał kancelarię w sądzie, potem przeniósł ją do spokojniejszego lokalu w budynku Banku Maycomb. Gdy wychodząc zza rogu, rozejrzeliśmy się po północnej stronie rynku, zobaczyliśmy zaparkowany przed bankiem nasz samochód.

- Tam jest - powiedział Jem.

Ale Atticus tam nie było. Do kancelarii prowadziła długa sień. W głębi tej sieni na tle światła zza drzwi kancelarii powinniśmy zobaczyć tabliczkę z niedużym napisem: „Atticus Finch, adwokat”. Ale nie zobaczyliśmy jej, bo było ciemno.

Jem długo patrzył przez oszklone drzwi banku, żeby się upewnić. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

- Chodźmy dalej. Może on jest u pana Underwooda.

Pan Underwood nie tylko prowadził redakcję „Trybuny Maycomb”, mieszkał tam. To znaczy nad redakcją. Materiały do reportażu z sądu i więzienia czerpał po prostu z tego, co widział przez swoje okna na pierwszym piętrze. Jego dom stał w północno-wschodnim rogu rynku i droga do niego wiodła obok więzienia.

Wieżenie Maycomb było najczcigodniejszą i zarazem najszkaradniejszą budowlą w hrabstwie. Atticus mówił, że coś właśnie takiego mógłby zaprojektować kuzyn Joshua St. Clair. Musiało ono być rezultatem czyichś majaków sennych, zgoła nie na miejscu w miasteczku ze sklepami o kwadratowych fasadach i domami o stromych dachach. Więzienie Maycomb było miniaturową karykaturą gotyku, uzupełnioną maleńkimi blankami i prześwitami - wąską i wysoką - mieściły się w nim tylko dwie cele jedna nad drugą. - Tę cudaczność podkreślała czerwień murowanych ścian i stalowe kraty w kościelnych wręcz oknach. Zamiast wznosić się ponuro na samotnym wzgórzu, stało to więzienie wciśnięte pomiędzy sklep z Wyrobami Żelaznymi Tyndalla i redakcję „Trybuny Maycomb”. Stanowiło jedyne w Maycomb obrazy rodzajowy. Jego krytycy mówili, że wygląda jak wiktoriański ustęp publiczny; jego zwolennicy mówili, że nadaje miastu wygląd zacny i szacowny i że nikt nietutejszy nigdy by nie podejrzewał, że pełno w nim czarnuchów.

Idąc w kierunku redakcji, zobaczyliśmy z daleka jakieś światełko.

- Dziwne - powiedział Jem. - Więzienie przecież nie ma światła na zewnątrz.

- Pali się chyba nad drzwiami - zauważył Dill.

Przerzucony przez kraty górnego okna zwieszał się w dół po gotyckiej ścianie sznur elektryczny. W świetle tej nie osłoniętej żarówki oparty o drzwi więzienia siedział Atticus. Siedział na krześle ze swej kancelarii i czytał gazetę, nie bacząc na cmy pływające mu nad głową.

Chciałam podbiec do niego, ale Jem mnie powstrzymał.

- Nie idź tam - powiedział. - Może mu się to nie spodobać. W porządku, wracajmy do domu. Chciałem tylko zobaczyć, co on robi.

Zawróciliśmy przez rynek, gdy od strony szosy z Meridian, wolno jeden za drugim, nadjechały cztery zakurzone samochody. Zatoczyły krąg na rynku, minęły bank i zatrzymały się przed więzieniem. Nikt z nich nie wysiadł. Zobaczyliśmy, jak Atticus podnosi głowę znad gazety. Zamknął gazetę, złożył ją bez pośpiechu i upuścił na kolana, a potem zsunął z czoła kapelusz. Jak gdyby te samochody wcale go nie zaskoczyły.

- Chodźcie - szepnął Jem.

Biegiem wróciliśmy na tamtą stronę rynku, przebiegliśmy na drugi róg wychodzącej na rynek ulicy i ukryliśmy się w przedsionku sklepu „Tysiąc Drobiazgów”. Jem wyjrzał.

- Możemy podejść bliżej.

Pomknęliśmy do drzwi Wyrobów Żelaznych Tyndalla - dostatecznie bliskich i jednocześnie w dyskretnym oddaleniu.

Z samochodów wysiedli jacyś mężczyźni. Ich cienie materializowały się w krzepkie postaci, w miarę jak wchodzili w krąg światła przy drzwiach więzienia. Atticus nie ruszył się z miejsca. Przysłaniali go teraz.

- On tu jest, panie Finch? - zapytał któryś z nich.

- Jest - usłyszeliśmy odpowiedź Atticusa - i śpi. Nie budźcie go.

I wtedy nastąpiło coś, co jak później sobie uprzytomniłam, było makabrycznie komicznym aspektem sytuacji zgoła niezabawnej - posłuszni naszemu ojcu ci ludzie zaczęli mówić prawie szeptem.

- Pan wie, czego chcemy - zniżonym głosem powiedział któryś. - Niech pan się odsunie od tych drzwi, panie mecenasie.

- Możecie zrobić w tył zwrot i jechać do domu, Walter - rzekł Atticus pogodnie. - Heck Tate jest tu gdzieś w pobliżu.

- Diabła tam jest - burknął jeszcze inny. - Heck i jego ludzie są teraz tak daleko w lesie, że nie przyjdą aż do rana.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Odwołani na obławę - padła zdecydowana odpowiedź. - To panu na myśl nie przyszło, panie Finch?

- Przyszło, ale w to nie wierzyłem. No, cóż... - Ton naszego ojca był wciąż taki sam. - To zmienia postać rzeczy?

- Zmienia - zadudnił czyjś głęboki bas. Właściciel basu pozostał cieniem.

- Istotnie tak myślicie?

Po raz drugi w ciągu dwóch dni usłyszałam, jak Atticus zadaje to pytanie zawsze zwiastujące, że ktoś zostanie wysadzony z siodła. Coś zbyt pysznego, by można było przy tym nie być. Oderwałam się od Jema i co tchu popędziłam do Atticusa.

Jem z wrzaskiem usiłował mnie złapać, miałam jednak sporą przewagę nad nim i nad Dilem. Przedarłam się przez zaduch stłoczonych postaci i wskoczyłam w krąg światła.

- He... ej, Atticus!

Sądziłam, że to będzie dla niego wspaniała niespodzianka, ale wyraz jego twarzy zabił we mnie radość. Zobaczyłam w jego oczach wyraźny lęk, który zniknął tylko na chwilę, by powrócić, gdy w światło jak dwa nietoperze wpadli Jem i Dill.

Wokoło czuć było chlewem i stęchłymi oparami whisky i rozglądając się stwierdziłam, że ci wszyscy ludzie są obcy. Nikt z poprzedniego wieczora. Falą gorąca ogarnęło mnie zakłopotanie: z takim triumfem wpadłam między nieznanomych.

Atticus wstał z krzesła, ale wolniutko jak starzec. Bardzo starannie położył gazetę i opieszale wygładził jej załamania. Dłoń dygotała mu lekko.

- Idź do domu, Jem - powiedział. - Zabierz Smyka i Dilla do domu.

Zazwyczaj natychmiast, chociaż nie zawsze ochoczo, stosowaliśmy się do poleceń Atticusa. Tym razem Jem ani drgnął.

- Idźcie do domu, powiedziałem.

Jem potrząsnął głową. Tak samo jak Atticus opuścił zaciśnięte pięści do boków i gdy tak stali, patrząc na siebie, widziałam między nimi niewielkie podobieństwo rodzinne - Jem miał włosy ciemnoblonde, twarz owalną, oczy piwne i przylegające uszy naszej mamy, toteż stanowił nawet dziwne przeciwieństwo Atticusa, siwiejącego bruneta o rysach kanciastych - a przecież byli do siebie jakoś szczególnie podobni. Upodobniło ich wzajemne wyzwanie.

- Synu, powiedziałem, idźcie do domu.

Jem potrząsnął głową.

- Ja to załatwię - wtrącił się tęgi mężczyzna, brutalnie chwytając Jema za kołnierz. Omal go nie zwałił z nóg.

- Jema nie ruszać! - pisnęłam i szybko kopnęłam tego człowieka.

Byłam boso, więc zdumiona patrzyłam, jak on się rzeczywiście cofa z bólu. To miał być kopniak w łydkę, wycelowałam jednak za wysoko.

- Dostyc już, Smyk. - Atticus położył mi rękę na ramieniu. - Jak ty się zachowujesz? Nie - rzekł surowo, gdy chciałam się usprawiedliwić.

- Nie pozwolę ruszać Jema - oświadczyłam.

- Dobrze, panie Finch, niech pan ich stąd zabierze - ktoś warknął. - Ma pan na to piętnaście sekund.

W tym niezwykłym towarzystwie Atticus stał nad Jemem i na próżno usiłował zmusić go do posłuszeństwa.

- Nie pójdę - odpowiedział Jem niezmiennie na Atticusa groźby, żądania i wreszcie:

- Proszę cię, Jem, zabierz ich do domu.

Trochę mnie to już znużyło, ale czułam, że Jem ma jakieś swoje powody, by tak właśnie postępować, tym bardziej że z pewnością wiedział, co go czeka, gdy do domu zabierze go sam Atticus. Rozejrzałam się po otaczającej nas gromadzie. Chociaż była upalna, letnia noc, ci mężczyźni przeważnie mieli na sobie kombinezony i koszule z drelichu zapięte pod szyją. Pomyślałam, że widocznie są zimnokrwieści, bo nawet rękawów nie podwinęli, tylko pozapinali je przy mankietach. Niektórzy stali w kapeluszach nasuniętych głęboko na uszy. Wyglądali na ponurych i zaspanych, jak gdyby już dawno powinni spać o tej późnej porze. Jeszcze raz poszukałam wzrokiem choć jednej znajomej twarzy i tym razem w samym środku półkola ją znalazłam.

- Hej, panie Cunningham!

Pan Cunningham najwidoczniej mnie nie usłyszał.

- Hej, panie Cunningham! Jak tam idzie z pana majoratem? W sprawy majątkowe pana Waltera Cunninghama zostałam przecież wtajemniczona. Atticus kiedyś mi je przedstawił w całej rozciągłości. Ale patrząc w górę, zobaczyłam tylko, jak ten wielkolud trzepocze powiekami i wtyka palce za szelki kombinezonu. Minę miał niejasną: odchrząknął wpatrzony gdzieś w dal. Moje przyjacielskie zagajenie wypadło więc blado.

Pan Cunningham był bez kapelusza, zauważyłam jednak, że chociaż jest ogorzały, górną część czoła ma rażąco białą, co nasunęło mi przypuszczenie, że on zdejmuje kapelusz tylko na noc. Przeszł powała z nogi na nogę w swych ciężkich butach roboczych.

- Pan mnie sobie nie przypomina, proszę pana? Jestem Jean Louise Finch. Pan jednego razu nam przywozi orzechy hikorowe, nie przypomina pan sobie? - Opanowało mnie uczucie daremności, jakiego zwykle doznajemy, gdy mimo naszych wysiłków nie poznaje nas jakiś przypadkowy znajomy. - Chodzę do szkoły z Walterem - zaczęłam z innej beczki. - Pan jest jego tatusiem, prawda? Prawda, proszę pana?

Doprowadziło to pana Cunninghama do słabego przytaknięcia. Ostatecznie mnie jednak znał.

- Do jednej klasy z nim chodzę - rozwinęłam temat. - I jemu dobrze idzie. To greczny chłopiec - dodałam. - Naprawdę miły. Raz zaprosiliśmy go do domu na obiad. Może panu opowiadał. Zbiłam go pewnego razu, ale potem on był naprawdę miły. Pan mu powie „hej” ode mnie, dobrze, proszę pana?

Atticus zawsze nam powtarzał, że uprzejmość nakazuje rozmawiać z ludźmi o rzeczach interesujących ich, a nie nas. Pan Cunningham nie przejawiał żadnego zainteresowania, gdy mówiłam o jego synu; w ostatnim wysiłku rozruszania go w swojskiej atmosferze chwyciłam się znów jego majoratu.

- Majoraty są fatalne - zdążyłam go pouczyć, zanim z wolna uprzytomniłam sobie, że przemawiam do całego zgromadzenia.

Wszyscy wpatrywali się we mnie, niektórzy z ustami rozdziawionymi. Atticus przestał poszturchiwać Jema; obaj stali teraz zgodnie przy Dillu. Słuchali mnie z uwagą graniczącą z urzeczeniem. Usta Atticusa, nawet usta Atticusa były rozchylone, że nie powiem rozdziawione, chociaż on sam kiedyś mi powiedział, że to dowód nieokrzesania. Oczy nasze się spotkały i Atticus zamknął usta.

- No, Atticus, ja tylko mówię panu Cunninghamowi, że majoraty są fatalne i w ogóle, ale tyś powiedział, żeby się nie martwić, to czasem musi potrwać... i że ty to wyprowadzisz na czyste wody.

Mówiłam coraz ciszej i ciszej, biedząc się, jakie palnęłam głupstwo. Majoraty to chyba temat jak najbardziej się nadający do towarzyskiej rozmowy.

Pot zaczął mi występować na czoło; mogłabym wytrzymać wszystko, ale przecież nie tyle wlepionych we mnie oczu. Panowało głuche milczenie.

- O co chodzi? - zapytałam.

Atticus nie odpowiedział. Rozejrzałam się wokół, a potem podniosłam wzrok na pana

Cunninghama, na jego twarz wciąż tak samo obojętną. A potem pan Cunningham zrobił coś szczególnego. Przykucnął i ujął mnie za ramiona.

- Powiem mu „hej” od panienczki - powiedział. Wyprostował się i machnął wielkim łapskiem. - Zabieramy się! - zawołał. - Jazda, chłopcy!

Jak wysiedli, tak teraz po jednym i po dwóch wsiadali, szurając butami, do swych rozklekotanych samochodów. Drzwiczki trzaskały po drzwiczkach, silniki zakrztusiły się i już ich nie było.

Odwrociłam się do Atticusa, ale Atticus stał pod więzieniem, oparty, zwrócony twarzą do ściany. Podbiegłam do niego i skubnęłam go za rękaw.

- Już możemy wracać?

Skinął głową, wyciągnął z kieszeni chustkę, przesunął nią po twarzy i wytarł nos.

- Panie Finch, proszę pana - cichy zachrypty głos rozległ się w ciemnościach nad nami. - Nie ma ich?

Atticus odszedł od ściany i spojrzał w górę.

- Odjechali - powiedział. - Prześpij się, Tom. Już ci nie będą dokuczać.

Z innej strony inny głos przedarł się przez nocne mroki.

- Racja jak cholera, że nie będą. Przez cały czas cię osłaniałem, Atticus.

Z okna nad redakcją „Trybuny Maycomb” wychylał się pan Underwood z dubeltówką.

Zwykle o tej porze od dawna spałam, więc zmęczona byłam coraz bardziej; wydawało mi się, że pan Underwood w oknie i Atticus na dole pod oknem będą rozmawiali ze sobą aż do rana. Wreszcie jednak Atticus wrócił, wyłączył żarówkę nad drzwiami więzienia i wziął krzesło.

- Mogę je panu ponieść? - zapytał Dill. Dotychczas nie odezwał się ani słowem.

- No, dziękuję ci, synku.

Ruszyliśmy w stronę kancelarii - Dill i ja, wyrównując krok w tyle za Atticusem i Jemem. Dill obarczony krzesłem musiał iść wolniej. Atticus i Jem znacznie więc nas wyprzedzili i byłam pewna, że Atticus robi Jemowi piekło za ten upór i nieposłuszeństwo. Gdy jednak przechodzili pod latarnią, zobaczyłam, jak Atticus wyciąga rękę i głaszcze Jema po włosach, co było jego najtkliwszym gestem.

16

Jem usłyszał mnie. Uchylił drzwi między naszymi pokojami i wsunął głowę. W chwili gdy podchodził do mego łóżka, światło u Atticusa się zapaliło. Czekaliśmy zastygli bez ruchu, dopóki nie zgasło; usłyszeliśmy, jak Atticus przewraca się w łóżku na drugi bok, a potem znów zapanowała cisza.

Jem zabrał mnie do swego pokoju, do swego łóżka.

- Postaraj się spać - powiedział. - Jutro będzie po wszystkim... chyba.

Weszliśmy do domu po cichutku, żeby nie obudzić cioci Alexandry. Atticus wjechał do garażu na wygaszonym silniku; rozeszliśmy się do naszych pokoi bez słowa. Bardzo zmęczona już zasypiałam, gdy raptem obraz Atticusa spokojnie składającego gazetę i zsuwającego

kapelusz na tył głowy zmienił się pod moimi powiekami i zobaczyłam, jak Atticus stoi sam pośrodku pustej ulicy i podsuwa na czoło okulary. Dotarło do mnie znaczenie ostatnich wydarzeń i wybuchnęłam płaczem. Jem okazał się strasznie miły; tym jedynym razem nie przypominał mi, że ludzie prawie dziewięcioletni nie powinni tak się mazać.

Nazajutrz rano apetyt zbytnio nie dopisywał nikomu z wyjątkiem Jema, który spałaszował trzy jajka. Atticus przyglądał mu się ze szczerym podziwem; ciocia Alexandra, małymi łydkami popijając kawę, nie ukrywała dezaprobaty. Dzieci wymykające się nocą z domu to hańba dla rodziny. Atticus wyraził zadowolenie z faktu, że jego hańby się do niego wymknęły, na co ciocia oświadczyła:

- Nonsens, czuwał tam przecież pan Underwood.

- Wiesz, to zaskakujące u Braxtona - rzekł Atticus. - On gardzi Murzynami, nie ścierpiałby żadnego Murzyna przy sobie.

W miasteczku utarła się opinia, że pan Underwood, którego ojciec w jakimś wariackim poczuciu humoru kazał ochrzcić imionami Braxton Bragg, robi, co może, by się upodobnić do swego patrona, a więc nie tylko jest niedużego wzrostu, ale w dodatku zapamiętałe bluźni. Atticus natomiast twierdził, że nadawanie ludziom imion generałów Konfederacji powiększa tylko zastępy alkoholików i ślamazar.

Calpurnia dolewając kawy cioci Alexandrze, potrząsnęła głową, gdy utkwiałam w nią wzrok w moim mniemaniu błagalnie zwycięski.

- Jeszcze jesteś za mała - mruknęła. - Powiem ci, kiedy nie będziesz.

Wysunęłam argument, że kawa pomogłaby mi na na żołądek.

- Dobrze - zgodziła się Calpurnia.

Wzięła z kredensu filiżankę, nalała do niej łyżeczkę kawy i po brzegi wypełniła ją mlekiem. Podziękowałam za to pokazaniem języka i szybko zerkając na ciocię, zobaczyłam ostrzegawczo zmarszczone brwi. Ale to ostrzeżenie cioci było skierowane nie do mnie, tylko do Atticusa. Odezwała się dopiero po chwili, gdy Calpurnia poszła do kuchni.

- Nie mów tak przy nich.

- Jak mam nie mówić i przy kim? - zapytał Atticus.

- Tak przy Calpurnii. Powiedziałeś przy niej, że Braxton Underwood gardzi Murzynami.

- No, Calpurnia przecież wie o tym. Wszyscy w Maycomb wiedzą.

Zaczynałam w ostatnich czasach dostrzegać pewną zmianę tonu naszego ojca, gdy rozmawiał z ciocią Alexandrą. Spokojnie trwał przy swoim, zamiast jak dawniej wpadać w nie ukrywane rozdrażnienie. Dosyć sztywno powiedział teraz:

- Wszystko, o czym można mówić przy stole, nadaje się też i dla uszu Calpurnii. Ona wie, czym jest dla naszej rodziny.

- Nie sądzę, żeby to był dobry zwyczaj, Atticus. To ich tylko rozzuchwala. Ty wiesz, jak oni plotkują. Cokolwiek stanie się w mieście, w kwaterach, jeszcze zanim słońce zajdzie, już o tym rozmawiają.

Atticus położył nóż.

- Żadne prawo nie zabrania im rozmawiać. Może by jednak nie rozmawiali, gdybyśmy nie dawali im tyle materiału do tych rozmów. Dlaczego nie pijesz swojej kawy, Smyk?

Wodziłam łyżeczką po moim kawowym mleku.

- Zawsze myślałam, że pan Cunningham to nasz dobry znajomy. Mówiłeś mi kiedyś dawno, że tak.

- Bo jest.

- Ale wczoraj w nocy miał złe zamiary.

Atticus położył obok noża widelec i odsunął talerz.

- Pan Cunningham to z gruntu zacny człowiek - powiedział. - Ma tylko pewną lukę w rozeznaniu, tak samo zresztą, jak my wszyscy.

Jem się odezwał:

- Nie nazywaj tego luką. On by cię zabił wczoraj na początku, kiedy tam przyjechał.

- Może by trochę mnie poturbował - przyznał Atticus. - Ale ty, synku, z biegiem lat zrozumiesz ludzi lepiej. Motłoch, taki czy inny, zawsze składa się z ludzi... Pan Cunningham był tej nocy jednym z motłochu, a przecież nadal człowiekiem. Każdy motłoch w każdym miasteczku na Południu to są tylko ludzie, wiesz... Nieszczególnie to o nich świadczy, prawda?

- Chyba że nieszczególnie - powiedział Jem.

- Więc do rozsądku może im przemówić ośmioletnie dziecko - ciągnął Atticus. - To czegoś dowodzi... nawet stado dzikich zwierząt da się powstrzymać, bo jednak te zwierzęta mają instynkty ludzkie. Hmm... kto wie, czy nie przydałaby się policja złożona z dzieci... to właśnie dzięki wam, dzieciakom, Walter Cunningham poczuł się wczoraj przez chwilę na moim miejscu. Wystarczyło.

No cóż... miałam nadzieję, że Jem z biegiem lat zrozumie ludzi lepiej; na to, że ja ich kiedykolwiek zrozumiem, nie liczyłam.

- Pierwszy dzień Waltera po wakacjach będzie dla niego ostatnim w życiu - oświadczyłam z mocą.

- Nie tkniesz go - kategorycznie zapowiedział mi Atticus. - Nie chcę, żebyście mieli ze sobą na pieńku z powodu tej sprawy, jakkolwiek by się skończyła.

- No i proszę - rzekła ciocia Alexandra - masz wyniki. Nie mów, że ja cię nie uprzedzałam.

Atticus zapewnił, że nigdy tego nie powie, odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Dzień mam przed sobą, więc daruj. Jem, bądź tak uprzejmy i nie wypuszczaj się dziś ze Smykiem do miasta.

Po odejściu Atticusa nadszedł w triumfalnych podskokach Dill.

- Całe Maycomb dziś opowiada - oznajmił jeszcze w holu przed progiem jadalni - jak myśmy odparli stu ludzi gołymi rękami...

Ciocia Alexandra dosyć długo wpatrywała się w niego bez słowa.

- Nie było stu ludzi - rzekła wreszcie - i nikt nikogo nie odpierał. To była tylko czereda pijanych i rozochoconych Cunninghamsów.

- Oj, ciociu, Dill ma już taki sposób mówienia - wyjaśnił Jem. Dał nam znak, żebyśmy poszli za nim.

- Macie dziś nie wychodzić z ogrodu - powiedziała ciocia, gdyśmy ruszyli na werandę.

Nastrój był jak w sobotę. Ludzie z południa hrabstwa mijali nasz dom niezbyt szybkim, ale nieprzerwanym strumieniem.

Na wierzchołku czystej krwi, kiwając się z boku na bok, właśnie przejeżdżał pan Dolphus Raymond.

- Nie rozumiem, jak on się trzyma w tym siodle - szepnął Jem. - I jakim cudem można aż tak się upić przed ósmą rano?

Przeturkotał wóz pełen pań. Panie były w staromodnych czepkach i w sukniach z długimi rękawami. Powoził brodaty mężczyzna w pilśniowym kapeluszu.

- To jadą menonici - powiedział Jem Dillowi. - Nie wolno im się stroić, nawet mieć guzików. - Menonici mieszkali daleko w lasach, większość swych transakcji handlowych załatwiali na tamtym brzegu rzeki, więc rzadko przyjeżdżali do Maycomb. Dill bardzo się nimi zainteresował. - Wszyscy mają niebieskie oczy - wykladał Jem - i ten, który się ożeni, już nie może się golić. Ich żony lubią, jak oni łaskoczą brodami.

Pan X Billups przejechał na mule i pomachał nam ręką.

- Pocieszny jest - powiedział Jem. - X to całe jego imię, a wcale nie pierwsza litera. Kiedyś był w sądzie i zapytali go, jak on się nazywa. Powiedział, że X Billups. Woźny kazał mu powiedzieć po literze, a on znów mówi, że X. I tak w kółko, w kółko, aż musiał napisać X na kartce i podnieść ją w górę, żeby wszyscy zobaczyli. Na pytanie, skąd wziął takie imię, odpowiedział, że trudno, ale kiedy przyszedł na świat, tak właśnie rodzice go zapisali.

Hrabstwo przejeżdżało, a Jem z grubsza nakreślał Dillowi dzieje i postawy życiowe co wybitniejszych postaci: pan Tensaw Jones głosuje za projektem całkowitej prohibicji; panna Emily Davis sięga w zaciszu domowym po tabakę; pan Byron Walker gra na skrzypcach; panu Joke'owi Slake po raz trzeci wyrzynają się zęby.

Nadjechał wóz z obywatelami o niezwykle surowych minach. W chwili gdy zaczęli sobie pokazywać prześliczny w płomieniach letnich kwiatów ogród pani Maudie Atkinson, ona sama wyszła na ganek swego nowego domu. Dziwna rzecz była z tą panią Maudie - chociaż z daleka nie mogliśmy dojrzeć jej twarzy wyraźnie, sposób, w jaki stała na swym ganku, zawsze nam coś mówił o jej nastroju. Teraz lekko przygarbiona, z głową przechyloną tak, że jej okulary migotały w słonecznym blasku, wzięła się pod boki. Wiedzieliśmy doskonale, że ma na twarzy najpiekniejszy niegodziwy uśmiech.

Powściągnięte przez woźnicę muły zwolniły kroku i jakaś kobieta z wozu wrzasnęła piskliwie:

- Kto w próżności wnijdzie, w ciemnościach odejdzie!

Pani Maudie odpowiedziała:

- Serca wesele rozpogodzą oblicze!

Wyznawcy obmywania nóg uznali zapewne, że to Szatan cytuje Pismo Święte dla własnych szatańskich celów, gdyż woźnica popędził muły. Przyczyna, dla której ogród pani Maudie wzbudzał w nich taki sprzeciw, stała się dla mnie jeszcze bardziej niezgłębioną tajemnicą, zważywszy, że pani Maudie, jak na osobę spędzającą całe dnie na świeżym powietrzu, wykazała opanowanie Pisma Świętego wręcz niebywale.

- Idzie pani do sądu? - zapytał Jem. - Przeszliśmy do niej na drugą stronę ulicy.

- Nie idę - odrzekła pani Maudie. - Nie mam po co.

- Nie idzie pani popatrzeć? - zapytał Dill.

- Nie idę. To zboczenie patrzeć na proces biedaka, którego mogą skazać na śmierć. Widzicie tych wszystkich ludzi? Lecz tam jak na zabawę w lunaparku.

- Trzeba go sądzić publicznie, pani Maudie - zabrałam głos. - Byłoby niedobrze, gdyby się go nie sądziło publicznie.

- Wiem - powiedziała pani Maudie. - Ale to, że go sądzą publicznie, chyba nie znaczy, że ja muszę być publicznością?

Na ulicy ukazała się panna Stephanie Crawford. Miała na głowie kapelusz i na rękach rękawiczki.

- Hm, hm, hm - cmoknęła. - Widzicie tych wszystkich ludzi? Myślałby kto, że William Jennings Bryan będzie przemawiać.

- Aty dokąd się wybierasz, Stephanie? - zapytała pani Maudie.

- Ja do „Tysiąca Drobiazgów”.

Pani Maudie oświadczyła, że nigdy w życiu nie widziała, żeby panna Stephanie szła do sklepu w kapeluszu.

- No - powiedziała panna Stephanie - to na wszelki wypadek. Bo może wstąpię do sądu zobaczyć, do czego jest gotów Atticus.

- Uważaj lepiej, żeby on cię pod karą nie pozwał.

Poprosiliśmy panią Maudie o bliższe wyjaśnienie; pani Maudie wyjaśniła, że panna Stephanie, najwyraźniej świetnie poinformowana o okolicznościach całej tej sprawy, mogłaby się okazać przydatna jako świadek.

Zwlekaliśmy do południa, czekając na Atticusa, który wrócił do domu na obiad i powiedział, że spędził poranek na obrabianiu przysięgłych. Po obiedzie wstąpiliśmy po Dilla i we troje wyruszyliśmy do miasta.

To był wielki zjazd. Przy barierze do uwiązywania koni już zabrakło miejsca, więc muły i wozy stały pod każdym dostępnym drzewem. Dziedziniec sądu przypominał łąkę w czasie pikniku, zatłoczony ludźmi, którzy siedząc na gazetach, jedli biskwity i ze słojów na konfitury popijali syrop z ciepłym mlekiem. Niektórzy ogryzali kurczaki i kotlety schabowe na zimno. Bardziej zamożni zaprawiali sobie ucztę coca-colą pieniającą się w pękających szklankach do wody sodowej. Dzieci z zatłuszczonymi buziami bawiły się w węża, biegnąc wśród tego tłumu, podczas gdy niemowlęta potulnie ssały swoje drugie śniadanka z piersi matek.

W najdalszym rogu dziedzińca cicho w słońcu siedzieli Murzyni; pokrzepiali się sardynkami, sucharami i ostrzejszą w smaku niż coca, nehi-colą. Tam też zobaczyliśmy pana Dolphusa Raymonda.

- Jem - powiedział Dill - on pije z torebki.

Tak by się zdawało; pan Dolphus Raymond trzymał w ustach dwie słomki zanurzone głęboko w torebce z brązowego papieru.

- W życiu nie widziałem takiego sposobu - mamrotał Dill. - Jak on to robi, że mu nie przesiąka.

Jem zachichotał.

- On ma tam butelkę po coca-coli pełną whisky. Dlatego w tej torbie, żeby nie denerwować pań. Zobaczysz, że tak będzie popijał aż do wieczora. Od czasu do czasu odejdzie na chwilę i

znów ją napelni.

- Dlaczego on siedzi z kolorowymi?

- Zawsze z nimi. Chyba woli ich od nas. Mieszka zupełnie sam na końcu hrabstwa. Ma jedną kolorową i najróżniejsze mieszane dzieci. Pokażę ci niektóre, jeżeli się na nich natkniemy.

- Ale on nie wygląda na hołotę - powiedział Dill.

- Bo nie jest. Ma na własność tamtą stronę rzeki i pochodzi z naprawdę starej rodziny.

- Więc dlaczego tak robi?

- Taki ma zwyczaj. Podobno nie mógł przeżyć swojego ślubu. Miał się ożenić z którąś z tych, tych... pań Spender, zdaje mi się. Miało być huczne wesele, ale nie było... zaraz po próbie ślubu ta panna młoda poszła na górę i palnęła sobie w łeb. Z dubeltówki. Nacisnęła cyngiel czubkiem pantofla.

- Nie wiadomo dlaczego?

- Właśnie - powiedział Jem. - Nikt nie wie oprócz pana Dolphusa. Podobno dlatego, że on myślał, że uda mu się z nią ożenić, nie rezygnując z tej kolorowej, i ona się o tym dowiedziała. Więc on od tamtego czasu chodzi trochę pijany. Wiesz, ale poza tym jest naprawdę dobry dla tych dzieci...

- Jem - zapytałam - co to znaczy: mieszane dzieci?

- Na pół białe, na pół kolorowe. Widujesz je, Smyk. Znasz tego gońca z drogerii, takiego rudego z bujną czupryną. On właśnie jest na pół biały. Tacy są naprawdę smutni.

- Smutni... dlaczego?

- Bo nigdzie nie należą. Kolorowi ich nie chcą, bo oni są na pół biali, a biali ich nie chcą, bo oni są kolorowi, więc muszą być tak pośrodku. Ale pan Dolphus podobno wysłał teraz swoich dwóch na Północ. Na Północy się tym nie przejmują. O, widzicie, tam idzie jeden taki.

Mały chłopiec szedł w naszą stronę, czepiając się ręki swojej czarnej mamy. Powiedziałabym, że to w całej pełni Murzynek: był ciemnoczekoladowy, chrapki mu latały i miał piękne ząbki. Co parę kroków brykał wesoło, chociaż matka pociągała go za rączkę, żeby przestał.

Jem zaczekał, dopóki nas nie minęli.

- To właśnie taki mały.

- Po czym poznajesz? - zapytał Dill. - Dla mnie on jest czarny.

- Czasami nie można poznać, jeżeli się nie wie. Ale ten jest na pół Raymond, i owszem.

- Ale po czym się poznaje? - zapytałam.

- Przecież mówię, Smyk, że trzeba po prostu wiedzieć, kto to jest.

- No, to skąd wiadomo, że my nie jesteśmy Murzynami?

- Wuj Jack Finch powiedział, że właściwie nie wiadomo. Powiedział, że o ile się orientuje w początkach Finchów, to chyba nie, ale pomimo wszystko może przybyliśmy z Etiopii w czasach Starego Testamentu.

- Jeżeli w czasach Starego Testamentu, to zbyt dawno, żeby miało to teraz znaczenie.

- Też tak myślałem - zgodził się Jem. - Ale tutaj wystarczy mieć choć kropelkę krwi murzyńskiej, żeby być zupełnie czarnym. Hej, patrzcie.

Coś, na co nie zwróciliśmy uwagi, sprawiło, że wszyscy biesiadnicy przed budynkiem sądu

już wstali ze swoich miejsc, rozrzucając kawałki gazet, celofanu i papieru do pakowania. Dzieci już wróciły do rodziców, niemowlęta były już gotowe do drogi na rękach matek, mężczyźni w przeпоconych kapeluszach kierowali swe tłoczące się rodziny do drzwi sądu. Murzyni i pan Dolphus też się ruszyli, otrzepując spodnie. Kobiet i dzieci było wśród nich tak niewiele, że jakoś to rozwiewało ów piknikowy nastrój. Cierpliwie czekali przy drzwiach za białymi.

- Wejdźmy - powiedział Dill.

- Nie, lepiej poczekajmy, dopóki wszyscy nie wejdą. Atticusowi mogłoby się nie podobać, gdyby nas zobaczył - powiedział Jem.

Sąd hrabstwa Maycomb pod pewnym względem przypominał Arlington; betonowe filary podtrzymujące dach od strony południa raziły nieproporcjonalnym ogromem. Były jedyną pozostałością pierwszego sądowego budynku, który spłonął w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym. Nowy sąd wzniesiono przy tych filarach. A raczej pomimo tych filarów. Niezależnie od południowego portalu sąd hrabstwa Maycomb wybudowany został w stylu wczesnowiktoriańskim i od strony północnej przedstawiał się skromnie. Niemniej kolumny neogreckie zgoła nie pasowały do dziewiętnastowiecznej wieży z zegarem - zardzewiałą machiną, na której zupełnie nie można było polegać i która wyraźnie świadczyła o tym, że lud tutejszy za wszelką cenę chce zachować wszelkie konkretne szczątki przeszłości.

Idąc na pierwsze piętro do sali sądu, mijało się najrozmaitsze bezsłoneczne komórki sądownictwa hrabstwa; taksator, poborca podatków, kancelista, radca prawny, wizytator objazdowy, sędzia do spraw spadkowych urzędowali w chłodnych, mrocznych klitkach, gdzie zapach butwiejących akt mieszał się z zapachem starego wilgotnego betonu i zatęchłej uryny. Z konieczności nawet w dzień paliły się tam światła elektryczne; szorstkie deski podłóg przesłaniała stale powłoka kurzu. Osobnicy przesiadujący w tych biurach byli tworem swego otoczenia: mali, o twarzach szarych, zdawałoby się, nigdy nie wystawianych na słońce i wiatr.

Wiedzieliśmy, że tłok jest duży, ale nie byliśmy przygotowani na aż takie rzesze. Gdy mnie rozdzielono z Jemem i Dilem, pewna, że Jem w końcu po mnie przyjdzie, precisnęłam się do ściany przy schodach. Znalazłam się w samym środku Klubu Próźniaków, którym oczywiście wolałam nie rzucać się w oczy, więc stanęłam cicho jak mysz pod miotłą. Była to gromadka starsuszków w białych koszulach i spodniach khaki na szelkach; próżnowali oni przez całe życie - i teraz u schyłku swych dni też nie robili nic innego, rzadko kiedy ruszając się z sosnowych ławek pod zawsze zielonymi dębami na rynku. Uważni obserwatorzy wszystkiego, co się działo w sądzie, znali prawo dzięki długoletniemu kibicowaniu nie gorzej, jak twierdził Atticus, od prezesa Sądu Najwyższego. Zwykle stanowili jedyną sądową publiczność, toteż dzisiaj byli wyraźnie urażeni zakłóceniem tego normalnego stanu rzeczy. Rozmawiali niby niedbale, a przecież z pełnym poczuciem wagi swych spostrzeżeń. Rozmowa toczyła się o moim ojcu.

- ...myśli, że wie, co robi - powiedział któryś.

- Oooh... no, ja bym tego nie powiedział - zaprotestował inny. - Atticus Finch dużo czyta; bardzo dużo czyta.

- Czyta, i owszem, ale poza tym nic nie robi.

Klub zaczął prychać.

- Pozwól, że coś ci powiem, Bill - odezwał się trzeci. - Atticus przez sąd został wyznaczony do bronięcia tego czarnucha.

- Ano tak, tylko że on ma zamiar rzeczywiście go bronić. To właśnie mi się nie podoba.

Oto nowina - nowina ukazująca całą sprawę w zupełnie odmiennym świetle: Atticus musi, czy chce, czy nie chce. Zdziwiłam się, dlaczego wcale nam o tym nie powiedział - tyle razy by to się nam przydało, gdy broniliśmy jego i siebie samych... Atticus musi, inaczej by tego nie robił - o ileż mniej byłoby bójek i kottowania się z kolegami! Czy to jednak tłumaczy sposób, w jaki odnoszą się do tego ludzie w mieście? Sąd wyznaczył Atticusa do obrony Murzyna. Atticus ma zamiar rzeczywiście go bronić. To właśnie im się nie podoba. Daremnie próbowałam zrozumieć.

Teraz, gdy biali już poszli na górę, do schodów podeszli Murzyni.

- No prrr... zaraz, zaraz - zatrzymał ich jeden z członków klubu podniesioną laską. - Jeszcze przez chwilę nie włączcie na te schody.

Klub przy akompaniamencie strzykania starych kości przystąpił do powolnej wspinaczki i natychmiast wpadł prosto na Dilla i Jema, którzy zbiegali na dół, rozglądając się, gdzie ja jestem. Precyzyjnie się bokiem i Jem zawołał:

- Smyk, no, prędzej, nie ma już ani jednego miejsca. Musimy stać. No, widzisz - zirytował się, gdy hurmem ruszyli na górę czarni.

Nawet ci staruszkowie będą tam przed nami i zajmą większość miejsc stojących. Mamy pecha, i to tylko przeze mnie, dowiedziałam się od Jema. Bardzo nieszczęśliwi staliśmy przy schodach.

- Nie możecie się dostać?

Z czarnym kapeluszem w ręce patrzył na nas wielebny Sykes.

- Hej, panie pastarze - powitał go Jem. - No właśnie, Smyk, ta głupia, wszystko nam pokręciła.

- Hmm... zobaczymy, może coś da się zrobić. Wielebny Sykes łokciem torował sobie dalej drogę na górę.

Po paru minutach wrócił.

- W sali niżej już nie ma gdzie siedzieć. Więc może pójdziecie ze mną na galerię, jeżeli to wam będzie odpowiadało?

- Ajaj! No chyba! - wykrzyknął Jem.

Uradowani pomknęliśmy przed wielebnym Sykesem do sali. Weszliśmy tam na zasłonięte filarem wewnętrzne schody i zatrzymaliśmy się przy drzwiach prowadzących na galerię. Posapując, wielebny Sykes przyszedł za nami i delikatnie przepchnął nas przez stłoczonych na galerii czarnych. Czterech wstało i ustąpiło nam miejsca w pierwszym rzędzie.

Galeria kolorowych biegła wzdłuż trzech ścian sali jak balkon na piętrowej wysokości i widać z niej było wszystko.

Przysięgli siedzieli z lewej strony pod wysokimi oknami. Ogorzali, mizerni, wyglądali na farmerów, ale tak być musiało; w sądach przysięgłych na ogół nie zasiadali ludzie z miasteczka - albo ich wykreślano przy równoważeniu składu ławy, albo zwalniano ich na własną prośbę. Przyszło mi na myśl, że paru z tych przysięgłych to może ubrani odświętnie Cunninghamowie. W tej fazie procesu siedzieli wyprostowani i czujni.

Oskarżyciel, jeszcze jakiś mężczyzna, Atticus i Tom Robinson siedzieli przy stołach odwróceniem do nas tyłem. Na stole oskarżyciela leżała brązowa książka i parę żółtych bloków do

pisania. Stół Atticusa był pusty.

Tuż za ogrodzeniem oddzielającym sąd od publiczności siedzieli na obitych krowią skórą krzesłach świadkowie. Też widzieliśmy tylko ich plecy.

Sędzia Taylor w fotelu sędziowskim przypominał sennego starego rekina w asyście ryby zwanej pilotem, czyli sekretarza, który siedząc przy nim, szybko coś zapisywał. Sędzia Taylor był zupełnie taki, jak większość sędziów, jakich zdarzyło mi się widzieć: sympatyczny, siwowłosy, dosyć rumiany; prowadził jednak swe rozprawy w sposób niepokojąco bezceremonialny - czasami opierał nogi na stole, nieraz czyścił scyzorykiem paznokcie. Podczas długich przesłuchań w sprawach cywilnych, zwłaszcza po obiedzie, mogłoby się wydawać, że on drzemie, jakkolwiek wrażenie to rozwiało się raz na zawsze, gdy kiedyś pewien adwokat rozpaczliwie usiłując go obudzić, zepchnął rozmyślnie stertę ksiąg ze stołu na podłogę. Z zamkniętymi oczami sędzia Taylor mruknął:

- Panie Whitley, następnym razem będzie to pana kosztowało sto dolarów.

Prawo znał świetnie i chociaż na pozór pełnił swój urząd niedbale, w rzeczywistości ani na chwilę nie wypuszczał steru z ręki bez względu na to, co się przed nim rozgrywało. Tylko raz widziano, jak w czasie odbywającej się publicznie sprawy sędziego Taylor bez ratunku utknął, i to przez Cunninghamsów. Old Sarum, ziemię od dziesiątków lat przez nich udeptywaną, zamieszkiwały dwie rodziny odrębne i zrazu zupełnie sobie obce, niestety o prawie identycznym nazwisku. Gdy Cunninghamsowie zaczęli wchodzić w związki małżeńskie z Coninghamami, różnica tej jednej litery stała się w końcu czysto akademicka - akademicka, dopóki jeden Cunningham nie wszczął sporu o tytuł własności do pola jednego Coninghama i nie zaskarżył go do sądu. Przed sądem Jeems Cunningham zeznał, że jego matka w aktach prawnych i w ogóle używa nazwiska Cunningham, ale w gruncie rzeczy nazywa się Coningham, i że nietęga jest w ortografii, i że mało czyta, i że lubi wieczorem siedzieć na werandzie, i tylko tak sobie patrzeć w dal. Po dziewięciu godzinach wysłuchiwania opowieści o najróżniejszych dziwactwach mieszkańców Old Sarum sędzia Taylor umorzył postępowanie. Zapytany o podstawy oświadczył: „Powodowi brak legitymacji ważnej do wystąpienia w sądzie” i wyraził w Bogu nadzieję, że procesującym się stronom wystarczy to, że mogły się wypowiedzieć publicznie. Istotnie wystarczyło. Od początku nie chodziło im o nic więcej.

Sędzia Taylor odznaczał się pewnym ciekawym nawykiem. W jego sali sądowej wszystkim wolno było palić, ale on sam sobie nigdy na to nie pozwalał; jeśli szczęście sprzyjało, miało się czasem przywilej obserwowania go, gdy wkładał do ust długie cygaro i powoli je żuł. Kawaleczek po kawaleczku to nie zapalone cygaro zniknęło, żeby w parę godzin później ukazać się ponownie jako gładki, cieniutki płatek, z którego wyssany ekstrakt już łączył się z sokami trawiennymi sędziego Taylora. Kiedyś zapytałam Atticusa, jak pani Taylor może się z sędzią Taylorem całować, ale Atticus mi odpowiedział, że oni nieczęsto się całują.

Podium dla świadków było na prawo od sędziego i gdyśmy się na naszych miejscach usadowili, siedział tam pan Heck Tate.

- Jem - zapytałam - ci, co tam siedzą na dole, to Ewellowie?

- Cicho - syknął Jem. - Pan Heck Tate zeznaje.

Pan Tate ubrał się stosownie do okoliczności. Był w zwyczajnym miejskim garniturze, w którym, o dziwo, wyglądał jak co drugi człowiek w świecie. Nie miał dziś ani wysokich butów, ani skórzanej kurtki, ani pasa z nabojami. Od tej chwili przestał mnie napawać grozą. Siedział teraz w fotelu dla świadków, pochylony do przodu, z rękami splecionymi na kolanach, i uważnie słuchał tego, co mówił prokurator hrabstwa.

Prokurator, niejaki pan Gilmer, nie był nam dobrze znany. Mieszkał w Abbottsville i widywaliśmy go tylko wtedy, gdy odbywały się sesje sądowe, czyli bardzo rzadko, bo sąd Jema i mnie specjalnie nie interesował. Łysawy, o twarzy bez zmarszczek, mógł być w każdym wieku pomiędzy czterdziestką a sześćdziesiątką. Stał do nas tyłem, ale wiedzieliśmy, że ma lekkiego zezę, co lubił wykorzystywać: zawsze się wydawało, że jednym okiem patrzy na kogoś, na kogo w rzeczywistości wcale nie patrzył, był więc postrachem zarówno dla przysięgłych, jak i dla świadków. I jedni, i drudzy w tym samym czasie pewni, że są bacznie przez niego obserwowani, starali się uważać.

- ...swoimi własnymi słowami, panie Tate - mówił pan Gilmer.

- No - poprawiając okulary, rzekł do swych kolan pan Tate - zostałem wezwany...

- Czy mógłby pan zwracać się do przysięgłych, panie Tate? Dziękuję. Kto pana wezwał?

Pan Tate odpowiedział:

- Bob mnie sprowadził... tu obecny pan Bob Ewell pewnego wieczora...

- Kiedy to było, panie szeryfie?

Pan Tate odpowiedział:

- Dwudziestego pierwszego listopada. Właśnie miałem wyjść z biura, kiedy Bo... pan Ewell wszedł bardzo wzburzony i powiedział, żeby zaraz jechać do niego do domu, bo jakiś czarnuch gwałci jego córkę.

- Pojechał pan?

- Oczywiście. Wsiadłem w samochód i pojechałem, jak tylko mogłem najprędzej.

- I co pan zastał?

- Zastałem ją leżącą na środku podłogi w izbie od frontu, tej na prawo od wejścia. Była porządnie pobita, ale dźwignąłem ją na nogi i kiedy umyła twarz w kuble w kącie, powiedziała, że już jej lepiej. Zapytałem, kto ją skrzywdził, powiedziała, że Tom Robinson...

Sędzia Taylor, który z całą uwagą przyglądał się swoim paznokciom, podniósł wzrok, jak gdyby spodziewał się sprzeciwu. Atticus jednak milczał.

- ...zapytałem, czy to on ją tak pobił, powiedziała, że tak. Zapytałem, czy ją wykorzystał, powiedziała, że tak. Więc od razu pojechałem do Robinsona i przywiozłem go tam do niej. Ona wtedy stwierdziła, że to ten, więc go zamknąłem. To wszystko, co mi wiadomo.

- Dziękuję - rzekł pan Gilmer.

Sędzia Taylor zapytał:

- Jakieś pytanie, Atticus?

- Owszem - powiedział nasz ojciec. Siedział przy swym stole. Nogę miał założoną na nogę, rękę przerzuconą przez oparcie stojącego na ukos krzesła. - Wezwałeś lekarza, szeryfie? Czy ktoś wezwał lekarza? - zapytał.

- Nie - odpowiedział pan Tate.

- Nie wezwaliście lekarza?

- Nie - powtórzył pan Tate.

- Dlaczego? - Głos Atticusa zabrzmiał dosyć ostro.

- No, mogę panu powiedzieć, dlaczego. To nie było konieczne, panie mecenasie. Jej się tego dostało. Coś zaszło z pewnością. Od razu było widać.

- Ale dlaczego nie wezwaliście lekarza? Kiedy tam byłeś, szeryfie, nikt nie wezwał, nie przywiózł, nie przyprowadził do niej lekarza?

- Nie...

Sędzia Taylor się wtrącił:

- Szeryf już trzy razy odpowiedział na to pytanie, Atticus. Nie wezwano lekarza.

Atticus powiedział:

- Chciałem tylko się upewnić, Wysoki Sądzie.

Sędzia Taylor się uśmiechnął.

Jem zacisnął rękę, którą trzymał na poręczy galerii. Wciągnął raptownie powietrze i wstrzymał oddech. Rozglądając się po sali, nie zobaczyłam nic, co by mogło wywołać u niego taką reakcję, więc pomyślałam, że on może próbuje odgrywać jakiś dramat. Dill patrzył spokojnie, tak samo siedzący obok Dilla wielebny Sykes.

- O co chodzi? - szepnęłam i usłyszałam w odpowiedzi zwięzłe:

- Psst!

- Szeryfie - mówił Atticus - powiadasz, że jej się tego dostało. Jak?

- No...

- Tylko opisz jej obrażenia, Heck.

- No, ślady uderzeń w głowę. Siniaki na rękach, a to się stało na pół godziny przed moim przybyciem...

- Skąd wiesz?

Pan Tate uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam, tak mi oni powiedzieli. W każdym razie była dosyć posiniaczona, kiedy tam przyjechałem, i miała podbite oko.

- Które oko?

Pan Tate zamrugnął i przeczesnął palcami włosy.

- Zaraz - powiedział łagodnie, a potem tak spojrzął na Atticusa, jakby uważał jego pytanie za dziecinne.

- Nie możesz sobie przypomnieć? - zapytał Atticus.

Pan Tate dla orientacji, wyobrażając sobie, że ktoś w odległości pięciu cali stoi przed nim, wycelował palec w powietrze.

- Lewe.

- Chwileczkę, szeryfie - rzekł Atticus. - Czy lewe z jej lewej strony, kiedy stała naprzeciwko ciebie, czy lewe z twojej lewej strony?

Pan Tate powiedział:

- Aha, słusznie... z jej strony to było prawe. Prawe oko, panie mecenasie. Już sobie przypominam, twarz miała zapuchniętą z tej strony...

Znów zamrugał, ale tym razem tak, jakby nagle coś stało się dla niego jasne. Odwrócił głowę i popatrzył na Toma Robinsona. Nieomal automatycznie Tom Robinson podniósł głowę. Atticus, jak gdyby i dla niego także coś stało się jasne, poderwał się z krzesła.

- Szeryfie, proszę to powtórzyć.

- Prawe oko miała podbite, powiedziałem.

- Nie tak...

Atticus podszedł do biurka protokolanta i pochylił się nad zaciekle gryzmołącą dłoń. Dłoń znieruchomiała, potem zaczęła szybko przerzucać kartki bloku stenograficznego i protokolant odczytał:

- ...panie mecenasie już sobie przypominam, twarz miała zapuchniętą z tej strony.

Atticus spojrzał na pana Tate.

- Z której strony? Jeszcze raz, Heck.

- Z prawej, panie mecenasie, ale ona miała więcej siniaków... czy powiedzieć, gdzie?

Atticus najwyraźniej chciał zadać jakieś inne pytanie, rozmyślił się jednak i przytaknął:

- Tak, jakie poza tym miała obrażenia?

W czasie odpowiedzi pana Tate odwrócił się i spojrzał na Toma Robinsona z takim wyrazem twarzy, jakby mówił: „Na to myśmy nie liczyli!”

- ...ręce miała posiniaczone i pokazała mi szyję. Niewątpliwie ślady palców...

- Na całej szyi? Na karku też?

- Powiedziałbym, że na całej.

- Powiedziałbyś?

- Właśnie... ona ma cienką szyję, każdy mógłby taką szyję objąć jedną...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie: Tak albo nie szeryfie - powiedział Atticus cierpko i pan Tate umilkł.

Atticus usiadł; skinał głową, odwracając się do prokuratora, który potrząsnął głową, odwracając się do sędziego, który skinał głową, odwracając się do pana Tate, który wtedy wstał sztywno i zszedł z podium dla świadków.

Na dole zaczęto się rozglądać i wiercić, niemowlęta zmieniały pozycje w objęciach matek i kilkoro dzieci pędem wybiegło z sali. Murzyni za nami rozmawiali szeptem; Dill pytał wielebnego Sykesa, o co chodzi w tym wszystkim, ale wielebny Sykes powiedział, że nie wie. Jak dotąd było zupełnie nudno; nikt nie grzmiał, nikt się nie kłócił, nic się nie działo; poważne chyba rozczarowanie dla wszystkich obecnych. Atticus przesłuchiwał świadka tak dobroduszenie, jak gdyby występował w sporze o tytuł własności. Obdarzony bezgranicznym talentem do uspokajania burzliwych mózów, potrafił sprawę o gwałt uczynić suchą jak kazanie. Już nie przejmowało go strachem wspomnienie zatechłych oparów whisky i fetorów wiejskiego podwórka, ponurych mężczyzn o zaspanych oczach, ochryplego głosu wołającego w noc: „Panie Finch, proszę pana! Ich nie ma?” Nasz koszmar pierzchnął w blasku dnia, wszystko miało się skończyć dobrze.

Odprężenie panujące wśród publiczności, spokojnej teraz jak sam sędzia Taylor, nie udzieliło się tylko Jemowi. Z kunsztownie niedbałym uśmiechem, z oczami radośnie rozlatanymi Jem mówił coś o zeznaniu na korzyść oskarżonego, co mnie ostatecznie upewniło, że on się popisuje.

- ...Robert E. Lee Ewell.

W odpowiedzi na dudniący głos woźnego wstał i dumnie podszedł do podium dla świadków meduzy, podobny do kogucika człowieczek; kark miał czerwony chyba z wrażenia, jakie zrobił na nim dźwięk własnego nazwiska. Gdy się odwrócił, żeby złożyć przysięgę, zobaczyliśmy, że twarz ma tak samo czerwoną. Zobaczyliśmy również, że niczym nie przypomina generała, po którym nosił imię. Strzecha świeżo umytych miękkich włosów sterczała mu nad czołem; nos miał cienki, spiczasty i błyszczący; o podbródku nawet mówić nie warto - wydawało się, że to już jego szyja.

- ...tak mi dopomóż Bóg - zapiał.

W każdym miasteczku wielkości Maycomb są rodziny w rodzaju Ewellów. Żadne fluktuacje gospodarcze nie wpływają na warunki ich bytu - ludzie tacy, jak Ewellowie żyją na prawach gości hrabstwa zarówno w czasach dobrej koniunktury, jak i w mrocznych dniach kryzysu. Jeszcze się nie urodził inspektor szkolny, który by zdołał utrzymać ich liczne latorośle w szkole; jeszcze się nie urodził inspektor sanitarny, który by zdołał ich uwolnić od wrodzonych przypadłości, przeróżnego robactwa i chorób panoszących się w brudzie.

Ewellowie miasta Maycomb mieszkali za miejskimi śmietnikami w czymś, co dawniej było chatą murzyńską. Deski ścian uzupełniali kawałkami blachy falistej, gonty dachu sklepanymi puszkami od konserw - tak że tylko sam kształt ogólny pozostał z pierwotnej struktury tego budynku; sześcienna, o czterech małych izdebkach wychodzących na sień z nieodzowną śrutówką przy drzwiach frontowych, stała ta chata niepewnie na czterech nierównych wapiennych głazach. One były po prostu otworami w ścianach, zasłanianymi w lecie pociętą na pasy, natłuszczoną gazą, żeby nie dopuścić szkodników uczujących wśród odpadków Maycomb.

Skromne to zresztą bywały uczty, gdyż Ewellowie co dzień dokładnie oczyszczali śmietnisko; owoce ich pracowitości (te niejadalne) nadawały spłachetkowi gruntu wokół chaty wygląd gospodarstwa, w które bawi się jakieś obłąkane dziecko. Płot, a raczej to, co miało uchodzić za płot, stanowiły porąbane konary drzew, kije od mioteł i trzonki narzędzi oraz przymocowane do nich kawałki drutu kolczastego, jeżące się obuchy młotów, wyszczerbione grabie, ostrza siekier, szpadle i motyki. Na brudnym podwórku w obrębie tej barykady znajdowały się szczątki forda sprzed wojny światowej (na pniakach), rozwalony fotel dentystryczny, bardzo sterana wiekiem lodówka i niezliczone pomniejsze artykuły: stare buty, puste skrzynki aparatów radiowych, ramy obrazów, słoje, pod którymi z nadzieją dziobały ziemię kościste pomarańczowe kury.

Jeden wszakże róg tego podwórka zadziwiał Maycomb. Przy ogrodzeniu stało rzędem sześć obłazących z emalii kubłów, a w nich rosły jaskrawoczerwone pelargonie otoczone takim staraniem, jakby należały do pani Maudie Atkinson, gdyby pani Maudie, rzecz jasna, kiedykolwiek zezwoliła pelargoniom rosnąć gdziekolwiek na terenie jej posiadłości. Ludzie mówili, że to kwiaty Mayelli Ewell.

Nikt nie wiedział dokładnie, ile w tym domu jest dzieci. Niektórzy twierdzili, że sześcioro, inni, że dziewięcioro; mijając ten dom zawsze można było zobaczyć kilka brudnych twarzy w oknach. Sposobność do tego zresztą zdarzała się tylko w okresie Bożego Narodzenia, gdy roznoszono koszyki z darami kościołów, i później, gdy na prośbę burmistrza Maycomb, chcąc dopomóc urzędowemu wywozicielowi odpadków, osobiście wywoziło się własne choinki i śmieci pozostałe po świętach.

Atticus, który również to raz na rok robił, zabrał nas tam po ostatnim Bożym Narodzeniu. Żeby dojechać do śmietników, trzeba było zboczyć z szosy na polną drogę, biegnącą dalej za śmietnikami obok siedziby Ewellów, do oddalonej od niej o jakieś pięćset jardów małej osady murzyńskiej. Żeby wrócić, trzeba było albo wyjechać na szosę tyłem, albo dojechać do końca tej drogi i tam zakręcić; przeważnie samochody zakręcały na podwórkach Murzynów. W srebrnej od szronu szarości grudniowego zmierzchu ich chaty wyglądały schludnie i przytulnie z bladoniebieskim dymem unoszącym się z kominów i z sionkami w bursztynowym odbłasku ognia z izb. Snuły się przepyszne zapachy: kurczaków, smażonego boczku, kruchego jak ten przedwieczorny szron. Wywahałam razem z Jemem, że gotują się wiewiórki, ale dopiero stary wieśniak - Atticus potrafił rozpoznać aromaty mięs oposa i królika, rozkosz dla powonienia, która się skończyła, gdyśmy przejeżdżali z powrotem obok siedziby Ewellów.

Jeśli pod jakimkolwiek względem ten mały człowieczek na podium miał się lepiej niż jego czarni sąsiedzi, to tylko pod tym, że gdy wyszorował się mydłem ługowym w bardzo gorącej wodzie, skóra jego była biała.

- Pan Robert Ewell? - zapytał pan Gilmer.

- Tassiezywam, szeryfie - odrzekł świadek.

Kark pana Gilmera jak gdyby zeszywniał i zrobiło mi się go żal. Tu chyba należałoby coś wytłumaczyć. Słyszałam, że dzieci adwokatów, widując swych rodziców w ogniu sądowych sporów, wysnuwają sobie z adwokackiego zapamiętania fałszywe wnioski; adwokata strony przeciwnej uważają za osobistego wroga ich ojca, toteż cierpią męki, a potem zdumiewają się nieraz, gdy widzą, jak w czasie przerwy ojciec wychodzi ramię w ramię nie z kimś innym, tylko właśnie ze swym prześladowcą. Nigdy nie dałoby się tego powiedzieć o Jemie i o mnie. Nie żywiłszy żadnej urazy wskutek przyglądania się, jak nasz ojciec wygrywa bądź przegrywa sprawy. Przykro mi, że nie mogę tu załączyć opisu naszych dramatycznych przeżyć w tym zakresie; opis taki nie byłby prawdą. Niemniej potrafiliśmy poznać, kiedy pojedynek słowny staje się zbyt zjadliwy, jak na wystąpienia czysto zawodowe, ale to już dzięki obserwowaniu innych adwokatów, a nie naszego ojca. Atticus nigdy za mojej pamięci nie podniósł głosu, o ile nie miał do czynienia ze świadkiem głuchym. Pan Gilmer spełniał teraz swój obowiązek, Atticus spełniał swój. Pan Ewell występował jako świadek oskarżenia, więc już kto jak kto, ale on nie miał powodu być dla prokuratora niegrzeczny.

- Pan jest ojcem Mayelii Ewell? - zadał pan Gilmer następne pytanie.

- No, jeżeli nie jestem, piekła już i tak o to nie zrobię. Jej mamunia nie żyje - padła odpowiedź.

Sędzia Taylor drgnął. Powoli odwrócił się w fotelu obrotowym i spojrzał dobrotliwie na pana Ewella.

- Czy świadek jest ojcem Mayelii Ewell? - zapytał w taki sposób, że śmiechy wśród publiczności na dole od razu ucichły.

- A jakże - odrzekł pan Ewell potulnie.

Sędzia Taylor był nadal życzliwy.

- Po raz pierwszy pan zeznaje przed sądem? Nie przypominam sobie, że bym pana tu kiedy widział. No - ciągnął dalej, gdy pan Ewell przytaknął - coś musimy z góry ustalić. Nikt nie będzie w tej sali wypowiadał żadnych sprośnych domysłów, takich czy innych, dopóki ja tu zasiadam. Pan rozumie?

Pan Ewell znów przytaknął, chociaż nie przypuszczam, by rozumiał. Sędzia Taylor westchnął i powiedział:

- Dobrze. Proszę, panie Gilmer.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Panie Ewell, zechce pan nam opowiedzieć swoimi słowami, co się stało w tamten wieczór dwudziestego pierwszego listopada?

Jem skrzywił się, odgarniając włosy z czoła. Zwrot „swoimi słowami” był czymś w rodzaju pieczętki pana Gilmera. Nieraz się zastanawialiśmy, dlaczego on to tak podkreśla i czyimi, jeśli nie swoimi słowami świadkowie mogliby opowiadać.

- No, w tamten wieczór dwudziestego pierwszego listopada niosłem z lasu chrust na podpałkę i doszedłem właśnie do płotu, a tu słyszę, jak Mayella drze się w domu niczym chyba zarzynana świnia...

Sędzia Taylor zerknął na świadka bystro, ale najwidoczniej zdecydował, że ten domysł wolny jest od złej intencji, gdyż bez słowa znów zapadł w swą pozorną drzemkę.

- Która to była godzina, panie Ewell?

- Przed samym zachodem słońca. No, jak mówię, Mayella tak wrzeszczała, że mógłby ogłuchnąć Jezus...

I znów spojrzenie z nad sędziowskiego stołu powściągnęło pana Ewella.

- Tak? Wrzeszczała? - zapytał pan Gilmer.

Pan Ewell zakłopotany spojrzał na sędziego.

- No, Mayella robiła ten piekielny raban, więc upuściłem chrust, co go niosłem, i pobiegłem czym prędzej, ale wpadłem na płot, ale kiedy się odczepiłem, pobiegłem do okna i patrzę, a tu... - Pan Ewell oblał się szkarłatnym rumieńcem. Wstał i wskazał palcem Toma Robinsona - i patrzę, a ten tam smoluch, czarny byk, ponieważ mi moją Mayellę!

Tak pogodnie było sędziowanie sędziego Taylora, że nieczęsto miewał on okazję do użycia swego młotka, ale tym razem walił nim przez pełne pięć minut. Atticus podszedł do stołu sędziowskiego i coś powiedział. Pan Heck Tate już znowu jako pierwszy policjant hrabstwa stał w przejściu i energicznie uciszał hałas w zatłoczonej sali. Za nami rozbrzmiewał gniewny zduszony pomruk kolorowych.

Wielebny Sykes, sięgając ręką przed nosem moim i przed nosem Dilla, pociągnął Jema za łokieć.

- Panie Jem - szepnął donośnie - lepiej zabrać pannę Jean Louise do domu. Panie Jem...

Jem odwrócił głowę.

- Smyk, idź do domu. Dill, ty ze Smykiem idźcie do domu.

- Przedtem niech ci się uda mnie przekonać - przypomniałam mu błogosławione orzeczenie Atticusa.

Wściekły spojrział na mnie spode łba, po czym zwrócił się do wielebnego Sykesa:

- Uważam, że nie szkodzi, panie pastorze. Ona i tak nic z tego nie rozumie.

Poczułam się śmiertelnie obrażona.

- Rozumiem na pewno. Wszystko zawsze rozumiem nie gorzej od ciebie.

- Oj, cicho. Ona nic nie rozumie, panie pastorze. Ona jeszcze nie ma dziewięciu lat.

W czarnych oczach wielebnego Sykesa błysnął niepokój.

- Czy pan Finch wie, że tu jesteście? To nie są rzeczy dla panny Jean Louise ani dla was, chłopcy.

Jem potrząsnął głową.

- Nas nie widać z tak daleka. Wszystko w porządku, panie pastorze.

Wiedziałam, że Jem wygra, bo w żadnym razie nie dałby się teraz zmusić do wyjścia z sali. Dill i ja byliśmy bezpieczni - na razie. Atticus ze swego miejsca mógłby nas jednak zobaczyć, gdyby obejrzał się w tę stronę.

Podczas gdy sędzia Taylor walił młotkiem, pan Ewell wyraźnie z siebie zadowolony obserwował z fotela dla świadków skutki swej roboty. Jedno zdanie z jego ust sprawiło, że ta publiczność w radośnie piknikowym nastroju zamieniła się w tłum posępny, pełen napięcia i gniewu, z wolna wreszcie cichnący pod hipnozą sędziowskiego młotka, który uderzał coraz słabiej i słabiej, aż w całkowitej ciszy te uderzenia stały się tylko delikatnym puk-puk-puk; równie dobrze sędzia mógłby teraz uderzać w stół ołówkiem.

Znów panując nad salą, sędzia Taylor wyprostował się w fotelu. Widać było, że jest znużony; widać było, że jest stary, i przypomniało mi się to, co powiedział Atticus: państwo Taylor nieczęsto się całują - on ma chyba z siedemdziesiąt lat.

- Wpłynął wniosek - rzekł sędzia Taylor - żeby publiczność opuściła salę, jeśli nie cała, to przynajmniej kobiety i dzieci... wniosek na razie odrzucono. Ludzie na ogół widzą to, co chcą zobaczyć, słyszą to, co chcą usłyszeć, i mają prawo poddawać temu własne dzieci, ale jedno wam mogę zaręczyć: albo będziecie przyjmować wszystko, co zobaczycie i usłyszycie, w milczeniu, albo opuścicie tę salę; zanim jednak ją opuścicie, każdy, kto mi tu będzie wprowadzał zamieszanie, stanie przede mną oskarżony o obrazę sądu. Świadek niech się postara utrzymać swoje zeznania w granicach słownictwa angielsko-chrześcijańskiego, jeśli to jest możliwe. Proszę dalej, panie Gilmer.

Pan Ewell wyglądał teraz jak głuchoniemy. Byłam pewna, że słowa sędziego Taylora, skierowane do niego, wcale do jego uszu nie docierają - że on widzi tylko usta borykające się z nimi bezgłośnie - a przecież doniosłość tych słów wypisała się na jego twarzy. Zadowolenie z siebie zniknęło, ustępując miejsca zacieklej powadze, na którą jednak sędzia Taylor nabrać się nie dał; przez cały czas zeznań pana Ewella nie spuszczał z niego wzroku, jak gdyby tylko czekał na jakieś jego potknięcie.

Pan Gilmer i Atticus wymienili spojrzenia. Atticus znów usiadł, podpierając pięścią policzek tak, że nie widziałam, jaką ma minę. Pan Gilmer wydawał się dosyć zdesperowany. Dopiero pytanie sędziego Taylora przywróciło mu zwykłą swobodę.

- Panie Ewell, czy był pan świadkiem stosunku płciowego pomiędzy oskarżonym a pańską córką?

- Tak, a jakże.

Publiczność siedziała cicho, ale oskarżony coś powiedział. Atticus coś szepnął na to i Tom Robinson umilkł.

- Mówi pan, że stał pan pod oknem? - zapytał pan Gilmer.

- A jakże.

- Wysoko jest to okno od ziemi?

- Jakieś trzy stopy.

- Czy wyraźnie było stamtąd widać wewnątrz izby?

- Wyraźnie.

- Jak wyglądała izba?

- No, wszystko porzucane, jakby się bili.

- Co pan zrobił, kiedy pan tam zobaczył oskarżonego?

- No, pobiegłem naokoło, żeby tam wejść, ale on wybiegł frontowymi drzwiami jak raz przede mną. Poznałem, że to on ani chybi. Przez Mayellę głowy nie miałem, żeby go ganiać. Wbiegłem do domu, a ona leżała na podłodze i darła się...

- Co pan wtedy zrobił?

- No, pobiegłem po pana Tate czym prędzej. Wiedziałem, że to on, ten czarnuch ani chybi... bo mieszkał tam w tym gnieździe czarnuchów i co dzień przechodził koło mojego domu. Sendzio, ja prosiłem nasze hrabstwo, żeby ich wykurzyć z tego gniazda, bo oni są niebezpieczni, żeby tak blisko mieszkać, i do tego przez nich moja ziemia spada na wartości...

- Dziękuję, panie Ewell - z pośpiechem rzekł pan Gilmer.

Świadek chyżo schodząc z podium, wpadł prosto na Atticusa, który podszedł, żeby z kolei zadać mu swoje pytania. Sędzia Taylor pozwolił na śmiech sali.

- Chwileczkę, proszę pana - powiedział Atticus uprzejmie. - Zechce mi pan odpowiedzieć na parę pytań.

Pan Ewell z powrotem usadowił się w fotelu, patrząc na Atticusa z miną wyniosłą i podejrzliwą, typową dla świadków w sądzie hrabstwa Maycomb podczas wypytywania przez rzeczników strony przeciwnej.

- Panie Ewell - zaczął Atticus - mnóstwo się pan nabiegał tamtego wieczora. Rozpatrzmy to, co pan powiedział: pobiegł pan pod dom, pobiegł pan do okna, pobiegł pan do izby, pobiegł pan do Mayelli, pobiegł pan po pana Tate. Czy w czasie tego biegania pobiegł pan też i po doktora?

- Nie było trzeba. Przecież widziałem, co się stało.

- Czegoś jednak tu nie rozumiem - rzekł Atticus. - Nie zatroszczył się pan o stan Mayelli?

- Jeszcze jak się zatroszczyłem - zapewnił pan Ewell.

- Przecież widziałem, kto to zrobił.

- Nie, mnie chodzi o jej obrażenia. Czy nie przyszło panu na myśl, że charakter jej obrażeń wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej?

- Jak?

- Czy nie przyszło panu na myśl, że natychmiast powinien przyjść do niej lekarz?

Świadek oświadczył, że wcale mu to nie przyszło na myśl - nigdy w życiu nie wzywał lekarza do żadnego ze swoich, bo szkoda by mu było pięciu dolarów.

- I już mogę zejść? - zapytał.

- Niezupełnie - powstrzymał go Atticus niedbale. - Panie Ewell, pan słyszał zeznanie szeryfa, prawda?

- Jak to?

- Był pan w sali, kiedy pan Heck Tate siedział w tym fotelu, prawda? Słyszał pan wszystko, co mówił?

Pan Ewell rozważył to sobie starannie i chyba doszedł do wniosku, że w tym pytaniu nie kryje się żadne niebezpieczeństwo.

- Słyszałem - powiedział.

- Zgadza się pan z opisem obrażeń, Mayelli?

- Jak to?

Atticus obejrzał się i uśmiechnął do pana Gilmera. Wyglądało na to, że pan Ewell niezłomnie postanowił zająć obronę czas do późnej nocy.

- Pan Tate zeznał, że ona miała podbite prawe oko i ślady pobicia na...

- Och, tak - połapał się świadek. - Trzymam za wszystkim, co mówił Tate.

- Trzyma pan? - zapytał Atticus łagodnie. - Ja tylko chciałem się upewnić.

Podszedł do protokolanta, powiedział coś i protokolant jął nas przez parę minut zabawiać odczytywaniem zeznań pana Tate zupełnie tak, jakby to były notowania giełdowe.

- ...które oko lewe aha słusznie z jej strony to było prawe... prawe oko panie mecenasie już sobie przypominam twarz miała zapuchniętą - odwrócił stronicę - z tej strony szeryfie proszę to powtórzyć prawe oko miała podbite powiedziałem...

- Dziękuję, Bert - przerwał mu Atticus. - Usłyszał pan to drugi raz, panie Ewell. Ma pan tu jeszcze coś do dodania? Zgadza się pan z szeryfem?

- Trzymam za Tate'em. Oko miała podbite i zbita była okropnie.

Wydawało się, że ten mały człowieczek zupełnie zapomniał, jak upokorzył go sędzia. Najwyraźniej uważał Atticusa za bardzo łatwego przeciwnika. Znów się rozzuchwalił; z piersi dumnie wypiętą znów przypominał czerwonego kogucika. Pomyślałam, że przy następnym pytaniu Atticusa koszula mu pęknie, tak go rozsadzała ta pycha.

- Panie Ewell, czy pan umie czytać i pisać?

Pan Gilmer przerwał.

- Wnoszę sprzeciw - powiedział. - Nie widzę, co ma wspólnego piśmienność świadka... Bez wpływu na tok sprawy.

Zanim sędzia Taylor zabrał głos, Atticus zwrócił się do niego:

- Wysoki Sądzie, jeśli wolno mi będzie zadać to pytanie, a potem jeszcze jedno, Wysoki Sąd zobaczy, jaki to ma związek ze sprawą.

- Dobrze, więc proszę - rzekł sędzia Taylor. - Tylko, żebyśmy na pewno zobaczyli, Atticus. Uchylam sprzeciw.

Pan Gilmer wydawał się nie mniej zaciekawiony niż my wszyscy znaczeniem, jakie stopień edukacji pana Ewella może mieć dla sprawy.

- Powtórzę pytanie - powiedział Atticus. - Czy pan umie czytać i pisać?

- Jeszcze jak.

- Może pan tu napisać swoje nazwisko i pokazać nam?
- Jeszcze jak. Czy to ja nie podpisuję czeków z opieki społecznej?

Pan Ewell przymilał się teraz swym współobywatelom. Szepty i chichoty na dole uważał pewnie w prostocie ducha za dowód, że zdobył ich uznanie jako chytre lisisko.

Zaczynałam się denerwować. Trudno byłoby przypuszczać, że Atticus nie wie, co robi, a przecież miałam wrażenie, że on teraz strzela na chybił trafił. Nigdy, nigdy, nigdy w czasie krzyżowego ognia pytań nie zadawaj świadkowi pytania, na które z góry nie znasz odpowiedzi - oto zasada, jaką wchłonęłam już z papką niemowlęcą. Jeśli to robisz, otrzymać możesz odpowiedź zgoła niepożądaną - odpowiedź, która położy twoją obronę.

Atticus sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął jakąś kopertę, potem sięgnął do kieszonki kamizelki po wieczne pióro. Czynił to bez pośpiechu, odwrócony przodem do przysięgłych. Zdjął z wiecznego pióra nakrętkę i położył ją ostrożnie na swym stole. Lekko potrząsnął piórem, a potem wraz z kopertą podał je świadkowi.

- Więc napisze pan tu swoje nazwisko - powiedział. - Wyraźnie i powoli, żeby przysięgli mogli widzieć, jak pan pisze.

Pan Ewell powoli złożył podpis na kopercie i ze spokojnym triumfem spojrzął na sędziego Taylora, który wpatrywał się w niego, jakby w fotelu dla świadków widział teraz nie pana Ewella, tylko wonną, przepysznie rozkwitłą gardenię, i na pana Gilmera, który aż się uniósł nad stołem. Przysięgli też wpatrywali się w pana Ewella, jeden z nich nawet wychylił się daleko za poręcz.

- Niby co to takiego ciekawego? - zapytał pan Ewell.

- Pan jest mańkutem, panie Ewell - powiedział sędzia Taylor.

Pan Ewell rozzłościł się nagle; obrócił się do sędziego Taylora i oświadczył, że czy jest, czy nie jest, to nie ma nic do rzeczy, że zawsze był człowiekiem żyjącym w bojaźni bożej, a Atticus Finch kiwa go jak głupiego. Krętacze, adwokaci tacy, jak Atticus Finch przez cały czas go tu kiwiają swoimi krętackimi sposobami. Przecież opowiedział już, co się stało, powtarzał to - istotnie tak było - raz po raz.

Atticus jeszcze go wypytywał, ale nic nie zachwiało jego wersji, że patrzył przez okno, a potem ten czarnuch wybiegł, a potem on pobiegł po szeryfa. W końcu Atticus przestał go pytać.

Pan Gilmer zadał ostatnie pytanie:

- Wracając do tego, że pan pisze lewą ręką, panie Ewell, czy pan jest oburęczny?

- Żaden oburęczny nie jestem. Mogę pisać albo jedną ręką, albo drugą. Jedna ręka taka sama dobra, jak druga - odrzekł pan Ewell, patrząc spode łba na stół obrońcy.

Jem wpadł w jakiś cichy szal. Cichutko walił pięścią w poręcz galerii i w pewnej chwili szepnął:

- Mamy go!

Byłam odmiennego zdania. Atticus chyba starał się wykazać, że pan Ewell mógłby pobić Mayellę. Tyle jeszcze rozumiałam. To, że Mayella miała podbite prawe oko i ślady uderzeń przede wszystkim z prawej strony twarzy, raczej by mogło dowodzić, że pobił ją mańkut. Sherlock Holmes i Jem Finch by się z tym zgodzili. Ale Tom Robinson mógł przecież także walić lewą ręką. Podobnie jak przedtem pan Heck Tate, wyobraziłam sobie, że ktoś stoi przede mną, i wykonałam w duchu szybciotką pantomimę; doszłam do wniosku, że z łatwością można trzymać

kogoś prawą ręką i bić go lewą. Spojrzałam w dół na Toma Robinsona. Siedział tyłem do nas, ale widziałam jego szerokie bary i byczy kark. Z łatwością mógł to zrobić. Pomyślałam, że Jem liczy kurczęta, zanim się wyklują.

18

Ale znów rozległ się dudniący głos woźnego:

- Mayella Violet Ewell...

Na podium dla świadków weszła młoda dziewczyna. Podnosząc rękę i przysięgając, że będzie mówiła prawdę, całą prawdę i nic tylko prawdę, tak jej dopomóż Bóg, wydawała się jakaś wątła, ale gdy już usiadła przodem do nas w fotelu, okazała się tym, czym była istotnie - dziewczyną tęgą i przywykłą do ciężkiej pracy fizycznej.

W hrabstwie Maycomb łatwo poznać, czy ktoś się kąpie regularnie, czy też w drodze wyjątku wypucował się specjalnie na jakąś okazję; pan Ewell sprawiał takie wrażenie, jakby go wyparzone, wydawało się, że po wczorajszym wymoczeniu jego skóra bez ochrony warstwy brudu jest uczulona na żywy. Mayella natomiast wyglądała tak, jakby zawsze się starała być czysta, co przypomniało mi o rzędzie czerwonych pelargonii na podwórku Ewellów.

Pan Gilmer polecił Mayelli opowiedzieć przysięgłym swoimi słowami, co się stało wieczorem dwudziestego pierwszego listopada w zeszłym roku - zwyczajnie, swoimi słowami, proszę.

Mayella siedziała w milczeniu.

- Gdzie pani była wtedy o zmierzchu? - zagaił cierpliwie pan Gilmer.

- Na ganku.

- Na którym ganku?

- Tylko jeden jest. Od przodu.

- Co pani robiła na ganku?

- Nic.

Wtrącił się sędzia Taylor.

- Proszę tylko opowiedzieć nam, co się stało? To chyba będzie łatwiejsze?

Mayella zagapiła się na niego i nagle wybuchnęła płaczem. Usta zasłoniła rękami, żeby stłumić szloch. Sędzia Taylor pozwolił jej płakać przez chwilę, a potem powiedział:

- Dosyć już. Nie potrzebujesz bać się tu nikogo, dopóki będziesz mówiła prawdę. To wszystko jest dla ciebie niezwykle, ja wiem, ale nie masz się czego wstydzić ani lękać. Co cię tak przeraża?

Mayella powiedziała coś z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Co takiego? - zapytał sędzia Taylor.

- On - załkała Mayella i wskazała Atticusa.

- Pan Finch?

Mayella z żalem przytaknęła.

- Nie chcę, żeby próbował zrobić ze mnie to, co z taty... mańkuta jakiegos...

Sędzia Taylor podrapał się po swej siwej gęstej czuprynie. Było jasne, że po raz pierwszy stanął wobec problemu tego rodzaju.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Dziewiętnaście i pół - powiedziała Mayella.

Sędzia Taylor odchrząknął i spróbował przemówić tonem kojącym, tylko że mu to nie wyszło.

- Pan Finch nie ma zamiaru cię przerażać - warknął - a gdyby nawet miał, to ja tu jestem od tego, żeby go powstrzymać. Tylko po to tu siedzę. No, jesteś dorosłą dziewczyną, więc wyprostuj się i opowiedz nam tę... opowiedz nam, co cię spotkało. To możesz zrobić, prawda?

Szepnęłam do Jema:

- Czy ona ma rozum w głowie?

Jem przymrużył oczy, patrząc na podium dla świadków.

- Jeszcze nie wiem - zaopiniował. - Ma dosyć rozumu, żeby wywołać współczucie u sędziego, ale może ona tylko... och, nie wiem.

Ułagodzona Mayella rzuciła ostatnie strachliwe spojrzenie na Atticusa i zaczęła opowiadać panu Gilmerowi:

- No więc byłam na ganku i... on przechodził, i pan rozumie, była ta stara szafa na podwórku, co ją tata przyniósł, żeby porąbać na rozpałkę... Tata kazał, żebym ją porąbała i poszedł do lasu, ale coś nie miałam siły, więc jak on przechodził...

- On, to znaczy kto?

Mayella wskazała Toma Robinsona.

- Będę musiał panią prosić, żeby ściślej się pani wyrażała - zwrócił uwagę pan Gilmer. - Protokolant nie potrafi zbyt dobrze zapisywać gestów.

- Ten tam - wyraziła się ściślej Mayella. - No, Robinson.

- Co się wtedy stało?

- Powiedziałam: „Chodź tu, czarnuchu, i porąb mi tę szafę, piątaka za to dostaniesz”. Dla niego to było dosyć łatwe, pewnie, że tak. Więc wszedł na podwórko, a ja weszłam do domu po te pięć centów i odwróciłam się, i nawet nie widziałam, jak on raptem doskoczył do mnie. Po prostu pobiegł za mną, pewnie, że tak. Złapał mnie za szyję i kłął na mnie, i wygadywał nieprzyzwoitości... biłam się z nim i wrzeszczałam, ale mnie dusił za szyję i walił raz po raz...

Pan Gilmer czekał, dopóki Mayella się nie opanuje; zeznając, skrzyła chustkę do nosa w wilgotny od potu rulon; gdy ją teraz rozłożyła, żeby otrzeć łzy, mnóstwo tam było zagnieceń od jej rozgrzanych dłoni. Ze swojej strony czekała na następne pytanie pana Gilmera, nie doczekała się go jednak, wobec czego podjęła wątek:

- ...gruchnął mnie na podłogę i dusił, i wykorzystał mnie.

- Krzyczała pani? - zapytał pan Gilmer. - Krzyczała pani i walczyła?

- Pewnie, że tak. Wrzeszczałam na całe gardło, kopałam go i wrzeszczałam, jak tylko mogłam najgłośniej.

- I co było potem?

- Za dobrze to nie pamiętam, tyle że raptem tata stał nade mną i wrzeszczał, kto to zrobił. Potem tak jakby zemdlałam i dopiero się ocknęłam, jak mnie pan szeryf podnosił z podłogi

i prowadził do wiadra z wodą.

W sposób widoczny ta recytacja dała Mayelli pewność siebie, daleką jednak od bezczelności jej ojca; u niej to było coś przyczajonego jak kot, który patrzy uporczywie, pręży ogon i zbiera się do skoku.

- Więć walczyła z nim pani ze wszystkich sił? Walczyła z nim pani zaciekle? - pytał pan Gilmer.

- Jeszcze jak. - Głos Mayelli stał się echem ojcowskiego głosu.

- Jest pani pewna, że on panią w pełni wykorzystał?

Zobaczyłam grymas na twarzy Mayelli i złękłam się, że ona znowu się rozplącze. Nie rozpląkała się, tylko rzekła:

- Zrobił to, o co mu szło.

Pan Gilmer otarł sobie głowę dłonią, tym samym przypominając wszem i wobec, że dzień jest upalny.

- To na razie wszystko - oznajmił pogodnie. - Ale niech pani nie odchodzi. Spodziewam się, że wielki niedobry pan Finch też ma jakieś pytania.

- Rzecznikowi oskarżenia nie wolno nastawiać świadka przeciwko obrońcy - wycedził sędzia Taylor. - Przynajmniej nie teraz.

Atticus wstał z uśmiechem, ale zamiast od razu podejść do podium dla świadków, rozpiął marynarkę, ujął się kciukami za kamizelkę i powoli ruszył przez salę do okien. Wyjrzał za okno, chwilę tam patrzył, raczej bez zainteresowania, po czym spokojnie zawrócił do podium. Z doświadczenia długich lat wiedziałam, że Atticus waży w umyśle jakąś decyzję.

- Panno Mayello - powiedział z uśmiechem. - Nie będę próbował przerażać pani, jeszcze nie. Teraz po prostu zaznajomimy się ze sobą. Ile pani ma lat?

- Mówiłam, dziewiętnaście. Temu sędzi tam mówiłam.

- Mayella urażona poderwała głowę w kierunku sędziego Taylora.

- Istotnie, istotnie, proszę pani. Musi pani być dla mnie wyrozumiała, panno Mayello. Starzeję się i już nie mam takiej dobrej pamięci, jak dawniej. Może będę pytał o rzeczy, o których pani już mówiła, ale pani pomimo to mi odpowie, prawda?

Nie zobaczyłam na twarzy Mayelli nic, co by usprawiedliwiło jego założenie, że sobie zapewnił jej serdeczną współpracę. Patrzyła na niego z wściekłością.

- Ani słowa nie odpowiem, póki pan będzie kpiny robił ze mnie - oświadczyła.

- Kpiny, proszę pani? - zdumiał się Atticus.

- Póki pan będzie dalej tak się ze mnie naśmiewał.

Odezwał się sędzia Taylor:

- Pan Finch wcale się z ciebie nie naśmiewa. Co z tobą jest, dziewczyno?

Mayella spod opuszczonych powiek, patrząc na Atticusa, odrzekła:

- Póki on mi będzie tak mówił proszę pani i nazywał panną Mayellą. Nie muszę wysłuchiwać takich arogancji, nie mam obowiązku.

Atticus ponowił swój spacer do okien, pozostawiając sędziemu Taylorowi ten orzech do zgryzienia. Sędzia Taylor nie był postacią, która by kiedykolwiek mogła wzbudzać litość, a przecież w sercu mnie coś zakłuło, gdy patrzyłam, jak on usiłuje przemówić do Mayelli.

- To jest po prostu sposób bycia pana Fincha - tłumaczył. - Od wielu, wielu lat sprawujemy swoją powinność w tym sądzie i pan Finch jest zawsze dla wszystkich uprzejmy. On wcale z ciebie nie kpi, tylko po prostu jest grzeczny. Taki już ma sposób bycia...

Usiadł wygodniej.

- Atticus, kontynuujmy, i tak protokół wykaże, że świadka wbrew jej mniemaniu nie traktuje się arogancko.

Zastanawiałam się, czy ktokolwiek przedtem mówił do Mayelli „proszę pani” albo „panno Mayello”; prawdopodobnie spotyka ją to po raz pierwszy w życiu, skoro zwykłą grzeczność uznaje za obrazę. Jakież więc, na Boga, było to jej życie? Wkrótce się dowiedziałam.

- A zatem ma pani dziewiętnaście lat - powrócił do swych pytań Atticus. - Dużo ma pani rodzeństwa?

- Siedmioro ich - odrzekła Mayella.

Zadałam sobie pytanie, czy oni wszyscy są tacy, jak ten okaz, który zobaczyłam w moim pierwszym dniu szkoły.

- Pani jest najstarsza?

- Ja.

- Dawno wasza matka umarła?

- Nie wiem... Dawno.

- Chodziła pani do szkoły?

- Czytam i piszę tak dobrze, jak tata.

To oświadczenie Mayelli przypomniało mi niejakiego pana Jingle z ostatnio czytanej książki.

- Długo pani chodziła do szkoły?

- Dwa lata... trzy... nie wiem.

Powoli, ale wyraźnie zaczęła się wyłaniać konstrukcja pytań Atticusa - pytań, których pan Gilmer najwidoczniej nie uznał za wystarczająco nierzeczowe, gdyż nie wnosił sprzeciwu; Atticus spokojnie, fragment po fragmencie, odsłaniał przed przysięgłymi obraz życia domowego Ewellów. Przysięgli dowiedzieli się następujących rzeczy: zasiłki otrzymywane przez Ewellów są stanowczo za małe, by wystarczyć na wyżywienie rodziny, i istnieją poważne obawy, że tak czy owak, tata je przepija... bo tata czasem idzie gdzieś na bagna i wraca dopiero po kilku dniach chory; rzadko bywa aż tak zimno, żeby musiało się chodzić w bucikach, ale kiedy bywa, można sobie zrobić eleganckie obuwie z gumy starych opon samochodowych; wodę nosi się w kubie ze źródła, które jest po tamtej stronie śmietników - w najbliższej okolicy tego źródła sprząta się wszystkie śmieci - i każdy nosi sam dla siebie: chcesz się umyć, przytaszcz sobie wody; młodsze dzieci mają chroniczny katar, ręce i nogi im drętwieją od wilgoci; jedna pani czasem przychodzi zapytać Mayellę, dlaczego dzieci nie są w szkole, i zapisuje odpowiedź: wystarczy, że już dwie osoby w rodzinie czytają i piszą - tata potrzebuje dzieci w domu.

- Panno Mayello - rzekł Atticus pewnie zapominając, że lepiej tak do niej nie mówić. - Dziewiętnastoletnia dziewczyna jak pani ma chyba jakichś przyjaciół? Co to za jedni?

Mayella zmarszczyła brwi zdumiona.

- Przyjaciół?

- Ma pani chyba znajomych w pani wieku bądź starszych, bądź młodszych? Chłopców i dziewczęta? Z nikim się pani nie przyjaźni?

Wrogość, która już ustąpiła miejsca niechętniej obojętności, znów rozgorzała w Mayelli.

- Pan się na nowo naśmiewa ze mnie, panie Finch?

Atticus uznał jej pytanie za odpowiedź.

- Czy pani kocha ojca, panno Mayello? - zadał pytanie następne.

- Jak to czy kocham?

- Chodzi mi o to, czy ojciec jest dobry dla pani, czy dobrze ze sobą żyjecie?

- Nie najgorszy jest, jeżeli...

- Jeżeli...?

Mayella spojrzała na swego ojca. Siedział dotychczas na krześle przechylony, oparty o poręcz. Teraz usiadł prosto, czekając na jej odpowiedź.

- Jeżeli nic - rzekła Mayella. - Nie najgorszy, mówię. Pan Ewell znów się rozparł na krześle.

- Jeżeli sobie nie wypije? - zapytał Atticus tak łagodnie, że Mayella skinęła głową.

- Karze panią czasami?

- Jak to?

- Kiedy jest... rozdrażniony, czy bije panią czasami?

Mayella rozejrzała się, opuściła wzrok na protokolanta, podniosła wzrok na sędziego.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Mayello - powiedział sędzia Taylor.

- Tata palcem mnie nie tknął nigdy w życiu - oświadczyła Mayella stanowczo. - Palcem mnie nie tknął.

Okulary osunęły się trochę Atticusowi, więc je podsunął na nosie.

- Pogawędziliśmy chwilę, panno Mayello, i teraz możemy już przejść do sprawy. A więc poprosiła pani Toma Robinsona, żeby przyszedł porąbać... co to było?

- Szafa, taka stara z szufladami na jednej stronie.

- Czy Tom Robinson był pani dobrze znany?

- Jak to?

- To znaczy, czy wiedziała pani, kto to jest i gdzie mieszka?

Mayella skinęła głową.

- Wiedziałam, kto to. Co dzień koło nas przechodził.

- Czy po raz pierwszy wtedy poprosiła go pani, żeby wszedł na wasze podwórko?

Mayella podskoczyła lekko. Atticus, który przez cały czas tego wypytywania odbywał powolną wędrówkę do okien i z powrotem, stał teraz i wyglądał przez okno, czekając na jej odpowiedź. Nie widział, jak się poruszyła, ale wydawało mi się, że jednak nie uszło to jego uwagi. Odwrócił się i uniósł brwi.

- Czy po raz pierwszy... - zaczął ponownie.

- Tak pierwszy.

- Przedtem nigdy go pani nie wzywała na podwórko?

Teraz Mayella była już przygotowana.

- Nie wzywałam, na pewno nie wzywałam.

- Jedno „nie” wystarczy - beztrąsko rzekł Atticus. - Nigdy przedtem go pani nie prosiła, żeby zrobił dla pani to czy owo?

- Może i prosiłam - ustąpiła Mayella. - Było paru czarnuchów w okolicy.

- Nie pamięta pani żadnej z takich okazji?

- Nie.

- Dobrze, a teraz wracając do tego, co się stało... Powiedziała pani, że Tom Robinson stał za panią w izbie, kiedy się pani odwróciła. Zgadza się?

- Zgadza.

- Powiedziała pani, że złapał panią za szyję, kłął na panią i wygadywał nieprzyzwoitości... Zgadza się?

- Zgadza.

Pamięć Atticusa stała się nagle niezawodna.

- Powiedziała pani: gruchnął mnie na podłogę i dusił, i wykorzystał mnie... Czy to się zgadza?

- Tak powiedziałam.

- Pamięta pani, jak on bił panią po twarzy?

Mayella zawahała się.

- Jest pani, zdaje się, zupełnie pewna, że on panią dusił. Przez cały czas walczyła z nim pani, to pani pamięta, prawda? Kopła go pani i wrzeszczała na całe gardło. Czy pamięta pani, jak on panią bił po twarzy?

Mayella milczała. Najwyraźniej coś zaczynała pojmować. Przez chwilę myślałam, że ona, na sposób pana Hecka Tate i mój, próbuje w duchu uderzyć w twarz kogoś urojonego przed sobą. Ale Mayella spojrzała na pana Gilmera.

- To przecież proste pytanie, panno Mayello, więc jeszcze raz spróbujmy. Czy pamięta pani, jak on bił panią po twarzy? - Atticus porzucił miły ton; mówił teraz swym tonem zawodowym, sucho, obojętnie. - Czy pani pamięta, jak on panią bił po twarzy?

- Nie, nie przypominam sobie, żeby mnie uderzył. To znaczy się, pamiętam, że mnie bił.

- Te ostatnie słowa to pani odpowiedź?

- Hę? Tak, uderzył... no, nie pamiętam, nie pamiętam... to wszystko się stało tak migiem...

Sędzia Taylor surowo popatrzył na Mayellę.

- Nie płacz, dziewczyno - zaczął, ale Atticus powiedział:

- Niech płacze, jeśli ma ochotę, Wysoki Sądzie. Czasu jest mnóstwo.

Mayella gniewnie pociągnęła nosem i spojrzała na Atticusa.

- Odpowiem na każde pytanie, a jakże... a pan będzie mnie tu trzymał i robił kpiny, co? Odpowiem...

- To doskonale - rzekł Atticus. - Niewiele już tych pytań zostało. Panno Mayello, żeby nie rozwlekać... zeznała pani, że oskarżony bił panią, trzymał panią za szyję, dusił panią i wykorzystał. Chcę, żeby pani stwierdziła na pewno, czy to ten właśnie człowiek. Czy pozna pani tego, który panią zgwałcił?

- Poznam. To ten tam.

Atticus odwrócił się do oskarżonego.

- Tom, wstawaj. Niech panna Mayella porządnie ci się przyjrzy. Czy to ten człowiek, panno Mayello?

Potężne bary Toma Robinsona zafalowały pod jego cienką koszulą. Wysoki, barczysty

wstał, prawą ręką opierając się o krzesło. Dziwnie mu brakowało równowagi, ale nie dlatego, że stał tak oparty. Lewą rękę miał o pełne dwanaście cali krótszą od prawej, martwo zwisającą u boku - dłoń skurczoną, niedorozwiniętą i uschłą tak, że nawet z dalekiej galerii widać było, że on nie może nią władać.

- Smyk - sapnął Jem. - Smyk, popatrz. Panie pastorze, to kaleka.

Wielebny Sykes, nachylając się nade mną, wyjaśnił Jemowi szeptem:

- Miał w dzieciństwie wypadek z odziarniarką bawełny u pana Dolphusa Raymonda... o mało nie umarł z upływu krwi... wszystkie mięśnie miał wyrwane aż do kości...

Atticus zapytał.

- Czy to ten człowiek, który panią zgwałcił?

- To na pewno.

Następne pytanie Atticusa było monosylabą:

- Jak?

Mayella już kipiała.

- Nie wiem, jak to zrobił, ale zrobił... Powiedziałam, że to się wszystko stało migiem, że ja...

- No, rozważmy to sobie spokojnie... - zaczął Atticus.

Przerwał mu pan Gilmer, wnosząc sprzeciw: pan Finch wprawdzie nie zadaje pytań nie mających wpływu na tok sprawy, ale zastrasza świadka.

Sędzia Taylor roześmiał mu się prosto w twarz.

- Och, siadaj, Horace, nawet mu się to nie śni. Jeśli już, to świadek zastrasza Atticusa.

Poza sędzią Taylorem nikt teraz się nie śmiał. Nawet niemowlęta tak ucichły, że poczułam obawę, czy przypadkiem nie podusiły się przy piersiach matek.

- No - rzekł Atticus - panno Mayello, zeznała pani, że oskarżony dusił i bił panią... nie, że podszedł chyłkiem i uderzeniem znienacka pozbawił panią przytomności, ale że odwróciła się pani i on tam był... - Atticus już wrócił do stołu i każde słowo, które wypowiadał, zaznaczał stukaniem ręką w blat. - Czy życzy pani sobie jeszcze raz rozważyć jakieś szczegóły swojego zeznania?

- Chce pan, żebym opowiadała coś, co się nie stało?

- Nie, proszę pani. Chcę, żeby pani opowiedziała, co rzeczywiście się stało. Proszę nam powiedzieć jeszcze raz, jak to było.

- Już powiedziałam przecież.

- Zeznała pani, że się pani odwróciła i on tam był. Czy wtedy zaczął panią dusić?

- Tak.

- Potem puścił pani szyję i uderzył panią?

- Powiedziałam, że uderzył.

- Prawą pięścią podbił pani lewe oko?

- Usunęłam głowę i... i oko mi się prześlizgło... właśnie. Usunęłam głowę i oko mi się prześlizgło - wybrnęła wreszcie Mayella.

- Nabiera pani nagle całkowitej pewności co do tego punktu. Jeszcze przed chwilą nie mogła pani sobie zbyt dobrze przypomnieć, prawda?

- Powiedziałam, że mnie uderzył.

- Dobrze. Dusił panią, uderzył panią, a potem zgwałcił. Zgadza się?
- No, pewnie, akuratnie.
- Jest pani silną dziewczyną, więc co pani przez ten czas robiła? Stała tam pani po prostu?
- Powiedziałałam, że wrzeszczałam i kopałam, i biłam się...

Atticus podniósł rękę do okularów, zdjął je i patrząc na Mayellę swym niezawodnym prawym okiem, zasypał ją pytaniami. Sędzia Taylor zwrócił mu uwagę.

- Nie tyle pytań naraz, Atticus. Trzeba umożliwić świadkowi odpowiedź.
- Dobrze, dlaczego pani nie uciekła?
- Próbowałam...
- Próbowała pani? Co panią powstrzymało?
- Ja... gruchnął mnie na podłogę. Właśnie i zwałił się na mnie.
- Przez cały czas pani krzyczała?
- No, pewnie.
- To dlaczego tamte dzieci nie słyszały? Gdzie one były? Na śmietniku?

Mayella milczała.

- Gdzie one były?

Mayella milczała.

- Dlaczego na pani krzyk nie przybiegły? Śmietnik jest bliżej niż las, prawda?

Mayella milczała.

- Czy może pani zaczęła krzyczeć dopiero wtedy, kiedy w oknie zobaczyła pani ojca?

Dopiero wtedy?

Mayella milczała.

- Podniosła pani krzyk z powodu ojca, a nie z powodu Toma Robinsona? Czy tak?

Mayella milczała.

- Kto panią zbił? Tom Robinson czy ojciec?

Mayella milczała.

- Co ojciec zobaczył przez okno? Zbrodnię gwałtu czy najlepszą obronę przed gwałtem?

Dlaczego nie mówisz prawdy, dziecko? Czy Bob Ewell nie zbił ciebie?

Atticus odwracając się od Mayelli, wyglądał tak, jakby go rozboleła żołądek, ale na twarzy Mayelli malowała się pomieszana ze wściekłością groza. Atticus usiadł ciężko i przetarł chustką okulary.

Nagle Mayella przemówiła:

- Mam coś do powiedzenia.

Atticus podniósł głowę.

- Chce nam pani powiedzieć, jak to było?

Ona jednak nie dosłyszała nuty współczucia w tej jego zachęce.

- Mam coś do powiedzenia i potem już, żeby tam nie wiem co, nic nie powiem. Ten tam czarnuch wykorzystał mnie i jak wy, jaśniepańscy panowie, nie chcecie z tym nic zrobić, to wszyscy jesteście śmierdzące tchórze, śmierdzące tchórze, wy wszyscy. A panu nic nie przyjdzie z tych jaśniepańskich min, i tego gadania, proszę pani i panno Mayello, nic nie przyjdzie, panie Finch...

I wybuchnęła prawdziwym płaczem. Ramionami jej wstrząsały gniewne szlochy. Dotrzymała słowa. Nie odpowiedziała już na żadne pytanie, nawet gdy pan Gilmer próbował ją naprowadzić z powrotem na właściwe tory. Przypuszczam, że sędzia Taylor kazałby ją aresztować za obrazę wszystkich obecnych w sali sądowej, gdyby nie to, że była taka biedna i niczego nieświadoma. W jakiś sposób Atticus dotknął ją do żywego, co było dla mnie zgoła niezrozumiałe i co zresztą najwyraźniej nie sprawiło mu przyjemności. Siedział z głową spuszczoną, gdy Mayella schodząc z podium i mijając jego stół, patrzyła na niego spode łba z taką nienawiścią, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałam u nikogo.

Pan Gilmer oznajmił sędziemu Taylorowi, że oskarżenie na tym poprzestaje, na co sędzia Taylor powiedział:

- Czas, żebyśmy wszyscy poprzestali. Sąd ogłasza dziesięciminutową przerwę.

Atticus i pan Gilmer spotkali się przed sędziowskim stołem, poszeptali ze sobą i razem wyszli z sali drzwiami za podium dla świadków, dając tym samym sygnał do rozprostowania nóg.

Stwierdziłam, że siedziałam na samym brzeżku długiej ławki, więc nieco jestem zdrętwiała. Jem wstał i ziewnął. Dill zrobił to samo, wielebny Sykes otarł twarz kapeluszem.

- Temperatura dochodzi do dziewięćdziesięciu stopni - powiedział.

Pan Braxton Underwood, który przez cały czas siedział cicho w fotelu zarezerwowanym dla prasy i jak gąbka nasiąkał materiałami do reportażu z tego procesu, pozwolił sobie teraz przesunąć pełnym zaciekleści wzrokiem po galerii kolorowych i nagle napotkał moje spojrzenie. Z chrapnięciem szybko spojrzał gdzie indziej.

- Jem - powiedziałam - pan Underwood nas zobaczył.

- Nie szkodzi. On nie powie Atticusowi, tyle że nas umieści w „Trybunie” na stronie towarzyskiej.

Jem odwrócił się znów do Dilla, żeby zapewne dalej mu wyjaśniać subtelności tego procesu, chociaż jakie, nie wiedziałam. Jak dotąd, w żadnych kwestiach nie było żadnych dłuższych dyskusji pomiędzy Atticusem a panem Gilmerem; pan Gilmer, jeśli się odzywał, czynił to z wyraźną niechęcią i Atticus tylko przy nielicznych sprzeciwach ciągnął świadków jak osły za pyski. Ale Atticus kiedyś nam powiedział, że w sądzie sędziego Taylora każdy adwokat, który swe postępowanie opiera rygorystycznie na materiale dowodowym, zwykle zostaje w końcu rygorystycznie pouczony przez sędziego. Uprzystępnił mi to dodając, że sędzia Taylor może sprawia wrażenie lenia sędziującego jak przez sen, ale bardzo rzadko mu się zdarza uchylać pytania jego, Atticusa, i że to jest najlepszy przykład. Zdaniem Atticusa sędzia Taylor był dobrym sędzią.

Wkrótce potem sędzia Taylor wrócił, usiadł w swym fotelu obrotowym, wyjął z kieszonki kamizelki cygaro i obejrzał je w zamyśleniu. Szturchnęłam Dilla. Po tych oględzinach sędzia Taylor chapnął cygaro zębami.

- Czasem przychodzimy, żeby na niego popatrzeć - posłużyłam Dillowi informacją. - To mu już zajmie czas aż do końca. Uważaj.

Sędzia Taylor, nieświadom, że jest pod ostrzałem oczu z galerii, załatwił się z odgryzionym koniuszkiem cygara, wprawnie wypychając go językiem na wargę i mówiąc:

- Pfl-lak!

Trafił do spluwaczki pod kątem tak idealnie prostym, że aż usłyszeliśmy ten odgłos.

- Głowę daję, że on w szkole pluł kulkami jak diabli - szepnął Dill oczarowany.

Zazwyczaj ogłoszenie przerwy było sygnałem do masowego opuszczania sali, ale dziś ludzie się nie ruszyli. Nawet Próźniacy, którym nie udało się zawstydić młodszych aż do tego stopnia, by ustąpiono im miejsc siedzących, stali nadal wzdłuż ścian. Toaletę hrabstwa pan Heck najwidoczniej zarezerwował dla przedstawicieli sądu.

Gdy Atticus i pan Gilmer wrócili do sali, sędzia Taylor spojrzął na zegarek.

- Dochodzi czwarta - powiedział ku mojemu zdumieniu, bo jak wynikało, zegar na dachu nad nami musiał przez ten czas wybić godzinę co najmniej dwukrotnie. Ani razu nie usłyszałam jego bicia, ani razu nie odczułam zwykłych przy jego biciu wibracji. - Postaramy się to zakończyć dziś przed wieczorem? - zapytał sędzia Taylor. - Dałoby się, Atticus?

- Myślę, że tak - odrzekł Atticus.

- Ilu masz świadków?

- Jednego.

- No, przedstaw go.

19

Thomas Robinson prawą ręką uniósł rękę lewą. Sięgnął nią do Biblii i ułożył gumiastą lewą dłoń na czarnej okładce. Ale gdy ją puścił, żeby podnieść prawą rękę do przysięgi, osunęła się z Biblii bezwładnie i uderzyła w stolik woźnego. Spróbował ułożyć ją jeszcze raz, gdy sędzia Taylor warknął:

- Wystarczy, Tom!

Tom przysiągł, że będzie mówił prawdę, i usiadł w fotelu dla świadków. Atticus bardzo szybko rozwiązał mu język.

Tom miał dwadzieścia pięć lat; był żonaty i miał troje dzieci; już raz wszedł w kolizję z prawem; odsiedział kiedyś trzydzieści dni za zakłócenie porządku publicznego - „złe zachowanie”.

- Musiało więc być złe - rzekł Atticus. - Co to było?

- Pobiłem się z jednym, chciał mnie dźgnąć nożem.

- Udało mu się to?

- Tak, trochę, ale w niebołące miejsce. - Tom poruszył lewym ramieniem.

- Aha - powiedział Atticus. - Czy obu was skazano?

- Tak, psz...ana, ja siedziałem, bo nie miałem na grzywnę. On swoją zapłacił.

Dill pochylił się przede mną i zapytał Jema, co Atticus robi. Jem wyjaśnił, że Atticus pokazuje przysięgłym, że Tom nie ma nic do ukrycia.

- Czy znałeś Mayellę Violet Ewell? - zapytał Atticus:

- Znałem, psz...ana, musiałem przechodzić koło jej domu tam i nazad z pola co dzień.

- Z czyjego pola?

- Pracuję przy bawełnie u pana Linka Deasa.

- Pracowałeś przy bawelnie w listopadzie?

- Nie, psz...ana. Przez jesień i zimę pracuję u pana Deasa w ogrodzie. Cały rok stale pracuję u pana Deasa, tam jest mnóstwo orzeszników i różnej roboty.

- Mówisz, że musiałeś przechodzić koło domu Ewellów, idąc do pracy i wracając z pracy. Czy nie mogłeś chodzić inną drogą?

- Nie, psz...ana, nie wiem, żeby tam była inna droga.

- Tom, czy panna Ewell cię kiedy zagadywała?

- No, i owszem, psz...ana. Jak przechodziłem, to się kłaniałem kapeluszem i jednego dnia mnie poprosiła, żebym wszedł na podwórko i porąbał dla niej szafę.

- Kiedy cię poprosiła, żebyś porąbał tę szafę?

- Chyba tak na wiosnę. Pamiętam, bo już było obtłukiwanie bawełny i miałem motykę ze sobą. Powiedziałem, że mam tylko motykę, ale powiedziała, że ma siekierkę. Dała mi siekierkę i porąbałem tę szafę. Powiedziała: „To chyba muszę ci dać piątaka, prawda?” A ja powiedziałem: „Nie, psz...panny Ewell, to bez płacenia”. Potem poszedłem do domu i to było właśnie na wiosnę więcej niż rok temu.

- Czy od tamtego czasu wchodziłeś tam jeszcze?

- Tak, psz...ana.

- Kiedy?

- No, mnóstwo razy.

Sądzia Taylor odruchowo sięgnął po młotek, ale ręka mu opadła. Szmer wśród publiczności na dole ucichł bez jego interwencji.

- W jakich okolicznościach?

- Co, proszę?

- Dlaczego tyle razy wchodziłeś do niej na podwórko?

Zmarszczki na czole Toma Robinsona się wygładziły.

- Wołała mnie, psz...ana. Chyba co i raz, jak szedłem, miała dla mnie jakieś małe roboty... coś porąbać, złożyć rozpałkę, nanieść wody. Podlewała je, te czerwone kwiatki, co dzień...

- Dostawałeś zapłatę za swoje usługi?

- Nie, psz...ana, potem, jak mi chciała dać piątaka ten pierwszy raz, to już nie. Z miłą chęcią to robiłem. Pan Ewell chyba wcale jej nie pomagał i te dzieci także nie, i wiem, że ona nie ma centów do wyrzucania.

- Gdzie wtedy były tamte dzieci?

- Zawsze gdzieś niedaleko. Patrzyły, jak to robię... poniektóre, a poniektóre siedziały w oknie.

- Czy panna Mayella rozmawiała z tobą?

- Tak, rozmawiała.

Tom Robinson zeznawał dalej, a mnie przyszło nagle do głowy, że Mayella Ewell to chyba najsamotniejsze stworzenie pod słońcem. Jeszcze bardziej samotne niż dziki Radley od dwudziestu pięciu lat nie wychodzący na świat boży. Gdy Atticus zapytał ją o przyjaciół, wydawało się, że nawet nie rozumiała, o co mu chodzi, a potem uznała, że on się z niej wyśmiewa. Mayella - pomyślałam - jest tak smutna, jak ci, których Jem nazywa mieszanymi

dziećmi; biali nie chcą mieć z nią do czynienia, bo ona mieszka razem ze świniami; czarni nie chcą mieć z nią do czynienia, bo ona jest biała. Trudno by też jej było za przykładem pana Dolphusa Raymonda wybrać raz na zawsze towarzystwo czarnych, bo nie jest właścicielką żadnego brzegu rzeki i nie pochodzi ze starej dobrej rodziny. O Ewellach nikt nie powie: „Taki już mają zwyczaj”. Miasto Maycomb, chociaż obdarza ich koszykami prowiantu na Gwiazdkę i przyznaje im zapomogi, kręci na nich nosem. Prawdopodobnie tylko Tom Robinson, jeden jedyny, odnosił się do Mayelli przyzwyczajenie. Ale ona przecież powiedziała, że Tom ją wykorzystał, i wstając z fotela dla świadków, spojrzała na niego, jakby był błotem u jej stóp...

- Czy kiedykolwiek - przerwał Atticus moje rozmyślenia - wszedłeś na teren Ewellów... czy kiedykolwiek przestąpiłeś furtkę Ewellów bez wyraźnego zaproszenia ze strony któregoś z nich?

- Nie, psz...ana. Nigdy. Tego bym nie zrobił.

Atticus czasem mówił, że najlepszy sposób poznania, czy świadek kłamie, czy mówi prawdę, to nie tyle patrzeć na niego, ile go słuchać. Zastosowałam ten sprawdzian. - Tom zaprzeczył trzy razy jednym tchem, ale spokojnie, bez podnoszenia głosu, więc uwierzyłam mu, pomimo że protestował za dużo. Sprawiał wrażenie szanującego się Murzyna a żaden szanujący się Murzyn nie wszedłby na cudze podwórze z własnej inicjatywy.

- Tom, co robiłeś wieczorem dwudziestego pierwszego listopada w zeszłym roku?

Poniżej nas rozległo się jedno wielkie zbiorowe sapnięcie i głowy posunęły się do przodu. Za nami Murzyni też sapnęli i wychylili się ze swych miejsc.

Tom miał skórę jak czarny aksamit, nie błyszcząca, tylko matowoaksamitną. Białka mu jaśniały i gdy mówił, widzieliśmy biel jego zębów. Gdyby nie został kaleką, byłby wspaniałym okazem mężczyzny.

- Psz...ana, panie Finch - powiedział - wracałem wtedy wieczór jak zawsze i panna Mayella, jak szedłem koło obejścia Ewellów, była na ganku, tak jak mówiła, że była. Było tam jakoś cicho i nie wiedziałem, dlaczego. Myślałem sobie, dlaczego tam tak cicho, i szedłem, a tu ona mówi, żebym wszedł na chwilę i jej pomógł. No, to wszedłem na podwórko i patrzę, co mam porządkować na rozpałkę, ale nic nie zobaczyłem, a ona mówi: „Nie, coś mam dla ciebie do roboty w domu. Te drzwi takie stare i lecą z zawiasów, a już jesień tylko patrzeć”. Zapytałem się: „Jest tutaj śrubokręt, panno Mayello?” A ona powiedziała: „Pewnie, że jest”. No, więc wszedłem na schodki, a ona kiwnęła ręką, żeby wejść do środka, więc wszedłem do pokoju od frontu i oglądałem te drzwi. Powiedziałem: „Panno Mayello, te drzwi wyglądają w porządku”. Pociągnąłem je tam i nazad i zawiasy były dobre. A tu ona zatrasnęła te drzwi mi prosto w nos. Dziwiłem się, co tak cicho, i mi zaświtało, że nie ma dzieci niedaleko, ani jednego z nich, więc się zapytałem panny Mayelli, gdzie dzieci. - Czarna aksamitna twarz Toma zaczęła jednak błyszczeć, otarł ją dłonią. - Ja się zapytałem, gdzie dzieci, a ona mówi... śmieje się jakby... mówi, że poszli wszyscy na lody. Mówi: „Chyba z rok odkładałam te siedem piątków dla nich, ale odłożyłam. Wszyscy poszli do miasta na lody”. - Skrępowanie Toma nie było wywołane tym, że się spocił.

- Co wtedy powiedziałaś, Tom? - zapytał Atticus.

- Powiedziałem coś tak: - „Zmyślnie panna Mayella zrobiła, że im zafundowała”. A ona na to: „Tak uważasz?” Chyba mnie jakoś nie zrozumiała... ja chciałem powiedzieć, że zmyślnie te

centy odkładała i ładnie, że im zafundowała te lody.

- Rozumiem, Tom. Mów dalej - rzekł Atticus.

- No, powiedziałem, że już sobie pójdę, jak nie mam co dla niej zrobić, a ona mówi, że mam, a ja się pytam, co, a ona mówi, żeby wejść na to krzesło tam i ściągnąć tę skrzynkę z szafy.

- Czy z tej samej szafy, którą porąbałeś?

Świadek uśmiechnął się.

- Nie, z innej. Prawie wysokiej jak te ściany tam. Więc zrobiłem, jak mi przykazała, i sięgnąłem na szafę, a tu ona zniecka łapie mnie za nogi... za nogi mnie złapała, psz...ana. Tak okropnie się zląkłem, że skoczyłem i to krzesło się wywróciło... to chyba jedyna rzecz, psz...ana, jedyny mebel wywrócony w tym pokoju, jak stamtąd odszedłem. Przysięgam przed Bogiem.

- Co się stało, kiedy to krzesło się wywróciło?

Tom Robinson utknął w swych zeznaniach. Spojrzał na Atticusa, potem na sąd przysięgłych, potem na pana Underwooda, który siedział z przeciwległej strony sali.

- Tom, przysięgłeś mówić całą prawdę. Nie powiesz?

Tom zdenerwowany przesunął ręką po ustach.

- Co nastąpiło potem?

- Odpowiedz na to pytanie - odezwał się sędzia Taylor. Jedna trzecia jego cygara już zniknęła.

- Panie Finch, psz...ana, podniosłem się z tego krzesła i odwracam się, a tu ona jak gdyby doskoczyła do mnie.

- Doskoczyła do ciebie. Ze złością?

- Nie, ona... objęła mnie. Objęła mnie w pasie.

Tym razem młotek sędziego Taylora grzmotnął w stół i jednocześnie, jak gdyby na ten sygnał, światła u sufitu się zapaliły. Mrok jeszcze nie zapadł, ale popohidniowego słońca nie było już w oknach. Sędzia Taylor szybko przywrócił porządek.

- Co potem zrobiła?

Świadek przełknął ślinę.

- Wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek. Powiedziała, że jeszcze się nie całowała z mężczyzną. I właściwie nic jej nie szkodzi, że ja jestem czarnuch. Powiedziała, że wszystko jedno, co jej tata z nią zrobi. Powiedziała: „Ty też mnie pocałuj, czarnuchu”. Ja powiedziałem: „Niech mnie panna Mayella stąd wypuści”, i chciałem uciekać, ale ona oparła się plecami o drzwi i ani rusz, aż bym ją musiał odepchnąć. Mówię: „Niech panna Mayella da przejść”, a tu pan Ewell wrzeszczy przez okno.

- Co on powiedział?

Tom Robinson znów przełknął ślinę i oczy mu się rozszerzyły.

- Coś nieprzystojnego do mówienia... nieprzystojnego, żeby ci wszyscy tu i dzieci to słyszeli...

- Co on powiedział, Tom?

Musisz powtórzyć przysięgłym, co on powiedział.

Tom Robinson zacisnął powieki.

- Powiedział: „Kurwo cholerna, na śmierć cię zatłukę”.

- Co potem się stało?

- Panie Finch, psz...ana, leciałem tak prędko, że nie wiem, co się potem stało.

- Tom, czy zgwałciłeś Mayellę Ewell?

- Nie, nie, psz...ana..

- Nie skrzywdziłeś jej w żaden inny sposób?

- Nie skrzywdziłem, psz...pana.

- Opierałeś się jej zalotom?

- Staralem się. Staralem się tak, żeby nie być dla niej przykry. Nie chciałem być dla niej przykry, nie chciałem jej odpychać ani nic.

Przyszło mi na myśl, że Tom Robinson ma nie gorsze maniery niż Atticus. Dopiero później, gdy Atticus mi to wytłumaczył, zrozumiałam subtelna różnicę kryjącą się w trudnej sytuacji Toma. On nie mógł się poważyć na to, by podnieść rękę na białą kobietę w jakichkolwiek okolicznościach, jeśli życie mu było miłe, skorzystał więc z pierwszej okazji i uciekł, chociaż jest to zawsze niezbitym dowodem winy.

- Jeszcze, Tom, wróćmy do pana Ewella - rzekł Atticus. - Czy on powiedział coś do ciebie?

- Nic a nic, psz...ana. Może później, ale mnie tam już nie by...

- Wystarczy - przerwał mu Atticus ostro. - To, co słyszałeś, do kogo mówił?

- Do panny Mayelli przecież i patrzył na nią.

- Wtedy uciekłeś?

- Pewnie, że uciekłem, psz...ana.

- Dlaczego uciekłeś?

- Bałem się, psz...ana.

- Dlaczego się bałeś?

- Psz...ana, panie Finch, żeby pan był czarnuch jak ja, też by się pan bał.

Atticus usiadł. Do podium dla świadków już podchodził pan Gilmer, ale zanim tam dotarł, ze swego miejsca wśród publiczności wstał pan Link Deas.

- Ja tylko chcę - oznajmił pan Deas - żebyście wszyscy teraz wiedzieli jedno. Ten chłopiec pracował u mnie przez osiem lat i nigdy nie miałem z nim ani trochę kłopotu. Ani trochę.

- Milcz pan! - Z rykiem sędziego Taylor dobiegł się całkowicie. Był w dodatku bardzo różowy. Jakimś cudem cygaro nie przeszkadzało mu głośno mówić. - Link Deas! - wrzasnął. - Jeżeli chce się coś powiedzieć, to proszę, ale pod przysięgą i w odpowiednim czasie, a do tego czasu nie wolno siedzieć w sali, rozumiano? Wyjdź pan stąd, rozumiano? Prędzej diabli mnie porwą, niż mi się to jeszcze raz tutaj powtórzy!

Sztylet swego wzroku skierował na Atticusa, jak gdyby go wzywał do zabrania głosu, ale Atticus z głową pochyloną śmiał się w klapę marynarki. Przypomniałam sobie, jak mówił kiedyś, że uwagi sędziego Taylora *ex cathedra* nieraz wykraczają poza sędziowskie kompetencje, a jednak rzadko się zdarza, by adwokaci przeciwko nim protestowali. Spojrzałam na Jema, ale Jem potrząsnął głową.

- To nie jest tak, jakby wstał któryś z przysięgłych i zaczął mówić od siebie - wyjaśnił. - Wtedy byłoby chyba inaczej. Pan Link po prostu zakłócił spokój czy coś takiego.

Sędzia Taylor polecił protokolantowi wykreślić wszystko, co zostało zaprotokołowane po

słowach „Psz...ana, panie Finch, żeby pan był czarnuch jak ja, też by się pan bał”, i zwrócił się do przysięgłych, żeby tej przerwy nie brali pod uwagę. Przez chwilę podejrzliwie patrzył na salę, czekając zapewne, kiedy pan Link Deas ją opuści. Potem powiedział:

- Prosimy, panie Gilmer.
- Dostałeś trzydzieści dni aresztu za zakłócenie spokoju publicznego, Robinson?
- Tak, psz...ana.
- Jak wyglądał tamten Murzyn, kiedy się z nim załatwiłeś?
- To on mnie tłuł, psz...ana.
- Tak, ale ciebie skazano, prawda?

Atticus podniósł głowę.

- To wykroczenie figuruje w aktach, Wysoki Sądzie.

Pomyślałam, że Atticus już się zmęczył.

- Świadek jednak odpowie - rzekł sędzia Taylor głosem równie znużonym.

- Tak psz...ana, dostałem trzydzieści dni.

Z góry wiedziałam: pan Gilmer oznajmi przysięgłym, że ktoś, kto został skazany za zakłócenie spokoju publicznego, doskonale mógł się nosić z zamiarem wykorzystania Mayelli Ewell, i chodzi panu Gilmerowi tylko o to, by w ten sposób to uzasadnić. Takie uzasadnienia pomagają.

- Robinson, nieźle rąbiesz szafy i drewno na podpałkę jedną ręką?

- Tak, chyba.

- Dość jesteś silny, żeby dusić kobietę i powalić ją na podłogę?

- Nigdy tego nie robiłem, psz...ana.

- Ale siły masz na to dosyć?

- Chyba, psz...ana.

- Ona już dawno wpadła ci w oko, prawda, chłopcze?

- Nie. Nigdy na nią nie patrzyłem.

- Więc to dlatego, że byłeś taki rycerski, rąbałeś dla niej drzewo i nosiłeś wodę, co, chłopcze?

- Po prostu chciałem jej pomóc, psz...ana.

- Bardzo to szlachetnie z twojej strony, tym bardziej że miałeś chyba jakieś obowiązki domowe po zwykłej pracy?

- Miałem, psz...ana.

- Czemu ich nie wypełniałeś, zamiast oddawać usługi pannie Ewell?

- Robiłem to i to, psz...ana.

- Sporo więc brałeś na siebie roboty. Dlaczego?

- Co dlaczego, psz...ana?

- Dlaczego tak się paliłeś do pomagania tej kobiecie w jej obowiązkach domowych?

Tom Robinson zawahał się, szukając odpowiedzi.

- Wyglądało, że ona nie ma nikogo, co by jej pomógł, jak mówię...

- Chociaż był tam pan Ewell i było siedmioro dzieci, chłopcze?

- No, mówię, że wyglądało, że oni jej wcale nie pomagają...

- Rąbałeś szafy i pracowałeś tam z czystej dobroci serca, chłopcze?

- Staralem się jej pomóc, psz...ana.

Pan Gilmer ponuro uśmiechnął się do przysięgłych.

- Bardzo zacny z ciebie facet, jak się zdaje... Robiłeś to wszystko, chociaż nie dostawałeś za to ani grosza?

- Tak. Żal mi jej było po prostu... ona chyba starała się więcej niż oni wszyscy.

- Tobie było jej żal? Tobie było jej żal? - Pan Gilmer rósł do sufitu.

Świadek uprzytomnił sobie, że popełnił błąd, i poruszył się niespokojnie w fotelu. Ale zło już się stało. Nikomu na dole nie spodobała się odpowiedź Toma Robinsona. Pan Gilmer w milczeniu czekał przez dłuższą chwilę, żeby ta odpowiedź dobrze wszystkim zapadła w pamięć.

- No więc dwudziestego pierwszego listopada przechodziłeś jak zwykle koło tego domu - powiedział wreszcie - i ona cię poprosiła, żebyś wszedł i porąbał szafę?

- Nie.

- Zaprzeczasz temu, że przechodziłeś tamtędy?

- Nie... Powiedziała, że ma dla mnie do roboty coś w domu...

- Ona mówi, że cię prosiła, żebyś porąbał szafę. Czy tak było?

- Nie, nie było.

- Więc mówisz, że ona kłamie, chłopcze?

Atticus poderwał się, ale Tom Robinson go nie potrzebował.

- Nie mówię, że ona kłamie, panie Gilmer. Mówię, że jej się pomieszało.

Na następne pytania, gdy pan Gilmer odtwarzał wersję Mayelli, świadek stale odpowiadał, że jej się pomieszało.

- Pan Ewell nie wygonił cię z domu, chłopcze?

- Nie. Chyba nie.

- Chyba nie. Co to znaczy?

- To znaczy, że nie zostałem tak długo, żeby mnie wygonił.

- Bardzo szczerze, prawda, tłumaczysz, dlaczego uciekłeś tak szybko?

- Przecież mówię, że się bałem, psz...ana.

- Jeżeli miałeś czyste sumienie, to czego się bałeś?

- Już mówiłem, niebezpiecznie dla każdego czarnucha być w... takim kłopcie.

- Ale tyś nie był w kłopcie... Zznałeś, że opierałeś się pannie Ewell. Tak więc się bałeś, że ona ci zrobi krzywdę, że aż uciekłeś... ty, taki wielki byk?

- Nie, psz...ana, bałem się być w sądzie, jak teraz jestem.

- Bałeś się aresztowania, bałeś się, że będziesz musiał odpowiadać za to, co uczyniłeś.

- Nie, bałem się, że będę musiał odpowiadać za to, czego nie uczyniłem.

- Robisz się bezczelny, chłopcze.

- Nie, psz...ana, nie robię

Więcej już nic nie słyszałam z krzyżowego ognia pytań pana Gilmera, bo Jem kazał mi wyprowadzić Dilla. Nie wiadomo dlaczego Dill zaczął płakać i nie mógł się uspokoić; zrazu łyzy mu kapały cicho, ale potem rozszlochał się na dobre i usłyszało to kilka osób na galerii. Jem powiedział, że jeśli natychmiast z Dilem nie wyjdę, to on mnie naprawdę zmusi, w czym poparł

go wolebnny Sykes mówiąc, że lepiej będzie, jak wyjdę, więc wyszłam. Przypuszczałam, że Dill, który dotychczas przez cały ten dzień zachowywał się normalnie i nic mu nie dolegało, niezupełnie jednak wrócił do siebie po tej swojej ucieczce.

- le się czujesz? - zapytałam, gdyśmy zeszli na dół.

Dill spróbował wziąć się w garść i dobiegliśmy do schodków południowego przedsionka. Na najwyższym stopniu jak samotny posąg stał pan Link Deas.

- Coś się dzieje, Smyk? - zapytał, gdy go mijaliśmy.

- Nic, proszę pana - odpowiedziałam przez ramię. - Tylko Dillowi niedobrze.

- Wyjdźcie na powietrze pod drzewa - poradził pan Link Deas. - To pewnie z tego upału.

Wybraliśmy najgrubszy dąb i usiedliśmy w cieniu.

- Taki był, że już nie mogłem wytrzymać - powiedział Dill.

- Kto? Tom?

- Ten stary pan Gilmer... żeby tak to prowadzić, tak wstrętnie z nim rozmawiać...

- Dill, to jego posada. No, gdybyśmy nie mieli prokuratorów... no to byśmy nie mogli mieć obrońców, zdaje mi się.

Dill cierpliwie wdychał powietrze.

- Ja to wszystko wiem, Smyk. Tylko aż mdliło, jak on mówił, po prostu mnie mdliło.

- On tak właśnie ma mówić, Dill, wziął go w krzyżowy ogień pytań...

- Ale mówił inaczej, kiedy...

- Dill, bo tamci to byli świadkowie jego oskarżenia.

- No, pan Finch nie odnosił się tak do Mayelli i do tego starucha Ewella, kiedy ich brał w swój krzyżowy ogień. Żeby tak mówić „chłopcze” przez cały czas i naigrawać się, i oglądać na przysięgłych za każdym razem, kiedy on odpowiadał...

- No, Dill, ostatecznie to tylko Murzyn.

- Co z tego? Nie jest w porządku, bardzo nie jest w porządku tak z nim postępować. Nikt nie ma powodu tak rozmawiać... aż mnie mdli.

- Pan Gilmer taki ma już zwyczaj, Dill, on ze wszystkimi tak robi. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby był dla kogoś bardzo dobry. No, kiedy... no, pan Gilmer dzisiaj nawet w połowie nie był taki przykry, jak zawsze. Oni wszyscy tak robią, to znaczy większość adwokatów.

- Pan Finch nie.

- Atticus nie jest najlepszym przykładem, Dill. Atticus... - Bezradnie szukałam w pamięci któregoś z bystrych określeń pani Maudie Atkinson. Znalazłam: - Jest taki sam, czy to w sali sądowej, czy publicznie na ulicy.

- Nie o to mi chodzi - powiedział Dill.

- Wiem, o co ci chodzi, młodzieńcze - rozległ się głos za nami. W pierwszej chwili myśleliśmy, że go słyszymy z dziupli tego dębu, ale to był głos pana Dolphusa Raymonda, który sam już wychylał się do nas zza pnia. - Nie jesteś gruboskórny, dlatego cię mdli, prawda?

- Chodź tu do mnie, synu. Mam dla ciebie dobrą rzecz na żołądek.

Ponieważ pan Dolphus Raymond był złym człowiekiem, to zaproszenie przejęło mnie niechęcią, poszłam jednak za Dilem. Coś mi szeptało, że Atticus chyba nie byłby zadowolony z naszych stosunków towarzyskich z panem Dolphusem Raymondem, a już ciocia Alexandra nie byłaby z nich zadowolona na pewno.

- Proszę - rzekł pan Raymond, podając Dillovi papierową torebkę z dwiema słómkami w środku. - Łyknij sobie porządnie, to cię uspokoi.

Dill possał słómkę ostrożnie, uśmiechnął się i zaczął ciągnąć duszkiem.

- Hi, hi - powiedział pan Raymond, któremu najwidoczniej rozkosz sprawiało deprawowanie dzieci.

- Dill, uważaj no - ostrzegłam.

Dill wypuścił słómkę z ust i roześmiał się od ucha do ucha.

- Smyk, to coca-cola, nic tylko coca-cola.

Pan Raymond usiadł, opierając się o drzewo. Do tej chwili leżał na trawie.

- Wy mali, nie wygadacie, prawda? Opinię byście mi zepsuli na amen.

- Czy to znaczy, że pan zawsze z tej torebki pije coca-colę? Zwyczajną coca-colę?

- Aha - przytaknął pan Raymond. Ładnie pachniał: skórą, końmi i nasionami bawełny. Na nogach miał jedyne angielskie buty do konnej jazdy, jakie dotychczas zdarzyło mi się widzieć. - Tylko to piję poważnie...

- Więc pan tylko na niby jest wciąż trochę pod... - Ugryzłam się w język. - Przepraszam pana. Nie chciałam być...

Pan Raymond zachichotał, bynajmniej nie obrażony, a ja spróbowałam sformułować swe pytanie taktowniej:

- Dlaczego pan tak robi, jak pan robi?

- Dlaczego... och, pytasz, dlaczego udaję? No, to bardzo proste - wyjaśnił pan Raymond. - Wielu jest takich, którzy... którym nie podoba się styl mojego życia. Otóż mógłbym powiedzieć: „Niech ich diabli porwą, w nosie mam, co sobie myślą o mnie”, a ja mówię: „W nosie mam, co myślą”, i owszem, ale nie mówię: „Niech ich diabli”, rozumiecie?

Dill i ja odpowiedzieliśmy:

- Nie, proszę pana.

- Staram się podać im wytłumaczenie, rozumiecie? Ludziom zawsze się przydaje jakieś wytłumaczenie. Kiedy przyjeżdżam do miasta, co zresztą bywa rzadko, zawsze trochę bredzę i popijam z torebki, żeby ludzie mogli mówić: „Dolphus Raymond w szponach whisky. On w tym tkwi po uszy. Nie daje sobie rady sam ze sobą, dlatego tak żyje”.

- To nieuczciwie, proszę pana, robić z siebie gorszego, niż się już jest...

- Nieuczciwie, ale bardzo pomaga w stosunku do ludzi. W sekrecie pani powiem, panno Finch, że ja nie bardzo lubię wlewać w siebie tyle płynu, ale widzicie, oni by nigdy, nigdy nie zrozumieli tego, że ja tak żyję, bo właśnie tak chcę żyć.

Doznałam uczucia, że nie powinnam słuchać tych wywodów starego grzesznika, który ma

mieszane dzieci i wcale się z tym nie kryje, ale on był urzekający. Po raz pierwszy natknęłam się na kogoś, kto rozmyślnie popełnia oszustwo kosztem samego siebie. Ale dlaczego on nam zwierzył ten swój najgłębszy sekret? Zapytałam go, dlaczego.

- Dlatego, że jesteście dziećmi, więc potraficie to zrozumieć - odpowiedział - i dlatego, że słyszałem, co mówił ten mały... - Ruchem głowy wskazał Dilla. - Życie jeszcze nie zdążyło zmać mu instynktu. Za parę lat on już nie będzie mieć mdłości, już nie będzie płakać. Może niektóre sprawy będą go uderzały tym, że są... niezupełnie takie, jak być powinny, ale on już nie będzie płakać, kiedy trochę podrośnie.

- Płakać, a po co, proszę pana? - W Dillu odezwał się mężczyzna.

- Płakać nad tym piekłem po prostu, jakie jedni stwarzają drugim... nawet się nie zastanawiając. Płakać nad piekłem, jakie biali stwarzają kolorowym, nawet nie próbując się zastanawiać, że to też ludzie.

- Atticus mówi, że oszukanie kolorowego jest sto razy gorsze niż oszukanie białego - wymamrotałam. - Mówi, że to największa podłość.

Pan Raymond powiedział:

- Nie sądzę, by... Panno Jean Louise, pani nie wie, że pani tatuś nie jest przeciętnym człowiekiem, jeszcze za mało ma pani latek, żeby to pojąć... jeszcze nie dość się pani napatrzyła na ten świat. Nie zna pani tego miasteczka, no, ale żeby je poznać, wystarczy wrócić do sali sądu.

To mi przypomniało, że tracimy przecież mnóstwo z krzyżowego ognia pytań pana Gilmera. Spojrzałam na słońce, które szybko osuwało się za dachy sklepów z zachodniej strony rynku. Jak muł między owsem i sianem nie mogłam się zdecydować, co wybrać: pana Raymonda czy Piąty Sąd Obwodowy?

- Chodźmy, Dill - powiedziałam. - Już dobrze się czujesz?

- Tak. Cieszę się, że pana poznałem, panie Raymond, i dziękuję za cocę, świetnie mi zrobiła.

Popędziliśmy z powrotem do sądu - po schodkach, a potem po schodach, na pierwsze piętro i na drugie, i bokiem przesunęliśmy się wzdłuż poręczy galerii. Wielebny Sykes dopilnował, by nikt nie zajął naszych miejsc.

W sali panowała taka cisza, że znów zaniepokoiłam się o te niemowlęta. Cygaro sędziego Taylora było już tylko brązową plamką w jego ustach; pan Gilmer na wyścigi z protokolantem, któremu dłoń gwałtownie podrygiwała, pisał coś w jednym z żółtych bloków leżących na jego stole.

- Klops - mruknęłam - tyle straciliśmy.

Atticus chyba już od dawna przemawiał do przysięgłych. Na jego stole też leżały teraz papiery wyjęte widocznie z teczki opartej o jego krzesło. Tom Robinson przebierał je palcami.

- ...braku jakichkolwiek dowodów potwierdzających, ten człowiek stoi przed sądem oskarżony o przestępstwo główne, za które grozi mu kara śmierci...

Szturchnęłam Jema.

- Długo już mówi?

- Właśnie skończył z materiałem dowodowym - szepnął Jem - i wygramy, Smyk. Niemożliwe, żebyśmy nie wygrali. Mówi od pięciu minut mniej więcej. Wykazał to tak czarno na

białym, jak... no, tak jak ja bym tobie to wytłumaczył. Nawet ty byś zrozumiała.

- Czy pan Gilmer...?

- Psst... Nic nowego, tylko to, co zwykle. Cicho bądź teraz.

Znów skierowaliśmy wzrok na dół. Atticus mówił swobodnie tonem obojętnym, jakim zazwyczaj dyktował listy. Spacerował wolno tam i z powrotem przed ławą przysięgłych, którzy słuchali go chyba uważnie; głowy mieli podniesione i wodzili oczami za spacerującym Atticusem raczej z uznaniem. Pewnie dlatego, że Atticus nie grzmiał.

Atticus umilkł, a potem zrobił coś, czego zwykle nie robił: odpiął dewizkę z zegarkiem i położył ją na stole, zwracając się do sędziego Taylora:

- Za pozwoleniem Wysokiego Sądu...

Sędzia Taylor skinął głową i wtedy Atticus zrobił coś, czego na moich oczach nie robił nigdy - ani przedtem, ani potem, publicznie ani w domu: rozpiął kamizelkę, rozpiął kołnierzyk, rozluźnił krawat i zdjął marynarkę. Ponieważ zawsze chodził starannie ubrany, nie zdejmując z siebie żadnych części garderoby, dopóki nie kładł się spać, Jemowi i mnie wydawał się nieomal nagi. Wymieniliśmy przerażone spojrzenia.

Atticus włożył ręce do kieszeni i odwrócił się do przysięgłych z raptownym, złotym w świetle błyskiem guzika przy kołnierzyku i nakrętek pióra i ołówka.

- Panowie! - powiedział.

Jem znów spojrzał na mnie, ja znów spojrzałam na Jema. Atticus równie dobrze mógłby powiedzieć „Smyk!”. Głos jego nie brzmiał już ani sucho, ani obojętnie i gdybyśmy nie wiedzieli, że on przemawia teraz do sądu przysięgłych, mogłoby się wydawać, że gawędzi ze znajomymi na rogu przed pocztą.

- Panowie - mówił - będę się streszczał, ale korzystając z czasu, jaki mi pozostał dla was, chciałbym zwrócić uwagę, że ta sprawa nie jest sprawą trudną, nie wymaga drobiazgowego przesiewania faktów, wymaga jednak, żebyście byli ponad wszelką wątpliwość pewni, że oskarżony jest winien. Zacząć należy od tego, że ta sprawa nie powinna być przedmiotem procesu. Jest jasna i prosta. Oskarżenie nie dostarczyło żadnego świadectwa lekarskiego na dowód, że przestępstwo, o które oskarżono Toma Robinsona, w ogóle miało miejsce. Cały materiał dowodowy ogranicza się do zeznań dwóch świadków, czyli do świadectwa, które nie tylko zostało poważnie zakwestionowane w czasie przesłuchania... ale któremu oskarżony stanowczo zaprzeczył. Winien jest nie oskarżony, winien jest ktoś inny w tej sali.

Dla głównego świadka oskarżenia czuję litość, jednak nie aż tak dalece, by litować się nad tą dziewczyną, która rzuciła na szalę życie człowieka, usiłując zrzucić z siebie własną winę.

Mówię „winę”, panowie, bo kierowało nią poczucie winy. Nie popełniła ona żadnej zbrodni, po prostu złamała sztywne i uświęcone przez czas zasady naszego społeczeństwa, zasady tak surowe, że każdego, kto raz je złamie, psami się szczuje i wydalą z naszego środowiska jako jednostkę nie nadającą się do współżycia. Ta dziewczyna jest ofiarą okrutnej nędzy i ciemnoty, ale litować się nad nią nie mogę; jest biała. W pełni zdawała sobie sprawę z potworności swego wykroczenia, a przecież pragnienie jej było mocniejsze niż zasady, które chciała złamać, więc obstawała przy ich złamaniu. Otóż to: obstawała; i jej późniejsza reakcja jest czymś, co wszyscy dobrze znamy z najróżniejszych sytuacji życiowych. Zrobiła coś, co robi każde dziecko -

spróbowała usunąć dowód swego wykroczenia. W tym jednak wypadku nie była dzieckiem ukrywającym skradzioną rzecz; wymierzyła cios w swego kozła ofiarnego... z konieczności próbowała go usunąć, żeby raz na zawsze zniknął z jej orbity, z tego świata. Musiała zniszczyć dowód swego wykroczenia.

Co było dowodem jej wykroczenia? Tom Robinson, człowiek. Musiała usunąć Toma Robinsona sprzed oczu. Tom Robinson codziennie by jej swym widokiem przypominał to, co uczyniła. Aco uczyniła? Na pokuszenie wodziła czarnego.

Jest biała, a uwodziła czarnego. Dopuściła się czegoś, co w naszym społeczeństwie jest rzeczą nie do pomyślenia; pocałowała Murzyna. Nie jakiegoś starego Wuja Toma, tylko silnego, młodego Murzyna-mężczyznę. Żadne zasady nie miały dla niej znaczenia, dopóki ich nie złamała, ale później, poczuła ich brzemień.

Widział ten fakt jej ojciec i oskarżony powtórzył nam jego uwagi. Co zrobił jej ojciec? Nie wiemy, ale jest dowód pośredni na to, że Mayella Ewell została bezlitośnie pobita przez kogoś, kto posługiwał się prawie wyłącznie lewą ręką. Częściowo jednak wiemy, co zrobił pan Ewell: postąpił tak, jak w tych okolicznościach postąpiłby każdy żyjący w bojaźni bożej, szanujący się i wierny swym zasadom biały... wniósł zaprzysiężone oskarżenie i uzyskał nakaz aresztowania, niewątpliwie podpisując go lewą ręką, i oto Tom Robinson siedzi tu przed wami po złożeniu przysięgi... po podniesieniu do przysięgi swej jedynej sprawnej ręki, ręki prawej.

Tak to spokojny, przyzwoity, skromny Murzyn, który miał prawdziwą czelność powiedzieć, że „żał mu” było białej kobiety, musiał zaprzeczyć słowu dwojga białych. Nie potrzebuję wam przypominać, jak tych dwoje przedstawiło się i zachowywało na podium, bo widzieliście to sami. Świadczenie oskarżenia, z wyjątkiem szeryfa hrabstwa Maycomb, zaprezentowali się wam, panowie, i Wysokiemu Sądowi cynicznie ufni, że ich świadectwo nie zostanie podane w wątpliwość... ufni, że wy, panowie, pójdziecie po ich linii, postępując w myśl założenia, niegodziwego założenia, że wszyscy Murzyni kłamią, wszyscy Murzyni są z gruntu niemoralni, wszyscy Murzyni zagrażają czci naszych kobiet... w myśl założenia godnego tylko kogoś na takim poziomie umysłowym, jak oni.

Założenie to, jak wiemy, panowie, samo w sobie jest kłamstwem tak niewątpliwie, jak czarna jest skóra Toma Robinsona, kłamstwem, którego nie muszę wam wykazywać. Prawdę przecież znacie, a prawda jest taka: niektórzy Murzyni kłamią, niektórzy Murzyni są z gruntu niemoralni, niektórzy Murzyni zagrażają czci kobiet... zarówno czarnych, jak białych. Ale ta prawda odnosi się do całej ludzkości niezależnie od koloru skóry. Nie ma tu nikogo w tej sali, kto by nigdy w życiu nie skłamał, kto by nigdy nie popełnił czynu niemoralnego, nie ma takiego mężczyzny, który by nigdy nie spojrzał pożądliwie na kobietę.

Atticus umilkł i wyciągnął z kieszeni chustkę. Potem zdjął okulary i przetarł je, i wtedy znów zobaczyliśmy coś „po raz pierwszy”. Atticus, chociaż w przeciwieństwie do większości mężczyzn raczej się nie pocił, miał teraz twarz spoconą i lśniąca.

- Jeszcze jedno, panowie, na zakończenie. Thomas Jefferson kiedyś powiedział, że wszyscy ludzie rodzą się sobie równi... zdanie, które jankesi i wszyscy spowinowaceni z rządem w Waszyngtonie lubią nam rzucać w twarz. Pewni ludzie w tym roku pańskim tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym wykazują skłonność do posługiwania się tą sentencją na chybił trafił,

dopasowując ją do wszelkich okoliczności. Najśmieszniejszy przykład, jaki mi przychodzi na myśl, to fakt, że czynniki kierujące szerzeniem oświaty popierają leniwych i tępych tak samo, jak pracowitych. „Wszyscy ludzie rodzą się sobie równi - z powagą powiedzą wam ci pedagodzy - a dzieci opóźnione ulegają straszliwym kompleksom niższości”. Wiemy doskonale, że nie wszyscy rodzą się sobie równi w takim sensie, w jakim pewne jednostki chciałyby nas o tym przekonać. Niektórzy są mądrzejsi niż inni; niektórzy mają większe szanse życiowe, bo już z nimi przyszli na ten świat; niektórzy zarabiają więcej pieniędzy... niektóre panie lepiej pieką ciasto; niektórzy wreszcie rodzą się z talentami i dzięki temu wyrastają ponad ogół.

Ale jest w naszym kraju miejsce, gdzie równi sobie są wszyscy... jest jedna ludzka instytucja, gdzie żebrak równy jest Rockefellerowi, głupiec Einsteinowi, nieuk rektorowi uniwersytetu. Ta instytucja, panowie, to sąd. Tak samo Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, jak najskromniejszy trybunał sędziego pokoju na prowincji, bądź też czcigodny sąd, w którym teraz wy zasiadacie. Nasze sądy mają swoje wady, bo jakaż instytucja stworzona przez ludzi ich nie ma? Ale w naszym kraju nasze sądy są wielkimi obrońcami równości społecznej i w naszych sądach wszyscy są sobie równi.

Nie jestem idealistą niezłomnie wierzącym w prawość naszych sądów i doskonałość systemu ławy przysięgłych. To dla mnie nie ideał, to żywa powszednia rzeczywistość. Panowie, żaden sąd nie jest wart więcej niż każdy z was siedzący na tej ławie tutaj przede mną. Sądy są tylko tak zdrowe, jak zdrowe są ich ławy przysięgłych, a ławy przysięgłych są tylko tak zdrowe, jak ci, którzy na nich zasiadają.

Ufam, że wy, panowie, rozpatrzą bez zaciętrzewienia przedstawiony wam materiał dowodowy i w wyniku waszej decyzji oskarżony wróci do swej rodziny. W imię Boga czyńcie swoją powinność.

Głos Atticusa przycichł, więc ostatnich jego słów, gdy się odwracał od przysięgłych, już nie dosłyszałam. Powiedział to zresztą raczej do siebie niż do sądu. Szturchnęłam Jema.

- Co on mówi?

- W imię Boga uwierzcie mu. Chyba tak powiedział.

Dill nagle wyciągnął rękę przede mną i pociągnął Jema za ramię.

- Patrz!

Popatrzyliśmy w kierunku jego palca i serca w nas zamarły. Środkiem sali prosto do Atticusa szła Calpurnia.

21

Nieśmiało zatrzymała się przy poręczy, czekając, by spojrzeć na nią sędzia Taylor. Wystrojona w czystutki fartuch trzymała w ręce kopertę.

Sędzia Taylor zobaczył ją i zapytał:

- To Calpurnia, prawda?

- Tak, panie sędzio - odrzekła. - Czy mogę dać tę wiadomość panu Finchowi, proszę pana? To nic wspólnego z tym... z tym procesem.

Sędzia Taylor skinął głową i Atticus wziął tę kopertę od Calpurnii. Otworzył ją, przeczytał kartkę, którą w niej znalazł, i powiedział:

- Wysoki Sądzie, to... kartka od mojej siostry. Pisze, że moje dzieci zginęły, nie ma ich od południa... Czy... czy można...

- Ja wiem, gdzie one są, Atticus - odezwał się pan Underwood. - Siedzą tam na galerii kolorowych... dokładnie od godziny pierwszej osiemnaście po południu.

Nasz ojciec odwrócił się i spojrzał w górę.

- Jem, zejdźcie stamtąd - zawołał.

Potem powiedział do sędziego Taylora coś, czego już nie słyszeliśmy. Przegramoliliśmy się przez wielebnego Sykesa i ruszyliśmy na dół.

Atticus i Calpurnia czekali przy schodach. Calpurnia miała minę, że nie daj Boże, ale Atticus był wyraźnie wyczerpany.

Jem skakał w podnieceniu.

- Wygraliśmy, prawda?

- Nie wiem - rzekł Atticus krótko. - Byliście tu przez całe popołudnie? Wróćcie teraz z Calpurnią na kolację i macie już dzisiaj nie wychodzić z domu.

- Oj, Atticus, pozwól nam jeszcze przyjść tutaj - poprosił Jem. - Błagam, pozwól nam usłyszeć wyrok, błagam, ojczy!

- Przysięgli może wrócą w ciągu minuty, nie wiadomo... -Ale widać było, że Atticus mięknie. - No, słyszeliście już tyle, równie dobrze możecie usłyszeć resztę. Coś wam powiem: możecie wrócić po kolacji... tylko nie spieszcie się z jedzeniem, nie ominie was nic ważnego... i gdyby przysięgłych jeszcze nie było, możecie zaczekać razem z nami. Ale spodziewam się, że zanim wrócicie, będzie już po wszystkim.

- Myślisz, że oni tak szybko go uniewinnią?

Atticus otworzył usta do odpowiedzi, rozmyślił się jednak, zamknął je i odszedł bez słowa.

Modliłam się, żeby wielebny Sykes nie wpuścił nikogo na nasze miejsca, ale przestałam się modlić, gdy sobie przypomniałam, że po wyjściu przysięgłych publiczność zawsze masowo opuszcza salę... będzie dziś tłok w drogerii i w kawiarni „O.K.", to znaczy, jeśli ludzie nie przywieźli sobie z domu również kolacji.

Posłusznie maszerowaliśmy z Calpurnią.

- ...ze skóry was żywcem obedrę za ten pomysł, żebyście wy, dzieci, słuchały tego wszystkiego! Pan Jem żeby nie miał dość oleju w głowie i jeszcze małą siostrzyczkę zabrał na taki proces! Panią Alexandrę sparaliżuje, jak jej powiem! To wcale nie dla dzieci... - Latarnie się paliły i przechodząc pod nimi, widzieliśmy oburzony profil Calpurnii. - Panie Jem, myślałam, że masz choć trochę oleju w tej głowie... co za pomysł, małą siostrzyczkę! Co za pomysł, panie Jem! Jak ci nie wstyd! Za grosz rozumu!

Radość moja nie miała granic. W takim tempie stało się tyle rzeczy, że chyba całych lat potrzeba na uporządkowanie ich w pamięci, i to teraz Calpurnia naciera uszu swemu najdroższemu Jemowi, aż miło... jakie jeszcze cuda przyniesie ten wieczór?

Jem chichotał:

- Nie chcesz, żebym ci o tym opowiedział, Cal?

- Zamknij jadaczkę, szanowny panie! Powinieneś nosem szorować po ziemi z tego wstydu, a ty się śmiejesz... - Calpurnia zaktualizowała szereg zardzewiałych pogroźek, które jednak nie wzbudziły w Jemie dużej skruchy, i pożeglowała na schodki werandy z sakramentalnym: - Jeżeli pan Finch ci nie sprawi lania, ja to zrobię za niego. Właż do domu, panie Jem!

Jem wszedł z uśmiechem od ucha do ucha, a Calpurnia już niemo kiwnęła głową na znak, że Dill może zjeść kolację u nas.

- Tylko zadzwoń do panny Rachel i powiedz, gdzie jesteś - poleciła Dillowi. - Panna Rachel nieprzytomnie się ciebie naszukała... uważaj, żeby cię jutro z samego rana nie odesłała do Meridian.

Ciocia Alexandra omal nie zemdląła, dowiadując się od Calpurnii, gdzieśmy byli. Gdy powiedzieliśmy, że Atticus nam pozwolił, chyba poczuła się bardzo dotknięta, bo ani słowem nie odezwała się przy kolacji. Ze smutkiem patrzyła na jedzenie i tylko dziobała je widelcem, podczas gdy Calpurnia zajmowała się Jemem, Dilem i mną, jakby się mściła na nas w jej imieniu.

- Wstyd!!! Wstyd!! Wstyd! - burczała we wszystkich możliwych tonacjach, dolewając nam mleka, nakładając na talerze sałatkę z kartofli i szynkę. - Jedzcie powoli, no! - rozkazała ostatecznie.

Wielebny Sykes pilnował naszych miejsc. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że nie było nas prawie godzinę i co więcej, że w sali przez ten czas niewiele się zmieniło. Brak było tylko przysięgłych, oskarżonego i sędziego Taylora, który jednak przyszedł, gdyśmy siadali.

- Nikt chyba się nie ruszył - zauważył Jem.

- Niektórzy owszem, kiedy przysięgli wyszli - poinformował nas wielebny Sykes. - Na dole ludzie przynieśli swoim kobietom kolację i one nakarmiły dzieci.

- Długo ich nie ma? - zapytał Jem.

- Jakieś pół godziny. Pan Finch i pan Gilmer jeszcze przemawiali i sędzia Taylor pouczał przysięgłych.

- Jak? - zapytał Jem.

- Jak mówił? Och, dobrze. Ja mu nic nie zarzucam... jest sprawiedliwy. Powiedział coś, że jeżeli macie takie przekonanie, to musicie wydać taki wyrok, a jeżeli macie takie, to musicie wydać inny. A już myślałem, że on się trochę przechyla na naszą stronę... - Wielebny Sykes podrapał się po głowie.

Jem się uśmiechał.

- Nie wolno mu się przechylać, panie pastorze, ale nie denerwujmy się, wygramy - ręczył z wyżyn swej mądrości. - Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek sąd przysięgłych mógł uznać go winnym po tym wszystkim, cośmy tu usłyszeli...

- No, to wcale nie takie pewne, panie Jem. Ja jeszcze nie widziałem żadnego sądu przysięgłych, który by rozstrzygnął na korzyść kolorowych, a nie białych...

Ale Jem przeciwstawił się wielebnemu Sykesowi i nie pytając, czy chcemy, czy nie, uraczył nas długim przeglądem materiału dowodowego zaprawionym jego, Jema, poglądami na kodeks karny w odniesieniu do gwałtu; to nie gwałt, jeśli ona człowiekowi pozwala, byleby miała osiemnaście lat... to znaczy w stanie Alabama... a Mayella ma przecież dziewiętnaście. Żeby był

gwałt, trzeba wyraźnie kopać i wrzeszczeć, trzeba dać się powalić i podeptać, najlepiej tracąc od razu przytomność. Poniżej lat osiemnastu tego wszystkiego nie trzeba.

- Panie Jem - zaprotestował wielebny Sykes. - Nie przystoi o takich rzeczach mówić przy panienkach...

- Oj, ona pojęcia nie ma, o czym mówimy - powiedział Jem. - Smyk, prawda, że to dla ciebie za dorosłe?

- Na pewno nie, każde twoje słowo rozumiem.

Może zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo Jem ucichł i już nie podjął tematu.

- Która godzina, panie pastarze? - zapytał po chwili.

- Ósma dochodzi.

Spojrzałam w dół na Atticusa spacerującego z rękami w kieszeniach; przeszedł obok okien, potem wzdłuż poręczy i podszedł do łoża przysięgłych. Zajrzał tam, poddał króciutkim oględzinom sędziego Taylora na jego tronie, a potem znów wrócił, skąd wyruszył. Napotkałam jego wzrok i pomachałam ręką. Odpowiedział mi skinieniem głowy i znów zaczął spacerować.

Pan Gilmer przy oknie rozmawiał z panem Underwoodem. Bert, protokolant, palił papierosa po papierosie; siedział, trzymając nogi na stole.

Ale tylko sąd, to znaczy jego przedstawiciele obecni w sali: Atticus, pan Gilmer, smacznie śpiący sędzia Taylor zachowywali się jakoś normalnie. Nigdy dotąd nie widziałam sali sądowej w takiej ciszy. Czasem tylko gdzieś niespokojnie zapłakało niemowlę, czasem z szybkim tupotem wybiegło któreś z dzieci, ale dorośli siedzieli jak w kościele. Murzyni siedząc i stojąc wokół nas na galerii, czekali z cierpliwością biblijną.

Stary zegar sądu natężył się, chrapnął, zakrtusił się i wybił godzinę; osiem ogłuszających grzmotnięć wstrząsnęło nami do szpiku kości.

Gdy wybijał jedenastą, nie czułam nic; zmęczona walką z morzącym mnie snem pozwoliłam sobie na drzemkę, oparta wygodnie o ramię wielebnego Sykesa. Wyrwałam się z niej gwałtownie i z rzetelnym wysiłkiem, żeby nie zasypiać, skoncentrowałam całą uwagę na głowach w dole: szesnaście było łysych, czternaście mniej lub bardziej rudych, czternaście ciemnoblond i zupełnie ciemnych... i nagle przypomniałam sobie, co Jem kiedyś mi wykladał w krótkim okresie swych badań psychologicznych: - jeśli dużo ludzi, cała publiczność stadionu, na przykład, zacznie w skupieniu myśleć o czymś takim, jak podpalenie sosny w lesie, to ta sosna zapali się sama z siebie. Już puściłam wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak by to było, gdybym poprosiła wszystkich na dole, żeby się skupili nad uwolnieniem Toma Robinsona, ale przyszło mi na myśl, że oni pewnie też są okropnie zmęczeni, więc nic by z tego nie wyszło. Dill spał jak suseł z głową na ramieniu Jema. Jem od dawna się nie odzywał.

- Długo, co? - zapytałam.

- No, właśnie, Smyk - powiedział zadowolony.

- A tyś tak mówił, jakby to miało być tylko pięć minut.

Jem uniósł brwi.

- Są rzeczy, których ty nie rozumiesz - oświadczył.

Znużona, nie zakwestionowałam.

Widocznie jednak byłam dość przytomna, gdyż inaczej nie uświadomiłabym sobie

dziwnego, z wolna mnie ogarniającego uczucia. Skojarzyło mi się ono z pewnym wydarzeniem ostatniej zimy i chociaż noc była gorąca, poczułam dreszcze. Wrażenie narastało i narastało, aż nastrój w sali stał się dla mnie zupełnie taki, jak nastrój naszej ulicy w tamten zimny poranek w lutym, gdy drozdy przestały śpiewać i młotki cieślów przy budowie nowego domu pani Maudie ucichły, i wszystkie drzwi w okolicy były tak szczelnie zamknięte jak drzwi Radleyów. Wyludniona, zmartwiała w oczekiwaniu ulica i ta sala sądu zatłoczona ludźmi. Parny letni wieczór już niczym się nie różnił od zimowego poranka. Pan Heck Tate, który wrócił do sali i rozmawiał teraz z Atticusem, równie dobrze mógłby być w butach z cholewami i skórzanej kurtce. Atticus przerwał swój spokojny spacer i stał, opierając nogę na poprzeczce krzesła, powoli przesuwając dłoń tam i z powrotem po udzie. Spodziewałam się, że pan Tate lada chwila powie:

- Pan go trafi, panie mecenasie.

Ale pan Tate powiedział:

- Koniec przerwy.

Powiedział to głosem władczym i głowy na dole podniosły się gwałtownie. Wyszedł z sali i wrócił z Tomem Robinsonem. Wprowadził Toma na jego miejsce przy Atticusie i sam stanął obok. Sędzia Taylor nagle ocknął się i już czujny, bystry, wyprostowany w swym fotelu skierował wzrok na lożę przysięgłych.

Wszystko, co później nastąpiło, miało w sobie coś z majaków sennych. We śnie patrzyłam, jak przysięgli wracają powolutku, jakby płynęli pod wodą, i głos sędziego Taylora dobiegł do mnie z daleka bardzo jakiś cichy. Tylko dziecko adwokata mogłoby chyba zobaczyć i pojąć w tej sytuacji to, co zobaczyłam i pojęłam: Atticus szedł jak wtedy, gdy na ulicy miał za chwilę podnieść strzelbę do strzału, ale patrząc na niego teraz, wiedziałam, że strzelba nie jest nabita.

Przysięgli nigdy nie patrzą na oskarżonego, którego uznali winnym, więc i żaden z tych przysięgłych po powrocie do sali nie spojrzął na Toma Robinsona. Przewodniczący wręczył kartkę panu Tate, który wręczył tę kartkę woźnemu, który wręczył tę kartkę sędziemu...

Zamknęłam oczy. Sędzia Taylor odczytywał głosy przysięgłych.

- Winien... winien... winien... winien.

Ukradkiem spojrzałam na Jema; napiętki mu zbieleły, tak mocno trzymał się poręczy, i ramiona unosiły się w miarowym skurczu, jak gdyby każde „winien” było dźgnięciem noża w jego plecy.

Sędzia Taylor coś mówił. W ręce miał młotek, ale nim nie uderzał. Przez mgłę zobaczyłam, jak Atticus bierze papiery ze stołu i wkłada je do teczki. Zamknął teczkę i podszedł do protokolanta, żeby mu coś powiedzieć; potem skinął głową panu Gilmerowi; a potem podszedł do Toma Robinsona i szeptał mu coś przez chwilę. Z oparcia swego krzesła zdjął marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię. A potem wyszedł - nie tymi jednak drzwiami, co zwykle. Widocznie chciał pójść do domu krótszą drogą, bo ruszył szybko przez środek sali do drzwi od południa. Patrzyłam, gdy szedł, na czubek jego głowy. Nie spojrzął w górę.

Ktoś mnie poszturchiwał, ale trudno mi było oderwać wzrok od ludzi na dole, od obrazu samotnej wędrowni Atticusa.

- Panno Jean Louise?

Rozejrzałam się. Oni stali. Wszyscy Murzyni na całej galerii podnieśli się z miejsc i stali jak na baczność. Głos wielebnego Sykesa był daleki, jak przedtem głos sędziego Taylora.

- Panno Jean Louise, trzeba wstać, wasz ojciec wychodzi.

22

Teraz z kolei płakał Jem. Twarz miał w strumieniach łez gniewu, gdyśmy się przepychali wśród wesołych tłumów.

- Nie powinni - mamrotał przez całą drogę do rogu rynku, gdzie spotkaliśmy czekającego na nas Atticusa. Atticus stał pod latarnią, jak gdyby nigdy nic. Kamizelkę miał zapiętą na wszystkie guziki, kołnierzyk i krawat w porządku, dewizkę połyskującą na swoim miejscu, i był znów spokojny, obojętny jak zwykle.

- Nie powinni, Atticus - powiedział Jem.

- Tak, synu. Nie powinni.

Wróciliśmy do domu.

Ciocia Alexandra jeszcze się nie położyła. Czekala na nas w szlafroku, pod którym - mogłabym przysiąc - miała gorset.

- Tak mi przykro, braciszku - szepnęła.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby nazywała Atticusa braciszkiem, więc zerknęłam porozumiewawczo na Jema, ale Jem w ogóle nie słuchał. Patrzył to na Atticusa, to w podłogę, aż się zastanowiłam, czy on przypadkiem nie uważa, że to Atticus ponosi odpowiedzialność za skazanie Toma Robinsona.

- Co mu jest? - spytała ciocia, wskazując Jema.

- Zaraz mu przejdzie - powiedział Atticus. - Trochę to było dla niego za mocne. - Westchnął. - No, idę spać - oznajmił. - Jeżeli sam się nie obudzę rano, nie wołajcie mnie.

- Moim zdaniem przede wszystkim nie było mądrze pozwolić im...

- To przecież ich ziemia ojczysta - powiedział Atticus.

- Myśmy ją w ten sposób dla nich zagospodarowali, niech więc się uczą z tym borykać.

- Ale do sądu nie potrzebują chodzić i tarzać się w sądowych sprawach.

- Hrabstwo Maycomb jest tak samo w sądzie, jak na herbatkach kółka misyjnego.

- Atticus... - W oczach cioci Alexandry błysnęło zaniepokojenie. - Już ciebie raczej bym nie posądzała o to, że jesteś przeciwny...

- Nie jestem przeciwny, tylko zmęczony. Idę spać.

- Atticus - powiedział smutno Jem.

Atticus odwrócił się od drzwi.

- Co, synku?

- Jak oni mogli to zrobić, jak oni mogli?

- Nie wiem, jak mogli, ale to zrobili. Tak już było, tak jest i tak będzie... i zawsze przy tym chyba tylko dzieci płaczą. Dobranoc.

Ale zazwyczaj wszystko lepiej wygląda nazajutrz rankiem. Atticus wstał o swojej zwykłej,

skandalicznie wczesnej porze i już siedział w gabinecie za płachtą „Kroniki Mobile”, gdyśmy tam niepewnie wkroczyli. Poranna mina Jema wyrażała pytanie, z którym na próżno biedziły się jego nabrzmiałe od snu wargi.

- Jeszcze nie pora się martwić - uspokoił go Atticus, przechodząc do jadalni. - Będzie apelacja, możesz być tego pewny. Boże litościwy, Cal, a cóż to znowu znaczy? - Zdumiony patrzył na swój talerz.

Calpurnia wyjaśniła:

- Tata Toma Robinsona przysłał panu tego kuraka dziś rano. Ja upiekłam.

- Powiedz mu, że zjem z dumą... założę się, że nie ma kurczątkę na śniadanie nawet w Białym Domu. A to co?

- Bułki - rzekła Calpurnia. - Od Estelle, tej z hotelu. - I gdy Atticus spojrział na nią oszołomiony, dodała: - Niech pan pójdzie zobaczyć, co jest w kuchni, proszę pana.

Poszliśmy z Atticusem. Stół kuchenny aż się ugiął pod żywnością wystarczającą, żeby pogrzebać całą rodzinę: były tam półce solonej wieprzowiny, pomidory, fasola, nawet winogrona muszkatelowe. Atticus uśmiechnął się na widok słoja marynowanej golonki.

- Mam nadzieję, że ciocia mi pozwoli to zjeść w jadalni.

Calpurnia powiedziała:

- To wszystko, kiedy dziś przyszłam, było przy kuchennych schodkach. Oni... oni rozumieją to, co pan zrobił, proszę pana. Chyba się nie ośmielili za bardzo?

Atticusowi stanęły w oczach łzy. Przez chwilę się nie odzywał.

- Powiedz im, że jestem bardzo wdzięczny - rzekł w końcu. - Powiedz im... powiedz im, że nie powinni już tego robić. Czasy są za ciężkie.

Wyszedł z kuchni, zajrzał do jadalni i przeprosił ciocię Alexandrę, po czym włożył kapelusz i ruszył do miasta.

W holu rozległy się kroki Dilla, więc Calpurnia zostawiła nie tknięte śniadanie Atticusa na stole. Chrupiąc jak królik, Dill opowiedział nam o reakcji panny Rachel na wydarzenia ubiegłego wieczora: „Jeżeli taki człowiek jak Atticus chce walić głową o mur, ostatecznie to jego głowa”.

- Ja bym jej wyjaśnił - warczał Dill nad udkiem kurczaka. - Ale z nią dzisiaj było trudno. Mówiła, że przez pół nocy się nie kładła, tylko myślała, gdzie ja się podziałem, i mówiła, że szeryfa by postawiła na nogi, żeby mnie szukał, tylko że szeryf był tam w sądzie.

- Dill, skończ już z tym wychodzeniem bez pytania - powiedział Jem. - To ją tylko rozjątrza.

Dill westchnął cierpiętniczo.

- Przecież mówiłem jej, aż mi w gardle zaschło, dokąd idę... Ona po prostu widuje za dużo węzów w szafie. Mogę się założyć, że co rano wypija pół kwarty... wiem, że dwie pełne szklanki. Sam widziałem.

- A fe, Dill - skarciła go ciocia Alexandra. - Bardzo brzydko, kiedy dzieci tak mówią. To... cynizm.

- Żaden cynizm, pani Alexandro. Czy mówienie prawdy to cynizm?

- W takiej formie, jak ty ją mówisz, owszem.

Jem błysnął spojrzeniem w stronę cioci Alexandry, ale powiedział do Dilla:

- Chodźmy. Możesz dojeść po drodze to ptaszysko.

Gdyśmy wyszli na werandę, panna Stephanie Crawford właśnie zdawała na ulicy relację pani Maudie Atkinson i panu Avery. Obejrzeni się na nas i rozmawiali dalej. Jem chrząknął w sposób bardzo dziwny. Ja żałowałam, że nie mam broni.

- Nie cierpię, kiedy dorośli na nas patrzą - zwierzył się Dill. - Tak patrzą, jakby się coś przeskrobało.

Pani Maudie zawołała Jema Fincha. Jem jęknął i dźwignął się z huśtawki.

- Pójdziemy z tobą - powiedział Dill.

Pannie Stephanie Crawford nos drgał z ciekawości. Chciała wiedzieć, kto nam pozwolił pójść do sądu - sama nas nie widziała, ale wszyscy dziś w mieście opowiadają, że byliśmy na galerii kolorowych. Czy to Atticus nas tam posadził na dowód, że...? Czy słusznie było kisić się tam z tymi wszystkimi...? Czy Smyk zrozumiała te wszystkie...? Czy bardzo byliśmy wściekli, że nasz tatuś przegrywa?

- Cicho, Stephanie - ucięła pani Maudie tonem ostrym jak brzytwa. - Aż tyle czasu nie mam, żeby cały poranek spędzić na ganku... Jemie Finch, zawołałam cię, bo chciałam zapytać, czy zjecie, ty i twoja świta, trochę ciasta? Wstałam o piątej, żeby je upiec, więc lepiej nie odmawiaj. Stephanie, darujesz nam, prawda? Do widzenia, panie Avery.

Na stole w kuchni pani Maudie czekało duże ciasto i dwa małe placuszki. Powinny być trzy małe. Nie w stylu pani Maudie było takie przeoczenie obecności Dilla i musieliśmy jej to okazać. Ale zrozumieliśmy, gdy pani Maudie odkroiła kawał dużego ciasta dla Jema.

Jedliśmy z uczuciem, że pani Maudie tym poczęstunkiem daje nam wyraz, że jeśli chodzi o nią, nic się nie zmieniło. Pani Maudie usiadła na kuchennym krześle i patrzyła na nas w milczeniu.

Nagle się odezwała:

- Nie denerwuj się, Jem. Nigdy nie jest aż tak źle, jak się wydaje.

W zaciszu domowym pani Maudie miała zwyczaj przed dłuższymi przemowami poprawiać swój mostek i kłaść rozłożone dłonie na kolanach. To właśnie teraz zrobiła, więc czekaliśmy.

- Chcę wam tylko powiedzieć, że są na tym świecie pewni ludzie, którzy urodzili się po to, by wykonać za nas pracę nieprzyjemną. Wasz ojciec jest jednym z nich.

- Och - powiedział Jem. - No.

- Bez żadnych mi tu „och” i „no”, łaskawy panie - rzekła pani Maudie, rozszyfrowując jego nacechowaną fatalizmem wypowiedź. - Za młody jesteś, żeby ocenić to, co powiedziałam.

Jem wpatrywał się w resztkę swego ciasta.

- To jest tak, jakby się było gąsienicą w kokonie, o właśnie - powiedział. - Czymś, co sobie śpi otulone w ciepłe. Zawsze myślałem, że ludzie w Maycomb są najlepsi pod słońcem, przynajmniej tacy się wydawali.

- Jesteśmy najbardziej bezpieczni pod słońcem - sprostowała pani Maudie. - Rzadko się od nas wymaga, żebyśmy byli chrześcijanami, a już kiedy się wymaga, mamy takich, jak Atticus, którzy są chrześcijanami za nas.

Jem uśmiechnął się markotnie.

- Chciałbym, żeby i inni w hrabstwie tak uważali.

- Zdumiałbyś się, gdybyś wiedział, jak wielu z nas tak uważa.

- Kto? - Jem podniósł głos. - Kto w tym mieście palcem ruszył, żeby pomóc Tomowi Robinsonowi? No, kto?

- Jego kolorowi przyjaciele przede wszystkim i tacy ludzie, jak my. Tacy, jak sędzia Taylor. Tacy, jak pan Heck Tate. Przestań jeść i zacznij myśleć, Jem Finch. Czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że sędzia Taylor wcale nie przypadkiem wyznaczył Atticusa na obrońcę tego biednego chłopca? Że sędzia Taylor mógł mieć swoje powody, żeby wyznaczyć właśnie Atticusa?

To była myśl. Obronę z urzędu powierzano zwykle Maxwellowi Greenowi, który jako najświeższy członek palestry Maycomb musiał nabierać doświadczenia. Maxwell Green więc powinien dostać sprawę Toma Robinsona.

- Zastanów się nad tym - mówiła pani Maudie. - To wcale nie był przypadek. Siedziałam wczoraj wieczorem na ganku i czekałam. Czekałam i czekałam, kiedy nadejdziecie ulicą, i czekając myślałam: „Atticus Finch nie wygra, nie może wygrać, ale tylko on jeden jedyny w tych stronach potrafi tak długo trzymać sąd przysięgłych przy takiej sprawie jak ta”. I myślałam: „No, robimy krok naprzód... niemowlęcy kroczyk, ale to już jest coś”.

- Pani dobrze mówić... Czy żaden chrześcijański sędzia ani adwokat nie może naprawić tego, co robią takie pogańskie sądy przysięgłych? - mamrotał Jem. - Niedługo, jak dorosnę...

- Do tego właśnie będziesz musiał się zabrać razem z ojcem - powiedziała pani Maudie.

Zeszliśmy z cienistych, nowych schodków pani Maudie w blask słońca i stwierdziliśmy, że pan Avery i panna Stephanie Crawford jeszcze nie skończyli rozmawiać. Tylko odeszli trochę dalej i stali teraz przed domem panny Stephanie. W ich stronę szła panna Rachel.

- Ja to chyba będę kłownem, jak dorosnę - powiedział Dill.

Jem i ja zatrzymaliśmy się oniemiałi.

- Aha, kłownem - potwierdził. - Jedyna moja rada na ludzi to się z nich śmiać. Więc wstąpię do cyrku i będę się śmiał, aż pęknię ze śmiechu.

- Pokręciło ci się, Dill - zwrócił mu uwagę Jem. - Kłowni są smutni, to ludzie się z nich śmieją.

- No, ja będę kłownem w nowym stylu. Będę stał na środku areny i będę śmiał się z ludzi. No, tylko popatrzcie - wskazał palcem. - Każda taka powinna jeździć na miotle. Ciocia Rachel już jeździ.

Panna Stephanie i panna Rachel rozgorączkowane przywoływały nas na migi w sposób, który bynajmniej nie zadawał kłamu tej uwadze Dilla.

- O, do licha - sapnął Jem. - Jednak byłoby brzydko do nich nie podejść.

Coś się stało. Pan Avery był czerwony i tak okropnie kichał, że omal nas nie zdmuchnął z chodnika, gdyśmy podeszli. Panna Stephanie trzęsła się z podniecenia, a panna Rachel złapała Dilla za ramię.

- Idźcie do ogrodu i nie ruszajcie się stamtąd - powiedziała. - Jest niebezpiecznie...

- Bo co? - zapytałam.

- Jeszcze nie wiecie? W całym mieście już o tym mówią... W tej samej chwili zawołała nas do domu ciocia Alexandra, ale trochę się z tym spóźniła. Panna Stephanie nie dała sobie odebrać przyjemności poinformowania nas, że dziś rano pan Bob Ewell zatrzymał Atticusa na rogu przy poczcie, splunął mu w twarz i poprzysiągł zemstę, choćby nawet po swoim trupie.

- Wolałbym, żeby Bob Ewell nie żuł prymki - to było wszystko, co na ten temat miał do powiedzenia Atticus.

Rzeczywiście jednak, tak jak panna Stephanie Crawford opowiadała, Atticus wychodząc z urzędu pocztowego, natknął się na pana Ewella, który podszedł do niego, opluł go i zagroził, że go zabije. Panna Stephanie (wtedy powtarzała już po raz drugi, że widziała wszystko na własne oczy, bo właśnie wracała tamtędy z „Tysiąca Drobiazgów”) - panna Stephanie powiedziała, że Atticus nawet okiem nie mrugnął, tylko wyciągnął chustkę do nosa, wytarł twarz i stał tam, i pozwalał, żeby pan Ewell obrzucał go wyzwiskami, jakie jej by nigdy w życiu nie przeszły przez usta, nawet gdyby ją końmi rozrywano. Pan Ewell był weteranem jakiejś bliżej nieokreślonej wojny; zapewne fakt ten w połączeniu z pacyfistyczną reakcją Atticusa kazał mu zapytać: „Za dumny jesteś, ty skurwysynu, ty pacholku czarnuchów, żeby się bić?” Atticus, mówiła panna Stephanie, odpowiedział: „Nie, tylko za stary” i z rękami w kieszeniach odszedł. Panna Stephanie zaznaczyła, że jedno trzeba Atticusowi Finchowi przyznać: on czasem potrafi być bardzo oziębły.

Jema i mnie wcale to nie ubawiło.

- Ostatecznie - powiedziałam - on kiedyś najlepiej strzelał w całym hrabstwie. Mógłby...

- Przecież on by nie chodził z bronią, Smyk. On nawet nie ma broni... - powiedział Jem. - Był bez broni nawet wtedy pod więzieniem tamtej nocy. Zawsze mówi, że mieć broń przy sobie to tylko zachęta dla innych, żeby do człowieka strzelali.

- Ale teraz to co innego - powiedziałam. - Możemy go poprosić, żeby od kogoś pożyczył.

Więc poprosiliśmy.

- Bzdura - usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Dill był zdania, że powinniśmy przemówić Atticusowi do sumienia: ostatecznie skonalibyśmy z głodu, gdyby pan Ewell go zabił, już nie mówiąc o tym, że wtedy wychowywałyby nas wyłącznie ciocia Alexandra, a wiadomo, że pierwszą rzeczą, jaką ciocia by zrobiła jeszcze przed pogrzebem Atticusa, byłoby odprawienie Calpurnii. Jem powiedział, że owszem, to by podziałało, gdybym ja przy tym wybuchnęła płaczem i zaczęła się miotać w drgawkach, bo jestem mała i dziewczyna. To jednak też nie podziałało.

A przecież Atticus widząc, że włączymy się z nosami spuszczonej na kwintę, nie mamy apetytu i prawie się nie interesujemy naszymi zwykłymi sprawami, zrozumiał, jak bardzo jesteśmy przestraszeni. Pewnego wieczora spróbował Jema skusić jakimś nowym tygodnikiem sportowym i gdy Jem tylko przerzucił stronicę i zaraz odłożył to pismo na bok, zapytał:

- Co cię trapi, synku?

Jem z punktu przystąpił do rzeczy.

- Pan Ewell.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Boimy się o ciebie i uważamy, że coś powinieneś z nim zrobić.

Atticus uśmiechnął się krzywo.

- Ale co? Wziąć go pod nadzór sądowy?

- Kiedy ktoś grozi, że się zemści, to chyba nie mówi na wiatr.

- On to mówił poważnie - rzekł Atticus. - Jem, wyobraź sobie, że jesteś na miejscu Boba Ewella. Zniszczyłem w czasie tego procesu ostatni strzęp wiarygodności jego słów, jeśli już w ogóle jego słowa były choć trochę wiarygodne. Jakoś przecież musiał na to zareagować... Ludzie jego pokroju zawsze muszą. Więc o ile naplucie mi w twarz i pogróżki zaoszczędziły Mayelli Ewell choćby jednego lania, chyba mogę przyjąć to bez sprzeciwu. Skoro już musiał na kims się wyładować, wolę, że wyładował się na mnie, a nie w domu na swoich dzieciach. Rozumiesz?

Jem przytaknął.

Ciocia Alexandra weszła do pokoju akurat, gdy Atticus mówił:

- Nie mamy się czego obawiać ze strony Boba Ewella, bo to wszystko z niego wykpiąło w tamten poranek.

- Nie byłabym tego pewna - powiedziała ciocia. - Tacy jak on są gotowi na wszystko, kiedy chcą się komuś odplącić. Nie znasz tych ludzi?

- Cóż, na Boga, mógłby mi zrobić Ewell?

- Coś chyłkiem - ostrzegła ciocia. - Możesz się tego spodziewać.

- Nikt nie ma zbyt dużych możliwości zrobienia czegoś chyłkiem w Maycomb - powiedział Atticus.

Po tej rozmowie przestaliśmy się bać. Lato miało się ku końcowi, więc wykorzystywaliśmy je, jak tylko się dało. Atticus nam zaręczył, że Tomowi Robinsonowi nic się nie stanie, dopóki jego sprawy nie rozpatrzy wyższa instancja, i że jest spora szansa na jego uniewinnienie albo przynajmniej na wznowienie procesu. Tom był teraz w Enfield, więziennym gospodarstwie rolnym hrabstwa Chester oddalonym od Maycomb o siedemdziesiąt mil. Zapytałam Atticusa, czy żonie i dzieciom Toma wolno go odwiedzać, ale Atticus powiedział, że nie.

- Jeżeli odrzucą apelację - zapytałam pewnego wieczora - to co z Tomem będzie?

- Pójdzie na krzesło elektryczne - odrzekł Atticus - o ile gubernator go nie ułaskawi. Jeszcze nie pora się martwić, Smyk. Mamy spore szanse.

Jem wyciągnięty na sofie czytał „Każdy może być mechanikiem”. Podniósł oczy.

- To nie jest w porządku. On nikogo nie zabił, choćby nawet był winny. On nikogo nie pozbawił życia.

- Przecież wiesz, że za gwałt w stanie Alabama przewiduje się karę śmierci.

- Owszem, ale ci przysięgli wcale nie musieli go skazać na śmierć. Gdyby chcieli, mogliby go skazać na dwadzieścia lat więzienia.

- Wiadomo ci - rzekł Atticus - że Tom Robinson jest kolorowy, Jem. Żaden sąd przysięgłych w tej części świata wobec takiego oskarżenia nie powie: „Uważamy, że jest winny, ale nie tak znów bardzo”. To mogło być tylko zdecydowane uniewinnienie albo nic.

Jem potrzęsnał głową.

- Wiem, że coś w tym nie jest w porządku, tylko nie mogę się połapać, co... Może gwałt nie powinien być karany śmiercią...

Atticus upuścił gazetę na podłogę przy fotelu. Powiedział, że co do ustawy o gwałcie nie ma absolutnie żadnych zastrzeżeń, poważne jednak obawy wzbudza w nim to, że prokurator może

żądać kary śmierci, a przysięgli mogą ją zasądzać wyłącznie na zasadzie dowodów pośrednich. Zerknął na mnie, zobaczył, że słucham, i sformułował to bardziej przystępnie:

- To znaczy, uważam, że zanim ktoś zostanie skazany na śmierć, powiedzmy za morderstwo, musi być przynajmniej jeden naoczny świadek. Świadek, który mógłby powiedzieć: „Tak, byłem tam i widziałem, jak on pociągnął za cyngiel...”

- Ale mnóstwo ludzi zawisło... powieszono ich... chociaż były tylko dowody pośrednie - powiedział Jem.

- Owszem, i wielu z nich prawdopodobnie zasłużyło na to... ale kiedy brak naocznych świadków, zawsze pozostaje jakaś wątpliwość, czasem cień wątpliwości. W myśl kodeksu ma to być „uzasadniona wątpliwość”, uważam jednak, że oskarżony ma prawo skorzystać nawet z cienia wątpliwości. Zawsze może być tak, choćby to było najbardziej nieprawdopodobne, że on jest niewinny.

- No, więc nic, tylko przysięgli. Powinniśmy skończyć z sądami przysięgłych. - Jem był nieugięty.

Atticus bez powodzenia spróbował powstrzymać śmiech.

- Chcesz nas rozstawić po kątach, synu. Myślę, że jest na to lepszy sposób. Zmienić prawo stanu Alabama. Zmienić je tak, żeby w sprawach o przestępstwa główne wyznaczał karę na zasadzie orzeczenia sądu przysięgłych sam sędzia.

- Więc jedź do Montgomery i zmień prawo.

- Pojęcia nie masz, jakie by to było trudne. Nie dożyję zmiany tej ustawy, a ty, jeśli jej dożyjesz, będziesz wtedy już starcem.

Jemowi to nie wystarczyło.

- O, nie, powinno się skończyć z sądami przysięgłych. Przede wszystkim on nie był winny, a oni powiedzieli, że jest.

- Gdybyś ty zasiadał w tym sądzie przysięgłych i jedenastu innych takich chłopców, jak ty, Tom byłby teraz wolnym człowiekiem - rzekł Atticus. - Dotychczas jeszcze nic w twoim życiu nie przeszkadza ci rozumować. Ci ludzie, przysięgli Toma, są zupełnie rozsądni w życiu codziennym, ale sam przecież widziałeś, jak coś im mąci rozsądek. Widziałeś to również wtedy w nocy pod więzieniem. Ta czereda odjechała stamtąd bynajmniej nie przez rozsądek, tylko dlatego, że myśmy tam byli. Jest w naszym świecie coś, co sprawia, że ludzie głupieją... Nie potrafiliby w takich chwilach być sprawiedliwi, nawet gdyby się o to starali. W naszych sądach, kiedy na jednej szali jest słowo czarnego, a na drugiej słowo białego, wygrywa zawsze biały. To paskudne, ale taka jest prawda życia.

- To nie jest słuszne - powiedział Jem niewzruszony. Potem opuścił pięść na kolano. - Nie można skazać człowieka na podstawie takich dowodów... nie można.

- Ty byś nie mógł, ale oni mogli i to zrobili. Im będziesz starszy, tym więcej będziesz widział rzeczy tego rodzaju. Jedyne miejsce, gdzie człowiek powinien być traktowany sprawiedliwie, jakiegokolwiek koloru tęczy by był, to sala sądowa, cóż, kiedy ludzie przynoszą swoje uprzedzenia prosto do łoża przysięgłych. Będziesz starszy i zobaczysz, jak biali oszukują czarnych... W każdym dniu swego życia będziesz to widział, ale coś ci powiem i nie zapominaj o tym... Każdy biały, który oszukuje czarnego, kimkolwiek jest... choćby był bardzo bogaty, choćby

pochodził... ze świetnej rodziny... każdy taki biały to hołota.

Atticus mówił przez cały czas tak spokojnie, że to ostatnie słowo zgrzytnęło nam w uszach. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że jest wzburzony.

- Nie ma dla mnie nic obrzydliwszego niż nikczemny biały, który wykorzystuje ciemnotę Murzyna. Lepiej się nie łudzić... To wszystko dopisuje się do rachunku i kiedyś drogo będziemy musieli za to zapłacić. Mam nadzieję, że nie za waszego życia, dzieci.

Jem drapał się po głowie. Nagle szeroko otworzył oczy.

- Atticus - zapytał - dlaczego w sądzie przysięgłych nigdy nie zasiadają tacy jak my i pani Maudie? Wcale się nie widzi w żadnym sądzie przysięgłych nikogo z Maycomb. Oni zawsze przyjeżdżają gdzieś z lasów.

Atticus rozparty w swym fotelu na biegunach był z jakiegoś powodu wyraźnie z Jemą zadowolony.

- Ciekaw byłem, kiedy się nad tym zastanowisz - powiedział. - Jest mnóstwo przyczyn. Przede wszystkim pani Maudie nie może zasiadać w sądzie przysięgłych, bo jest kobietą.

- Czy to ma znaczyć, że kobiety w stanie Alabama nie mogą...? - Moje oburzenie nie miało granic.

- Myślę, że to dlatego, żeby uchronić nasze delikatne panie przed plugastwami w rodzaju sprawy Toma Robinsona. Poza tym - Atticus uśmiechał się - panie by wciąż przerywały pytaniami.

Jem i ja parsknęliśmy śmiechem. Pani Maudie jako przysięgły byłaby imponująca. Pomyślałam o starej pani Dubose w fotelu na kółkach. „Przestań stukać tym młotkiem, Johnie Taylor, chcę o coś zapytać tego człowieka”. Może jednak nasi pradziadowie mądrze to obmyślili.

Atticus mówił:

- Jeśli chodzi o takich jak my... płacimy swoją część rachunku. Na ogół mamy takie sądy przysięgłych, na jakie zasługujemy. Nasi dzielni obywatele Maycomb po pierwsze: nie są zainteresowani. Po drugie: boją się. Po trzecie...

- Czego się boją? - zapytał Jem.

- No, jak by to było, gdyby pan Link Deas, na przykład, musiał decydować w sprawie wysokości odszkodowania dla, powiedzmy, pani Maudie, którą panna Rachel przejechała samochodem. Link nie chciałby utracić żadnej z tych swoich dwóch klientek, prawda? Więc on woli powiedzieć sędziemu Taylorowi, że nie może zasiadać w sądzie przysięgłych, bo nie ma na ten czas zastępstwa w sklepie. Wobec czego sędzia Taylor zwalnia go. Czasem zwalnia z gniewem.

- Dlaczego on by myślał, że któraś z nich przestanie u niego kupować? - zapytałam.

Jem powiedział:

- Panna Rachel by przestała, ale pani Maudie to na pewno nie. I przecież głosowanie przysięgłych jest tajne, Atticus.

Nasz ojciec zachichotał.

- Wiele jeszcze mil masz przed sobą do przebycia, synu. Głosowanie przysięgłych ma być tajne. Ten, kto zasiada w sądzie przysięgłych, musi podjąć decyzję i opowiedzieć się po czyjejś stronie. Ludzie tego nie lubią robić. Czasem to nie bywa przyjemne.

- Sąd przysięgłych Toma jakoś szalenie szybko podjął decyzję - mamrotał Jem.

Palce Atticusa powędrowały do kieszonki kamizelki.

- Nie, wcale nie - powiedział bardziej do siebie niż do nas. - To mi nawet nasunęło myśl, że... no, że to może już przedświt początku. Ci przysięgli strawili na tym parę godzin. Wyrok nieunikniony, być może, ale zwykle zabiera im to zaledwie parę minut. Tym razem... - Urwał i spojrzał na nas. - Pewnie chcielibyście wiedzieć, że tam był jeden, którego opór trzeba było zwalczać dosyć długo. Z początku ryczał o całkowitym uniewinnieniu.

- Kto? - zdumiał się Jem.

Atticusowi oczy się zaiskrzyły.

- Nie powinienem mówić, ale tyle wam powiem. Jeden z waszych przyjaciół z Old Sarum...

- Któryś z Cunninghambów? - zaskowytał Jem. - Któryś z... Nie rozpoznałem tam żadnego z nich... ty żartujesz. - Patrzył na Atticusa spod oka.

- Jeden z ich krewniaków. Coś tak czułem, więc go nie skreśliłem. Po prostu coś tak czułem. Mogłem skreślić, ale nie skreśliłem.

- O, rany - powiedział Jem z respektem. - W jednej chwili chcą go zabić, a w następnej chcą go wypuścić na wolność... Do końca życia nie zrozumieję tych ludzi.

Atticus powiedział, że po prostu trzeba ich znać. Powiedział, że Cunninghambowie nigdy nie wzięli nikomu ani od nikogo, odkąd przybyli do Nowego Świata. Powiedział, że Cunninghambowie mają w sobie jeszcze jedno, a mianowicie, z chwilą gdy się raz pozyska ich szacunek, gotowi skoczyć za człowiekiem w ogień. Otóż Atticus ma wrażenie - mgliste wrażenie, nic więcej - że oni odjechali spod więzienia tamtej nocy ze sporym szacunkiem dla Finchów. Poza tym, dodał, tylko piorun z nieba plus drugi jakiś Cunningham mógłby sprawić, żeby któryś z nich się rozmyślił.

- ...gdybyśmy mieli za sobą dwóch z tej gromady, sąd przysięgłych utknąłby w martwym punkcie.

Jem powiedział powoli:

- Więc tyś rzeczywiście się zgodził, żeby w tym sądzie był człowiek, który poprzedniej nocy chciał cię zabić? Jak mogłeś tak ryzykować, Atticus? Jak mogłeś?

- Kiedy to rozpatrzysz, okaże się, że ryzyko było niewielkie. Chyba nie ma różnicy pomiędzy kimś, kto ma zamiar człowieka skazać, a kimś innym, kto też ma zamiar go skazać. Jest jednak pewna różnica pomiędzy kimś, kto ma zamiar skazać, a kimś, kto jest w lekkiej rozterce, prawda? Tylko on jeden na tej całej liście stał pod znakiem zapytania.

- Jaki to krewny dla pana Waltera Cunninghama? - zapytałam.

Atticus wstał, przeciągnął się i ziewnął. O tej porze nawet myśmy nie kładli się jeszcze spać, ale to nas nie dziwiło, bośmy wiedzieli, że on chce mieć możliwość spokojnego przeczytania gazety. Podniósł ją, złożył i uderzył mnie nią po głowie.

- Zaraz - mruknął pod nosem. - Już wiem, podwójnie brat cioteczny.

- Jak to?

- Dwie siostry wyszły za dwóch braci. Więcej nic nie potrafię ci powiedzieć... sama sobie to wykombinuj.

Pomęczyłam się i doszłam do wniosku, że gdybym wyszła za Jema i gdyby Dill miał siostrę

i się z nią ożenił, to nasze dzieci byłyby podwójnie ciotecznym rodzeństwem.

- Jak pragnę zdrowia, Jem - rozentuzjzmowałam się, gdy Atticus wyszedł. - Co za śmieszni ludzie, słyszałaś to, ciociu?

Ciocia Alexandra robiła haczykiem kilim i nie patrzyła na nas, ale przysłuchiwała się tej rozmowie. Siedziała w fotelu nad koszykiem z robótkami i kilim miała rozłożony na kolanach. Zawsze było dla mnie zagadką, dlaczego panie w każdy burzliwy wieczór robią włóczkowe kilimy.

- Słyszałam - potwierdziła.

Przypomniała mi się dawna katastrofalna historia mego wystąpienia w obronie młodego Waltera Cunninghama. Teraz byłam rada, że go broniłam.

- Kiedy tylko zacznie się szkoła zaproszę Waltera na obiad - snułam plany, zapominając o tym, że niezłomnie sobie postanowiłam zbić go przy najbliższej okazji. - I po szkole też on mógłby czasem zostać. Atticus by go odwiózł wieczorem do Old Sarum samochodem. I może on by u nas czasem przenocował, dobrze, Jem?

- Zobaczymy - wygłosiła ciocia Alexandra swą formułkę, która zawsze była groźbą, nigdy obietnicą.

Zdumiona odwróciłam się do niej.

- Dlaczego nie, ciociu? To porządni ludzie.

Spojrzała na mnie znad okularów do szycia.

- Jean Louise, nie ulega dla mnie wątpliwości, że to porządni ludzie. Ale to nie są ludzie naszego pokroju.

Jem wyjaśnił:

- To znaczy, oni pyskują, Smyk.

- Jak to pyskują?

- Oj, czepiają się. Lubią utyskiwać i w ogóle.

- No, ja też...

- Nie bądź niemądra, Jean Louise - powiedziała ciocia Alexandra. - Chodzi o to, że Walter Cunningham nawet gdyby się go wyszorowało tak, żeby błyszczał, i włożyło mu się buciki i nowe ubranie, nigdy nie będzie taki, jak Jem. Na domiar złego jest pierwiastek alkoholizmu w tej rodzinie szerzący się na milę. Panny Finch nigdy nie interesują się takimi ludźmi.

- Cio...ciu - odezwał się Jem. - Ona jeszcze nie ma dziewięciu lat.

- Nie zaszkodzi jej, jeśli będzie to wiedziała już teraz.

Ciocia Alexandra powiedziała więc swoje. Żywo przypomniał mi się ostatni raz, kiedy pokazała rogi. Powodów, którymi się kierowała, dotychczas nie pojęłam. Pochłaniał mnie wtedy projekt odwiedzenia Calpurnii... Byłam ciekawa, zaintrygowana, chciałam być u Calpurnii... „gościem”, zobaczyć, jak Calpurnia mieszka, jakich ma sąsiadów. Równie dobrze mogłabym się wybierać na księżyc. Tym razem taktyka cioci Alexandry była inna, cel jednak pozostał ten sam. Może po to ona u nas zamieszkała, żeby nam pomagać w doborze przyjaciół. Postanowiłam nie ustępować jej, dopóki tylko będę mogła.

- Jeżeli to porządni ludzie, to dlaczego mam nie być dla Waltera grzeczna?

- Nie powiedziałam, żebyś nie była dla niego grzeczna. Powinnaś być życzliwa i uprzejma

dla niego, powinnaś być miła dla wszystkich, kochanie. Ale do domu go zapraszać nie trzeba.

- Agdyby on był naszym krewnym, ciociu?

- Ale nie jest, a nawet gdyby był, odpowiedziałabym ci to samo.

- Ciociu - odezwał się Jem - Atticus mówi, że przyjaciół można sobie wybierać, ale że z pewnością nie wybiera się sobie rodziny i rodzina to zawsze krewni, czy się ich uznaje, czy nie, i wygląda się bardzo głupio, kiedy się ich nie uznaje.

- Wasz ojciec zawsze w kółko to samo - rzekła ciocia Alexandra - ja jednak powtarzam, że Jean Louise tutaj Waltera Cunninghama nie zaprosi. Nawet gdyby był jej podwójnym bratem ciotecznym w drugim pokoleniu, nie miałby wstępu do tego domu, chyba że przychodziłby do Atticusa jako klient. Powiedziałam.

Oznaczało to znów „doprawdy nie!”, ale tym razem ciocia musiała podać powody.

- Ale ja chcę się bawić z Walterem, ciociu. Dlaczego mi nie wolno?

Zdjęła okulary i wlepiła we mnie wzrok.

- Zaraz ci powiem, dlaczego - rzekła. - Dlatego, że to... hołota. Właśnie dlatego nie możesz się z nim bawić. Nie życzę sobie, żebyś z nim przestawała, nabierała jego przyzwyczajzeń i uczyła się Bóg wie czego. I tak już jesteś twardym orzechem do zgryzienia dla swego ojca.

Nie wiem, co bym wtedy zrobiła, gdyby Jem mnie nie powstrzymał. Złapał mnie za ramiona, objął mnie i szlochającą ze wściekłości wyprowadził do swego pokoju. Atticus usłyszał i zajrzał przez uchylone drzwi.

- W porządku, proszę ojca - burknął Jem. - Nic się nie stało. - Atticus odszedł.

- Pozuj sobie, Smyk.

Jem pogrzebał w kieszeni i wyciągnął batonik „Milusia”. Parę minut mi zabrało odpowiednie ugniecenie tego karmelka w ustach. Jem przestawiał coś na toaletce. Włosy na czubku głowy mu sterczały, nad czołem opadały i zastanowiłam się, czy one kiedykolwiek ułożą się jak naprawdę męskie włosy... może gdyby je zgolić na zero i zapuścić od początku, odrosłyby porządnie na swoim miejscu. Brwi mu ostatnio zgęstniały i zauważyłam, że zrobił się dziwnie wysmukły. Urósł.

Obejrzał się i widocznie pomyślał, że ja znów płaczę, bo powiedział:

- Coś ci pokażę, jeżeli nikomu nie wygadasz.

Zapytałam, co. Z nieśmiałym uśmiechem rozpiął koszulę.

- No, co?

- No, nie widzisz?

- No, nie.

- No, włosy.

- Gdzie?

- Tu. No, tutaj.

Tak mnie ładnie pocieszył, że musiałam się zrewanżować: powiedziałam, że te włosy są śliczne, chociaż wcale ich nie widziałam.

- Naprawdę ładne, Jem.

- I pod pachami mam także - oznajmił. - Wezmą mnie już do piłki nożnej w przyszłym roku. Smyk, nie dopuszczaj do tego, żeby ciocia ci się sprzeciwiała.

Wydawało mi się, że zaledwie wczoraj mówił mi, żebym ja się nie sprzeciwiała cioci.

- Wiesz, ona nie jest przyzwyczajona do dziewczynek... przynajmniej do takich, jak ty. Ona próbuje zrobić z ciebie damę. Nie możesz zabrać się dla świętego spokoju do szycia czy czegoś takiego?

- Niech to diabli porwą, nie. Ona mnie nie lubi i na tym koniec, ale ja mam to w nosie. Wściekłam się tylko dlatego, że ona powiedziała, że Walter Cunningham to hołota... wcale mi nie chodziło o ten twardy orzech do zgryzienia dla Atticusa. Myśmy to już ze sobą raz na zawsze ustalili, bo ja go zapytałam, czy jestem twardy orzech, a on powiedział, że nie bardzo, w najgorszym razie taki, który on zawsze może zgryźć, więc żebym się nie martwiła nawet przez sekundę, że on sobie na mnie połamie zęby. Nie, wściekłam się, bo mi chodziło o Waltera... to żadna hołota. On nie jest taki jak Ewellowie.

Jem rzucił trepy i usiadł z nogami na łożku. Oparł się o poduszkę i zapalił nocną lampkę.

- Wiesz co, Smyk? Ja już sobie to wszystko wykombinowałem. Są cztery rodzaje ludzi na świecie. Zwyczajny rodzaj, to znaczy my i nasi sąsiedzi, i wszyscy do nas podobni; inny rodzaj: tacy, jak Cunninghamowie tam w lasach, i jeszcze inny, jak Ewellowie przy śmietniku, i jeszcze inny: Murzyni.

- A Chińczycy i ci potomkowie z Luizjany, co są w hrabstwie Baldwin?

- Ja mówię tylko o hrabstwie Maycomb. Sęk w tym, że nasz rodzaj nie lubi Cunninghamów, Cunninghamowie nie lubią Ewellów, a Ewellowie nie cierpią i mają za nic Murzynów.

Powiedziałam Jemowi, że jeśli tak jest, to nie rozumiem, dlaczego sąd przysięgłych Toma, złożony przecież z takich, jak Cunninghamowie, nie uniewinnił Toma na złość Ewellom. Jem odpowiedział tylko machnięciem ręki, jakby moje pytanie było dziecinne.

- Wiesz - zauważył - Atticus jednak wytupuje takt, kiedy kręci muzykę w radio, i szalenie lubi to, co zostaje w garnku po mięsie albo jarzynach... W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak to lubił, jak on...

- Więc w tym nie różnimy się od Cunninghamów - powiedziałam. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego ciocia...

- Nie, daj mi skończyć... w tym się nie różnimy, ale pomimo to się różnimy. Atticus kiedyś powiedział, że ciocia ma takiego bzika na punkcie rodziny, bo my mamy tylko pochodzenie i nic więcej... ani dziesięciu centów dodatku do nazwiska.

- No, Jem, ja nie wiem... Mnie Atticus kiedyś powiedział, że przeważnie opowiadanie o tym, że rodzina jest wielowiekowa, to głupota, bo wszyscy są z jednakowo starych rodzin. Zapytałam, czy kolorowi i Anglicy też, a on powiedział, że też.

- Pochodzenie wcale nie oznacza, że się człowiek urodził w rodzinie, która powstała w dawnych czasach - wyjaśnił Jem. - Tu chyba chodzi o to, jak dawno rodzina potrafi pisać i czytać. Smyk, ja sobie łamałem głowę i wpadłem tylko na to. Kiedyś tam dawno, dawno, kiedy Finchowie byli w Egipcie, któryś musiał się nauczyć paru hieroglifów i później nauczył ich swojego syna. - Jem parsknął śmiechem. - I pomyśl, ciocia jest dumna z tego, że jej pradziadek umiał czytać i pisać... Panie sobie wybierają śmieszne powody do dumy.

- No, ja się cieszę, że umiał, bo inaczej kto by nauczył Atticusa i ich wszystkich, i przecież gdyby Atticus nie umiał czytać, mielibyśmy porządny kłopot. Ale ja nie uważam, żeby od tego zależało pochodzenie, Jem.

- Więc jak wytłumaczysz, dlaczego Cunninghamowie są inni niż my? Pan Walter ledwie umie się podpisać, sam widziałem. To naprawdę chodzi o to, że myśmy czytali i pisali znacznie dawniej niż oni.

- Nie, wszyscy jednakowo muszą się uczyć... nikt się z wiedzą nie rodzi. Ten Walter jest mądry jak tylko może; jeżeli czasem jest trochę w tyle za nami, to tylko dlatego, że musi zostawać na wsi i pomagać swojemu tatusiowi. Nie, Jem. Myślę, że jest tylko jeden rodzaj ludzi. Ludzie.

Jem odwrócił się i szturchnął poduszkę. Gdy się oparł o nią z powrotem, był nadąsany. Zorientowałam się, że zaczynają się jego „humory”, więc wolałam być ostrożna. Brwi miał ściągnięte, usta jak kreska. Milczał przez chwilę.

- Też tak myślałem - rzekł w końcu - kiedy byłem w twoim wieku. Ale dlaczego, jeżeli jest tylko jeden rodzaj ludzi, nie ma między ludźmi zgody? Jeżeli wszyscy są tacy sami, dlaczego starają się być inni, żeby pogardzać sobą nawzajem? Smyk, chyba zaczynam coś rozumieć. Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego Dziki Radley siedzi przez cały, cały czas w domu... On po prostu chce siedzieć w domu.

24

Calpurnia paradowała w swym najsztynniej wykrochmalonym fartuchu. Niosła tacę z szarlotką. Tyłem podeszła do drzwi wahadłowych i nie odwracając się, delikatnym pchnięciem je otworzyła. Podziwiałam swobodę i grację, z jaką dźwigała te załadowane przysmakami tace. Ciocia Alexandra też chyba podziwiała, bo pozwoliła jej dzisiaj podawać do stołu.

Sierpień już przechodził we wrzesień. Dill miał wyjechać do Meridian nazajutrz i w to ostatnie popołudnie w Maycomb wybrał się z Jemem nad Piekarską Topiel. Bo Jem ku swemu zdumieniu i oburzeniu raptem odkrył, że nikt dotychczas nie pomyślał o tym, by nauczyć Dilla pływać - a człowiek, zdaniem Jema, tak samo powinien umieć pływać, jak umie chodzić. W rezultacie już dwa popołudnia spędzili obaj nad odnogą rzeki i w dodatku z góry mi zapowiedzieli, że będą się kąpać nago, więc wykluczone, żebym mogła tam być z nimi.

Osamotniona dzieliłam te godziny między Calpurnią a panią Maudie.

Dzisiaj ciocia Alexandra i jej kółko misyjne staczały batalię, którą słychać było w całym domu. Z kuchni słyszałam, jak w gabinecie pani Grace Merriweather wygłasza referat o nędznym bytowaniu jakichś Mrunów, jak mi się wydawało. Zostawia się tam kobiety same w chatkach, gdy ich czas nadchodzi, chociaż co to za czas, nie wiedziałam; nie mają oni żadnych instynktów rodzinnych - nie wątpiłam, że bardzo martwi to ciocię Alexandrę; poddają swoje dzieci po ukończeniu lat trzynastu okropnym próbom; czolągają się chorzy na framboezję, która polega na tym, że są owrzodzeni, jakby ich ktoś obsypał malinami, i mają robaki w uszach, żują korę drzew, wypluwając ją do wspólnego garnka, a potem się tym upijają.

Natychmiast po tym referacie panie udały się na podwieczorek. Nie wiedziałam, czy wejść do jadalni, czy trzymać się z daleka. Ciocia Alexandra raz na zawsze zaprosiła mnie na te ich podwieczorki; jeśli chodzi o urzędową część zebrania, nie muszę w niej uczestniczyć, powiedziała, bo to by mnie tylko znudziło. Miałam na sobie różową odświętną sukienkę,

pantofelki i halkę i gnębiła mnie myśl, że gdybym się czymś pochlapała, Calpurnia musiałaby znów prac tę sukienkę na jutrzejszą niedzielę. I bez tego Calpurnia ma dziś dużo roboty. Zdecydowałam się nie wchodzić do jadalni.

- Mogę ci pomóc, Cal? - zapytałam usłużnie.

Calpurnia zatrzymała się w drzwiach.

- Siedź w tym kącie cicho jak myszka - rzekła - to mi pomożesz przygotować następną tacę, jak przyjdę.

Stonowany terkot damskich głosów stał się głośniejszy, gdy otworzyła drzwi.

- No, Alexandro, takiej szarlotki jeszcze nie widziałam...

- Prześliczna po prostu...

- Mnie się nie udaje takie ciasto na podkład... nigdy... nigdy...

- Któż to wpadł na pomysł upieczenia ciasteczek z jeżynami? Calpurnia? Nie może być!

- Wszyscy mówią, że pastorowa, no... proszę, a to ich młodsze jeszcze nawet nie zaczęło chodzić...

Ucichły, więc wiedziałam, że wszystkie raczą się szarlotką. Calpurnia wróciła i postawiła na tacy ciężki srebrny dzban naszej mamy.

- Ten dzbanek do kawy to antycznosc - szepnęła. - W dzisiejszych czasach już takich nie fabrykują.

- Mogę go tam zanieść?

- Jeżeli będziesz uważała, żeby nie upuścić. Postaw go na końcu stołu przy pani Alexandrze. Tam gdzie filiżanki i takie rzeczy. Ona im należy.

Spróbowałam popchnąć drzwi tyłem, tak jak to robiła Calpurnia, ale drzwi nawet nie drgnęły. Z uśmiechem Calpurnia mi je otworzyła.

- Ostrożnie teraz, bo to ciężar. Nie patrz na kawę, to nie rozlejesz.

Przeprawa z dzbanem zakończyła się pomyślnie.

- Zostań z nami, Jean Louise. - Ciocia Alexandra uśmiechnęła się promiennie, co stanowiło część kampanii nauczania mnie, jak należy być damą.

W myśl przyjętego zwyczaju każda pani, u której odbywało się kolejne zebranie kółka misyjnego, zapraszała na podwieczorek również i sąsiadki bez względu na to, czy są one baptystkami, czy prezbiteriankami, tym więc tłumaczyła się teraz obecność panny Rachel (idealnie trzeźwej), pani Maudie i panny Stephanie Crawford. Dostyc płochliwa zajęłam fotel obok pani Maudie, zadając sobie pytanie, dlaczego, żeby przejść na drugą stronę ulicy, one wkładają kapelusze. Panie w gromadzie zawsze napawały mnie jakąś niejasną obawą i gorącym pragnieniem znalezienia się gdzie indziej, wiedziałam jednak, że to jest uczucie z rzędu tych, które ciocia Alexandra nazywa „rozpieszczaniem się”.

Wszystkie wyglądały świeżo w lekkich wzorzystych pastelowych sukniach; przeważnie były starannie upudrowane, ale nie uróżowane; jeśli umalowały sobie usta, to tylko „Perfumowaną Naturalną”. Cutex „Naturalny” połyskiwał na ich paznokciach, chociaż parę młodszych miało Cutex „Różowy”. Pachniały niebiańsko. Siedziałam w milczeniu, zaciskałam ujarzmione wreszcie dłonie na poręczach fotela i czekałam, żeby któraś z pań odezwała się do mnie.

Złote rożki mostka pani Maudie zamigotały.

- Wspaniale pani wystrojona, panno Jean Louise - rzekła pani Maudie. - Gdzież to się podziały pani porcięta?

- Są pod sukienką.

Nie zamierzałam być dowcipna, ale panie się roześmiały. Policzki zaczęły mnie palić, gdy sobie uświadomiłam swoją gafę, pani Maudie jednak patrzyła na mnie poważnie. Ona nigdy nie śmiała się ze mnie, jeśli nie chciałam jej rozśmieszyć.

W ciszy, która raptem zaległa, panna Stephanie Crawford zawołała z drugiego końca pokoju:

- Czym chcesz zostać, kiedy dorośniesz, Jean Louise? Adwokatem?

- Nie, proszę pani, nie myślałam o tym... - odpowiedziałam wdzięczna pannie Stephanie za łaskawość, jakami okazała, zmieniając temat.

W pośpiechu przystąpiłam do wybierania zawodu. Pielęgniarka? Lotniczka? No...

- Nie mów! Myślałam, że chcesz zostać adwokatem, skoro już chodzisz do sądu.

Panie znów się roześmiały.

- Sto pociech z tą naszą Stephanie - zauważyła któraś.

Panna Stephanie zachęcona dopytywała:

- Nie chcesz wyrosnąć na prawnika?

Poczułam na ręce dotknięcie pani Maudie, więc odrzekłam łagodnie:

- Nie, proszę pani, tylko na damę.

Panna Stephanie przyjrzała mi się podejrzliwie, doszła jednak do wniosku, że nie chciałam być niegrzeczna, i poprzestała na upomnieniu:

- No, niedaleko z tym zajedziesz, jeżeli nie zaczniesz częściej chodzić w sukienkach.

Palce pani Maudie zacisnęły się na mojej ręce, więc nie odrzekłam nic. Ciepło tych palców wystarczyło.

Z drugiej strony miałam przy sobie panią Grace Merriweather, z którą też wypadało porozmawiać. Pan Merriweather, pobożny metodysta z musu, najwidoczniej nie dopatrywał się żadnej aluzyjności w hymnie: *O Gratia, słodkie łaski nazwanie, która zbawiła mnie nieszczęsnego...* Niemniej powszechnie w Maycomb uważano, że to pani Merriweather sprowadziła go na drogę rozsądku i cnoty, i zrobiła z niego użytecznego obywatela. Gdyż z pewnością pani Merriweather to najpobożniejsza ze wszystkich pań Maycomb. Spróbowałam zabawić ją rozmową na ciekawe dla niej tematy.

- Co panie dzisiaj omawiały? - zapytałam.

- Och, dziecko, los tych biednych Mruna - odpowiedziała, natychmiast się ożywiając. Dalsze pytania były już raczej zbyteczne. W jej wielkich piwnych oczach zalśniły łzy, jak zawsze, gdy rozważała sprawę uciskanych. - Żyją w dżungli i nie mają przy sobie nikogo oprócz J. Grimesa Everetta. Żaden biały nie chce się do nich zbliżyć... tylko ten świątobliwy J. Grimes Everett. - Jak zawsze grała na swym głosie jak na organach: każde słowo uzyskiwało w jej ustach pełny rytm. - Ubóstwo... ciemnota... zgnilizna moralna... tylko jeden J. Grimes Everett wie jak u nich jest. Gdy z ramienia naszego kościoła pojechałam do ośrodka, czy wiesz, co J. Grimes Everett mi powiedział?

- On był w ośrodku, proszę pani? Myślałam, że...

- W kraju na urlopie. J. Grimes Everett mi powiedział... tak mi powiedział: „Pani Merriweather, wy nie macie pojęcia, po-ję-cia, o co my tam walczymy”. Tak mi powiedział.

- Tak, proszę pani.

- A ja mu na to: „Wielebny - powiedziałam my, panie z południowego kościoła episkopalnego metodystów Maycomb w stanie Alabama, nie dorastamy wam do pięt”. Tak mu powiedziałam. I wiesz, od razu tam ślubowałam sobie. Ślubowałam sobie: zaraz po powrocie wygłoszę odczyt o biednych Mruna, przyniosę słowo J. Grimesa Everetta do Maycomb. To właśnie teraz czynię.

- Tak, proszę pani.

Pani Merriweather potrząsnęła głową, wprawiając w ruch czarne pukle.

- Jean Louise - oznajmiła - jesteś szczęśliwą dziewczynką. Żyjesz w domu chrześcijańskim wśród chrześcijan w chrześcijańskim mieście. Tam na tej ziemi J. Grimesa Everetta nie ma nic... tylko grzech i plugastwo.

- Tak, proszę pani.

- Grzech i plugastwo... Mówiłaś coś, Gertrude? - Pani Merriweather skierowała kuranty swego głosu na panią siedzącą obok, z drugiej strony. - Aha, to. No, ja zawsze mówię: trzeba wybaczać i zapominać. Co nasz kościół powinien uczynić, to pomagać jej w prowadzeniu chrześcijańskiego życia przez wzgląd na te jej dzieci. Paru z naszych panów powinno tam pojechać i powiedzieć ich kaznodziei, żeby ją podnosił na duchu.

- Przepraszam - przerwałam. - Czy panie mówią o Mayelli Ewell?

- O May... nie, dziecko. O żonie tego Negra. O żonie Toma. Toma...

- Robinsona, proszę pani.

Pani Merriweather znów odwróciła się do swej sąsiadki.

- W jedno serdecznie wierzę, Gertrude - mówiła dalej. - Cóż, kiedy nie wszyscy widzą to tak, jak ja. Jeżeli tylko damy im do zrozumienia, że im wybaczymy i że nie będziemy o tym pamiętać, cała ta sprawa się wypali.

- Ach... proszę pani - przerwałam jej jeszcze raz. - Co się wypali?

Znów odwróciła się do mnie. Należała do tych bezdzielnych dorosłych, którzy uważają, że w rozmowie z dziećmi należy przybierać ton specjalny.

- Nic, Jean Louise - odrzekła majestatycznym largo. - Tyle że kucharki i parobcy są niezadowoleni, ale już im wraca opamiętanie... Szemrali przez cały następny dzień po tym procesie. - Znów mówiła odwrócona do pani Farrow: - Gertrude, powiem ci, że nic bardziej doprowadza do szału niż naburmuszony Murzyn. Oni nosy spuszczaają do ziemi. Po prostu ma się zepsuty dzień, gdy się patrzy na kogoś takiego w kuchni. Czy wiesz, Gertrude, co powiedziałam mojej Sophy? Powiedziałam: „Sophy, dziś nie jesteś chrześcijanką. Jezus Chrystus przecież nigdy nie utyskiwał i nie narzekał”. I wiesz, dobrze jej to zrobiło. Oderwała oczy od podłogi i przytaknęła: „Tak, proszę pani, Jezus nigdy nie utyskiwał”. Mówię ci, Gertrude, nigdy nie powinno się pomijać sposobności do głoszenia Słowa Bożego.

Przypomniały mi się stare, nieduże organy w kaplicy Przystani Fincha. Gdy jeszcze byłam bardzo mała, Atticus, wygrywając na nich melodie jednym palcem, pozwalał mi w nagrodę za całodzienne dobre zachowanie pompować miechy. Ostatnia nuta przeciągała się, dopóki tylko

wystarczyło powietrza, żeby ją utrzymać. Otóż pani Merriweather, jak sądziłam, właśnie zabrakło powietrza, więc musiała nabrać go na nowo, inaczej zapewne by nie udzieliła głosu pani Farrow.

Pani Farrow miała imponującą figurę, prawie białe oczy i niezwykle wąskie stopy. Zrobiła sobie niedawno wieczną ondulację i jej włosy zamieniły się w masę ciasno skręconych siwych pukielków. Była drugą pod względem pobożności panią w mieście Maycomb. Odznaczała się też szczególnym przyzwyczajeniem poprzedzania wszystkiego, co mówiła, cichym sykiem.

- S-s-s-s, Grace - zaczęła - akurat to samo powiedziałam przedwczoraj bratu Hudsonowi. „Zupełnie jakbyśmy walczyli z wiatrakami, z wiatrakami!”, powiedziałam, s-s-s-s, „po nich to spływa jak po gęsi woda. Możemy ich pouczyć, dopóki nie zsinieją, możemy do utraty tchu w piersiach próbować zrobić z nich chrześcijan, ale ani jedna pani nie jest bezpieczna w swoim łóżku w tych czasach”. A brat Hudson mi powiedział: „Pani Farrow, ja nie wiem, do czego to dojdzie”. S-s-s-s, powiedziałam mu, że istotnie.

Pani Merriweather z mądrą miną skinęła głową. Jej głos wzbił się ponad brzęk filiżanek z kawą i ciche odgłosy, z jakimi kółko misyjne nieomal jak stworzenie roślinożerne przeżuwało podwieczorkowe pyszności.

- Gertrude - obwieściła pani Merriweather - mówię ci, są w naszym mieście niektórzy ludzie zacni, ale złąkani. Zacni, ale złąkani. Ludzie, którym się wydaje, że czynią słusznie. Daleka jestem od tego, żeby ich wskazać palcem, ale niektórym w naszym mieście nie tak dawno temu wydawało się, że czynią rzecz słuszną; a tymczasem skutek był tylko taki, że zrobiło się poruszenie tam, gdzie nie należy. Może to w tym czasie wyglądało na rzecz słuszną. Nie wiem, nie jestem odczytana w tej dziedzinie, ale fakt, że naburmuszeni, niezadowoleni... Mówię ci, że gdyby moja Sophy była taka dalej, choćby przez jeszcze jeden dzień, tobym ją odprawiła. Nigdy jej nie zaświtało pod tą wełnistą czupryną, że trzymam ją tylko dlatego, że jest ten kryzys i że ona potrzebuje tego dolara dwadzieścia pięć centów na tydzień.

- Ale podwieczorek u niego jakoś nie staje w gardle, prawda?

Pani Maudie to powiedziała. Dwie głębokie zmarszczki ukazały się w kącikach jej ust. Dotychczas siedziała przy mnie, nic nie mówiąc, trzymając nieruchomo filiżankę z kawą na kolanie. Ponieważ już dawno, od chwili gdy one przestały mówić o żonie Toma Robinsona, straciłam wątek ich rozmowy, spokojnie przez cały ten czas dumałam o Przystani Fincha i rzece. Uznałam, że jednak ciocia Alexandra przedstawiła mi sprawę na odwrót: część oficjalna zebrania przynajmniej ścinała krew w żyłach, natomiast ta godzina towarzyska jest koszmarne nudna.

- Maudie, absolutnie nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - rzekła pani Merriweather.

- Z pewnością wiesz - powiedziała pani Maudie krótko.

Tylko tyle. Pani Maudie w chwilach, gdy ją coś gniewało, mroziła zwięzłością. Coś musiało ją teraz rozgniewać do głębi, bo wyraz jej szarych oczu, tak samo jak jej ton, był lodowaty. Pani Merriweather zaczerwieniona zerknęła na mnie i odwróciła wzrok. Miny pani Farrow nie mogłam widzieć.

Ciocia Alexandra wstała od stołu i z pośpiechem zaczęła znów częstować całe towarzystwo, zręcznie wciągając panią Merriweather i panią Gates w ożywioną rozmowę. Dopiero wtedy, gdy

obie panie porządnie już się rozgadały i gdy przyłączyła się do nich pani Perkins, wróciła na swoje miejsce. Rzuciła przy tym pani Maudie spojrzenie pełne nieklamanej wdzięczności, a ja zastanowiłam się, zdumiona, nad tym światem kobiet. Pani Maudie i ciocia Alexandra przecież nigdy nie okazują sobie szczególnej sympatii i oto nagle ciocia za coś dziękuje pani Maudie. Za co, nie wiedziałam. Ucieszyło mnie jednak odkrycie, że pancierz cioci Alexandry ostatecznie można przebić na tyle, by poczuła ona wdzięczność za udzieloną pomoc. Nie ulegało dla mnie wątpliwości: wkrótce już będę musiała wkroczyć w ten świat, na którego powierzchni spokojnie, lekko się kołysząc i wachlując, popijają kawę uperfumowane panie.

Cóż, kiedy bardziej swojsko czułam się w świecie mego ojca. Ludzie tacy, jak pan Heck Tate, nie zadają podchwytliwie niewinnych pytań, żeby się z człowieka wyśmiewać; nawet Jem nie jest nastawiony zbyt krytycznie, dopóki nie mówi się rzeczywiście głupstw. Doznawałam wrażenia, że panie żyją w jakimś niejasnym strachu przed mężczyznami, w niechęci do szczerzego uznawania ich jako takich. Ale ja mężczyzn lubiałam. Choćby jak najbardziej kłęli, pili i grali w karty, żuli prymkę, choćby jak najbardziej trudni byli do zrozumienia, wyczuwałam w nich coś, co lubiałam instynktownie... mężczyźni to nie...

- Obłudnicy, droga pani, obłudnicy - mówiła pani Merriweather do pani Perkins. - My tutaj przynajmniej nie dźwigamy brzemienia tego grzechu na barkach. A tam ludzie wprawdzie ich wyzwolili, ale przecież się nie widzi, żeby razem z nimi siadali do stołu. My przynajmniej nie mamy w sobie tej obłudy, żeby im mówić: „Owszem, jesteście nie gorsi od nas, tylko trzymajcie się od nas z daleka”. My tutaj po prostu mówimy: „Żyjcie wy po swojemu i my żyjemy dalej po swojemu”. Myślę, że ta kobieta, ta pani Roosevelt, postradała rozum, najwyczejniej postradała rozum, kiedy przyjechała do Birmingham i spróbowała usiąść między nimi. Gdybym ja była burmistrzem Birmingham, nigdy bym...

No, żadna z nas burmistrzem Birmingham nie była, ale nagle zapragnęłam być przez jeden jedyny dzień gubernatorem stanu Alabama: zanim kółko misyjne by się obejrzało, wypuściłabym Toma Robinsona na wolność. Calpurnia przed paroma dniami opowiadała kucharce panny Rachel, jak strasznie Tom to wszystko przeżywa, i nawet nie przestała mówić, gdy ja weszłam do kuchni. Powiedziała, że Atticus zrobił, co tylko mógł, żeby to więzienie nie było dla Toma takie ciężkie, ale ostatnią rzeczą, jaką Tom powiedział Atticusowi, zanim go zabrali do tego obozu więziennego, było: „Żegnaj się z panem, proszę pana, już pan nic nie może zrobić, więc nie ma po co się starać”. I powiedziała Calpurnia, że Atticus jej opowiadał, jak tamtego dnia, gdy zabrano Toma, Tom zupełnie stracił nadzieję. Atticus próbował mu wszystko wyjaśnić i podnieść go na duchu, że to jeszcze nic straconego i że robi, co może, aby go uwolniono. Kucharka panny Rachel zapytała wtedy Calpurnię, dlaczego Atticus po prostu nie powiedział: „Tak, będziesz wolny” i na tym koniec - przecież tym na pewno by pocieszył Toma. Calpurnia ją uświadomiła: „Nie znasz się na prawie. Jak się jest w rodzinie adwokata, to pierwsza rzecz: trzeba się nauczyć, że nie ma żadnych wiadomych odpowiedzi na nic. Pan Finch nie mógłby powiedzieć czegoś takiego, kiedy nie wie, że na pewno tak będzie”.

Trzasnęły drzwi frontowe i usłyszałam w holu kroki Atticusa. Odruchowo spojrzałam na zegar. Daleko było jeszcze do godziny, o której zwykle wracał do domu, już nie mówiąc o tym, że w dni zebrań kółka misyjnego zostawał w mieście do późnego wieczora.

Stanął w drzwiach jadalni. Kapelusz trzymał w ręce i zauważyłam, że jest bardzo blady.

- Panie darują - powiedział. - Proszę łaskawie prowadzić zebranie dalej i sobie nie przeszkadzać. Alexandro, czy mogłabyś na chwilę przyjść do kuchni? Chciałbym na pewien czas wypożyczyć Calpurnię.

Poszedł do kuchni nie przez jadalnię tylko sienią kuchenną od drugiej strony. Obie więc z cicią Alexandrą byliśmy tam przed nim. Po chwili drzwi jadalni znów się otworzyły i przysła do nas pani Maudie. Calpurnia uniosła się z krzesła.

- Cal - rzekł Atticus - chcę, żebyś pojechała ze mną do Helen Robinson...

- Co się stało? - wykrzyknęła ciocia Alexandra zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

- Tom nie żyje.

Ciocia Alexandra przysłoniła usta rękami.

- Zastrzelili go - mówił Atticus. - Uciekał. To było w czasie ćwiczeń gimnastycznych. Powiedzieli, że wpadł w jakąś ślepą furję, rzucił się na ogrodzenie i zaczął się wspinać. Na ich oczach...

- Nie próbowali go powstrzymać? Nie ostrzegli go wcale? - Głos cioci Alexandry drżał.

- Och, tak, ci strażnicy wołali, żeby zszedł. Parę razy strzelili w powietrze, no, a potem już celowali. Trafili go, kiedy przechodził na drugą stronę ogrodzenia. Powiedzieli, że gdyby miał obie ręce dobre, toby mu się udało. Ruszał się tak szybko. Siedemnaście kul w ciele. Nie musieli tak go ostrzeliwać. Cal, chcę, żebyś ze mną pojechała i pomogła mi powiedzieć Helen.

- Dobrze, proszę pana - wyszeptała Calpurnia, rozdygotanymi palcami usiłując rozwiązać troki fartucha.

Pani Maudie podeszła do niej i rozwiązała je sama.

- To już nie do wytrzymania, Atticus - powiedziała ciocia Alexandra.

- Zależy, jak się na to patrzy - rzekł Atticus. - Jeden Murzyn mniej czy jeden Murzyn więcej wśród dwustu Murzynów? On dla nich przecież nie był Tomem, był więźniem, który uciekał. - Oparł się o lodówkę, podsunął okulary na czoło i przetarł oczy. - Mieliśmy takie duże szanse - powiedział.

- Mówiłem mu, co o tym myślę, ale przecież, na Boga, nie mogłem mu powiedzieć nic poza tym, że szanse są duże. Zmęczyły go już chyba do cna te szanse białych, więc wołał spróbować szansy własnej. Gotowa, Cal?

- Tak, proszę pana.

- To jedziemy.

Ciocia Alexandra usiadła na krzesle Calpurnii i ukryła twarz w dłoniach. Siedziała nieruchomo, tak nieruchomo, że złękłam się, czy nie zemdlała. Słyszałam oddech pani Maudie zupełnie taki, jakby pani Maudie wchodziła przed chwilą na górę po bardzo stromych schodach, i przytłumione głosy beztrąsko w jadalni gawędzących pań.

Pomyślałam, że ciocia Alexandra płacze, gdy jednak odjęła ręce od twarzy, wcale nie płakała. Wyglądała na znużoną. Odezwała się bezbarwnie:

- Nie mogę powiedzieć, że pochwalam wszystko, co on robi, Maudie, ale to mój brat i chcę tylko wiedzieć, kiedy to się wreszcie skończy. - Podniosła głos. - To go rozrywa na strzępy. On stara się nie pokazywać, że to go wykańcza. Widziałam, jak on... Czegóż jeszcze oni od niego

zażądają, Maudie, czegoż jeszcze?

- Kto zażąda, Alexandro? - zapytała pani Maudie.

- Mówię o naszym mieście. Wszyscy bardzo chcą, żeby on robił to, czego sami wolą nie robić, bo się boją... bo to by ich pozbawiło tych paru centów. Bardzo chętnie pozwalają, żeby marnował zdrowie, robiąc to, czego sami wolą nie robić, bo są...

- Uspokój się, jeszcze cię usłyszą - rzekła pani Maudie.

- Czy nigdy nie spoglądałeś na to, Alexandro, pod innym kątem? Może Maycomb zdaje sobie z tego sprawę, a może nie, ale oddajemy mu przecież największy hołd, jaki można oddać człowiekowi. Ufamy, że to, co on robi, jest słuszne. Prosta rzecz?

- Kto? - Ciocia Alexandra nie wiedziała, że jest w tej chwili echem swego dwunastoletniego bratanka.

- Garstka ludzi w naszym mieście... Garstka ludzi, którzy powiadają, że sprawiedliwość nie jest opatrzona tabliczką „Tylko dla białych”... Garstka ludzi, którzy powiadają, że do sprawiedliwego procesu ma prawo każdy, nie tylko my... Garstka ludzi, którzy mają w sobie dość pokory, by patrząc na Murzyna pomyśleć: „Oto byłbym ja, gdyby nie dobroć Boga”. - Styl pani Maudie stawał się znów zwięzły, jak zwykle: - Garstka ludzi z przyzwoitym pochodzeniem, oto kto.

Gdybym słuchała uważnie, usłyszałabym zapewne coś więcej, czym mogłabym sobie uzupełnić definicję pochodzenia sformułowaną przez Jema, cóż, kiedy wiedziałam tylko, że wstrząsają mną dreszcze, których nie sposób powstrzymać. Farmę więzienną Enfield znałam z fotografii i Atticus pokazał mi ten plac ćwiczeń. Nie większy niż boisko piłki nożnej.

- Przestań się trząść - poleciła pani Maudie, więc przestałam. - Wstawaj, Alexandra. Zostawiłyśmy je same na dosyć długo.

Ciocia Alexandra wstała, wyrównując na biodrach wyrzuczenia fiszbinów. Wyjęła zza paska chusteczkę i wytarła nos. Przyglądała mi włosy i zapytała:

- Widać po mnie?

- Ani trochę - uspokoiła ją pani Maudie. - Pozbierałaś się już, Jean Louise?

- Tak, proszę pani.

- Więc wracajmy do pań - burknęła.

Ich głosy rozbrzmiały, gdy pani Maudie otworzyła drzwi jadalni. Zobaczyłam, jak ciocia Alexandra wychodząca tam przede mną podnosi głowę.

- Och, jeszcze kawy dla pani Perkins - powiedziała. - Pani pozwoli, że doleję?

- Calpurnia wyszła na chwilę, żeby coś załatwić, Grace - wyjaśniła pani Maudie. - Pozwól, że ci podam jeszcze parę tych ciasteczek z jeżynami. Słyszałaś, jak mój kuzyn niedawno się wyraził... ten zapalony rybak...

I tak obie chodziły po jadalni wzdłuż rzędu roześmianych kobiet, napełniając filiżanki kawą, roznosząc słodycze, jak gdyby jedynym ich zmartwieniem była chwilowa, kłopotliwa w gospodarstwie domowym nieobecność Calpurnii.

Znów dało się słyszeć jednostajny gwar.

- Właśnie, droga pani, ten J. Grimes Everett to święty męczennik, on...

- ...musiał się z nią ożenić, więc uciekli...

- ...do salonu kosmetycznego co sobota po południu.

- ...zaraz po zachodzie słońca.

- On chodzi spać razem z kurami...

- ...z kurami, klatka z chorymi kurami, Fred mówi, że od tego się wszystko zaczęło. Fred mówi...

Ciocia Alexandra spojrzała na mnie z drugiego końca jadalni i uśmiechnęła się. Potem spojrzała na paterę z ptysiami na stole i wskazała mi ją ruchem głowy. Ostrożnie wzięłam ze stołu tę paterę i krok za krokiem ruszyłam z nią do pani Merriweather. Z całym, na jaki mnie było stać, wdziękiem dobrze wychowanej dziewczynki poczęstowałam panią Merriweather ptysiem. Ostatecznie, jeżeli ciocia potrafi być w takiej chwili damą, czemuż miałabym nie potrafić tego i ja?

25

- Nie rób tego, Smyk. Puść go na schodki.

- Jem, czyś ty zwariował?...

- Powiedziałem, puść go na schodki.

Z westchnieniem zamknęłam w dłoni to stworzonko, podeszłam do schodków, położyłam je na najwyższym stopniu i wróciłam na swe polowe łóżko. Był już wrzesień, ale wciąż jeszcze ciepły, więc nadal sypialiśmy na zabezpieczonym siatką tylnym ganku. Nadal błyskały robaczki świętojańskie i ani nocne dżdżownice, ani owady, które obijały się o siatkę co noc przez całe lato, jeszcze nie zniknęły gdzieś tam, gdzie znikają zawsze, gdy przychodzi jesień.

Jakiś żuk dostał się do domu. Wykombinowałam, że musiał wmaszerować po schodkach i precyzyjnie się pod drzewami. Odkładałam książkę na podłogę przy łóżku, gdy go zobaczyłam. Te żuki najwyżej na cał długie zwijają się pod dotknięciem w zbitą szarą kulkę.

Położyłam się na brzuchu, spuściłam rękę i ruszyłam go palcem. Zwinął się. Po chwili, zapewne czując się już bezpieczny, powolutku się rozwinął. Przewędrował parę cali na swych licznych nóżkach i wtedy znów go dotknęłam. Zwinął się. Oczy mi się kleiły, więc zdecydowałam, że czas z tym kończyć. Już chciałam go przycisnąć ręką do podłogi, gdy odezwał się Jem.

Patrzył na mnie groźnie. Przyszło mi na myśl, że on widocznie przechodzi teraz jakiś nowy okres, i zapragnęłam, żeby się pospieszył i przeszedł ten okres czym prędzej. Z pewnością nie okazywał nigdy okrucieństwa w stosunku do zwierząt, ale dotychczas nie wiedziałam, że jego miłosierdzie obejmuje również świat owadów.

- Dlaczego nie miałabym go zgnieść? - zapytałam.

- Bo one ci nie dokuczają - odpowiedział Jem z mroku.

Zgasił swoją nocną lampkę.

- Jesteś w takim okresie, w którym się nie tępi nawet much i moskitów, zdaje mi się - powiedziałam. - Daj mi znać, kiedy ci to minie. Ale jedno ci powiem, nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami i nie drapać się w razie kleszczy.

- Oj, zamknij się - mruknął sennie.

To jednak Jem, a nie ja stawał się z dnia na dzień coraz bardziej dziewczyną. Wygodnie wyciągnięta na wznak w tej miłej chwili przed zaśnięciem zaczęłam myśleć o Dillu. Dill odjechał od nas pierwszego września ze stanowczym zapewnieniem, że wróci natychmiast, gdy go szkoła puści na wakacje, bo w domu to już chyba mniej więcej wie, jak on lubi spędzać lato w Maycomb. Panna Rachel odwożąc Dilla, zabrała również i nas taksówką do Maycomb-Węzeł Kolejowy i Dill machał ręką z okna pociągu, dopóki nie straciliśmy go z oczu. W pamięci jednak pozostał, brak mi go było. A przez te ostatnie dwa dni, kiedy jeszcze był z nami, Jem uczył go pływać...

Uczył go pływać. Nagle rozbudzona przypomniałam sobie to, co Dill mi opowiedział.

Piekarska Topiel jest przy końcu piaszczystej drogi łączącej się z szosą do Meridian w odległości jakiejś mili od miasteczka. W tamtą stronę łatwo do tej drogi podjechać czy to wozem z bawełną, czy którymś z przejeżdżających samochodów, a później krótki spacer od szosy do odnogi rzeki to fraszka, gorzej jednak z powrotem o zmierzchu, gdy ruch na szosie słabnie, i nieraz trzeba przebyć całą trasę pieszo, więc wszyscy, którzy chodzą nad Topiel, starają się nie wracać stamtąd zbyt późno.

Dill opowiadał, że właśnie obaj z Jemem doszli do szosy, gdy od strony Maycomb nadjechał samochodem Atticus. Wyglądało na to, że ich nie widzi, toteż zaczęli do niego machać. W końcu zwolnił; gdy podbiegli, powiedział:

„Złapcie lepiej kogoś, kto jedzie do Maycomb. Ja na razie nie wrócę do domu”.

Na tylnym siedzeniu siedziała Calpurnia.

Jem zaprotestował, potem zaczął prosić, aż Atticus się zgodził:

„Dobrze, możecie jechać z nami, ale poczekacie tam w samochodzie”.

Po drodze, gdy jechali do domu Toma Robinsona, opowiedział im, co się stało. Skręcili z szosy w bok, przejechali wolno koło śmietników i koło zagrody Ewellów, i dalej wąską dróżką do chat Murzynów. Gromada czarnych dzieci, opowiadał Dill, grała w kulki na podwórku Toma. Atticus zaparkował samochód i wysiadł. Calpurnia poszła za nim na to podwórko. Dill usłyszał, jak Atticus pyta jedno z dzieci:

„Gdzie wasza matka, Sam?”

Na co ten chłopiec odpowiedział:

„U siostry Stevens, psz...ana, panie Finch. Mam lecieć po nią?”

Atticus tak jakby się zawahał, opowiadał Dill, a potem powiedział, że tak, i Sam popędził za furtkę.

„Bawcie się dalej, chłopcy” - powiedział Atticus dzieciom.

W drzwiach chaty stała mała dziewczynka zagapiona na Atticusa. Dill opowiadał, że miała na główce mnóstwo cieniutkich, sztywnych warkoczyków z jaskrawymi kokardkami. Nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha i ruszyła do naszego ojca, ale była za mała, żeby zejść samodzielnie ze schodków. Atticus, opowiadał Dill, podszedł do niej, zdjął kapelusz i podał jej palec. Złapała się za ten palec i on ją wtedy sprowadził ze schodków na ziemię. Potem oddał ją Calpurnii.

Sammy kłusował za matką, gdy oboje się pokazali. Helen, opowiadał Dill, powiedziała:

„Dobry wieczór, panie Finch, może pan usiądzie?”

I więcej już nic nie powiedziała. Atticus też nie.

- Smyk - opowiadał Dill - ona po prostu upadła na ziemię. Po prostu upadła na ziemię, jak gdyby jakiś olbrzym przechodził i nadepnął ją olbrzymim butem. Po prostu klap... - Dill z wysoka postawił swą pulchną nogę na ścieżce. - Tak, jak ty byś nadepnęła mrówkę.

Opowiadał, że Calpurnia i Atticus pomogli Helen wstać i na pół zanieśli, na pół poprowadzili ją do chaty. Siedzieli w chacie długo i wreszcie Atticus wyszedł sam. Gdy jechali z powrotem koło śmietników, paru Ewellów wrzeszczało coś do nich, ale Dill nie bardzo rozumiał, co.

W Maycomb interesowano się wiadomością o śmierci Toma może przez dwa dni; dwa dni wystarczyły, by tę wiadomość przekazać wszystkim w całym hrabstwie.

- Słyszeliście...? Nie? No, mówię wam, uciekł jak jasny piorun...

W przekonaniu miasta Maycomb śmierć Toma była typowa. Typowe dla czarnucha wyrwanie się i uciezka. Typowy dla czarnucha brak jakiegokolwiek planu, brak zastanowienia się nad przyszłością - ot, uciec na oślep przy pierwszej lepszej okazji, jaka się nadarzy. To śmieszne, Atticus Finch miał przecież szansę uwolnienia go, tyle że on musiałby poczekać. Ale on, do diabła, nie. Wiadomo, jacy oni są. Łatwo przyszło, łatwo poszło. To tylko dowód, że Robinson, chociaż żonaty, jak Pan Bóg przykazał, i przywoity podobno, i do kościoła chodził, i w ogóle, od razu, jak przyszło co do czego, stracił cały pokost. Z czarnucha zawsze czarnuch w końcu wyłazi.

Dochodziły jeszcze do tego nieliczne szczegóły umożliwiające słuchaczowi powtórzenie z kolei własnej wersji i potem już zupełnie nie było o czym mówić, aż do następnego czwartku, kiedy to ukazał się kolejny numer „Trybuny Maycomb”. Nekrolog zamieszczono w „Rubryce kolorowych” krótki, ale za to był długi artykuł wstępny.

Pan B.B. Underwood rozszalał się na łamach swej gazety zgoła nie bacząc, że ktoś może potem cofnąć zamówienia reklamowe i prenumeratę. (Tylko że takie sposoby nie były w stylu Maycomb; pan Underwood mógł podnosić wrzask do siódmych potów i wypisywać wszystko, co mu się żywnie podobało. Ogłoszenia tak czy owak napływały i prenumeratorzy pozostawali mu wierni. Uważano, że jeśli on chce strugać z siebie wariata na piśmie, to przecież niczyja, tylko jego własna sprawa.) Nie rozwodził się bynajmniej nad pomyłkami sądowymi w tym artykule napisanym przystępnie jak dla dzieci. Po prostu przedkładał, że grzechem jest zabijać kaleki bez względu na to, czy te kaleki stoją, czy siedzą, czy uciekają. Śmierć Toma porównał do bezmyślnego zabijania śpiewających ptaków, aż w Maycomb powszechnie uznano, że on nic, tylko próbuje napisać artykuł tak poetyczny, żeby go przedrukowano w „Heroldzie Montgomery”.

Jak to możliwe, zastanawiałam się, czytając artykuł wstępny pana Underwooda. Bezmyślne zabijanie - z Tomem przecież postępowano do samego dnia śmierci należycie, w myśl prawa; jego proces odbywał się jawnie, wyrok został wydany przez dwunastu ludzi zacnych i uczciwych; nasz ojciec walczył o niego przez cały czas. Ale potem to określenie pana Underwooda stało się dla mnie jasne: Atticus użył wszelkich środków, jakie tylko są dostępne dla wolnych ludzi, żeby ocalić Toma Robinsona, cóż, kiedy w zamkniętych sądach ludzkich serc nie miał żadnych argumentów. Tom był martwy już od chwili, w której Mayella Ewell otworzyła usta i wrzasnęła.

Na wspomnienie nazwiska Ewell poczułam mdłości. W Maycomb błyskawicznie

dowiedziano się, co pan Ewell myśli o zgonie Toma i pogląd jego przekazano dalej Kanałem Angielskim plotki, czyli za pośrednictwem panny Stephanie Crawford. Panna Stephanie powiedziała cioci Alexandrze w obecności Jema („Och, do licha, jest duży, może posłuchać”), że pan Ewell oświadczył: „Jeden załatwiony, to do załatwienia już tylko dwóch”. Jem zapewnił mnie, że nie mam się czego bać. Pan Ewell tylko gada. Zapewnił mnie też, że jeśli choć słowo o tym pisnę Atticusowi, bądź w jakikolwiek inny sposób dam Atticusowi do zrozumienia, że o tym wiem, to on, Jem, osobiście nigdy w życiu już się do mnie nie odezwie.

26

Rok szkolny się zaczął i zaczęły się nasze codzienne wędrowniki koło posesji Radleyów. Jem był teraz w klasie siódmej i chodził do gimnazjum za budynkiem naszej szkoły podstawowej; ja byłam teraz w klasie trzeciej i rozkład zajęć mieliśmy zupełnie inny, razem więc wychodziliśmy z domu tylko rano i widywaliśmy się dopiero w czasie posiłków. Jem chodził na piłkę nożną, ale był jeszcze za szczupły i za młody, żeby robić tam cokolwiek poza noszeniem kubłów z wodą dla drużyny. Robił to jednak z wielkim zapałem; spędzał tam prawie każde popołudnie i rzadko kiedy wracał do domu przed zapadnięciem zmroku.

Posesja Radleyów, chociaż już mnie nie przerażała, przedstawiała się pod wielkimi dębami nie mniej ponuro, bezsłonecznie i odstręczająco niż dawniej. Pana Nathana Radleya nadal widywało się w pogodne dni, gdy szedł do miasta i gdy wracał do domu; wiedzieliśmy też, że Dzik jest tam nadal, czego dowodem, jak dawniej, było choćby to, że nikt nie widział, by go stamtąd wyniesiono. Przechodząc koło tej starej posesji, czasem czułam wyrzuty sumienia na myśl o swym udziale w czymś, co dla Arthura Radleya było chyba czystą torturą - jakież szanujący się pustelnik chciałby, żeby dzieci zaglądały do niego przez szpary w okiennicach, przesyłały mu pozdrowienia na końcu wędki, plątały się w jego kapuście nocą?

I jeszcze coś sobie przypominałam. Dwa groszaki z głowami indiańskimi, guma do żucia, figurki z mydła, zardzewiały medal, zepsuty zegarek z dewizką. Jem gdzieś to wszystko musiał zapodziać. Któregoś dnia po południu zatrzymałam się, żeby popatrzeć na to drzewo; pień nabrzmiewał wokół plomby z cementu. Cement żółknął.

Parę razy omal go nie zobaczyliśmy, co by nikomu nie szkodziło.

A przecież nadal go wypatrywałam za każdym razem, gdy przechodziłam tamtędy. Wciąż jeszcze miałam nadzieję, że kiedyś go zobaczymy. Wyobrażałam sobie, jak to będzie; gdy to już raz nastąpi, on będzie po prostu siedział na huśtawce w czasie mych powrotów ze szkoły. „Jak się pan ma, panie Arthurze?” - będę mówiła, jak gdybym go tak zagadywała co dzień po południu przez całe swoje życie. „Dobry wieczór, Jean Louise - on będzie mówił, jak gdyby odpowiadał mi tak co dzień po południu przez całe moje życie - niezłą pogodę mamy, prawda?” „Tak, proszę pana, niezłą” - będę mówiła, ruszając dalej.

Ale wiedziałam, że to tylko fantazja. Nigdy go nie zobaczymy. On prawdopodobnie wychodzi o zachodzie księżyca i wpatruje się w pannę Stephanie Crawford. Ja bym sobie wybrała kogoś innego, gdybym już musiała na kogoś patrzeć, no, ale to jego sprawa. W nas

nigdy nie będzie się wpatrywał.

- Chyba nie zaczynasz tego znowu od początku? rzekł Atticus w pewien wieczór, gdy mgliście wyraziłam pragnienie przyjrzenia się raz jeden porządnie Dzikemu Radleyowi, zanim umrę. - Jeżeli tak, to od razu powiem: przestań. Za stary jestem na to, żeby cię odganiać od posesji Radleyów. Poza tym to niebezpieczne. Mogłabyś zginąć od kuli. Wiesz, że pan Nathan Radley strzela do każdego cienia, jaki zobaczy... nawet do cieni, które pozostawiają ślady bosych stóp numer cztery. Miałaś szczęście, że tam nie poległaś.

Ucichłam z miejsca. Jednocześnie poczułam podziw dla Atticusa. Po raz pierwszy wtedy dał nam do zrozumienia, że wie o czymś znacznie więcej niż przypuszczamy. A to się przecież wydarzyło przed laty. Nie... niedawno, w czasie ostatnich wakacji... nie, w czasie wakacji w zeszłym roku, gdy... Czas płatał mi figle. Postanowiłam zapytać o to Jema.

Tyle rzeczy nas spotkało, że Dzik Radley stał się najmniej istotnym przedmiotem naszych obaw. Atticus powiedział, że nie wyobraża sobie, by mogło być inaczej, i że wszystko z czasem się uspokaja, i że za jakiś czas ludzie zupełnie zapomną, że kiedykolwiek zwrócili uwagę na istnienie Toma Robinsona. Może Atticus miał rację, ale wydarzenia ostatniego lata wisiały nad nami jak dym w zamkniętym pokoju. Dorośli z miasta nigdy nie omawiali tej sprawy z Jemem i ze mną; chyba jednak omawiali ją ze swymi dziećmi, i to w tym duchu, że ani Jem, ani ja nic nie poradzimy na to, że Atticus jest naszym ojcem, więc trzeba nam takiego ojca wybaczyć i odnosić się do nas mile. Bo dzieci same nigdy by tego nie wymyśliły; gdyby naszym kolegom szkolnym pozostawiono wolną rękę, oboje, zarówno Jem, jak ja, mielibyśmy za sobą parę szybkich i skutecznych walk na pięści i cała ta kwestia zostałaby raz na zawsze rozwiązana. W istniejącym stanie rzeczy musieliśmy głowy trzymać wysoko i być: Jem gentlemanem, a ja damą. Ponieważ przypominało to nam erę pani Henry Lafayette Dubose, bez jej wszystkich wrzasków. Było w tym jednak coś dziwnego, czego wcale nie rozumiałam. Pomimo wszystkich niedociągnięć Atticusa jako rodziciela, wybrano go w tamtym roku ponownie do legislatury stanu z pełnym zadowoleniem i jak zwykle bez żadnej opozycji. Doszłam do wniosku, że ludzie są po prostu dziwni, odsunęłam się od nich i zupełnie się nad nimi nie zastanawiałam, dopóki nie zostałam do tego zmuszona.

Zostałam do tego zmuszona pewnego dnia w szkole. Raz na tydzień mieliśmy godzinę prasówki. Każde z nas po kolei musiało wyciąć jakiś artykuł z gazety, przestudiować go i zreferować klasie. Dzięki tym ćwiczeniom rzekomo pokonywano nasze złe nawyki: występowanie przed kolegami zachęca do trzymania się prosto i daje swobodę bycia; streszczenie uczy wagi słów; orientowanie się w wypadkach bieżących wyrabia pamięć; chwilowe wyobcowanie budzi w dziecku pragnienie jak najszybszego powrotu do grupy.

Sama ta koncepcja była głęboka, ale jak zwykle w Maycomb, nie bardzo dawała się wprowadzić w życie. Przede wszystkim tylko nieliczne dzieci wiejskie miały dostęp do gazet, więc brzemień wydarzeń współczesnych dźwigały dzieci z miasteczka, co było dla tych dojeżdżających autobusem jeszcze jednym dowodem, że cała uwaga skierowana jest, tak czy inaczej, na miejscowych. Owe nieliczne zaznajomione z prasą dzieci wiejskie zwykle przynosiły wycinki z tak zwanej przez siebie „Mądrej” gazety, publikacji o fałszywych założeniach w oczach panny Gates, naszej nauczycielki. Dlaczego panna Gates marszczy brwi, gdy któreś z dzieci

recytuje wiadomości z „Mądrej” gazety, w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, chociaż jakoś się te recytacje kojarzyły z dłubaniem w nosie, z polewaniem sucharków syropem na drugie śniadanie, z wrzaskami i tarzaniem się w czasie przerwy, z wyśpiewywaniem: „Słodko śpiewa osiołek”, i to ze szczególnym akcentem na słowie „osiołek” - czyli z tym wszystkim, czego nauczycielki, specjalnie przecież opłacane przez stan, miały dzieci oduczać.

Ale nawet przy tych usilnych staraniach niewiele dzieci wiedziało, co to jest wydarzenie współczesne. Mały Chuck Little, mędrzec stułetni, jeśli chodzi o znajomość krów i ich zwyczajów, zdążył kiedyś wydukać pół opowieści jakiegoś Wujaszka Natchella, gdy panna Gates mu przerwała:

- Ależ, Charles, to nie jest wydarzenie współczesne. To reklama.

Cecil Jacobs jednak był zorientowany. Gdy na niego przyszła kolej, stanął na katedrze i zaczął:

- Stary Hitler...

- Adolf Hitler, Cecil - powiedziała panna Gates. - Nigdy się nie poprzedza nazwiska słowem „stary”.

- Dobrze, proszę pani - zgodził się Cecil. - Więc stary Adolf Hitler naciska...

- Uciska, Cecil...

- Nie, proszę pani, tutaj stoi napisane... no, zresztą... stary Adolf Hitler zawziął się na Żydów i wsadza ich do więzień, i odbiera im mienie, i nie daje żadnemu Żydowi stamtąd wyjechać, i czyszczy... czyści wszystkich słabych na umyśle... i...

- Czyści słabych na umyśle?

- Tak, proszę pani, pani nauczycielko. Mnie to się zdaje, że oni mają za mało rozumu, żeby czyścić się sami, bo mnie to się zdaje, że żaden idiota nie potrafi dbać o swoją czystość. No, zresztą... Hitler zaczął plan obław na wszystkich pół-Żydów także i chce ich zarejestrować na wypadek, gdyby chcieli mu narobić kłopotu, i ja uważam, że on źle robi, i to jest moje wydarzenie współczesne.

- Bardzo dobrze, Cecil - rzekła panna Gates.

Cecil, sapiąc, wrócił na swoje miejsce.

Czyjaś ręka podniosła się w głębi klasy.

- Jak on tak może?

- Kto jak może? - zapytała panna Gates cierpliwie.

- Hitler, to znaczy, jak może wsadzać tyle narodu do więzienia, rząd chyba powinien mu zakazać - wypowiedział się szerzej właściciel ręki.

- Sam Hitler to rząd - powiedziała panna Gates i widząc w tym dobrą sposobność do ożywienia lekcji, podeszła do tablicy. Drukowanymi literami, szeroko napisała słowo „DEMOKRACJA”. - Demokracja - odczytała. - Czy ktoś potrafi powiedzieć, co to jest.

- Demokracja to my - odezwał się czyjś głos.

Podniosłam rękę, bo przypomniałam sobie stare hasło kampanii wyborczej, które kiedyś usłyszałam od Atticusa.

- Więc jak ty byś to określiła, Jean Louise?

- Równe prawa dla wszystkich, żadnych przywilejów specjalnych - zacytowałam.

- Bardzo dobrze, Jean Louise, bardzo dobrze. - Panna Gates się uśmiechnęła. Nad słowem DEMOKRACJA napisała U NAS JEST. - A teraz niech cała klasa powtórzy to chórem: U nas jest demokracja.

Powtórzyliśmy to chórem. Panna Gates wyjaśniła:

- Otóż na tym właśnie polega różnica między Ameryką a Niemcami. U nas jest demokracja, a w Niemczech dyktatura. Dyktatura - powtórzyła. - My tutaj nie uznajemy prześladowania kogokolwiek. Prześladowcami są tylko tacy, którzy żywią uprzedzenia. U-prze-dze-nia - przesyłabizowała starannie. - Żydzi to najlepsi ludzie pod słońcem i doprawdy zagadką jest dla mnie, co Hitler może im zarzucać.

Któryś z mych dociekliwszych kolegów ze środkowego rzędu zapytał:

- Dlaczego się nie lubi Żydów, proszę pani nauczycielki?

- Nie wiem, Henry. Oni dają z siebie bardzo dużo każdemu społeczeństwu, w którym żyją, i przede wszystkim są głęboko religijni. Hitler usiłuje wytępić religię, więc może właśnie dlatego ich nie lubi.

Cecil się odezwał:

- No, ja nie wiem na pewno - powiedział. - Oni podobno zmieniają pieniądze czy coś tam, ale to nie powód, żeby ich prześladować. Bo przecież są biali, prawda?

Panna Gates odrzekła:

- Kiedy pójdziesz do gimnazjum, Cecil, nauczysz się, że Żydów prześladowano od początku historii, nawet ich wypędzono z ich własnej ojczyzny. To jeden z najstraszniejszych rozdziałów historii. No, czas na arytmetykę, dzieci.

Ponieważ za arytmetyką nigdy nie przepadałam, urozmaiciłam sobie tę lekcję wyglądnaniem przez okno. Jeśli zdarzało mi się widywać Atticusa ze zmarszczonymi brwiami, to tylko w czasie dzienników radiowych, w których Elmer Davis podawał ostatnie wiadomości o Hitlerze. Atticus wyłączał wtedy radio i mówił: „uch!” Kiedyś go zapytałam, dlaczego Hitler go tak złości. „Dlatego, że to maniak” - odpowiedział.

Coś nie tak, dumalam, podczas gdy klasa czyniła dalsze postępy w dodawaniu. Jeden maniak i miliony Niemców. Raczej powinno się zamknąć w więzieniu Hitlera, zamiast pozwalać, by Hitler więził innych. I coś jeszcze było nie tak, jak trzeba - postanowiłam zapytać o to Atticusa.

Zapytałam, Atticus jednak oświadczył, że absolutnie nie potrafi znaleźć odpowiedzi.

- Ale to w porządku nienawidzić Hitlera?

- Nie - powiedział. - Nie jest w porządku nienawidzić kogokolwiek.

- Atticus - zaczęłam - czegoś nie rozumiem. Panna Gates mówiła, że to straszne, że Hitler robi to, co robi, i aż się zaczerwieniła...

- No, mogła się zaczerwienić.

- Ale...

- Co?

- Nic, ojczy.

Odeszłam niepewna, czy potrafiłabym Atticusowi wytłumaczyć, o co mi chodzi - niepewna, czy potrafiłabym wyświecić coś, co było tylko niejasnym wrażeniem. Przyszło mi na myśl, że może Jem mógłby mi dać odpowiedź. Jem znał się na szkolnych sprawach lepiej niż Atticus.

Jem odpoczywał bardzo zmęczony popołudniowym noszeniem wody. Na podłodze przy jego łóżku leżało co najmniej kilkanaście łupin bananów rozsianych wokół pustej butelki po mleku.

- Po co się tak napychasz? - zapytałam.

- Trener mówi, że jak mi będzie przybywało po dwadzieścia pięć funtów rocznie, to za dwa lata będę mógł grać - poinformował. - To jest najszybszy sposób.

- Jeżeli nie zwymiotujesz tego wszystkiego. Jem - powiedziałam - chcę cię o coś zapytać.

- Strzelaj.

Odłożył książkę i rozprostował nogi.

- Panna Gates to porządna pani, prawda?

- No, chyba - odpowiedział Jem. - Lubilem ją, kiedy byłem w jej klasie.

- Ona okropnie nienawidzi Hitlera.

- Co w tym złego?

- No, dzisiaj się rozwodziła, jak to źle, że on tak traktuje Żydów. Jem, nie można nikogo prześladować, prawda? Nawet myśleć źle nie można o nikim, prawda?

- Boże święty, nie, Smyk. Co cię boli?

- No, kiedyśmy wychodzili z sądu tamtej nocy... panna Gates... ona schodziła ze schodków przed nami, tyś jej chyba nie widział... więc ona rozmawiała z panią Stephanie Crawford. Słyszałam, jak mówiła, że czas, żeby im ktoś dał nauczkę, bo im woda sodowa uderza do głowy, i że tylko patrzeć, jak zaczną im się wydawać, że mogą się żenić z nami. Jem, jak można tak okropnie nienawidzić Hitlera i zaraz się odwrócić i myśleć tak paskudnie o ludziach tu, u nas...

Jem nagle się rozzłościł. Zeskoczył z łóżka, złapał mnie za kołnierzyk i gwałtownie zaczął mną potrząsać.

- Nie chcę już słyszeć o tym sądzie, nigdy, nigdy, nigdy, rozumiesz? Rozumiesz? Nie mów mi już o tym ani słowa, nigdy, rozumiesz? Wynoś się!

Byłam tak zaskoczona, że nawet się nie rozplakałam. Wysunęłam się z pokoju Jema, zamykając za sobą drzwi jak najciszej, żeby niewłaściwy odgłos przypadkiem znów go nie zdenerwował. Nagle znużona zatęskniłam do Atticusa. Zastałam go w gabinecie; podeszłam do niego i spróbowałam usiąść mu na kolanach.

Uśmiechnął się.

- Taka już jesteś duża, że całej cię nie utrzymam. - Przytulił mnie do siebie. - Smyku - powiedział łagodnie - nie przejmuj się Jemem. On przechodzi trudny okres. Słyszałem was przed chwilą.

Wyjaśnił mi, że Jem bardzo się stara o czymś zapomnieć, ale w rzeczywistości nosi to w sobie głęboko zagrzebane i tak na razie musi być, dopóki dość czasu nie minie. Potem już będzie mógł o tym myśleć i ułożyć to w odpowiednich szufladkach. I wtedy znów będzie sobą.

Tak jak Atticus przewidywał, wszystko rzeczywiście jakoś się uspokoiło. W połowie października tylko dwie niecodzienne, raczej nieważne rzeczy wydarzyły się dwóm obywatelom Maycomb. Nie, właściwie trzy - nas, Finchów, nie dotyczące bezpośrednio, a przecież poniekąd dotyczące.

Pierwszą rzeczą było to, że pan Bob Ewell dostał pracę i po kilku dniach ją stracił, czym prawdopodobnie zapisał się w kronikach lat trzydziestych jako unikat: poza nim nie słyszałam o nikim, kto został zwolniony z WPA za lenistwo. Przypuszczam, że wraz z jego przelotną sławą rozbłysła - jeszcze bardziej przelotnie - jego pracowitość; pracował nie dłużej, niż cieszył się popularnością; raptem stwierdził, że zapomniano o nim tak samo, jak zapomniano o Tomie Robinsonie. Po tym odkryciu zaczął znów regularnie co tydzień zjawiać się w biurze Opieki Społecznej po czek, który przyjmował zgoła bez wdzięku, pomrukując niewyraźnie, że te skurwysyny, co im się zdaje, że rządzą miastem, nie pozwalają uczciwemu człowiekowi zarabiać na życie. Ruth Jones, pani z Opieki Społecznej, powiedziała, że pan Ewell otwarcie oskarża Atticusa o spowodowanie zwolnienia go z pracy. Tak ją to zaniepokoiło, że przyszła do kancelarii Atticusa, żeby mu o tym powiedzieć. Atticus poprosił pannę Ruth, żeby się nie denerwowała; jeśli Bob Ewell chce porozmawiać o tym fakcie z Atticusem, to przecież zna drogę do kancelarii.

Druga rzecz wydarzyła się sędziemu Taylorowi. Sędzia Taylor nie należał do tych, którzy chodzą do kościoła w niedzielę wieczorem; pani Taylor do nich należała. Sędzia Taylor rozkoszował się więc smakiem niedzielnej wieczornej godziny sam jeden w swym dużym domu, na czas wieczornego nabożeństwa zaszywając się w gabinecie z wyborem pism Boba Taylora (to nie był krewny, ale sędzia z dumą by się do takiego krewnego przyznawał). W pewien niedzielny wieczór, gdy urzeczony soczystymi przenośniami i kwiecistością zwrotów siedział nad tą lekturą, uwagę jego odwrócił irytujący odgłos skrobania.

- Cicho - powiedział sędzia Taylor do Ann Taylor, swego opasłego psa rasy nijakiej. Potem sobie uświadomił, że mówi w pustkę. Skrobanie dolatywało z tylnych rejonów domu. Sędzia Taylor poczłapał do drzwi kuchennych, żeby wypuścić Ann do ogrodu, ale drzwi z siatką chwiały się tam już otwarte. Cień znikający za węglem domu świadczył o czyjejs niedawnej wizycie. Pani Taylor po powrocie z kościoła zastała męża zaczytanego z wyborem pism Boba Taylora w rękach i z dubeltówką na kolanach.

Trzecia rzecz wydarzyła się Helen Robinson, wdowie po Tomie. Jeśli pan Ewell tak popadł w niepamięć, jak Tom Robinson, to Tom Robinson tak popadł w niepamięć, jak Dziki Radley. Nie zapomniał jednak o Tomie jego chlebodawca, pan Link Deas. Pan Link Deas znalazł pracę dla Helen. W istocie wcale Helen jej nie potrzebowała, ale powiedział, że bardzo mu nieswojo na myśl, jaki obrót ta sprawa przyjęła. Nie wiedziałam, kto zajmuje się dziećmi Helen w godzinach jej pracy. Calpurnia mówiła, że Helen ma okropną niewygodę, bo musi nakładać prawie milę drogi, żeby ominąć Ewellów, którzy, jak to Helen określiła, „obrzucili” ją, gdy spróbowała skorzystać z publicznej przecież drogi biegnącej koło ich chaty. Pan Link Deas w końcu zauważył, że Helen przychodzi rankiem do pracy z innej strony, niż powinna, i po dłuższym wypytywaniu poznał przyczynę.

„Niech już tak będzie, panie Link, proszę pana” - błagała Helen.

„Akurat!” - powiedział pan Link.

Kazał jej przyjść pod jego sklep po południu przed powrotem do domu. Helen usłuchała i pan Link zamknął sklep, nasadził kapelusz na głowę i odprowadził Helen. Tą krótszą drogą ją odprowadził obok spłachetka Ewellów. Wracając, zatrzymał się przed krzywą rozlatującą się furtką.

„Ewell? - zawołał. - Ewell, powiadam!”

W oknach zwykle zatłoczonych dziećmi nie było nikogo.

„Wiem, że wszyscy co do jednego jesteście tam i leżycie na podłodze. Posłuchaj, Bobie Ewell! Jeżeli jeszcze raz moja służąca, Helen, piśnie mi, że nie może tędy chodzić, to zanim słońce zajdzie, wpakuję cię do więzienia! - Pan Link Deas splunął w kurz i ruszył do domu.

Nazajutrz rano Helen poszła do pracy tą publiczną drogą. Nikt jej niczym nie obrzucał, ale gdy już w odległości paru jardów za chatą Ewellów obejrzała się, zobaczyła, że idzie za nią pan Ewell. Odwróciła głowę i poszła dalej, a on, wciąż zachowując ten sam dystans, szedł za nią aż do samego domu pana Linka Deas. Przez cały czas, jak później opowiadała, słyszała za sobą cichy głos mrużący obrzydliwe słowa. Do głębi przestraszona zatelefonowała z domu pana Linka do jego sklepu, który był w pobliżu. Pan Link wyszedł ze sklepu i zobaczył pana Ewella opartego o płot. Pan Ewell powiedział:

„Nie patrz na mnie, Link Deas, jakbym był błotem pod nogami. Nie przyparłem twojej...”

„Po pierwsze, Ewell, masz zabrać swoje cuchnące ścierwo z mojej nieruchomości. Opierasz się o mój płot, a nie stać mnie na farbę, żeby go znów pomalować. Po drugie, masz się trzymać z daleka od mojej kucharki, bo jak nie, to cię przed sądem postawię za napaść...”

„Nie dotykałem jej, Link Deas, ja się z żadnymi czarnymi sukami nie zamierzam zadawać!”

„Nie musisz jej dotykać. Przestrasz ją tylko i jeżeli oskarżenie o napaść nie wystarczy, żeby cię potrzymać pod kluczem, to cię tam wpakuję z artykułu Ustawy o Prawach Pań, więc lepiej precz mi z oczu. Tylko spróbuj dokuczać tej dziewczynie, jeżeli myślisz, że mówię na wiatr!”

Pan Ewell najwidoczniej nie myślał, że pan Link Deas mówi na wiatr, gdyż Helen od tego czasu nie miała już z nim żadnych kłopotów.

- Nie podoba mi się to, Atticus, wcale mi się nie podoba. - Oto jak ciocia Alexandra oceniła owe wydarzenia. - Widać, że ciągle w nim kipi złość na wszystkich związanych z tamtą sprawą. Wiem, jacy mściwi są ludzie jego pokroju, ale nie rozumiem tej zawziętości w jego wypadku. Przecież w sądzie dopiął swego.

- Ja chyba rozumiem - rzekł Atticus. - Może przyczyną jest to, że on w głębi duszy wie, jak niewiele osób w Maycomb rzeczywiście wierzy w te historyjki jego i Mayelli. Zdawało mu się, że będzie bohaterem, a tymczasem odprawiono go z kwitkiem, jak gdyby mu powiedziano: „Dobrze, skazujemy tego Murzyna, ale ty wracaj na swój śmietnik”. Wyładował swoją złość już prawie na wszystkich, więc powinien się uspokoić. Ucichnie, kiedy pogoda się zmieni.

- Ale dlaczego on próbował się włamać do Johna Taylora? Najwyraźniej nie wiedział, że John jest w domu. W niedzielę wieczorem pali się tam światło tylko na werandzie od frontu i w gabinecie Johna od strony ogrodu...

- Przecież nie wiadomo, czy to Bob Ewell przeciął siatkę w drzwiach, za rękę go nikt nie

złapał. Ale domyślałam się. Ja dowiodłem, że on kłamie, John natomiast zrobił z niego głupca. Przez cały czas, kiedy Ewell zeznawał, nie miałem odwagi spojrzeć na Johna, bo nie mógłbym zachować obojętnej miny. John patrzył na niego, jakby to było kurczę na trzech nogach albo sześciennie jajko. Nie mówcie mi, że sędziowie nie próbują nastawiać przysięgłych. - Atticus zachichotał.

Przy końcu października życie nam płynęło już normalnym, dobrze znanym torem zajęć szkolnych, zabawy i nauki. Jem chyba zrzucił z serca wszystkie ciężary, jakie chciał zrzucić, i w szkole miłosiernie pozwolono nam zapomnieć o dziwactwach naszego ojca. Tylko Cecil Jacobs zapytał mnie kiedyś, czy Atticus jest radykałem. Atticusa, gdy go o to zapytałam, tak to rozbawiło, że aż byłam zaniepokojona, ale powiedział, że nie śmieje się ze mnie.

- Powiedz Cecilowi - dodał - że jestem radykałem prawie takim, jak Cotton Tom Heflin.

Ciocia Alexandra kwitła. Pani Maudie widocznie za jednym zamachem uciszyła wszystkie panie z kółka misyjnego, bo ciocia znów wiodła prym między nimi. Jej podwieczorki stały się jeszcze pyszniejsze. Przysłuchując się kurantom pani Merriweather, dowiedziałam się jeszcze więcej o życiu społecznym biednych Mruna: tak dalece brak im instynktu rodzinnego, że całe to plemię jest jedną wielką rodziną. Każde dziecko ma tam tylu ojców, ilu jest mężczyzn w społeczności, i tyle matek, ile jest kobiet. J. Grimes Everett przechodzi sam siebie, żeby zmienić ten stan rzeczy, i rozpaczliwie potrzebuje naszych modlitw.

Miasto Maycomb znów było sobą. Dokładnie takim samym Maycomb, jak przed rokiem czy dwoma laty - z pewnym tylko odstępstwem widocznym w dwóch nieważnych szczegółach.

Po pierwsze: usunięto z wystaw sklepowych i szyb samochodów nalepki z napisem: „NRA. Wnosimy swój wkład”. Zapytałam Atticusa, dlaczego, i dowiedziałam się, że z Ustawą o Uzdrawieniu Gospodarki koniec. Zapytałam, kto z nią skończył, Atticus odpowiedział, że dziewięciu starszych panów.

Druga różnica, jaka zaznaczyła się w Maycomb od ostatniego roku, nie była sprawą o znaczeniu narodowym. Dotychczas dzień Wszystkich Świętych w Maycomb obchodzono w sposób niezorganizowany. Każde dziecko robiło to, co mu się podobało, przy wydatnej pomocy innych dzieci, jeśli wymagało to przenoszenia czegoś z miejsca na miejsce, jak na przykład umieszczenia lekkiej bryczuszki na dachu stajni przedsiębiorstwa wynajmu koni. Ale w zeszłym roku, gdy w ten świąteczny dzień zburzony został spokój panien Tutti i Frutti, rodzice uznali, że dosyć już tego dobrego.

Dwie siostry, stare panny Tutti i Frutti Barber, mieszkały w jedynym domostwie Maycomb mogącym się pochwalić piwnicą. Krążyły pogłoski, że panny Barber, które przybyły do Maycomb w roku 1911 z Clanton w stanie Alabama, to republikanki. Ich zwyczaje były dla nas dziwne i nikt z nas nie wiedział, dlaczego one chciały mieć piwnicę, niemniej chciały, więc ją sobie urządziły po to, by resztę życia spędzić na wyganianiu z niej pokoleń dzieci.

Niezależnie od swych jankeskich zwyczajów panny Tutti i Frutti (Sara i Frances) były głuche. Panna Tutti nie przyznając się do tego, żyła w świecie ciszy, natomiast panna Frutti żadna wrażeń słuchowych nosiła trąbkę przy uchu tak ogromną, że Jem oświadczył, że to głośnik od tego psa na płytach gramofonowych.

Biorąc pod uwagę zarówno te fakty, jak i to, że jest wigilia Wszystkich Świętych, pewne

niegodziwe dzieci zaczekały, dopóki panien Barber nie zmorzył sen, zakradły się do ich bawialni (nikt w Maycomb oprócz Radleyów nie zamykał domu na noc) i chyłkiem wyniosły wszystkie meble stamtąd do piwnicy. Stanowczo się wypieram udziału w czymś tak nieczym.

- Ja ich słyszałam! - Oto krzyk, jaki o świcie obudził sąsiadów panien Barber. - Słyszałam, jak podjeżdżają ciężarówką pod drzwi! Tupali podkutymi buciskami niczym konie! Teraz już są w Nowym Orleanie.

Panna Tutti była pewna, że to handlarze futer, którzy przed dwoma dniami przejeżdżali przez miasteczko, ukradli im meble.

- Cie...emni byli - opowiadała. - Syryjczycy.

Wezwano pana Hecka Tate. Rozejrzał się na miejscu przestępstwa i orzekł, że to robota miejscowa. Panna Frutti powiedziała, że głos każdego w Maycomb poznałaby wszędzie i że z całą pewnością nikogo z Maycomb w tym salonie tej nocy nie słyszała.

- ...charkotali „rrr” w całym domu i w ogrodzie.

Panna Frutti uparła się, że nie ma innego sposobu, tylko trzeba szukać tych mebli przy pomocy psów gończych, więc pan Heck Tate, chcąc nie chcąc, przejechał szosę dziesięć mil, pozbiierał wszystkie miejscowe ogary na trasie i kazał im tropić.

Ustawił je na frontowych schodkach panien Barber, one jednak zamiast popędzić szlakiem owych handlarzy futer, ruszyły za dom i zaczęły skowycać przy drzwiach piwnicy. Po trzech próbach puszczenia ich ze schodków w szeroki świat pan Heck Tate domyślił się prawdy. W tym dniu aż do południa nie było widać w Maycomb ani jednego dziecka boso i żadne z dzieci nie zdjęło obuwia, dopóki te ogary nie powróciły.

Więc panie miasta Maycomb zapowiedziały, że teraz na Wszystkich Świętych będzie inaczej. Sala rekreacyjna gimnazjum zostanie otwarta dla publiczności: dorośli obejrzą widowisko historyczne; dla dzieci przewidziane są najrozmaitsze atrakcje, takie jak: „Zgaduj zgadula, w której ręce złota kula”, cukierkowa loteria czy zabawa w węża. Będzie również nagroda w wysokości dwudziestu pięciu centów za najlepszy kostium wykonany samodzielnie przez tego, kto w nim wystąpi.

Jem szemrał i ja szemrałam. To nie znaczy, żebyśmy woleli coś zbroić - chodziło nam o zasadę. Jem, tak czy owak, uważał, że jest za dorosły na wigilię Wszystkich Świętych; powiedział, że w żadnym razie nie zobaczą go w gimnazjum na takich obchodach. „No, cóż - pomyślałam - to pójdę z Atticusem”.

Wkrótce potem jednak dowiedziałam się, że w ten wieczór niezbędną będę na scenie. Pani Grace Merriweather ułożyła oryginalne widowisko pod tytułem „Hrabstwo Maycomb: Ad astra per aspera”, w którym ja miałam być szynką. Pani Grace Merriweather uważała, że będzie uroczo, jeśli przebierze się dzieci za produkty rolnicze hrabstwa Maycomb. Cecil Jacobs miał wystąpić jako krowa; Agnes Boone nadawała się świetnie na fasolkę szparagową, ktoś inny na orzeszek ziemny i tak dalej, i dalej, aż do wyczerpania się wyobraźni pani Merriweather oraz liczby dzieci.

Całe nasze zadanie, o ile się zorientowałam w czasie dwóch prób, ograniczało się do wejścia na scenę w chwili, gdy pani Merriweather (nie tylko autorka, ale i konferansjer widowiska) kolejno będzie nas przedstawiała publiczności. Zapowiedź: „Wieprzowina”, miała

być hasłem dla mnie. Po mnie był w programie już tylko wspaniały finał, to znaczy wszyscy zgromadzeni mieli odśpiewać chórem „O, hrabstwo Maycomb, o hrabstwo Maycomb, pozostaniemy wierni ci!”, a pani Merriweather z proscenium miała wejść na scenę z flagą stanu Alabama.

Mój kostium nie stanowił szczególnego problemu. Pani Crenshaw, maycombska krawcowa, odznaczała się nie mniejszą wyobraźnią niż pani Merriweather. Wzięła siatkę drucianą z kurnika i wygięła ją odpowiednio na kształt peklowanej szynki. Pokryła to brunatnym płótnem i płótno pomalowała, starając się całość jak najbardziej upodobnić do pierwowzoru. Wchodziło się w to cudactwo od dołu i ktoś musiał mi je nasuwać na głowę. Sięgało mi to prawie do kolan. Pani Crenshaw przezornie zrobiła dwa otworki, żebym mogła przez nie patrzeć. Spisała się wspaniale. Jem powiedział, że wyglądam zupełnie jak szynka z nogami. Kostium ten miał jednak pewne minusy: był gorący, był ciasny; w razie gdyby mnie swędziało nos, nie mogłabym się podrapać i gdy już się raz w niego weszło, nie dawało się wyjść z niego o własnych siłach.

Gdy nadeszła wigilia Wszystkich Świętych, z góry przesądziłam, że cała rodzina przyjdzie zobaczyć mój występ, ale spotkało mnie rozczarowanie. Atticus, jak tylko mógł najtaktowniej, powiedział, że chyba nie wysiedziałyby dziś na żadnym widowisku historycznym, ale myślami będzie tam ze mną. Ostatni tydzień spędził w Montgomery, skąd wrócił do domu właśnie tego dnia późno po południu. Eskortować mnie, jego zdaniem, mógłby Jem, jeśli Jema o to poproszę.

Ciocia Alexandra powiedziała, że po prostu musi położyć się wcześniej: od południa dekorowała scenę i jest zanadto wyczerpana tą... - urwała w połowie swej oracji. Zamknęła usta, potem je otworzyła, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów.

- O co chodzi, ciociu? - zapytałam.

- Och, o nic, o nic - odrzekła - zimno mi się jakoś zrobiło.

Odsunęła od siebie myśl o tym, cokolwiek to było, co przejęło ją takim dreszczem, i zaproponowała, żebym odbyła próbę generalną przed rodziną w gabinecie. Wobec czego Jem wtłoczył mnie w mój kostium, stanął w drzwiach gabinetu, i zupełnie tak, jakby to zrobiła pani Merriweather, wywołał:

- Wie-eeprzowina!

Wmaszerowałam. Atticus i ciocia Alexandra byli olśnieni. Odegrałam swą rolę przed Calpurnią w kuchni i Calpurnia powiedziała, że jestem cudowna. Chciałam jeszcze przejść na drugą stronę ulicy, żeby się zaprezentować pani Maudie, ale Jem powiedział, że pani Maudie prawdopodobnie będzie na widowisku.

Po tym występie już było mi wszystko jedno, czy oni pójdą, czy nie. Jem obiecał, że pójdzie ze mną. I tak to rozpoczęła się nasza najdłuższa wspólna wędrówka.

28

Jak na ostatni dzień października było niezwykle ciepło. Nie musieliśmy nawet brać kurtek. Wiatr się wzmagał i Jem powiedział, że może będzie deszcz, zanim wrócimy do domu. Wieczór był bezksiężycowy.

Latarnia przy rogu ulicy rzucała ostre cienie na dom Radleyów. Usłyszałam cichy śmiech Jema.

- Już dzisiaj na pewno nikt im nie dokucza - zauważył Jem.

Niósł mój szynkowy kostium dosyć niezadarnie, bo trudno to było trzymać. Pomyślałam, że jest rzeczywiście rycerski.

- To jednak straszne miejsce, prawda? - powiedziałam. - Dziki nie ma zamiaru nikomu robić krzywdy, ale lepiej, że idziesz ze mną.

- Wiesz, że Atticus by cię nie puścił samej o tej porze.

- Nie rozumiem dlaczego, przecież to tylko kawałek drogi za róg i przez boisko.

- Ale boisko jest za długie dla dziewczynek do chodzenia po nocy - przekomarzał się ze mną Jem. - Nie boisz się duchów?

Duchy, Gorące Opary, zaklinalnia, tajemnicze znaki, gdy nam przybyło lat, rozwiały się jak mgła o wschodzie słońca.

- Jak to tam szło w tym starym wierszydle... - przypomniał sobie Jem. - O aniele żywy w śmierci, odsuń się, tchu nie ssaj z piersi.

- Przestań...; no! poprosiłam.

Doszliśmy już do posesji Radleyów.

- Dzikiego widocznie nie ma w domu. Posłuchaj.

Wysoko nad nami drozd-przedrzeźniacz, w błogiej nieświadomości na którym drzewie siedzi, wyśpiewywał swój repertuar, przechodząc od piskliwego „kii, kii” trznadla przez gniewne „ku-ak” sójki, do nabrzmiałego smutkiem lamentu lelka.

Skręciliśmy za róg i potknęłam się o korzeń wyrastający z bruku. Jem chciał mnie podtrzymać, ale tylko upuścił mój kostium w kurz chodnika. Nie przewróciłam się jednak i zaraz ruszyliśmy dalej.

Z ulicy zboczyliśmy na boisko szkolne. Otoczył nas mrok czarny jak smoła.

- Skąd wiesz, że tędy trzeba, Jem? - zapytałam po przejściu paru kroków.

- Poznaję, że jesteśmy pod tym dębem, bo idziemy przez chłód. Uważaj teraz i nie wywróć się znowu.

Zwolniliśmy tempo, stąpając ostrożnie, macając przed sobą, żeby nie wpaść na drzewo. Był to stary, rosnący samotnie dąb; jego pnia nie mogłoby objąć, splecionymi rękami, dwoje dzieci. Stał daleko od nauczycielek i ich szpiegów, stał daleko od ciekawych sąsiadów; stał blisko posesji Radleyów, ale Radleyowie nie należeli przecież do ciekawych. Ziemia w cieniu jego gałęzi była twardo ubita wskutek licznych bójek i niejednej ukradkowej gry w kości.

Rozbłyśnięte w dali światła sali rekreacyjnej gimnazjum raziły nas tylko, zamiast wskazywać drogę.

- Nie patrz przed siebie, Smyk - doradził Jem. - Patrz pod nogi, to nie upadniesz.

- Szkoda, Jem, że nie wzięłaś latarki.

- Nie wiedziałem, że tak ciemno. Wcale się nie zapowiadało. Na deszcz się zbiera po prostu. Ale to jeszcze nieprędko.

Ktoś do nas doskoczył.

- Boże Wszechmocny! - wrzasnął Jem.

Po twarzach pacnęło nas okrągłe światło, za którym podskakiwał z uciechy Cecil Jacobs.

- Ha-aa, mam was! - pisnął. - Wiedziałem, że będziecie szli tędy.

- Tak czy inaczej, co ty tu robisz, mały? Nie boisz się Dzikiego?

Cecil zdążył już być w sali, cało i szczęśliwie dowieziony tam przez rodziców, i gdy zobaczył, że nas jeszcze nie ma, zapuścił się aż tak daleko, bo wiedział na mur, że nadejdziemy od tej strony. Myślał jednak, że będzie z nami pan Finch.

- Apo co? Przecież to tylko przejście za róg - ziewnął Jem. - Kto by się bał skręcić na rogu?

Ale musieliśmy przyznać, że Cecil nieźle się spisał. Zdołał nas przestraszyć i może teraz opowiadać o tym w szkole - jego święte prawo.

- Słuchaj - przypomniałam sobie - nie jesteś dziś krową? Gdzie masz kostium?

- Za sceną - odrzekł Cecil. - Pani Merriweather powiedziała, że to się trochę później zacznie. Możesz swój także zostawić tam za sceną przy moim, Smyk, to zdążymy pójść do nich wszystkich.

Jem uznał to za doskonały pomysł. Naprawdę powinienam pójść z Cecilem. Wtedy on, Jem, będzie mógł się przyłączyć do starszyny w swoim wieku.

Gdyśmy doszli do gimnazjum, było tam już całe miasto z wyjątkiem Atticusa, pań wyczerpanych dekorowaniem sceny i, oczywiście, wyrzutków społeczeństwa oraz tych, którzy przebywali w zamknięciu. Zjechała się też chyba większość ludzi z hrabstwa; w sali roiło się od wystafiorowanych wieśniaków. Przechodząc przez szeroką sień na parterze, zobaczyliśmy stojące wzdłuż ścian kramy, przy których tłoczyli się dorośli i dzieci.

- Och, Jem, zapomniałam o pieniądzach - westchnęłam na ten widok.

- Atticus nie zapomniał - powiedział Jem. - Masz tu trzydzieści centów... na sześć rzeczy ci wystarczy. To na razie cześć.

- Dobrze - zgodziłam się najzupełniej zadowolona z trzydziestu centów i z Cecila.

Bocznymi drzwiami weszłam z Cecilem do sali prosto za kulisy. Pozbyłam się swego szynkowego kostiumu i oboje uciekliśmy stamtąd z pośpiechem, bo pani Merriweather przy pulpicie ustawionym przed pierwszym rzędem miejsc dla publiczności dokonywała właśnie ostatnich gorączkowych zmian w scenariuszu.

- Ile masz pieniędzy? - zapytałam Cecila.

Cecil miał też trzydzieści centów, więc byliśmy jednakowo majętni. Przetrwoniliśmy pierwsze pięciocentówki na Dom Grozy, który wcale nas grozą nie przejął: wkroczyliśmy do siódmej klasy, gdzie w czarnym mroku oprowadzani przez chwilowo urzędującego tam ducha musieliśmy dotknąć paru rekwizytów stanowiących rzekomo części składowe istoty ludzkiej.

- To jego oczy - usłyszeliśmy, dotykając dwóch obranych winogron na spodku. - To jego serce. - Dotknęliśmy czegoś, co prawdopodobnie było surową wątróbką cielęcą. - To jego wnętrzności. - Duch wepchnął nam dłonie w półmisek zimnego spaghetti.

Następnie odwiedziłam z Cecilem parę kramów w sieni. Kupiliśmy sobie po torebce boskich trufelków domowego wyrobu pani sędziny Taylor. Chciałam przystąpić do rozgrywek, które polegały na łapaniu ustami pływających jabłek, ale Cecil powiedział, że to niehigienicznie. Jego mama mówi, że można coś złapać od tych wszystkich głów pochylonych nad jedną kadzią.

- W całym mieście nie ma już nic do złapania - zaprotestowałam.

Ale Cecil powiedział, że jego mama mówi, że niehigienicznie jest jeść po ludziach. Gdy później zapytałam o to ciotkę Alexandrę, ciocia odrzekła, że takie poglądy mają zwykle nowobogaccy.

Chcieliśmy kupić krówki śmietankowe, niestety zjawili się kurierzy pani Merriweather z rozkazem powrotu za kulisy: już czas. Sala wypełniała się publicznością: Orkiestra Gimnazjalna Maycomb już gotowa czekała przed sceną: zapalono kinkiety i kurtyna z czerwonego aksamitu, raz po raz potrącana w gorączce przygotowań, marszczyła się i pieniała.

Za kulisami, czyli na wąskim korytarzyku, gdy weszłam tam z Cecilem, panował ścisk nie do opisania; zobaczyliśmy dorosłych w wykonanych domowym przemysłem pierogach na głowie, w czapkach Konfederacji, w kapeluszach z wojny hiszpańsko-amerykańskiej, w hełmach z wojny światowej. Dzieci przebrane za poszczególne produkty rolnicze stłoczyły się przy jedynym oknie.

- Ktoś spłaszczyl mój kostium - zawodziłam w popłochu.

Pani Merriweather, która natychmiast do mnie doskoczyła, przywróciła siatce drucianej właściwe kształty i bezlitośnie mnie w nią wepchnęła.

- Nie udusisz się w tym, Smyk? - zapytał Cecil. - Słysząc cię tak z daleka, jakbyś była za wzgórzem.

- Ciebie też nie słysząc bliżej - powiedziałam.

Orkiestra zagrała hymn narodowy i usłyszeliśmy, jak publiczność wstaje. Potem zabrzmiał bęben basowy. Pani Merriweather upozowana za pulpitem przy orkiestrze oznajmiła:

- „Hrabstwo Maycomb: *Ad astra per aspera*”. - Bęben basowy zabrzmiał znów. - To znaczy - przetłumaczyła pani Merriweather do wiadomości elementów wiejskich - z błota do gwiazd. - I niepotrzebnie, moim zdaniem, dodała: - Widowisko historyczne.

Nikt by chyba nie wiedział, gdyby ona nie powiedziała - szepnął Cecil, chociaż zaczęto go uciszać.

- Całe miasto wie - wysapałam w swej drucianej komórce.

- Ale przyjechali ludzie ze wsi - zauważył już donośniej Cecil.

- Cicho tam z tyłu - huknął głos męski, więc umilkliśmy. Bęben basowy zaznaczał donośnym uroczystym „bum” kropkę każdego zdania wypowiedzanego przez panią Merriweather. Żalobnie pani Merriweather intonowała opowieść o tym, jak hrabstwo Maycomb, starsze niż cały ten nasz stan Alabama, wchodziło kiedyś w skład terytorium Alabama i Missisipi i jak to pierwszym białym, którego noga stanęła w tych puszczech dziewiczych, był prapradziad sędziego do spraw spadkowych, tylko że pięciokrotnie go z tych puszczy wyrzucano i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Dopiero później pojawił się nieustraszony pułkownik Maycomb, od którego hrabstwo wzięło swą nazwę.

Sam Andrew Jackson mianował pułkownika Maycomb przedstawicielem rządu w tym rejonie, coż, kiedy nadmierna ufność pułkownika we własne siły, w połączeniu z niedostatecznym wyczuciem kierunku przyniosły klęskę wszystkim, którzy z nim pojechali na wojnę z Indianami Krikami. Pułkownik Maycomb nie ustawał w wysiłkach, pragnąc wywalczyć na tych ziemiach bezpieczeństwo dla demokracji; coż, kiedy pierwsza jego kampania była zarazem jego kampanią ostatnią. W myśl rozkazu, jaki mu przekazali gońcy, życzliwi Indianie, miał ruszyć na

południe. Wychodząc z założenia, że południe jest z tej strony, z której grzyb porasta drzewo, zlekceważył uwagi swych oficerów ośmielających się wskazywać mu właściwy kierunek i poprowadził wojska do akcji celem rozgromienia nieprzyjaciela nie na południe, lecz tak daleko na północ w gąszcza dziewiczej puszczy, że nie wiadomo, czym by to się skończyło, gdyby ich nie ocalili osadnicy z głębi lądu.

Pani Merriweather przez pełne pół godziny ciągnęła ten opis wyczynów pułkownika Maycomba. Odkryłam, że zginając kolana, mogę je wcisnąć pod kostium, co mi pozwoli jako tako siedzieć. Usiadłam więc i zasłuchana w brzęczenie głosu pani Merriweather, przy miarowym akompaniamencie bębna, wkrótce potem zasnęłam jak suseł.

Opowiadano mi później, że pani Merriweather włożyła całą duszę w wielki finał i że z pełną ufnością, jaką ją napełnił widok sosen i fasolek szparagowych gęsiego wchodzących na scenę, wyśpiewała:

- Wie-eprzowina! - Odczekała parę sekund i nieco podniosła głos: - Wie-eprzowina? - I gdy nic się nie zmaterializowało, już wrzasnęła: - Wieprzowina!

Musiałoby to jednak dotrzeć do mnie przez sen, czy może orkiestra, grając „Dixie”, mnie zbudziła, bo raptem - pani Merriweather właśnie z triumfem wniosła na podium flagę stanu Alabama - uznałam, że powinnam się tam pokazać. „Uznałam” nie jest tu jednak trafnym określeniem: przyszło mi do głowy, że lepiej będzie dołączyć do tamtych wszystkich dzieci.

Opowiadano mi później, że sędzia Taylor wstał ze swego miejsca, przeszedł za ostatni rząd krzesel i zaczął walić się po kolanach tak mocno, że pani Taylor musiała czym prędzej podać mu jego pastylki i wodę do popicia.

Pani Merriweather była jak porażona, gdy w sali wszystko mieniło się od braw, ale przecież złapała mnie za kulisami i oświadczyła, że zepsułam jej całe widowisko. Zawstydziła mnie tym strasznie, ale Jem przychodząc po mnie, okazał mi sporo współczucia. Powiedział, że tam, gdzie siedział, nie bardzo było można dojrzeć mój kostium. Jak więc mógł poznać, że ja się pod tym kostiumem źle czułam, nie wiem, a przecież wyczuł, że potrzebuję pociechy, i pochwalił mnie, że świetnie grałam, a to, że troszeczkę za późno weszłam, to przecież drobiazg. Jem ostatnio prawie tak dobrze, jak Atticus potrafił podnosić na duchu w chwilach niepowodzeń. Prawie - bo nawet Jem nie mógł mnie nakłonić, bym odważyła się przejść przez te tłumy; ostatecznie zgodził się zaczekać ze mną za kulisami, dopóki wszyscy nie wyjdą.

- Chcesz to zdjąć, Smyk? - zapytał.

- Nie, już tak zostanę - zdecydowałam. Pod tym kostiumem mogłam przynajmniej ukryć swe upokorzenie.

- Odwieźć was do domu? - ktoś zapytał.

- Nie, dziękuję panu - usłyszałam odpowiedź Jema - to przecież tylko kawałek drogi.

- Strzeżcie się upiórów - usłyszałam jeszcze tamten głos.

- Albo lepiej uprzedźcie upiory, żeby się nie zlekły Smyka.

- Już tylko parę osób zostało - poinformował mnie Jem.

- Idziemy.

Przeszliśmy przez salę i przez sień zeszedliśmy ze schodków. Nadal panowały atramentowe ciemności. Nieliczne samochody, które jeszcze nie odjechały, były zaparkowane za węglem

gimnazjum, więc ich reflektory niewiele nam mogły pomóc.

- Gdyby któryś pojechał w naszą stronę, widzielibyśmy lepiej - powiedział Jem. - Czekaaj, Smyk, będą cię trzymał za... golonkę. Mogłabyś się potknąć.

- Ja widzę dobrze.

- Tak, ale mogłabyś się potknąć. - Poczułam lekki ucisk na głowie i domyśliłam się, że Jem złapał mnie za ten koniec szynki. - To ty?

- Aha.

Ruszyliśmy przez czarne boisko, wytyżając wzrok, żeby zobaczyć swoje stopy.

- Jem - wykrzyknęłam - zostawiłam pantofle. Tam za sceną.

- No, to wracajmy.

Ledwie jednak zdążyliśmy się odwrócić, światła w sali zgasły.

- Jutro można je zabrać - powiedział Jem.

- Jutro jest niedziela - zaprotestowałam.

Jem skierował mnie w stronę domu.

- Poprosisz odźwiernego, to cię wpuści... Smyk?

- Hmm?

- Nic.

Jem już od dawna nie stosował takich niedomówień. Byłam więc ciekawa, o co mu chodzi. Ale ostatecznie, pomyślałam, powie mi, kiedy zechce, prawdopodobnie po powrocie do domu. Czułam, jak jego palce zaciskają się na czubku mojego kostiumu, chyba trochę za mocno. Potrząsnęłam głową.

- Jem, nie musisz...

- Cicho bądź przez minutę, Smyk. - Uszczypnął mnie. Szliśmy w milczeniu.

- Minuta już minęła - oznajmiłam. - O co chodzi? - Odwróciłam się cała, żeby spojrzeć na niego, ale zobaczyłam tylko niewyraźny zarys jego postaci.

- Zdawało mi się, że coś słyhać - powiedział. - Postójmy chwilę.

Przystanęliśmy.

- Słyszysz coś? - zapytał.

- Nie.

Uszliśmy może z pięć kroków, gdy zatrzymał mnie znowu.

- Jem, ty chcesz mnie nastraszyć. Nie wiesz, że jestem za duża na...

- Przestań - powiedział i teraz już wiedziałam, że to nie są żarty.

Noc była spokojna. Słyszałam w ciszy lekki oddech Jema. Od czasu do czasu nagły chłodek uderzał mnie po gołych łydkach, ale to było wszystko, co pozostało z wieczornej zapowiedzi wichury. Panował spokój jak przed burzą.

Nastłuchiwałam dalej.

- Po prostu jakieś psisko usłyszałeś.

- Nie - odpowiedział Jem. - Wciąż to słyszę, kiedy idziemy, ale kiedy się zatrzymujemy, nie słyhać nic.

- To mój kostium chrześci. Oj, przejąłeś się wigilią Wszystkich Świętych...

Powiedziałam tak, żeby przekonać nie tyle Jema, ile samą siebie, bo istotnie, gdyśmy znów

ruszyli, dosłyszałam to, o czym on mówił. To nie był chrzest mego kostiumu.

- To tylko stary Cecil - powiedział Jem po chwili. - Ale już nas nie nastraszy. Niech mu się nie zdaje, że się spieszymy.

Zaczęliśmy iść powolutku, krok za krokiem. Zapytałam Jema, jak Cecil może iść za nami w tych ciemnościach i nie rozbić sobie o nas nosa.

- Ja ciebie widzę, Smyk - powiedział Jem.

- Jakim cudem? Ja ciebie nie.

- Jesteś poprzeraściana tłuszczem. Pani Crenshaw namalowała to czymś świecącym, co do złudzenia przypomina tłuszcz. Skoro ja cię widzę nieźle, to i Cecil też, więc może zachować odległość.

Zaprzagnęłam pokazać Cecilowi, że wiemy o nim i jesteśmy przygotowani.

- Cecil Jacobs to zmokła kwo-o-ka! - wrzasnęłam, odwracając się raptownie.

Znów przystanęliśmy. Żadnego oddźwięku poza echem „kwo-o-ka” odbijającym się od dalekiej ściany szkoły podstawowej.

- Ja go złapię - powiedział Jem. - He-ej! „Ha-e-haj-e-haj-ej!” - odpowiedziała ściana szkoły.

Nie w stylu Cecila była ta powściągliwość; on, gdy mu się jakiś figiel udał, powtarzał to raz po raz. Cecil już dawno by do nas doskoczył. Gestem Jem znów mnie zatrzymał.

Zapytał cichutko:

- Smyk, czy możesz to zdjąć?

- Chyba. Ale ja prawie nic nie mam pod spodem.

- Przecież niosę ci sukienkę.

- Po ciemku nie umiem jej włożyć.

- Dobrze - powiedział. - Mniejsza z tym.

- Jem, boisz się?

- Nie. Chyba dochodzimy do dębu. A potem jeszcze tylko parę jardów i jesteśmy na ulicy. Tam już będą światła.

Jem mówił powoli, bezbarwnie. Zastanowiłam się, jak długo będzie próbował podtrzymać ten mit o Cecilu.

- Nie uważasz, że byłoby dobrze coś zaśpiewać, Jem?

- Nie. Teraz już naprawdę bądź cicho, Smyk.

Nie przyspieszyliśmy kroku. Jem tak samo, jak ja wiedział, że trudno jest nawet w pantoflach iść szybko po omacku, a cóż dopiero, gdy się jest, tak jak ja, na bosaka. Może to po prostu wiatr szeleścił w drzewach. Tylko że wcale nie było wiatru... Tylko że poza tym wielkim dębem nie było żadnych drzew.

Nasz niewidoczny towarzysz szurał i powłóczył nogami, jakby miał na nich ciężkie buciory. Kimkolwiek był, z pewnością miał na sobie grube bawełniane spodnie: to, co uważałam za szelest liści, było cichym ocieraniem się bawełny o bawełnę: „uiik, uiik”, przy każdym jego kroku.

Poczułam pod stopami chłód ziemi, więc wiedziałam, że już dochodzimy do dębu. Jem przycisnął mi głowę. Zatrzymaliśmy się nasłuchując.

Szuranie tym razem nie ucichło. Słyszeliśmy szelest tych spodni, cichy, miarowy. Potem to ustało. On biegł, biegł do nas krokami wcale nie chłopięcymi.

- Uciekaj, Smyk! Uciekaj! Uciekaj! - krzyknął Jem.

Dałam olbrzymiego susa i zatoczyłam się; z rękami unieruchomionymi na próżno usiłowałam odzyskać równowagę w tych ciemnościach.

- Jem, Jem, pomóż mi, Jem!

Coś przygniotło na mnie drucianą siatkę. Metal łupnął w metal i upadłam na ziemię turlając się, jak tylko mogłam najdalej, na oślep próbując wydostać się z drucianego więzienia. Gdzieś w pobliżu słychać było głośnie szuranie, kopniaki, rozgrzebywanie butami i ciałem ziemi i korzeni. Ktoś potoczył się na mnie i poczułam, że to Jem. Natychmiast Jem się poderwał i pociągnął mnie za sobą, ale chociaż głowę i ramiona zdołałam już wysunąć z siatki, tak nią byłam omotana, że nie uciekliśmy zbyt daleko.

Zanim dotarliśmy do bocznej uliczki, poczułam nagle, że Jem mnie puszcza i pada na ziemię, jak gdyby coś go szarpnęło do tyłu. Znow rozległo się szuranie w ciemnościach, a potem jakieś głucho chrupnięcie i Jem krzyknął.

Podbiegłam tam, skąd doleciał ten krzyk; walnęłam głową w zwiotczały męski żołądek. Właściciel żołądka sapnął „uuf” i spróbował mnie złapać za ręce, ale ręce miałam przecież ściśnięte pancierzem z drutu. Jego żołądek był miękki, ale łapy jego były jak stal. Zaczął mnie powoli dusić. Ruszyć się nie mogłam. Nagle wzdrygnął się i gruchnął do tyłu, pociągając mnie, niemal unosząc ze sobą. Pomyślałam, że to Jem skoczył mi na ratunek.

Umysł ludzki pracuje czasem niemrawo. Przez długą chwilę stałam tam w tępym oszołomieniu. Szuranie stopniowo cichło; ktoś odsapnął i noc wokoło znow była zupełnie cicha.

Tyle tylko, że ktoś dyszał ciężko, dyszał ciężko, i stapał ciężko, po omacku. Pomyślałam, że on chyba podchodzi do drzewa, że opiera się o pień. Usłyszałam gwałtowny kaszel, rozdzierający, straszliwy.

- Jem?

Nie było odpowiedzi, tylko strudzony męski oddech.

- Jem?

Jem nie odpowiadał.

Ten ktoś zaczął chodzić, jakby czegoś szukał. Usłyszałam, jak ze stęknieniem ciągnie jakiś ciężar po ziemi. Z wolna przyszło mi do głowy, że teraz jest nas czworo pod tym drzewem.

- Atticus...?

Ten ktoś ciężko, niepewnie odszedł w kierunku uliczki.

Podeszłam tam, gdzie jak mi się wydawało, on był przedtem, i gorączkowo zaczęłam macać ten teren stopami. Po chwili dotknęłam kogoś.

- Jem?

Poczułam pod palcami nóg materiał spodni, sprzączkę paska, guziki, coś, czego nie mogłam rozpoznać, kołnierzyk i czyjaś twarz. Szczecina zarostu na tej twarzy upewniła mnie, że to nie Jem. Poczułam zatęchły opar whisky.

Na chybił trafił ruszyłam w kierunku uliczki. Nie widziałam, czy dobrze idę, bo zupełnie straciłam orientację, odwracając się tam i z powrotem tyle razy. A przecież trafiłam i nagle zobaczyłam przed sobą latarnię na rogu. Jakiś człowiek właśnie pod nią przechodził. Stapał mocno, gwałtownie, jak gdyby niósł coś, co jest dla niego za ciężkie. Niósł Jema. Zobaczyłam

krzywo zwisającą rękę Jema.

Gdy dochodziłam do latarni, ów człowiek już był w naszym ogrodzie. Na tle światła w drzwiach frontowych ukazała się na chwilę ciemna sylwetka Atticusa; Atticus zbiegł ze schodków i już obaj, on i ten człowiek, wnieśli Jema do domu.

Wbiegłam na werandę, gdy przechodzili przez hol. W drzwiach zderzyłam się z cicią Alexandrą.

- Wezwij doktora Reynoldsa! - zawołał ostro Atticus z pokoju Jema. - Gdzie Smyk?

- Jest tutaj - zawołała cicia Alexandra, ciągnąc mnie ze sobą do telefonu.

Zaczęła mnie skubać i oglądać niespokojnie.

- Nic mi nie jest, ciociu - powiedziałam. - Lepiej już dzwoń.

Zdjęła słuchawkę z widełek.

- Eula May, połącz mnie z doktorem Reynoldsem, szybko!... Agnes! - mówiła dalej - czy ojciec w domu? Och Boże, a gdzież on jest? Bardzo proszę, kiedy tylko wróci, poproś, żeby zaraz do nas przyjechał. To bardzo pilne!

Przedstawić się przez telefon cicia Alexandra nie potrzebowała; ludzie w Maycomb znają wzajemnie swoje głosy.

Atticus wyszedł z pokoju Jema. Wziął od cici Alexandry słuchawkę, zanim po skończonej rozmowie zdążyła ją odłożyć na widełki. Nacisnął widełki i powiedział:

- Eula May, proszę mnie połączyć z szeryfem... Heck? Tu Atticus Finch. Ktoś napadł na moje dzieci. Jem jest poturbowany. Między moim domem a szkołą. Nie mogę odejść od chłopca. Przejdź się tam zamiast mnie, bardzo proszę, i zobacz, czy on tam jeszcze jest. Wątpię, czy go jeszcze zastaniesz, ale jeśli tak, to chciałbym go zobaczyć. Muszę już kończyć. Dziękuję, Heck.

- Atticus, czy Jem nie żyje?

- Żyje, Smyku. Zajmij się nią, Alexandro - zawołał Atticus od drzwi pokoju Jema.

Palce się trzęsły cici Alexandrze, gdy odwijala mnie z pomiętej tkaniny i powyginanych drutów.

- Czy aby na pewno, kochanie, nic ci się nie stało? - pytała raz po raz, pracowicie mnie wyzwalając.

Z ogromną ulgą wydostałam się wreszcie z tego wszystkiego. Ręce miałam zdrętwiałe i całe w deseń czerwonych sześciokątnych odcisków siatki. Zaczęłam je rozcierać i to pomogło.

- Ciociu, czy Jem nie żyje?

- Żyje... żyje, kochanie, tylko stracił przytomność. Nie wiemy, jak ciężkich doznał obrażeń, dopóki nie przyjedzie doktor Reynolds. Jean Louise, jak to się stało?

- Nie wiem.

Poprzestała na tym. Przyniosła mi moje rzeczy, żebym się ubrała, i gdybym wówczas zwróciła na to uwagę, chyba nigdy nie dałabym jej o tym zapomnieć. W zdenerwowaniu cicia Alexandra przyniosła mi kombinezon..

- Włóż to, kochanie - poleciła, podając mi spodnie, którymi gardziła całą duszą.

Pobiegła znów do pokoju Jema, a potem wróciła do mnie do holu. Poglaskała mnie zdawkowo po włosach i znów wróciła do pokoju Jema.

Przed domem zatrzymał się samochód. Kroki doktora Reynoldsa znałam prawie tak dobrze,

jak kroki naszego ojca. To doktor Reynolds przyjął Jema i mnie na ten świat, a potem przeprowadzał przez wszystkie trapiące choroby dzieciństwa, nie wyłączając skutków wypadnięcia Jema z podniebnego domku, przy czym nigdy nie stracił naszej przyjaźni. Mówił, że gdybyśmy urządzali ryki z powodu byle głupstwa, sprawa wyglądałaby inaczej, ale myśmy nie do końca mu wierzyli.

Wszedł teraz do holu i powiedział:

- Wielki Boże! - Ruszył ku mnie z pytaniem: - I ty jeszcze stoisz? - Po czym nagle zmienił kierunek.

Znał doskonale rozkład naszego domu. Wiedział też, że jeśli ja jestem w złej formie, to Jem jest na pewno w nie lepszej. Po dziesięciu wiecznościach wrócił.

- Czy Jem nie żyje? - zapytałam.

- Daleko mu do tego - odrzekł, przykucając przede mną.

- Ma guz na głowie, tak samo jak ty, i ma złamaną rękę... Smyku, popatrz w tę stronę... nie, nie odwracaj główki, przewróć oczami... A teraz spójrz tam. Fatalnie on ma złamaną tę rękę; na razie tylko tyle mogę powiedzieć, że chyba w łokciu. Jak gdyby ktoś mu chciał wyłamać... A teraz popatrz na mnie.

- Więc on żyje?

- Ta-ak. - Doktor Reynolds się wyprostował. - Dziś nie da się wiele zrobić - powiedział - poza tym, że ułożymy go jak najwygodniej. Konieczne jest prześwietlenie... Wygląda na to, że przez jakiś czas będzie chodził z ręką unieruchomioną i wyciągniętą. Ale nie martw się... Jeszcze Jem będzie jak nowy. Chłopcy w jego wieku są jak piłki. - Mówiąc to, przyglądał mi się bystro i delikatnymi palcami namacał guz, który mi wystąpił na czoło.

- Nie czujesz się złamana w żadnym miejscu, prawda?

Żarcik doktora Reynoldsa wywołał u mnie uśmiech.

- Więc pan doktor myśli, że on żyje?

Włożył kapelusz.

- No, mogę się mylić, oczywiście, ale wydaje mi się, że on nawet bardzo żyje. Świadczą o tym wszelkie symptomy. Idź go zobaczyć. Kiedy tu wrócę, zrobimy konsylium i wspólnie zadecydujemy.

Kroki doktora Reynoldsa były młodzieńcze i zwawe. Kroki pana Hecka Tate wcale takie nie były. Pod jego ciężkimi wysokimi butami aż się trzęsła podłoga naszej werandy. W przeciwieństwie też do doktora Reynoldsa pan Tate otworzył drzwi dosyć niezgrabnie, ale powitał mnie tak samo, jak doktor Reynolds.

- Nic ci się nie stało, Smyku?

- Nic, proszę pana. Idę teraz do Jema. Atticus tam jest z nimi.

- Pójdziemy razem - powiedział pan Tate.

Ciocia Alexandra przysłoniła lampkę przy łóżku Jema ręcznikiem, więc w pokoju panował półmrok. Jem leżał na wznak. Na policzku miał jakąś szpetną krechę. Lewa ręka mu odstawała: łokieć był lekko zgięty w niewłaściwą stronę. Jem krzywił się i marszczył brwi.

- Jem... Odezwał się Atticus.

- On cię nie usłyszy, Smyku, jest wyłączony jak światło. Już zaczął odzyskiwać przytomność, ale doktor Reynolds uspił go znowu.

- Tak - wycofałam się.

Pokój Jema był duży, kwadratowy. Ciocia Alexandra siedziała w fotelu na biegunach przy kominku. Człowiek, który przyniósł Jema, stał pod ścianą w kącie. Najwyraźniej był ze wsi i nigdy dotąd go nie widziałam. Przyjechał zapewne na ten spektakl historyczny i przypadkowo znalazł się w pobliżu, gdy to wszystko się z nami działo. Usłyszał nasze krzyki, więc do nas przybiegł.

Atticus stał przy łóżku Jema.

Pan Heck Tate zatrzymał się w drzwiach. Kapelusz miał w ręce, latarka elektryczna wypychała mu kieszeń spodni. Był w swej kurtce roboczej.

- Wejdz, Heck - powiedział Atticus. - Natrafiłeś na coś? Nie wyobrażam sobie nikogo, kto mógłby się dopuścić aż takiej podłości, ale mam nadzieję, że go znalazłeś.

Pan Tate pociągnął nosem. Spojrzał bystro na człowieka w kącie, skinął mu głową, a potem rozejrzał się po pokoju - popatrzył na Jema, popatrzył na ciocię Alexandrę, popatrzył na Atticusa.

- Niech pan usiądzie, panie mecenasie - rzekł miękko.

Atticus powiedział:

- Wszyscy siadajmy. Ty na tym krześle, Heck. Przyniosę jeszcze jedno z gabinetu.

Pan Tate usiadł na krześle przy biurku Jema. Zaczekał, aż Atticus wróci i też usiądzie. Nie wiedziałam, dlaczego Atticus nie przyniósł krzesła również i temu człowiekowi w kącie, ale on przecież znał zwyczaje ludzi ze wsi lepiej niż ja. Niektórzy z jego wiejskich klientów parkowali swe kłapouchy rumaki pod drzewami tropikalnymi w ogrodzie za domem i Atticus nieraz odbywał konferencje na kuchennych schodkach. Ten wieśniak prawdopodobnie czuje się lepiej tam, gdzie stoi w tej chwili.

- Panie mecenasie - powiedział pan Tate - powiem panu, co znalazłem. Znalazłem sukienkę małej dziewczynki... mam ją w samochodzie. Czy to twoja sukienka, Smyku?

- Tak, proszę pana, różowa z przymarszczeniami - potwierdziłam.

Pan Tate tak się zachowywał, jakby zeznawał przed sądem. Lubił opowiadać po swojemu, nie licząc się ani z prokuratorem, ani z obrońcą, więc nieraz zabierało mu to trochę czasu.

- Znalazłem jakieś dziwne kawałki materiału brudnobrązowe...

- To mój kostium, panie szeryfie.

Pan Tate przesunął dłonie po udach. Rozcierając sobie rękę, przyjrzał się kominkowi, potem coś go chyba zainteresowało w palenisku. Musnął palcami swój długi nos.

- Co jest, Heck? - zapytał Atticus.

Pan Tate natrafił dłonią na kark i też go potarł.

- Bob Ewell leży na ziemi pod tym drzewem z nożem kuchennym między żebrami. Trup, panie mecenasie.

Ciocia Alexandra wstała, przytrzymując się parapetu kominka. Pan Tate wstał również, ale ciocia potrząśnięciem głowy podziękowała mu za pomoc. Atticus po raz pierwszy chyba w życiu nie okazał instynktownej grzeczności. Siedział bez ruchu.

Jakoś nie mogłam myśleć o niczym poza tym, że pan Ewell poprzysiągł Atticusowi zemstę, choćby po swoim trupie. Ta zemsta nieomal się udała i była rzeczywiście ostatnią rzeczą, jakiej pan Ewell dokonał.

- Jesteś pewny? - zapytał Atticus matowym głosem.

- On nie żyje - odrzekł pan Tate. - Absolutnie. Już nigdy więcej nie skrzywdzi tych biednych dzieci.

- Nie o to mi chodzi.

Atticus mówił jak przez sen. Zaczynał wyglądać na swoje lata, co było u niego jedyną oznaką wielkiego wewnętrznego wzburzenia. Mocna linia szczęki jak gdyby mu zmiękła; widziałam teraz znamienne zmarszczki tworzące mu się pod uszami; widziałam teraz nie jego kruczoczarne włosy, tylko siwe skronie.

- Nie lepiej, żebyśmy przeszli do gabinetu? - zapytała w końcu ciocia Alexandra.

- Jeżeli pan pozwoli - powiedział pan Tate - to wolałbym, żebyśmy zostali tutaj, o ile to nie zaszkodzi Jemowi. Chciałbym zobaczyć jego obrażenia, kiedy Smyk... będzie nam o tym opowiadała.

- To może ja mogę wyjść? - zapytała ciocia. - Jestem tu chyba zbyt cicha. Będę w swoim pokoju, Atticus, gdybyś czegoś potrzebował. - Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się przy nich i odwróciła. - Atticus, miałam przeczucie, że coś się stanie... ja... to moja wina - zaczęła - powinnam była...

Pan Tate podniósł rękę.

- Niech pani idzie, pani Alexandro. Wiadomo, że to wstrząs dla pani. I niech pani sobie nic nie wyrzuca... No, gdybyśmy przez cały czas zwracali uwagę na nasze przeczucia, bylibyśmy jak koty kręcące się za własnymi ogonami. Panno Smyk, postaraj się, proszę, opowiedzieć nam, jak to się stało, dopóki jeszcze masz to świeżo w pamięci. Chyba potrafisz? Czy widziałaś, jak on szedł za wami?

Podeszłam do Atticusa i Atticus przyciągnął mnie do siebie. Przytuliłam głowę do jego piersi.

- Szliśmy do domu. Powiedziałam Jemowi, że zapomniałam pantofli. Ale zaraz, jak zaczęliśmy zawracać, te światła pogasły. Jem powiedział, że mogę je zabrać jutro...

- Smyku, podnieś głowę, żeby pan Tate cię słyszał - rzekł Atticus.

Usiadłam mu na kolanach.

- Wtedy Jem powiedział: „cicho na minutę”. Myślałam, że on się skupia... Zawsze chce, żeby być cicho, żeby on mógł się skupić, ale on potem powiedział, że coś słyszy. Myśleliśmy, że to Cecil.

- Cecil?

- Cecil Jacobs. Raz już nastraszył nas dziś wieczorem, więc myśleliśmy, że to znowu on. Ubrał się w prześcieradło. Dwadzieścia pięć centów dawali za najlepszy kostium. Nie wiem, kto wygrał.

- Gdzie byliście wtedy, gdyście myśleli, że to Cecil?

- Kawałek od szkoły. Wrzasnęłam coś na niego...

- Wrzasnęłaś? Co?

- Cecil Jacobs to wielka tłusta kura, zdaje mi się. Nie słyszeliśmy nic... a potem Jem

wrzasnął „halo” czy coś takiego tak głośno, że umarły by się zbudził...

- Chwileczkę, Smyk - powiedział pan Tate. - Panie mecenasie, czy pan ich słyszał?

Atticus powiedział, że nie. Radio grało. U cioci Alexandry w sypialni też grało drugie radio. Zapamiętał to, bo ciocia go poprosiła, żeby trochę przyciszył, bo ona nie może słuchać swego. Atticus uśmiechnął się.

- Zawsze nastawiam radio za głośno.

- Ciekaw jestem, czy sąsiedzi coś słyszeli... - rzekł pan Tate.

- Wątpię, Heck. Większość albo słucha radia, albo idzie spać z kurami. Maudie Atkinson może nie spała, ale wątpię.

- Mów dalej, Smyk - powiedział pan Tate.

- No, potem, proszę pana, jak Jem wrzasnął, chociaż byłam zamknięta w tym kostiumie, sama to usłyszałam. Kroki, to znaczy. Szły, kiedy myśmy szli, i stawały, kiedy myśmy stawali. Jem powiedział, że mnie widzi, bo pani Crenshaw nałożyła jakąś świecąca farbę na mój kostium. Bo byłam szynką.

- Jak to? - zapytał pan Tate zaskoczony.

Atticus opisał mu swoją rolę oraz konstrukcję swojego stroju.

- Trzeba było ją widzieć, kiedy przyszła do domu - powiedział. - To było zgniecione na miazgę.

Pan Tate potarł podbródek.

- Zastanawiałem się, skąd na nim te ślady. Rękawy poznaczone małymi dziurkami. Ręce też trochę pokłute w podobny sposób. Chciałbym zobaczyć tę rzecz, jeśli można.

Atticus przyniósł resztki mego kostiumu. Pan Tate wywrócił je na lewą stronę i nagiął, żeby się zorientować, jaki był pierwotny kształt.

- To prawdopodobnie ocaliło jej życie - powiedział. - Popatrzcie.

Wskazał swym długim palcem. Połyskliwa wyraźna rysa odcinała się od matowego drutu.

- Bob Ewell miał poważne zamiary - mruknął pan Tate. - To ślad noża.

- On nie był przy zdrowych zmysłach - powiedział Atticus.

- Nie lubię się panu sprzeciwiać, panie mecenasie... To nie było wariactwo, tylko podłość, jak diabli. Nędzny śmierdziel, który wypił dość gorzały, żeby się zdobyć na odwagę zabicia dzieci. Z panem wolał się nie spotykać twarzą w twarz.

Atticus potrząsnął głową.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek człowiek...

- Panie mecenasie, jest pewien gatunek ludzi, których powinno się powystrzelać, zanim im się powie „jak się masz”. Nawet wtedy nie są warci kuli potrzebnej do ich zastrzelenia. Ewell właśnie był jednym z nich.

Atticus powiedział:

- Myślałem, że to z niego wykipiło tamtego dnia, kiedy mi groził. A nawet, gdyby nie wykipiło, myślałem, że on się uweźmie tylko na mnie.

- Odwagi miał akurat dosyć, żeby dokuczyć biednej Murzynce. Akurat dosyć, żeby dokuczyć sędziemu Taylorowi, kiedy przypuszczał, że nikogo nie ma w domu, czy więc sądzi pan, że on by się odważył spotkać z panem twarzą w twarz w świetle dziennym? - Pan Tate westchnął. - Lepiej wracajmy do rzeczy. Smyku, słyszeliście go za sobą...

- Tak. Gdyśmy doszli pod to drzewo...

- Skąd wiedzieliście, że jesteście pod drzewem w tych egipskich ciemnościach?

- Byłam boso, a Jem mówi, że zawsze ziemia jest zimniejsza pod drzewami.

- Stanowczo będziemy musieli mianować go zastępcą szeryfa. No, mów dalej.

- Potem ni stąd, ni zowąd coś mnie złapało i zgniotło mi kostium... Chyba przylgnęłam do ziemi... Słyszałam jakieś szamotanie się pod drzewem, coś takiego... Walili się o pień tak jakby. Jem mnie odnalazł i zaczął mnie ciągnąć w stronę tej uliczki. Ktoś... Pan Ewell rzucił go na ziemię, chyba. Szamotali się jeszcze trochę, a potem był ten dziwny trzask... Jem wrzasnął... - Urwałam. To była Jema ręka.

- W każdym razie Jem wrzasnął i już potem go nie słyszałam i zaraz... Pan Ewell chciał mnie ścisnąć na śmierć, chyba... Potem ktoś rzucił na ziemię pana Ewella. Pomyślałam, że to pewnie Jem wstał. Więcej nic nie wiem...

- Apotem? - Pan Tate patrzył na mnie bystro.

- Ktoś się zataczał i dyszał, i kaszłał, jakby miał umrzeć. Najpierw myślałam, że to Jem, ale Jem by tak nie robił. Więc zaczęłam szukać Jema na ziemi. Myślałam, że to Atticus przyszedł nam na pomoc i tak się zmęczył...

- Akto to był?

- No, on przecież jest, proszę pana, może powiedzieć, jak się nazywa.

To mówiąc, już miałam wskazać tego człowieka w kącie, ale szybko opuściłam na pół wyciągniętą rękę w obawie, że Atticus skarci mnie za pokazywanie palcem. Niegrzecznie jest tak kogoś pokazywać.

Ten człowiek nadal opierał się o ścianę. Z rękami założonymi na piersi opierał się o ścianę już w chwili, gdy weszłam do pokoju. Widząc, że go wskazuję, opuścił ręce i przycisnął je do ściany. Dłonie miał białe, tak chorobliwie białe, jak gdyby nigdy nie były na słońcu, tak białe, że jak kreda odcinały się rażąco od matowo-kremowej ściany w przyćmionym świetle pokoju Jema.

Z dłoni przeniosłam wzrok na jego ubrudzone piachem wojskowe spodnie i wyżej na też brudną, podartą koszulę z drelichu. Twarz, poza tym, że cień padał na wystający podbródek, była tak biała, jak dłonie. Policzki były chude, niemal zapadnięte; usta szerokie, na skroniach płytkie, prawie nie zaznaczające się zatoki, a oczy szare, tak wodniste, że aż pomyślałam, że on jest niewidomy. Włosy cienkie, bez połysku, wyglądały niemal jak pierze na czubku jego głowy.

Gdy go już wskazałam, lekko przesunął ręce, pozostawiając na ścianie tłuste smugi potu i palcami złapał się za pasek. Zupełnie tak, jakby usłyszał skrobanie nożem po szkle, chwycił go nagle dziwny mały skurcz, ale gdy wpatrywałam się w niego zdumiona, napięcie powoli zniknęło z jego twarzy. Wargi mu się rozchyliły w lęklwym uśmiechu i nagle widok naszego sąsiada rozmazał się w napływających mi do oczu łzach.

- Hej, Dziki - powiedziałam.

- Panie Arthurze, kochanie - łagodnie poprawił mnie Atticus. - Jean Louise, to jest pan Arthur Radley. Pan, przypuszczam, już zna ciebie.

Jeśli Atticus mógł tak mile przedstawić mnie Dzikiemu Radleyowi w takiej chwili, no... to tylko dlatego, że to był Atticus.

Dziki zobaczył, jak biegnę odruchowo do łóżka, na którym śpi Jem, gdyż ten sam nieśmiały uśmiech przemknął mu po twarzy.

Gorąco mi się zrobiło z zakłopotania, więc żeby to ukryć, zajęłam się podciąganiem kołdry na Jemie.

- Ach-ach, nie ruszaj go - upomniał mnie Atticus.

Pan Heck Tate siedział w swych rogowych okularach ze skupieniem wpatrzony w Dzikiego. Już miał coś powiedzieć, gdy do holu wszedł doktor Reynolds.

- Wszyscy proszę wyjść - polecił, ukazując się w drzwiach pokoju. - Dobry wieczór, Arthur, nie zauważyłem cię, kiedy tu byłem przedtem.

Powiedział to głosem nie mniej rześkim niż jego kroki, jak gdyby mówił to co wieczór przez całe życie, mnie jednak to powitanie zdumiało jeszcze bardziej niż obecność Dzikiego Radleya u nas w domu. Oczywiście... nawet Dzikie Radley czasem chorował, pomyślałam. Ale z drugiej strony, zbyt pewne to dla mnie nie było.

Doktor Reynolds przyniósł dużą paczkę owiniętą w gazetę. Położył ją na biurku Jema i zdjął marynarkę.

- Już jesteś spokojna, że on żyje? Powiem ci, co mnie o tym przekonało. Kiedy próbowałem go zbadać, kopnął mnie. Musiałem uśpić go należycie, bo inaczej nie dałby się dotknąć. No, już cię tu nie ma! - zwrócił się do mnie.

- Hm - powiedział Atticus, zerkając na Dzikiego. - Heck, wyjdziemy na werandę. Tam jest mnóstwo krzeseł i dosyć jeszcze ciepło.

Nie wiedziałam, dlaczego Atticus zaprasza nas na werandę, a nie do gabinetu, ale potem zrozumiałam. Światła w gabinecie były bardzo jasne.

Wyszliśmy gęsiego za panem Tate. Atticus czekał przy drzwiach, żeby pan Tate wyszedł pierwszy.

Ludzie z przyzwyczajenia zachowują się w sposób codzienny nawet w najbardziej niecodziennych okolicznościach. Ja nie stanowiłam wyjątku.

- To chodźmy, panie Arthurze - usłyszałam własny głos. - Pan nie zna dobrze naszego domu. Zaprowadzę pana na werandę.

Spojrzał na mnie i skinął głową.

Powiodłam go przez hol obok drzwi gabinetu.

- Nie usiądzie pan, panie Arthurze? W tym fotelu na biegunach będzie panu naprawdę wygodnie.

Znów odżyło to, co sobie o nim tak ładnie wymarzyłam: on będzie siedział na werandzie... „niezłą pogodę mamy, prawda, panie Arthurze?”

Tak, pogoda była niezła. Zatracając nieco poczucie rzeczywistości, poprowadziłam go do

fotela stojącego jak najdalej od Atticusa i pana Tate. Nie padało tam światło. Dziki mógł czuć się swobodniej w tym głębokim cieniu.

Atticus siedział na huśtawce, a pan Tate na krześle tuż przy nim. Na nich ostrym blaskiem padało światło z okna gabinetu.

Usiadłam przy Dzikim.

- No, Heck - mówił Atticus - myślę, że należy... trzeba... Dobry Boże, tracę pamięć... - Podsunął okulary na czoło i przycisnął palce do oczu. - Jem nie ukończył jeszcze trzynastu lat... nie, on już ma trzynaście... nie pamiętam. W każdym razie to wpłynie do sądu hrabstwa...

- Co wpłynie, panie mecenasie? - Pan Tate rozprostował nogi i pochylił się do przodu.

- Oczywiście to była nie podlegająca żadnej kwestii samoobrona, ale będę musiał pójść do kancelarii i odszukać...

- Panie mecenasie, pan myśli, że to Jem zabił Boba Ewella? Pan tak myśli?

- Słyszeliśmy obaj relację Smyka. Nie ma co do tego wątpliwości. Powiedziała, że Jem wstał i odciągnął go od niej... Prawdopodobnie jakoś natrafił na nóż Ewella w tych ciemnościach... Jutro się dowiemy.

- Pa-nie mecenasie, stop - powiedział pan Tate. - Jem z całą pewnością nie zakłuł nożem Boba Ewella.

Atticus milczał przez chwilę. Patrzył na pana Tate, jak gdyby te słowa wzbudziły w nim uznanie. Jednak potrząsnął głową.

- Heck, to bardzo ładnie z twojej strony i wiem, że to robisz z dobrego serca, ale ty mi tu nie wyjeżdżaj z czymś takim.

Pan Tate wstał i podszedł do skraju werandy. Splunął w krzewy, po czym z rękami w kieszeniach odwrócił się do Atticusa.

- Niby z czym?

- Przykro mi Heck, jeśli to powiedziałem zbyt szorstko - rzekł Atticus po prostu - ale nikt tu nie będzie niczego tuszował. Ja nie potrafię żyć w ten sposób.

- Właśnie. Nikt tu niczego nie będzie tuszował, panie mecenasie.

Głos pana Tate był cichy, ale jego buty z cholewami stały tak mocno na podłodze werandy, jakby z niej wyrastały. Jakaś dziwna walka, której istoty w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, toczyła się między moim ojcem a szeryfem.

Teraz z kolei Atticus wstał i podszedł do skraju werandy. Odchrząknął:

- H...m.

I splunął, chociaż nie miał czym, w trawę ogrodu. Z rękami w kieszeniach odwrócił się do pana Tate.

- Heck, nie powiedziałaś tego, ja jednak wiem, co myślisz. Dziękuję ci za to. Jean Louise - zwrócił się do mnie - powiedziałaś, że Jem odciągnął pana Ewella od ciebie?

- Tak, tak mi się zdawało... bo ja...

- Widzisz, Heck? Dziękuję ci z głębi serca, ale nie chcę, żeby mój syn wchodził w życie z czymś takim nad głową. Najlepszy sposób oczyszczenia powietrza to wywietrzyć wszystko publicznie. Niech całe hrabstwo się zjedzie i przywiezie ze sobą kanapki. Nie chcę, żeby on rósł wśród szeptów na jego temat. Nie chcę, żeby ktokolwiek mówił: „Jem Finch... jego tata zapłacił

pieniędzy, żeby go z tego wypłatać". Im wcześniej się z tym uporamy, tym lepiej.

- Panie mecenasie - rzekł pan Tate flegmatycznie - Bob Ewell upadł na swój nóż. Sam się zabił.

Atticus przeszedł się do rogu werandy. Przyjrzał się glicyniom. Oni obaj, chociaż każdy po swojemu, byli w jednakowym stopniu uparci. Ciekawa byłam, kto podda się pierwszy. Upór Atticusa, cichy wprawdzie i rzadko się przejawiający, pod pewnymi względami przypominał niezłomność Cunninghamsów. Upór pana Tate nie był zdyscyplinowany ani ujęty w żadne karby, ale dorównywał uporowi Atticusa.

- Heck - Atticus stał odwrócony plecami - zatuszowanie tej sprawy byłoby po prostu wyparciem się wobec Jema zasad, w których usiłuję go wychowywać. Myślę czasami, że jako ojciec zawodzę na całej linii, ale oni mają przecież tylko mnie jednego. Zanim Jem spojrzy na kogoś, patrzy na mnie, więc staram się tak żyć, żeby zawsze móc mu odpowiedzieć spojrzeniem prosto w oczy... Gdybym zgodził się na zatuszowanie takiej sprawy, doprawdy nie mógłbym już szczerze spojrzeć mu w oczy, a w dniu, kiedy nie będę mógł tego zrobić, będę wiedział, że go utraciłem. Nie chcę utracić ani jego, ani Smyka, bo oni są wszystkim, co mam.

- Panie mecenasie - pan Tate nadal wrastał w podłogę - Bob Ewell upadł na swój nóż. Mogę to udowodnić.

Atticus odwrócił się. Ręce wepchnął jeszcze głębiej w kieszenie.

- Heck, czy nie możesz bodaj spróbować popatrzeć na to z mojego punktu widzenia? Też masz dzieci, ale ja jestem starszy od ciebie. Kiedy moje dorosną, będę starym człowiekiem, jeśli w ogóle jeszcze tu będę... Teraz jednak jestem... Raz tracąc zaufanie do mnie, oni nie będą już ufać nikomu. Jem i Smyk wiedzą, co się stało. Gdyby usłyszeli, jak opowiadam w mieście inną wersję... Heck, już bym ich nie miał. Przecież nie mogę żyć inaczej w mieście i inaczej w swoim domu.

Pan Tate zakołysał się na obcasach.

- On rzucił Jema na ziemię - powiedział cierpliwie - potknął się o korzeń tego drzewa i... proszę, ja mogę pokazać.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął długi sprężynowy nóż. W tej samej chwili w drzwiach holu stanął doktor Reynolds.

- Ten skur... zmarły leży pod drzewem, doktorze, na brzegu szkolnego boiska. Ma pan latarkę? Lepiej niech pan weźmie moją.

- Mógłbym podjechać i nakierować reflektory samochodu - rzekł doktor Reynolds, ale wziął latarkę pana Tate. - Z Jemem w porządku. Do rana się nie obudzi, mam nadzieję, więc nie martwcie się o niego. Czy to ten nóż, który zabił Ewella, Heck?

- Nie, tamten jeszcze w nim tkwi... Nóż kuchenny, sądząc po trzonku. Ken powinien lada chwila być z karawanem, panie doktorze. Dobranoc.

Pan Tate otworzył nóż.

- To było tak - powiedział. Trzymając nóż udał, że się potyka. Gdy się przechylił, lewa jego ręka znalazła się przy piersi. - Widzicie? Dźgnął się sam w to miękkie miejsce między żebrami. Nadział się na nóż całym swoim ciężarem. - Pan Tate zamknął nóż i schował go z powrotem do kieszeni. - Smyk ma osiem lat - powiedział. - Była zanadto przestraszona, żeby wiedzieć dokładnie, co się działo.

- Akurat! - rzekł Atticus ponuro.

- Nie mówię, że ona to zmyśliła. Mówię, że była zanadto przestraszona, żeby wiedzieć dokładnie, jak to się stało. W tych egipskich ciemnościach. Tylko ktoś naprawdę przywykły do mroków mógłby tu być miarodajnym świadkiem.

- Nie zgodzę się - rzekł Atticus cicho. - Do cholery jasnej, mnie nie chodzi o Jema!

But pana Tate uderzył w podłogę tak głośno, że w sypialni pani Maudie zapaliło się światło. U panny Stephanie Crawford też zrobiło się jasno. Atticus i pan Tate popatrzyli na drugą stronę ulicy, a potem na siebie. Czekali.

Gdy pan Tate znów się odezwał, głos jego ledwie było słycać.

- Panie mecenasie, przykro mi kłócić się z panem w takiej sytuacji. Spadły dziś na pana rzeczy, jakie nikomu nie powinny być sądzone. Dlaczego pan się jeszcze po tym wszystkim nie rozchorował, nie wiem, ale przecież wiem, że raz jeden nie potrafi pan nawet dodać dwóch do dwóch, żeby było cztery, a musimy uzgodnić to dzisiaj, bo jutro już będzie za późno. Bob Ewell ma nóż kuchenny w piersi.

Pan Tate dorzucił, że Atticus mu nie wmówi, że jakkolwiek chłopiec wzrostu Jema, i to z przetrąconą ręką, miałby w sobie jeszcze dość bojowego ducha, żeby przytrzymać i zabić dorosłego mężczyznę w egipskich ciemnościach.

- Heck - powiedział Atticus gwałtownie - to był nóż sprężynowy... Ten, którym wymachiwałeś. Skąd go masz?

- Zabrałem jednemu pijanemu - odrzekł Tate oziębło.

Usiłowałam sobie przypomnieć. Pan Ewell mnie przygniatał, potem upadł... widocznie Jem wstał. Przynajmniej myślałam, że...

- Heck?

- Mówię, że zabrałem go jednemu pijanemu dziś wieczorem w mieście. Ten nóż kuchenny prawdopodobnie Ewell znalazł gdzieś na śmietniku. Naostrzył go i zaczął na odpowiedni moment... Po prostu zaczął na odpowiedni moment.

Atticus podszedł do huśtawki i usiadł. Ręce zwisały mu bezwładnie między kolanami. Patrzył w podłogę. Ruchy jego były tak powolne, jak wtedy tamtej nocy pod więzieniem, gdy wydawało mi się, że on przez całą wieczność składa gazetę i kładzie ją na krzesło.

Pan Tate ciężko, ale cicho spacerował po werandzie.

- Tu nie pan decyduje, panie mecenasie, tylko wyłącznie ja. Ja decyduję i ja ponoszę odpowiedzialność. Wyjątkowo tym razem, jeśli pan na to nie patrzy tak jak ja, niewiele pan może wskórać. Jeżeli pan chce, to niech pan spróbuje. W oczy powiem panu, że pan kłamie. Pana chłopiec w żadnym razie nie zabił Boba Ewella - powiedział powoli. - Ani mu to w głowie było i teraz pan to wie. On chciał tylko cało i szczęśliwie wrócić z siostrą do domu. - Przerwał swój spacer po werandzie. Zatrzymał się przed Atticusem, plecami odwrócony do nas. - Nie jestem zbyt porządnym człowiekiem, proszę pana, ale jestem szeryfem hrabstwa Maycomb. Żyłem w tym mieście przez całe swoje życie, a idzie mi już na czterdziesty trzeci rok. Wiem o wszystkim, co tu się działo, jeszcze zanim się urodziłem. Czarny chłopak stracił życie bez żadnego powodu i ten, który był temu winien, też stracił życie. Niech więc tym razem jeden z tych umarłych pogrzebie drugiego, panie mecenasie. Umarły niech pogrzebie umarłego.

Pan Tate podszedł do huśtawki i wziął z niej swój kapelusz. Bo jego kapelusz leżał przy Atticusie. Apotem pan Tate przyglądał włosy i powiedział już w kapeluszu:

- Nigdy nie słyszałem, że to jest przestępstwo, jeśli obywatel robi wszystko, co może, żeby przeszkodzić w popełnieniu zbrodni. On właśnie to zrobił, ale może pan powie, że moim obowiązkiem jest rozpowiadać o tym w mieście zamiast to zatuszować. Czy pan wie, jak by wtedy było? Wszystkie panie w Maycomb łącznie z moją żoną stuknęłyby do jego drzwi i znosiłyby mu torty z kremem i konfiturami. Według mnie, panie mecenasie, wyciąganie człowieka, który oddał panu i naszemu miastu wielką przysługę i pokazywanie go z tą jego całą nieśmiałością w blaskach jak na scenie... Dla mnie to po prostu grzech. To grzech i ja tego grzechu nie chcę mieć na sumieniu. Gdyby to był ktoś inny, sprawa by wyglądała inaczej. Ale nie ten człowiek, panie Finch.

Pan Tate chciał chyba czubkiem buta wyłobić dziurę w podłodze. Pociągnął się za nos, potem roztarł sobie lewą rękę.

- Może nie znaczę wiele, panie mecenasie, ale jestem przecież szeryfem hrabstwa Maycomb i Bob Ewell upadł na swój nóż... Dobranoc panu.

Pan Tate tupiąc, opuścił werandę i przemaszerował przez ogród do furtki. Drzwiczki samochodu trzasnęły i odjechał.

Atticus przez dłuższy czas siedział wpatrzony w podłogę. W końcu podniósł głowę.

- Smyk - powiedział - pan Ewell upadł na swój nóż. Czy potrafisz to jednak zrozumieć?

Wyglądał tak, jakby potrzebował pociechy. Podbiegłam do niego, uściskałam go i ucałowałam z całej siły.

- Tak, ja rozumiem - zapewniłam. - Pan Tate miał rację.

Atticus odsunął się i spojrzał na mnie.

- Co to znaczy?

- No, to byłoby tak, jak zabić drozda, prawda?

Atticus wtulił twarz w moje włosy i otarł się o nie policzkiem. Gdy wstał i przechodził przez werandę, krok jego znów był młody. Zanim wszedł do domu, zatrzymał się przy Dzikim Radleyu.

- Dziękuję ci za moje dzieci, Arthur - powiedział.

Z szuraniem Dzikie Radley podniósł się z fotela i czoło mu zabłysło w świetle z okna gabinetu. Ruchy miał tak niezdecydowane, jakby nie był pewny, czy jego ręce i nogi są zdolne do utrzymania należytej łączności z rzeczami, których dotykał, i gruntem, po którym chodził. Znów dostał ataku okropnego płucnego kaszlu tak rozrywającego, że musiał z powrotem usiąść. Sięgnął do kieszeni na biodrze i wyciągnął chustkę. Kaszlał w nią jeszcze przez chwilę, a później otarł nią czoło.

Od tylu lat przyzwyczajona do jego nieobecności wprost nie mogłam uwierzyć, że on teraz jest obecny i przez cały czas tej rozmowy siedział przy mnie. Siedział zupełnie cicho.

Wstał ponownie. Odwrócił się do mnie i skinął głową w kierunku drzwi holu.

- Pan chciałby powiedzieć dobranoc Jemowi, panie Arthurze? Niech pan wejdzie.

Poprowadziłam go przez hol. Przy łóżku Jema siedziała ciocia Alexandra.

- Proszę, Arthur - powiedziała. - On jeszcze śpi. Doktor Reynolds dał mu mocny środek nasenny. Jean Louise, czy ojciec jest w gabinecie?

- Tak, ciociu. Chyba tak.

- Pójdę do niego na chwilę. Doktor Reynolds zostawił pewne... - Jej głos ucichł w holu.

Dziki już usunął się do kąta, gdzie stał teraz z podbródkiem uniesionym, wpatrując się z daleka w Jema. Ujęłam go za rękę zdumiewająco ciepłą, chociaż taką białą. Pociągnęłam go lekko i pozwolił mi się poprowadzić do Jema.

Doktor Reynolds zrobił nad ręką Jema coś w rodzaju namiociku, po to zapewne, żeby kołdra go nie uraziła; Dziki pochylił się i zajrzał za ten namiocik. Wyraz lękliwej ciekawości pojawił się na jego twarzy, jak gdyby on nigdy dotąd nie widywał chłopców. Z ustami rozdziawionymi mierzył Jema spojrzeniem od stóp do głów. Uniósł rękę, ale zaraz opuścił ją przy boku.

- Może go pan pogłaskać, panie Arthurze, on śpi. Gdyby nie spał, toby pan nie mógł, bo on by panu jednak nie pozwolił... - Zaczęłam wyjaśniać, zanim się zorientowałam, że to robię. - Proszę bardzo.

Ręka Dzikiego zawisła nad głową Jema.

- No, dalej, proszę pana, on śpi.

Ręka osunęła się leciutko na włosy Jema.

Oto więc już uczyłam jego rękę rozumieć słowa. Zacisnął palce na mojej dłoni i ruchem głowy pokazał, że chce wyjść.

Gdy wyprowadziłam go znów na werandę, przystanął w niezdecydowaniu. Nadal trzymał mnie za rękę i nic nie wskazywało na to, że ją puści.

- Odprowadzisz mnie?

Powiedział to prawie szeptem jak dziecko, które się boi ciemności.

Podeszłam z nim do schodków i zatrzymałam się. Pomyślałam, że mogę go oprowadzać u nas, ale że za nic nie odprowadzę go do jego domu.

- Panie Arthurze, niech pan zegniesz rękę, o tak. Tak będzie dobrze, proszę pana.

Ujęłam go za zgięty łokieć.

Musiał trochę się zgarbić, żeby mi było wygodniej go trzymać, ale gdyby panna Stephanie Crawford patrzyła ze swego okna na piętrze, zobaczyłaby, jak Arthur Radley prowadzi mnie ulicą, jak każdy pan by prowadził panią.

Doszliśmy do latarni na rogu i pomyślałam o Dillu, który tyle razy stał tutaj, obejmując ten gruby słup, patrząc, czekając, mając nadzieję. Pomyślałam, że tak często Jem i ja przechodziliśmy tędy, ale że za furtką Radleyów znajdem się dopiero po raz drugi w życiu. Wkroczyłam tam teraz z Dzikim i po schodkach weszliśmy na ganek. Dziki namacał klamkę. Delikatnie uwolnił się od mojej ręki, otworzył drzwi, wszedł i zamknął drzwi za sobą. Nie widziałam go już nigdy więcej.

Sąsiedzi przynoszą żywność, gdy w domu jest śmierć, i kwiaty, gdy w domu jest choroba, i różne drobiazgi przy innych okazjach. Dziki był naszym sąsiadem. Podarował nam dwie figurki z mydła, dwa groszaki na szczęście, zepsuty zegarek z dewizką i życie. Ale sąsiadom należy się odwzajemniać. Myśmy nigdy nie wkładali niczego w dziuplę tego drzewa w zamian za to, cośmy z niej wzięli; nigdy nie daliśmy Dzikiemu nic, i to mnie napełniło smutkiem.

Zawróciłam do domu. Latarnie mrugały wzdłuż ulicy od strony śródmieścia. Nigdy jeszcze nie widziałam naszego najbliższego otoczenia ze schodków domu Radleyów. Oto dom pani

Maudie, dom panny Stephanie Crawford - oto nasz dom z werandą, na której widać nawet huśtawkę - i dom panny Rachel za naszym też dobrze widoczny. Nawet dom pani Dubose stąd widziałam.

Obejrzałam się. Na prawo od tych brązowych drzwi było długie okno z zamkniętą okiennicą. Podeszłam tam, stanęłam i odwróciłam się: w świetle dziennym - pomyślałam - widać stąd narożnik poczty.

W świetle dziennym... przed moimi oczami mroki tej nocy nagle się rozwiały. Jest dzień i wokół panuje ruch. Panna Stephanie Crawford przechodzi przez jezdnię do panny Rachel, żeby jej przekazać najświeższe wiadomości. Pani Maudie pochyła się nad swymi azaliami. Jest lato i dwoje dzieci pędzi ku zbliżającemu się z daleka mężczyźnie. Mężczyzna macha do nich ręką, a one zaczynają się ścigać, kto dobiegnie do niego pierwszy.

I wciąż jeszcze jest lato, i te dzieci podchodzą bliżej. Chłopczyk powoli maszeruje chodnikiem, wlecze za sobą bambus wędki. Mężczyzna stoi - czeka, trzyma się pod boki. Jest lato i te dzieci bawią się w ogrodzie ze swym przyjacielem, odgrywając dziwny dramacik własnego pomysłu.

Jest jesień i dzieci biją się na chodniku przed domem pani Dubose. Chłopiec pomaga siostrze podnieść się z chodnika, wraca z nią do domu. Jest jesień i dzieci kłusują do szkoły i z powrotem, skręcają na rogu, na twarzach mają wypisane zgryzoty, bądź triumfy swego szkolnego dnia. Zatrzymują się przy dębim zachwycone, zdumione, niespokojne.

Jest zima i te dzieci drżą z zimna przy jego furtce - dwie małe ciemne sylwetki na tle płonącego domu. Jest zima i jakiś mężczyzna idzie środkiem jezdni, upuszcza okulary i strzela do psa.

Jest lato i Dziki patrzy na ból swoich dzieci. Jest znów jesień i Dziki jest im potrzebny.

Atticus miał rację. Kiedyś powiedział, że nigdy naprawdę nie zna się człowieka, dopóki się nie pochodzi w jego skórze po świecie. Ja tylko stałam w skórze Dzikiego na ganku Radleyów, a przecież to wystarczyło.

Latarnie pokryły się kłaczkami siąpiącego deszczu. W drodze powrotnej do domu czułam się bardzo stara, ale zezując na czubek swego nosa widziałam na nim mgliste, małe kropelki, chociaż od tego zezowania zakręciło mi się w głowie, więc zaraz musiałam przestać. W drodze powrotnej do domu myślałam, coż to za dziwy opowiem jutro Jemowi. Jem wściekły, że go ominęło, pewnie przez wiele dni nie będzie chciał się do mnie odzywać. W drodze powrotnej do domu zastanawiałam się nad tym, że Jem i ja jeszcze musimy dorosnąć, ale nauczyliśmy się już wiele z wyjątkiem może algebry.

Wbiegłam po schodkach na werandę. Ciocia Alexandra już poszła spać i w pokoju Atticusa było ciemno. Poszłam do Jema w nadziei, że może on już odżył. Atticus siedział przy jego łóżku. Czytał książkę.

- Jem się obudził?

- Śpi spokojnie. Nie obudzi się aż do rana.

- Aha. Ty przy nim będziesz siedział?

- Jakaś godzinkę. Połóż się spać, Smyku. Miałaś dziś bardzo długi dzień.

- No, ja bym wolała trochę z tobą zostać.

- Jak sobie życzysz - powiedział Atticus.

Północ już chyba minęła, więc byłam zdumiona tą jego miłą ustępliwością. Atticus jednak okazał się bystrzejszy ode mnie, ledwie usiadłam, zachciało mi się spać.

- Co czytasz? - zapytałam.

Atticus spojrział na okładkę.

- To Jema. Tytuł: *Szary Upiór*.

Od razu się rozbudziłam.

- Dlaczego to wybrałaś?

- Złotko, nie wiem. Po prostu wziąłem pierwszą lepszą. Jedną zresztą z niewielu, jakich nie czytałem poinformował mnie rzeczowo.

- Poczytaj to głośno, Atticus, proszę cię. To naprawdę szalenie straszne.

- Nie - powiedział. - Dostyc już na jakiś czas najadłaś się strachu. To jest zbyt...

- Atticus, przecież ja się nie bałam.

Uniósł brwi, a ja zapewniłam:

- Przynajmniej dopóki nie zaczęłam o tym opowiadać panu Tate. Jem się nie bał. Pytałam go i powiedział, że się nie boi. Poza tym nic nie jest naprawdę straszne, to tylko w książkach.

Atticus otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Przerzucił kartki książki i wrócił do pierwszej strony. Przysunęłam się i położyłam mu głowę na kolanie.

- Hm - rozpoczął chrząknięciem - *Szary Upiór* Seckatary Hawkins, rozdział pierwszy...

Walczyłam ze sobą, żeby nie zasnąć, ale ten deszcz szemrał tak cichutko, i w pokoju było tak ciepło, i Atticus miał głos taki niski, i kolano takie przytulne, że jednak zasnęłam. W parę sekund później, jak mi się wydawało, poczułam lekkie szturchnięcie w żebra. Podniósł mnie z dywanika i zaprowadził do mego pokoju.

- Słyszałam każde słowo z tego, co czytałeś - mruknęłam. - Nie spałam wcale... To o okręcie i o Trzypalcym Fredzie, i o Synu Kamieniarza...

Rozpiął mi kombinezon i oparta o niego zaczęłam się rozbierać. Przytrzymując mnie jedną ręką, drugą sięgnął po moją piżamę.

- Tak, i oni wszyscy myśleli, że to Syn Kamieniarza robi bałagan w ich klubie i rozlewa wszędzie atrament, więc...

Podprowadził mnie do łóżka i posadził. Podniósł mi nogi i ułożył mnie pod kołdrę.

- ...więc na niego polowali i nigdy go nie mogli złapać, bo nie wiedzieli, jak on wygląda, i, Atticus, kiedy w końcu go zobaczyli, no, to się okazało, że to wcale nie on robi te rzeczy... Atticus, on był naprawdę porządny...

Czułam jego ręce przy podbródku, gdy podciągał kołdrę i mnie otulał.

- Przeważnie, Smyku, ludzie okazują się tacy, kiedy w końcu ich zobaczymy.

Zgasił światło i odszedł do pokoju Jema. Wiedziałam, że przesiedzi tam całą noc i będzie tam, gdy Jem zbudzi się rankiem.

